

Luanne Rice

Zatańcz ze mną

Przełożyła z angielskiego
Barbara Korzon

Wydawnictwo „Książnica”

Część pierwsza

REGUŁA TRZECH

ROZDZIAŁ 1

Matce nie wolno faworyzować żadnego spośród swoich dzieci. Jeśli istniało cokolwiek, co do czego Margaret Porter nie miała cienia wątpliwości, było to przekonanie, że nic szybciej i skuteczniej nie wywołuje rozdzwiewku w rodzinie niż okazywanie szczególnych względów wybranemu dziecku — nawet w najbardziej trywialnych sprawach. Gdy jej córki były małe, zawsze skrupulatnie przestrzegała zasady równości: wczoraj ty jeździłaś na rowerku, więc dzisiaj dostanie go siostra. To samo dotyczyło pchania wózka w supermarkecie czy wyboru płatków na śniadanie. A wszystko po to, aby jedna nie mogła zarzucić drugiej, że „jest pupilką mamy”.

Czekając teraz na przyjazd Jane, przyglądała się z łóżka swojej młodszej córce Sylvii — wciąż jeszcze niezamężnej mimo jej trzydziestu trzech lat — która właśnie składała wypraną bieliznę. Robiła to wręcz perfekcyjnie. Jakże dokładnie rozprostowywała każdą nocną koszulę przed złożeniem jej w schludny, idealnie równy prostokąt! W razie najmniejszego błędu — gdy na przykład jeden rękaw o centymetr wystawał poza linię — cała operacja powtarzana była od początku.

Margaret chętnie napiłaby się herbaty, nie chciała jednak przeszkadzać córce. Miała nadzieję, że swoim milczeniem daje Sylvii do zrozumienia, jak ogromnie ceni jej starania, z każdą chwilą wszakże trawił ją coraz silniejszy niepokój: czy Sylvia nie spóźni się aby na dworzec po swą starszą siostrę? Nerwowo zmieniła pozycję — trudno jej było uleżeć spokojnie. Aby

się opanować, nakazała sobie zobaczyć tę scenkę od zewnątrz — jakby oglądała fragment filmu. W oczach postronnego widza byłby to doprawdy prześliczny obrazek rodzinnej harmonii: troskliwa córka, całym sercem oddana swojej chorej matce, obie skąpane w czystym marcowym świetle lejącym się do wnętrza przez ogromne okna.

— Psiakrew — wymamrotała Sylvia, po raz trzeci roztrzepując niebieską koszulę z cienkiego irlandzkiego lnu. — W żaden sposób nie mogę jej złożyć.

— Więc może ją powieś, zamiast składać — zasugerowała Margaret.

Sylvia rzuciła jej spojrzenie, które w didaskaliach do filmu można by najtrafniej określić jako mordercze. Margaret drgnęła wewnętrznie. Wcale nie dlatego, aby sobie wyobrażała, iż Sylvia naprawdę pragnęłaby ją uśmiercić, tylko że wbrew swym najlepszym intencjom wyraźnie sprawiła jej przykrość.

— Och, moja droga, nie gniewaj się na mnie, nie chciałam cię krytykować!

— W porządku, mamó. Nic się nie stało.

— Tak pięknie to robisz!

— Dziękuję. — Sylvia uśmiechnęła się tak prześlicznie, że Margaret podniosła głowę, by lepiej widzieć ten uśmiech, który tak jak niegdyś oblicze Heleny Trojańskiej, mógłby „wygnać na morze tysiąc okrętów”. Sylvia była niezwykle piękna, pięknem, które miało w sobie jakąś świetlistą jasność, ale ona nie wiadomo czemu starała się ukryć tę swoją urodę. Obie z Jane to robiły, zupełnie jakby bały się każdego, kto by chciał zapukać do ich drzwi.

Ich młodzieńczej urodzie towarzyszył wybitny intelekt. Zdaniem Margaret przewyższał on nawet zewnętrzne walory jej córek. Sylvia ukończyła Uniwersytet Browna i jeden semestr w Sorbonie, Jane, która ku dumie i radości matki rozpoczęła studia na tym samym uniwersytecie dwa lata przed swoją siostrą, zrezygnowała z nich jednak na korzyść... piekarstwa. Wyjechała do Nowego Jorku i zrobiła karierę w swym nowym zawodzie.

Sylvia pozostała wierna Rhode Island i swemu rodzinnemu Twin Rivers. Jeszcze do niedawna prowadziła bibliotekę

w miejscowym liceum, tym samym, w którym jej matka pełniła kiedyś funkcję dyrektorki. Margaret była przekonana, że praca w szkole to wspaniałe zajęcie dla kobiety — dyscyplinuje umysł, pozwala brać urlop latem, gwarantując zarazem inne przywileje. Jeśli kobieta nie zamierzała wyjść za mąż — choć w niektórych wypadkach dotyczyło to również mężatek — liczyły się dla niej materialne aspekty wykonywanej pracy, takie jak choćby ubezpieczenie zdrowotne, a szkoła je zapewniała.

Żadna z jej córek nie wyszła za mąż; obie były niezależne — mimo iż Jane nie ukończyła college'u — i Margaret była z tego bardzo dumna. Wierzyła, że przynajmniej pod tym jednym względem wywiązała się wzorowo z roli matki. Była wprawdzie zamężna, lecz praktycznie rzecz biorąc wychowała córki samodzielnie.

Głośne tykanie ściennego zegara nie pozwalało zapomnieć, że czas biegnie szybko, toteż było jej coraz trudniej opanować wzbierające podniecenie. Zazwyczaj upływ czasu oznaczał dla niej jedynie to, że trzeba dokonać paru banalnych czynności, takich jak zażycie leków czy zmiana wczorajszej koszuli na świeżą, ale dziś było całkiem inaczej — zbliżała się pora przyjazdu pociągu z Nowego Jorku. Zerknąwszy na Sylwię, zajętą nadal składaniem bielizny, odchrząknęła.

— O co chodzi, mammo?

— Czy nie powinnaś już jechać? — spytała Margaret, niezdolna pohamować niecierpliwości.

— Czyżbym ci nie mówiła? Jane weźmie taksówkę — odrzekła Sylvia, nie podnosząc głowy znad pasiastych spodni od piżamy.

Margaret opadła szczęką. Tak gwałtownie pochyliła się naprzód, jakby chciała wyskoczyć z łóżka. Jakby była gotowa sama pojechać na dworzec.

— Co ona sobie pomyśli? — wyjąkała. — Będzie jej strasznie przykro... uzna, że nie jest tu mile widziana, że...

— Żartowałam — przerwała jej Sylvia. — Zaraz po nią jadę — dodała z figlarnym uśmiechem.

Margaret spróbowała zrewanżować jej się tym samym — nic z tego, nie była w stanie. Wszystko się w niej trzęsło;

czuła się jak pociąg, który wypadł z szyn. Niełatwo być matką tak wrażliwych dziewczyn, pomyślała smętnie. Mój Boże, co by to było, gdyby nikt nie wyjechał po Jane na stację! Poczuciały się tym tak dotknięta, że nie zobaczyłabym jej pewnie przez najbliższe dziesięć lat.

— Czy to małe coś jest gotowe? — zapytała.

— Co?

— Tort weselny.

— O czym ty mówisz, mamó? — zdziwiła się Sylvia, podchodząc do łóżka. Nareszcie skończyła składać bieliznę.

Margaret uśmiechnęła się słabo, próbując ukryć w ten sposób ogarniającą ją panikę. Jak brzmi to słowo, które jej umknęło? Czowała, że ma je na końcu języka...

— Mamó?

Przed sześćdziesięciu laty, gdy Margaret wygrywała konkursy w literowaniu wyrazów, podobnie jak później Jane, a po niej Sylvia, też jej się zdarzały takie momenty. Świetnie знаła zadane słowo, miała je przed oczami — i nagle kolejność liter zaczynała jej umykać. Wtedy wystarczyła chwila koncentracji, żeby wszystko wróciło do normy, ale teraz...

— Czy... — zaczęła raz jeszcze, próbując ponownie sformułować pytanie. Wiedziała, że coś powinno być przygotowane, musi tylko przypomnieć sobie, co to takiego. Zakończyć po prostu zdanie w taki sposób, aby Sylvia nie spostrzegła, że matka straciła wątek. Nie ma sensu jej martwić, powiedziała sobie, lecz kryło się pod tym coś jeszcze: bała się, że widząc, co się dzieje, córka zechce ją wysłać do tego samego ośrodka, w którym ona, Margaret, umieściła swoją własną matkę.

— Chodzi ci o to, czy pokój Jane jest gotowy? — przyszła jej z pomocą Sylvia.

Och, Margaret miała ochotę uścisnąć jej rękę i jęknąć z ulgi, zdołała się jednak powstrzymać, udać, że nic się nie stało. Może Sylvia nic nie spostrzegła?

— Właśnie. Jest gotowy? Pewnie tak. Och, córeczko, jesteś taka dobra! Tak troskliwie opiekujesz się domem i mną i...

— Pokój jest przygotowany — spokojnie odrzekła Sylvia, poprawiając jakąś książkę na półce. Rządek był teraz idealnie równy.

— Kochanie — Margaret wzięła ją za rękę i czule przebiegła palcami po drobnej dłoni swej córki, myśląc, jaka z niej była kiedyś porcelanowa laleczka. Wszyscy oglądali się za nią, w szkole i na plaży. Nadal jest zresztą uderzająco piękna, choć ma już trzydzieści trzy lata. Jane też jest śliczna, tyle że to troszkę inny typ urody. Nie tak klasyczny. — Moje indywidualistki — powiedziała głośno. — Obie jesteście wyjątkowe, każda na swój sposób.

— Nie wstawaj z łóżka, kiedy mnie nie będzie, dobrze? — poprosiła Sylvia. — Nie chcę, żebyś znów upadła.

— Obie takie śliczne, tak wybitnie inteligentne i zdolne — kontynuowała Margaret. — Trudno mi uwierzyć, że twoja siostra przyjeżdża do domu, że znów będą miała was pod jednym dachem.

— Nie na długo — wtrąciła Sylvia tonem wypranym z wszelkich emocji. Z jej oczu także nie dało się nic wyczytać. — Nie rób sobie zbyt wielkich nadziei. Wiesz, jaka jest zajęta.

Margaret uśmiechnęła się do siebie. Jej córki w dzieciństwie tak się kochały! Ona sama była wniebowzięta, gdy urodziła się Jane, a już wprost omdlewała ze szczęścia, gdy się okazało, że drugie dziecko też jest dziewczynką i że Jane będzie miała siostrę. No cóż, było kilka lat trudnych... ale teraz dziewczyny są starsze... będzie dobrze. Gdy znów zamieszkają we trójkę, będą miały szanse na nowo nawiązać takie porozumienie jak kiedyś.

— To cudowne — powiedziała głośno, by dać wyraz swoim uczuciom. — Czuję się jak Marmee z „Małych kobietek”.

— Marmee miała cztery córki, a ty tylko dwie.

— I to mi wystarczy! Moje dziewczyny mają w sobie więcej życia niż jakakolwiek czwórka. Po co mi cztery, skoro mam ciebie i Sylvie?

— To ja jestem Sylvia.

Margaret ze strachu dostała skurczów żołądka.

— Wiem. Powiedziałam: „ciebie i Jane”.

— Powiedziałas: „ciebie i Sylvie”, ale nie szkodzi. Wiem, co masz na myśli.

— Na pewno? Bo chciałam powiedzieć...

— Wiem. Bywaj, mamó, niedługo wrócę. I bardzo cię proszę, nie wstawaj.

— Nie będę. Och, kochanie, jakże wspaniale się o mnie troszczysz! — zawołała Margaret, uśmiechając się tak szeroko, jak tylko mogła. Zadbala też o to, by w jej oczach zabłysła cała gama uczuć. Sylvia musi wiedzieć, jak bardzo jest kochana, ceniona i podziwiana. Która córka poświęciłaby matce tyle czasu i czulej troski? Zwolniła się nawet z pracy. Trzeba okazać jej wdzięczność — właśnie teraz, nim zjawi się Jane.

Nikt nigdy nie zarzucił Margaret faworyzowania żadnej z córek. Popełniła w życiu wiele błędów, ale tego jednego nie. Tylko że natura ludzka jest strasznie przewrotna: choćby człowiek robił wszystko, by do tego nie dopuścić, zawsze któreś dziecko kocha się bardziej. Tak to już jest, że gdy ma się do czynienia z dwoma egzemplarzami czegokolwiek, niepodobna się powstrzymać od porównań i ocen. I zawsze jedna z tych rzeczy będzie bliższa sercu — choćby odrobinę.

Margaret uznała za swoje życiowe zadanie ukryć to tak głęboko, aby nikt w żadnych okolicznościach nie mógł domyślić się prawdy.

Pociąg oczywiście był opóźniony.

I to nie o kilka minut, lecz o całe trzy kwadranse. W Kingston widocznie trwały nadal jakieś roboty; nietrudno było obliczyć, że w tej sytuacji pociąg wjedzie na stację Twin Rivers dopiero o wpół do czwartej. A niech tam — Sylvia szczególnie się tym nie przejęła. Dzięki temu mogła pobyć sama. Ostatnio miała tak mało czasu dla siebie. Był to jeden z powodów, dla których tak bardzo pragnęła przyjazdu siostry. Opóźnienie! No tak. Jeśli ktokolwiek mógłby zdezorganizować cały rozkład jazdy, to osobą tą byłaby Jane!

Sylvia sprawdziła wszystko dwukrotnie — na tablicy przyjazdów i u zawiadowcy. Ona sama znana była z punktualności — nigdy nie zdarzyło jej się spóźnić. Miała teraz wolne czterdzieści minut, wsiadła więc do furgonetki i ruszyła drogą numer 1, przyglądając się otoczeniu niejako oczami Jane.

Rozwój gospodarczy wywołał istotne zmiany w krajobrazie Twin Rivers. To niewielkie miasteczko położone między

dwiema rzekami, kilka mil od Narragansett Bay, mocno podupadło, kiedy przed pół wiekiem zamknięto sędziwe fabryki tekstylne. Potem jednak w pobliskim Crofton — tuż za rzeką — otwarto wielkie zakłady maszyn i urządzeń, w Twin Rivers zaś zaczęły powstawać kooperujące z nimi przedsiębiorstwa.

Tonące wśród sadów stare przydrożne farmy z czerwonymi stodołami i spokojnym czarno-białym bydłem coraz liczniej ustępowały miejsca głębokim zatoczkom, w których jak grzyby po deszczu zaczęły wyrastać zajazdy i restauracyjki — Burger Hamlets, Bedding Heavens, Now-Marts — a widok na kanał i Williams River coraz bardziej przesłaniały nowe bloki mieszkalne, prywatne „bliźniaki” i towarzysząca im infrastruktura.

Nadal jednak istniało wiele pięknych sadów. Rosły w nich głównie jabłonie, które wkrótce już miały okryć się kwieciami. Wiosna w dolinie to niezapomniany widok, pomyślała Sylvia. Dobrze, że Jane go zobaczy. J może zechce tu zostać...

Minęła kolejno dwa centra handlowe — stare w Crofton i nowe, o wiele większe w Twin Rivers. Tego drugiego Jane jeszcze nie widziała. Ciekawe, co powie, widząc, że Langtry wszedł na ten teren? Gdy zadała sobie to pytanie, wyrósł przed nią budynek szkoły podstawowej w Audubon, do której uczęszczały obie z Jane.

Później zaczęły chodzić do liceum w Twin Rivers, gdzie obecnie Sylvia — mimo urlopu — była nadal bibliotekarką. Jej matka zastanawiała się nieraz, czy życie starszej córki nie potoczyłoby się inaczej, gdyby posłała Jane do Sacred Heart, gdzie zakonnice mogłyby ją „wyprostować”. Ale przecież kłopoty zaczęły się dopiero po szkole średniej...

No cóż, nic nie dzieje się bez przyczyny. Sylvia kazała sobie w to wierzyć, choć czasem wydawało się to absurdalne. Przyjmując za pewnik, że musi przecież istnieć uniwersalny porządek, któremu podlega ludzkie życie i cały wszechświat, lubiła myśleć, że dobre uczynki przynoszą fortunę i szczęście, a złe cierpienie i smutek. Tylko że w praktyce rachunek ten nie był tak prosty. Łatwo było zauważyć, że złe uczynki niekoniecznie obracają się przeciwko sprawcom, znacznie częściej

natomiast godzą w dobrych, niewinnych ludzi, przysparzając im wielu cierpień.

Sylvia starała się zawsze postępować dobrze, perfekcyjnie wykonywać każde swe zadanie. Dlatego była dobrą bibliotekarką. Kochała porządek. Rzeczywistość mogła być szalona, ale jej świat, świat książek, informacji i źródeł nie poddawał się chaosowi. Potrafiła go okiełznać. Każdy mógł liczyć, że Sylvia Porter znajdzie mu to, o co prosił, a potem odłoży na miejsce. Lubiła pomagać innym.

Właśnie zbliżała się do liceum. Oto biblioteka: sześć wielkich okien na pierwszym piętrze, tuż nad głównym wejściem. Niemal czuła woń książek i pasty do podłóg... I tę wręcz namacalną ciszę przesyconą skoncentrowaną energią emanującą z obecnych tam młodych ludzi schylonych nad lekcjami i lekturą. Z westchnieniem pojechała dalej, rzuciwszy wpierw okiem na parking.

Samochód Johna Dufoura, zastępcy dyrektora szkoły, stał na swoim miejscu. Właśnie kupił nowe subaru z napędem na cztery koła. Znała jego upodobania. Lubił grać w scrabble, jeździć na nartach i pływać kajakiem. Pewnie tym nowym wozem wybierze się w dziki plener — na północ od Providence. Oby tylko nic mu się nie stało. Podobno tam właśnie przy sztucznym zbiorniku widziano czarne niedźwiedzie.

Zerknąwszy na zegarek stwierdziła, że czas już wracać na stację. Będzie tam za siedem minut, może osiem, jeśli trafi akurat na te długie czerwone światła przy Steamboat Mall. Ścisnęło ją nagle w żołądku. Za chwilę zobaczy Jane. Dotąd nie pozwalała sobie zbyt wiele myśleć o siostrze. Bała się rozczarowania. Chwilami po prostu wątpiła w jej przyjazd. Jane tak długo mieszkała w Nowym Jorku, że mogła już całkiem odciąć się od swych korzeni... Że wchłonęła ją ta wielka metropolia.

Znając uczucia Jane do Twin Rivers, Sylvia rozumiała, dlaczego jej siostra nie ma ochoty tu wracać. Pod wieloma względami tak było lepiej dla wszystkich. Teraz jednak z matką źle się działo; potrzebna jej była pomoc obu córek. Obie powinny zdecydować, co z nią dalej począć. Sama Sylvia była już strasznie zmęczona borykaniem się z tym problemem.

Pociąg przyjedzie za cztery i pół minuty. Na samą tę myśl przebiegł ją dreszcz — z radosnej emocji i lęku. Wprost trudno było uwierzyć, a nawet wyobrazić sobie, że Jane naprawdę przyjeżdża... Sylvia tej nocy w ogóle nie zmrużyła oka, spodziewając się, że zaraz zadzwoni telefon i Jane odwoła wizytę. Nie zdziwiłaby się, gdyby tak się stało. Potrafiłaby to zrozumieć.

Telefon nie zadzwonił. Jane zaraz tu będzie. Więc jednak przyjeżdża do domu! Ciekawe, na jak długo?

Linia kolejowa łącząca Nowy Jork z Providence i Bostonem biegła wzdłuż wybrzeża, mijając po drodze większe i mniejsze miasta, pola i moczary. W chwili gdy pociąg wjeżdżał w obszar leżący pomiędzy zatoką a rzeką, jego gwizd słychać było w całej dolinie Twin Rivers.

Dotarł on również do uszu Dylana Chadwicka pracującego akurat w swoim sadzie w Crofton. Słyszając sygnał pociągu, zawsze wyobrażał sobie, że jadą nim jego dwie dziewczyny — Amanda i Isabel. Dokąd? Gdzieś daleko, w jakieś piękne, tajemne rejony. Wyobrażał sobie, że oglądając te nieznanne światy, czekają tam na niego, pragnąc, aby je odnalazł. Zawsze też przypominał sobie ten dzień, ich ostatni, gdy wszyscy troje jechali samochodem przez Manhattan w kierunku Penn Station.

Byli już niedaleko. Myślał, że za chwilę błysnie swą odznaką, wsadzi je do pociągu i pomacha na pożegnanie, a potem będzie czekał na telefon. Miały zadzwonić, gdy dotrą na miejsce — do hotelu Longwood w Wilmington w stanie Delaware. Nie zdążyły jednak wyjechać z Nowego Jorku. Wszystko się skończyło na Trzydziestej Trzeciej Zachodniej...

Dźwigając składaną drabinę, a na ramieniu dwie piły — wielką i małą — pokuśtykał powoli przez sad. W jego drugim, farmerskim, życiu nie było przestępców, odznak policyjnych ani strzelaniny. Obracało się ono wokół różnych gatunków jabłek, sadzonek, krzyżówek, przycinania i nawożenia. Oraz pszczół.

Za przyznaną mu rentę i odszkodowanie z tytułu niezdolności do dalszej służby odkupił ten kawałek dawnej posiadło-

ści ojca. Czyniąc to, czuł się jak syn marnotrawny wracający po latach do domu. Wydawało mu się, że zatrzymując w rodzinie te sto akrów sadu, zaskarbi sobie wdzięczność brata i jego żony, stało się jednak inaczej. Mimo że podwórze ich domu — darowanego im przez ojca jeszcze za jego życia — graniczyło ze starym sadem, prawie nigdy tu nie zachodzili. Okazało się bowiem, że próba kontynuacji ojcowskiego dzieła — ten sad był jego miłością — budziła w nich nader mieszane uczucia.

Owszem, zapraszali go na święta i szkolne uroczystości swej córki — konkursy ortograficzne, koncerty i przedstawienia — wszystko to jednak dla niego z kolei okazało się niezmiernie trudne... Isabel i Chloe były w tym samym wieku, tak więc każde przedstawienie, konkurs czy zabawa, w których widział swoją bratanicę, przypominały mu córkę. Z Chloe łączyła go szczególnie więź wywodząca się z czasów jej serdecznej przyjaźni z Isabel, nieraz jednak widok tej dziewczyny sprawiał mu taki ból, że starał się jej unikać. Dla brata i jego żony nie było to tajemnicą, ograniczyli więc z czasem kontakty do niezbędnego minimum.

Pociąg znów gwizdnął.

Dylan oparł się o pień starego drzewa. Oczyma duszy widział swą żonę i córkę, jak siedząc w przedziale, czytają książki, a może grają w karty... Czy Isabel wciąż to lubi? Jako jedenastolatka uwielbiała grać w kierki. Tyle miała lat, gdy zginęła.

Wrócił do pracy. Odszukawszy pierwsze stare drzewo ze swojej roboczej listy, rozstawił drabinę, wdrapał się na nią i jał przyglądać się miejscu, gdzie trzeba było przerzedzić gałęzie, aby życiodajne światło mogło dotrzeć do niżej rosnących konarów.

Koniec marca, gdy drzewa pogrążone są jeszcze w półśnie — gdy nie ma już ostrych mrozów, ale soki nie zaczęły jeszcze krążyć — to najlepszy okres na przycinanie zbędnych gałęzi, usuwanie martwych i chorych fragmentów, strząsanie uschłych jabłek, jednym słowem, na wielkie wiosenne porządki. Dylan pracował więc bez wytchnienia, starając się poprzycinać tyle starych drzew, ile tylko zdoła, zanim wiosna pobudzi je do

życia. Robił to zwykle od świtu do zmierzchu, a przy pełni księżyca nawet wieczorami, próbując przywrócić swój zdziczały sad do dawnej świetności.

Okres marcowej drzemki bywał różny. W niektórych latach drzewa budziły się zaraz po pierwszych wiosennych roztopach, w innych o wiele później, tak czy inaczej nie wolno było tracić czasu.

Balansując na drabinie, sięgnął po pilę, starając się nie zwracać uwagi na ból i drętwienie uszkodzonej nogi. Myślał o czasach, kiedy przychodził tu z ojcem, by słuchać jego nauk — może nawet pod tym właśnie drzewem.

„Przestrzegaj reguły trzech” — mawiał ojciec. — „Przez trzy kolejne lata usuwaj jedynie trzecią część zbędnych gałęzi. To drzewo nie rozrosło się tak w ciągu roku. Potrzebowało na to więcej czasu. Na jego korektę nie wystarczy więc jeden rok”. Były to pożyteczne i bardzo przyjemne lekcje — przy kielichu mocnego jabłeczniaka.

To właśnie od ojca nauczył się przycinać drzewa w porze marcowej drzemki.

On sam sypiał niewiele, a dzisiaj wstał bardzo wcześnie. W ten zimny marcowy ranek już o pierwszym brzasku wyrwał go z łóżka ostry gwizd pociągu... Teraz dochodził z oddali. To już inny pociąg, który widocznie wjechał akurat na dworzec. Ciekawe, kto też wybiera się w podróż, a kto przyjechał? Może z wizytą do krewnych? Pewnie się teraz witają. Są jeszcze takie rodziny...

Takim to dobrze. Inni nie mają tyle szczęścia.

Mają tylko ten uśpiony sad.

Jane Porter przycisnęła czoło do szyby, śledząc przesuwa-
jące się za oknem łagodne wzgórza i szerokie połacie łąk. Znała ten krajobraz jak własny oddech. Teraz pojawiło się w nim wprawdzie o wiele za dużo nowych domów, tam gdzie kiedyś rosły stare drzewa, ale ona patrzyła dalej — na leżące odłogiem pustkowia i na sady starych jabłoni, których sękate konary pokryją się wkrótce białoróżowym kwieciami.

Wybierała się w tę podróż bez większych emocji. Nie lubiła samolotów, więc zamknąwszy swe mieszkanie w Chelsea,

pojechała metrem na Penn Station, gdzie wsiadła do pociągu linii Amtrak, który miał ją zawieźć do Rhode Island. Jakaś część jej jestestwa miała nadzieję, że po prostu wpadnie do Twin Rivers, pomoże Sylvii umieścić matkę w domu opieki i natychmiast potem wyjedzie, zgodnie z zasadą, „załatw sprawę i żegnaj”, ta druga jednak...

Ta druga, głębiej ukryta część Jane, która na drzwiach jej piekarni zostawiła wywieszkę „Nieczynne do odwołania”, wcześniej zaś pomogła asystentce znaleźć nową pracę, a wiernym klientom poleciła usługi swej życzliwej konkurencji — ta część chyba wiedziała, że nie będzie to tylko „załatw sprawę i żegnaj”... że to niemożliwe...

Niemożliwe? „Do domu się nie wraca”, czyż nie tak mawiają starzy mądrzy ludzie? Jane wychowała się w czasach, gdy Twin Rivers było bardziej wsią niż miastem, gdy nie było tam centrów handlowych i wszystkich tych nowych domów. Wspinała się na drzewa, aby liczyć jaja w ptasich gniazdach i patrzeć, jak z tych jajek wykluwają się młode, które gdy tylko wyrosną im piórka, natychmiast gdzieś odlatują. Pamiętała swą rozpacz, kiedy wyklute w maju trzy młode drozdy zniknęły przed końcem czerwca.

„Dlaczego nie wracają?” — pytała z płaczem.

Matka przytuliła ją do siebie.

„Tak to już jest na świecie” — powiedziała. — „Pisklęta po to uczą się fruwać, aby opuścić gniazdo. Odtąd będą już żywić się same i budować sobie gniazda. Tak jak ludzkie dzieci.”

„Ja nigdy stąd nie wyjadę” — oświadczyła Jane.

„Wyjedziesz” — odrzekła matka. — „I tak być powinno.”

Jane uparcie pokręciła głową, zresztą jak zwykle; nigdy prawie nie zgadzała się z matką. Z tych wspomnień wyrwał ją nagle konduktor.

— Stacja Twin Rivers! — obwieścił. — Proszę kierować się do wyjścia w przedniej części wagonu i uważać przy wysiadaniu! Spółka Amtrak dziękuje państwu za podróż naszą linią.

Jane zdjęła z półki swój plecak i ostrożnie sięgnęła po pudełko z tortem. Lekko sztywna po długim siedzeniu w tej samej pozycji, zarzuciła plecak na ramię i zaczęła powoli prze-

suwać się naprzód. Konduktor zaofiarował jej pomoc, ale z niej nie skorzystała — była na to zbyt niezależna. Niech pomoże komuś, kto naprawdę tego potrzebuje.

W drzwiach wagonu przysłoniła oczy, by rozejrzeć się po peronie. Ludzi tu było niewiele, więc od razu dostrzegła Sylvie — i nagle wzruszenie ścisnęło jej gardło. Moja mała siostrzyczka, pomyślała.

Nie widziała jej już dwa lata, ale Sylvia nic się nie zmieniła. Mój Boże, myślała Jane, wciąż z niej ta sama blond piękność, istna gwiazda filmowa, ale ona oczywiście nie zdaje sobie z tego sprawy. Cała Sylvia! Ubiera się też nadal w taki sposób, jakby jeszcze trwał Wielki Kryzys, stwierdziła, obrzucając krytycznym spojrzeniem sylwetkę swojej młodszej siostry, jej długą kwiecistą suknię i wełniany granatowy żakiet.

Sylvia też ją spostrzegła, czym prędzej ruszyła więc naprzód i stanęła przy stopniach wagonu. Jane rzuciła plecak na peron, ostrożnie wręczyła jej pudło i mocno objęła za szyję, zanurzając twarz w miękkich blond włosach. Poczowała, że pachną kwiatem pomarańczy i że zaróżowione policzki Sylvii wilgotnieją od łez. Z nią działo się to samo. Obie też ukradkiem zrobiły to samo: jedna przesunęła twarzą po ramieniu drugiej, aby ukryć łzy, więc gdy znów popatrzyły na siebie, oczy miały już suche.

— Twój pociąg się spóźnił — rzuciła Sylvia, nie tyle tonem wymówki, ile po to by zagaic rozmowę.

— Wiem. Przykro mi z tego powodu.

— Miałaś dobrą podróż?

— Tak, dziękuję.

— A cóż to za szpan? — Sylvia uśmiechnęła się lekko, chwytając siostrę za czarny skórzany rękaw.

— Mówisz o mojej kurtce?

— Chcesz wyglądać jak te chmary podfruwajek? A może udawać twardzielkę? — zakpiła Sylvia, by podtrzymać rodzinną tradycję: zawsze się przekomarzały.

Jane nie pozostała jej dłużna.

— A ty? Zamierzasz do czterdziechy odstawić Rebekę z Sunnybrook Farm? — Chwyciwszy plecak i pudło, ruszyła w stronę parkingu. — Jak mama?

Z twarzy Sylvii wyparował uśmiech.

— Niezbyt dobrze. Mówiłam ci, że upadła i fatalnie rozcięła sobie nogę. A przy cukrzycy zawsze w takich wypadkach istnieje groźba infekcji. Lekarz, który ją zszywał, nie omieszkął wyrazić przy tym głębokiego zdziwienia z powodu jej licznych siniaków.

— Może złoży na ciebie skargę.

— Ciebie to bawi? Bo mnie nie!

— Przepraszam. — Ale zło już się stało. Sylvia z urazą zacisnęła usta. — Wiem, jak bardzo troszczysz się o mamę.

— Poświęciłam dla niej karierę.

Jane w milczeniu skinęła głową: lepiej tego nie komentować.

— Żartowałam — powiedziała. — Głupio zrobiłam. Nie kłóćmy się, siostró.

— Nie zdążyłyśmy nawet wsiąść do samochodu! Z tobą tak zawsze.

— Masz rację — przyznała Jane czując, że z napięcia sztywnieją jej plecy. — Naprawdę strasznie mi przykro.

Sylvia ruchem głowy dała jej do zrozumienia, że przyjmuje to do wiadomości. Otworzyła bagażnik, więc Jane wrzuciła tam plecak, nie rozstając się jednak z pudłem. Obie równocześnie wyciągnęły ręce do klamki, tak że ich dłonie znalazły się tuż obok siebie. Były identyczne — tej samej wielkości i kształtu. Prawdziwie siostrzane ręce. Jane znów zapragnęła przytulić Sylvie i gdyby to było możliwe, nie wypuścić już nigdy z objęć swej pięknej młodszej siostrzyczki. Tam, w Nowym Jorku, tak brakowało jej krewnych... a najbardziej Sylvii.

— Uważaj podczas rozmów z mamą — usłyszała teraz jej głos. — Najlepiej nie mów nic o przeszłości, dobrze? Nie powinna się denerwować.

— Nie zamierzam jej denerwować.

— To dobrze. Zdenerwowanie jej szkodzi.

— Rozumiem.

— W tym pudle pewnie masz jakieś ciasto?

— Tak.

— Zapomniałaś, że ma cukrzycę?

Jane pominęła to milczeniem. Odkąd sięgała pamięcią, matka zawsze wstrzykiwała sobie insulinę, mimo to czasami pozwalała sobie zjeść jakieś ciastko czy kawałek placka. Zdarzało się to rzadko, ale się zdarzało.

— Chciałam jej coś przywieźć... od siebie — powiedziała cicho — a dobrze umiem robić tylko to...

— Nasza matka traci pamięć — kontynuowała Sylvia. — Muszę pilnować, żeby brała insulinę, bo ona już o tym nie pamięta. Stopy ma w bardzo złym stanie. A chodzi tak niepewnie, że wciąż się przewraca, stąd te siniaki. Z dnia na dzień jest coraz gorzej... — urwała. Głos uwiązł jej w gardle.

— Coś wymyślimy, Syl — Jane popatrzyła jej w oczy.

Zawsze rozumiały się tak dobrze, że słowa nie były potrzebne. Często nawet im przeszkadzały. Nic już nie mówiąc, wsiadły do wozu. Sylvia włączyła radio — grano coś klasycznego — Jane wyregulowała głośność i trzymając na kolanach białe pudło z tortem, utkwiała wzrok w bocznej szybie.

Z tajonym napięciem przyglądała się twarzom ludzi na ulicy, w oknach domów i jadących obok samochodów, szukając wśród nich tej jednej... Wiedziała, że nie powinna, nie mogła się jednak powstrzymać. No proszę, pomyślała z gorzką ironią, jestem w Twin Rivers dopiero od dziesięciu minut, a już robię coś, co Sylvia miałaby mi za złe... Ale to bez znaczenia. Zostawiłam tu coś, czego nie mogę zapomnieć.

Postanowiła, że jutro pojedzie do Crofton — jeśli Sylvia pożyczy jej samochód.

ROZDZIAŁ 2

Trzymając na kolanach białą wiklinową tacę z tortem, Margaret podziwiała jego doskonałość. Czegoś takiego nigdy nie zdarzyło jej się widzieć.

— Jest zbyt pracowity, żeby go jeść — stwierdziła w końcu, składając ręce modlitewnym gestem.

— Chciałaś powiedzieć, „zbyt ładny” — poprawiła ją Sylvia.

— Właśnie — mruknęła wstydliwie Margaret, nie odrywając wzroku od tortu. Wyglądał zupełnie jak ptasie gniazdo uwite z brązowych traw i gałązek. Z boków i z czubka całej konstrukcji sterczały kunsztowne cukrowe pałeczki, a w środku leżały trzy błękitne jajka. — To gniazdo drozda, prawda? Chciało ci się wieść je taki kawał drogi? — spytała, podnosząc oczy na Jane.

Jej starsza córka skinęła głową. Była taka szczupła i taka blada! Wydawała się wręcz przezroczyista. Jej proste, prawie czarne włosy, obcięte trochę powyżej ramion, miały zupełnie ten sam odcień co najciemniejsze gałązki w tym prześlicznym gnieździe. Przy nich włosy Sylvii wydawały się jeszcze jaśniejsze.

— Wierzyć mi się nie chce, że to twoje dzieło — mówiła dalej Margaret. — Jest tak realistyczny! — Dotknęła tortu, spodziewając się, że poczuje szorstkość suchej trawy, więc gdy natrafiła na miękki lukier, a pod nim na warstwę pulchniutkiego ciasta, ogarnęło ją szczerze zdumienie. Już miała oblażać

palec, gdy ktoś nagle chwycił ją za rękę. — Och, nie! Co ty robisz, Sylvio?

— Nie wolno ci, mamó. Masz dziś wysoki poziom cukru — fuknęła Sylvia, wycierając jej palec chusteczką. — Podziwiał go sobie, ale na tym koniec.

— Co za przyjemność patrzeć na tort? — jęknęła Margaret. — Po co mi go przywiozłaś, skoro obie uważacie, że nie mogę jeść ciasta? — spytała z urazą w głosie.

— Myślałam, że kawałeczek ci nie zaszkodzi — odrzekła Jane.

Nastąpiła krótka narada rodzinna — istna pantomima: jej córki wymieniły spojrzenia, Margaret uśmiechnęła się błagalnie i Sylvia wzruszyła w końcu ramionami.

— No dobrze. Jeden kawałeczek. Cienki.

Nielatwe zadanie pokrojenia tortu powierzono Jane, która wywiązała się z niego po mistrzowsku. Za pomocą srebrnego noża do ciasta z piękną filigranową rękojeścią, pamiętającego weselną ucztę Margaret, zręcznie odkroiła cieniutki plasterk dla matki, a potem dwa większe dla siebie i Sylwii — ten drugi z niebieskim jajkiem.

— Dwudniowe ciasto ma tę zaletę, że znacznie łatwiej je kroić — rzuciła z uśmiechem, widząc pełne uznania spojrzenia obserwatorek.

— Mmm, delicje — westchnęła Margaret. Lukier tak rozkosznie rozpływał się jej po języku.

— Jest pyszny — przyznała Sylvia.

Jane znów uśmiechnęła się z zadowoleniem. Przez chwilę w milczeniu delektowały się tortem. Margaret od wieków nie jadła takich wspaniałości.

— Mam pytanie — oznajmiła. — Dlaczego zrobiłaś trzy jajka?

— Sama nie wiem... — Jane zawahała się lekko. — Myślałam chyba o ptakach... o ich wędrówkach i o powrocie do domu...

— Mnie chodzi o jajka. Dlaczego trzy? Powinny być dwa. Jedno to ty, a drugie Sylvia. Moje kochane pisklątka.

— Słyszysz, Jane? Pisklątka! — roześmiała się Sylvia. — Mama wciąż tak o nas mówi. Pamiętasz, kiedy zaczęła nazywać nas kurczaczkami?

— No więc czemu trzy? — Margaret czuła, że musi to wiedzieć, choć nie miała pojęcia, dlaczego to takie ważne. — Mam przecież tylko was dwie.

— Jedno dla Jane, drugie dla mnie, a trzecie dla ciebie — zaryzykowała Sylvia.

— To chyba kwestia kompozycji — wyjaśniła Jane.

— Właśnie — poparła ją siostra. — Ten tort to przecież dzieło sztuki.

— Może to trzecie jajko jest dla dziecka... tego utraconego? — szepnęła Margaret.

Jane nic nie powiedziała. Nie odrywając oczu od talerzyka, starannie nabiła na widelec ostatnie żółte okruszki i ostrożnie podniosła je do ust.

— No i widzisz, co narobiłaś? — zaatakowała ją Sylvia. — Mówi od rzeczy, bo podniósł jej się poziom cukru. — Wyjęła talerzyk z ręki Margaret i z hałasem postawiła go na biurku, a potem zaczęła grzebać w pełnej medykamentów komodzie w poszukiwaniu domowego glukometru.

— Trochę mi się kręci w głowie — wyznała Margaret, opadając z ulgą na poduszki. Były takie przyjemne, mięciutkie jak chmurki, a ich białe poszewki zdobił piękny dziurkowany haft. Sylvia wiedziała, że matka uwielbia białą pościel, pozwalała jej zatem na ten drobny luksus. Margaret westchnęła głośno: pokój coraz szybciej wirował jej przed oczami, lecz powodem tego był jej zdaniem nie tyle cukier, ile wyczuwalne napięcie między jej dwiema córkami.

Jane odstawiła talerzyk.

— Mamo — zaczęła, biorąc ją za rękę.

— Przepraszam — przerwała jej Sylvia. Odsunęła Jane na bok, aby pobrać matce krew z palca.

Margaret zamknęła oczy. Dlaczego przyszło jej do głowy jakieś utracone dziecko? Skąd się to wzięło? Ma przecież dwie córki... nigdy nie pragnęła innych dzieci... I nagle zobaczyła siebie, dziesięcioletnią dziewczynkę, z ukochanym bobaskiem, laleczką imieniem *Lolly*. Była z rodzicami na pikniku w Watch Hill. Jeździli tam na karuzeli, kąpali się w morzu, jedli cytrynowe lody i nagle lunęło. Rozpętała się burza, a rodzice tak

szybko pognali do samochodu, że Lolly została na ławce. Sama w tym ulewnym deszczu...

— Zostawiłam ją tam... — powiedziała głośno, drżąc na całym ciele.

— Kogo, mamó? — Jane nadal trzymała ją za rękę.

— Lolly. Moją lalkę. Mogłabyś jej poszukać?

— Lolly to twoje utracone dziecko? — W głosie Jane słychać było smutek.

— Przestańcie! — zawołała Sylvia.

Jane zignorowała jej okrzyk.

— Oczywiście, mamó. Znajdę ją na pewno.

— Lolly też powinna dostać kawałek tortu.

— Bezwarunkowo.

— Lepiej spójrz na to — wtrąciła Sylvia, pokazując Jane cyfry widoczne w „okienku” glukometru — dwa czterdzieści dwa. Za dużo. Zrobiliśmy sobie tortową ucztę, ale teraz musimy znów ściśle przestrzegać diety. Zgadzasz się ze mną, Jane?

— Całkowicie. — Uściskawszy rękę Margaret, Jane wyprostowała się i przeciągnęła. Bluzka wysunęła jej się przy tym z czarnych dżinsów, odsłaniając kawałek nagiego ciała. Margaret znieacka połaskotała ją w tym miejscu.

— Robiłam to często, kiedy byłaś mała. Pamiętasz?

Jane skinęła głową i tym momencie spotkały się ich spojrzenia. Margaret doznała nagle uczucia, że jakiś szalony wir przenosi ją w przeszłość, do czasu narodzin Jane, słodkiego bobaska, prześlicznej laleczki, która w pewnej chwili cudownie ożyła... Trzymała ją w ramionach, kiedy tylko mogła. Pragnęła nigdy się z nią nie rozstawać. Patrząc w niebieskie oczy swej córeczki, mogłaby przysiąc, że widzi w nich mądrość wszystkich kobiet świata. Żadne niemowlę nie miało tak bystrych i tak chłodnych oczu. Jane ma je i dziś, ale...

— Jesteś bardzo starą duszą — powiedziała.

— Naprawdę?

— Tak. — Patrząc teraz w oczy starszej córki, czuła, że coraz bardziej kręci jej się w głowie. Zauważyła, że Sylvia bacznie ją obserwuje. Śliczne mam córki, pomyślała, są inteligentne, odnoszą sukcesy, a jednak czegoś im brak... Czasami wydają się takie niepewne...

Winą za to obarczała siebie. Pod wieloma względami data im mniej, niż powinna. Przede wszystkim źle wybrała ojca. Jej mąż nie był... właściwym człowiekiem. Ten przystojny czaruś, z zawodu komiwojażer, rzadko bywał w domu. Wpadał jak po ogień i już go nie było. Margaret szybko zrozumiała, że aby utrzymać rodzinę, będzie musiała pracować. Tylko gdzie? Była absolwentką Salve Reginy, szkoły prowadzonej przez zakonnice, poszła więc do nich po radę. Zasugerowały, że powinna zostać nauczycielką: zrobić magisterium, równocześnie pracując na pół etatu — może w miejscowej szkole?

Tak też zrobiła. Zapisala się na studia magisterskie na Uniwersytecie Rhode Island i zaczęła brać zastępstwa w szkole podstawowej w Audubon. Jej matka, dzięki Bogu, mieszkała na tyle blisko, że dziewczynki mogły spędzać u niej popołudnia. Mój Boże, cóż by poczęła bez matki?

Zapewniła córkom przyzwoite warunki życia. Ich ojciec odszedł na dobre, gdy Jane miała jedenaście lat, a Sylvia dziewięć. Jego odejście odbiło się na ich psychice, lecz chyba nie aż tak jak to, co działo się w domu, gdy formalnie mieszkał jeszcze z nimi. Pił na umór. Był nieuleczalnym kobieciarzem, który bez uprzedzenia zniknął na długie tygodnie, a gdy wracał, urządzał dzikie awantury. Dziewczynki musiały na to patrzeć. Biedactwa. Jakże się starały podnieść na duchu zapłakaną matkę!

Margaret pocieszała się myślą, że choć los nie dał jej córkom kochającego ojca, to jednak otrzymały całe morze miłości od niej samej i babci... Tak świetnie radziły sobie w szkole. Zawsze były najlepsze — we wszystkim... I nagle ten wyskok Jane... Był doprawdy niezrozumiały...

I dlaczego na miejsce do życia Jane wybrała sobie ten odległy o lata świetlne Nowy Jork? Jak dziewczyna kochająca ptaki, przyrodę, otwarte przestrzenie mogła dokonać takiego wyboru?

— Co ty tam robisz, córeczko? — usłyszała swój głos.
— W tym Nowym Jorku.

— Żyję — miękko odparta Jane.
Sylvia odetchnęła głośno.

— Ale teraz jesteś w domu — szepnęła Margaret.

— Jestem.

Wydawało się, że po tych słowach nie zostało już nic do powiedzenia. Wszystkie umilkły. Margaret zamknęła oczy. Było jej dobrze. W kącikach ust wciąż jeszcze czuła smak cukru. Zaczęła myśleć o Lolly. Jakże kochała tę lalkę! Nikt nie miał pojęcia, jak strasznie za nią tęskniła, ile łez wylała tej pierwszej samotnej nocy...

— Pożyczysz mi samochód?

Sylvia stała przy zlewie z rękami po łokcie w pieniącej się wodzie. Myła talerzyki.

— Nie wiem, czy mogę. Chyba nie figurujesz w polisie asekuracyjnej.

— W polisie?

— No tak. To samochód mamy.

— Ale ty nim jeździsz. I tobie wolno?

— Tak, bo mieszkamy w tym samym domu.

— Ach, rozumiem. Ale ja także wciąż mam tu swój pokój. Towarzystwo ubezpieczeniowe nie musi wiedzieć, jak jest naprawdę. W razie czego, ja też tu mieszkam. A skoro mowa o samochodzie: co się stało z twoim?

— Sprzedałam go. — Sylvia podała siostrze talerz do wytarcia. — Kiedy wzięłam bezpłatny urlop, trzeba było zacisnąć pasa.

— Uwielbiałaś ten samochód. — Jane pamiętała zdjęcia, które dostała od Sylvii trzy lata temu na gwiazdkę. Przedstawiły jej siostrę za kierownicą starego zielonego mgb z opuszczanym dachem. Roześmiana właścicielka miała na głowie zabawny czerwony kapelusik. Była taka szczęśliwa!

Teraz wzruszyła tylko ramionami.

— Wystarczy mi samochód mamy. Jest całkiem dobry. A zresztą kabriolet nie był zbyt praktyczny.

Jane wytarła ostatni talerzyk. Swego czasu zdumiała się, słysząc, że Sylvia kupiła tak ekstrawagancki pojazd — brytyjski i niepraktyczny — cieszyła się jednak, że jej młodsza siostra zafundowała sobie takie romantyczne cacko... Wielka szkoda, że musiała je sprzedać.

— No więc jak z tą furgonetką? Pożyczysz mi?

Sylvia zaczęła ustawiać umyte naczynia w kredensie. Warogi miała mocno zaciśnięte. Wyglądało to tak, jakby bardzo chciała wymyślić kolejną wymówkę.

— No dobrze — zgodziła się w końcu. — Wprawdzie to twój pierwszy wieczór w domu... No i wydawało mi się, że możesz być zmęczona po podróży, ale proszę bardzo.

Jane pochwyliła kluczyki i pospieszyła do wyjścia, narzucając po drodze swą skórzaną kurtkę. W piersiach czuła ucisk. Sylvia z pewnością spodziewa się zaproszenia...

— A właściwie dokąd się wybierasz? Robi się już ciemno.

— Po prostu na przejażdżkę. Chcę się tu trochę rozejrzeć — rzuciła niedbale Jane z ręką na mosiężnej klamce. Czuła, że gdyby tylko zerknęła za siebie i zobaczyła twarz Sylvii, musiałyby wziąć ją ze sobą. Serce zaczęło jej walić jak młotem. Miała wrażenie, że siostra chce ją o coś spytać albo przed czymś ostrzec, dlatego czym prędzej wymknęła się z domu — zanim Sylvia zdąży coś powiedzieć.

Była pełnia księżyca. Z jego nisko wiszącej tarczy bił srebrzysty blask, oblewając lśniąca poświatą korony starych jabłoni. Dylan wciąż jeszcze pracował. Przez cały dzień usuwał martwe i chore konary, przerzedzał zbyt gęste gałęzie, obcinał te, które rosły zbyt prosto na dół lub dla odmiany w górę.

Choć było już dość ciemno, dostrzegł z satysfakcją, że drzewo, nad którym ostatnio się trudził, nabrało właściwego kształtu. Miało teraz taką koronę jak trzeba i żadnych splątanych gałęzi.

Pomyślał, że przywracanie ładu w tym sadzie to coś jakby porządkowanie wszechświata. Narzucanie mu pewnych określonych praw, dzięki którym to, co dzikie, wybujałe i groźne, można przekształcić w coś bliskiego dobru. Wiedział, skąd biorą mu się te myśli. Był kiedyś niepoprawnym marzycielem, wprost nafaszerowanym taką filozofią. Taką kosmiczną mieszanką nadziei i naiwnej młodzieńczej głupoty.

Złożywszy drabinę, zarzucił piły na ramię i wolnym krokiem skierował się ku domowi. Grunt był jeszcze twardy, więc

każda nierówność dawała znać o sobie ostrym bólem w zharataniej nodze. Czasami czuł w niej nawet kulę — czy ściślej mówiąc, odłamki, które utkwiły mu w kości udowej. I będą tam tkwiły aż do końca życia. Dość tego, przywołał się do porządku. Trzeba skończyć z uzalaniem się nad sobą — i nie myśleć o Isabel. Odzyskać właściwą optykę. Wszystkie te wariackie monologi, te nachodzące go myśli to po prostu skutek kolejnego dnia spędzonego samotnie na drabinie. Gdyby miał z kim pogadać, nie prowadziłby głupich dyskusji sam z sobą.

Może by wstąpić do brata? Mieszkali przy tej samej drodze, w odległości mniej więcej pół mili. Zawsze byli sobie bliscy, a Dylan nigdy nie kwestionował pozycji starszego brata. Teraz są już pewnie po kolacji. Eli zmywa naczynia, a Sharon siedzi obok Chloe i pomaga jej odrabiać lekcje.

W tym momencie uświadomił sobie, że nie ma ochoty na tę wizytę. Oglądanie Chloe podekscytowanej udanym sprawdzianem z historii czy dobrym stopniem z angielskiego, a potem słuchanie jej skrzypcowych wprawek i entuzjastycznych okrzyków, „wujku, posłuchaj tego! To Mozart!” — było nieraz dla niego rzeczą nie do zniesienia. Tak właśnie byłoby dzisiaj — w ten chłodny księżycowy wieczór, pełen wspomnień o Isabel.

Zwolnił, słysząc odgłos kroków — czyżby ktoś był w sadzie? Jesienią owszem, młodzież zakradała się tutaj po jabłka, w lecie także pod drzewami miały zwyczaj obozować zakochane parki, dla których był to „zaulek miłości”, a i w kwietniu bywało rojno, bo zaledwie śnieg zniknął na dobre, młodzi amatorzy ryczących motorów zaczynali tu sobie urządzać rajdy. Ale przecież to dopiero marzec. Za zimno na takie rzeczy.

Zrobiło się jaśniej — księżyc powędrował wyżej i w jego świetle Dylan zobaczył jelenia. Te białoogoniaste zwierzęta i wielkie czarne niedźwiedzie często nawiedzały jego ziemię. Latem jadły jabłka prosto z drzewa, a zimą wygrzebywały je sobie spod śniegu. Ten jeleni był samcem, i to tak pięknym, że na jego widok Dylan wstrzymał oddech.

Jelenie zwykle chodziły stadami, ale ten był sam. Czyżby nie miał rodziny? Dylan z ciekawości policzył odnogi w jego

wieńcu: było ich dziesięć. Dumny, dojrzały samiec. Stał nieruchomo, patrząc człowiekowi prosto w oczy, jak równy z równym. Jakby chciał zapytać: No i czyje to terytorium?

Rozległ się głośny szelest i z zarośli wyłoniła się lania z dwojgiem młodych. Zaniepokojony ojciec natychmiast zaczął je okrążyć i z powrotem zaganiać w krzaki. Dylana coraz bardziej rwało w nodze, a ciężar dwóch pił boleśnie przygniatał mu ramię, mimo to stał nadal, patrząc za oddalającym się stadkiem. Wpatrywał się tak długo, aż pole widzenia zaczęło mu się rozmywać i w końcu nie był już pewien, czy naprawdę oglądał tę rodzinną scenkę, czy to tylko księżycowe zwidy.

Biała tarcza wisiała teraz wysoko nad horyzontem, odcinając się ostro od głębokiej czerni nieboskłonu. „Wronia pełnia” — tak jego matka nazywała marcowy księżyc. Uwielbiała ten okres, gdyż krakanie wron zapowiadało rychły koniec zimy, a poza tym lubiła te ptaki. Była nauczycielką biologii w liceum, która w rzadko spotykany sposób potrafiła połączyć szacunek dla nauki z miłością do starych legend.

„Język wron jest bardzo bogaty” — mówiła. — „Każdy dźwięk ma inne znaczenie, co świadczy o inteligencji. Wrony to niezwykle lojalne ptaki. Potrafią poświęcić się dla rodziny, a nawet czczą swoich przodków. Nieskrępowane i wolne przemierzają w swych wędrówkach cały świat, doskonale współdziałając w stadzie. Odbywają też wielkie narady. Według legendy to one przenoszą dusze z ciemności ku światłu.”

Patrząc teraz na „wroni księżyc”, Dylan nadstawił uszu. Dookoła skrzeczały młodziutkie drzewne żabki, z oddali niosło się krakanie wron. Wrony nosicielami dusz...? Zapragnął, aby tak było.

Wtedy usłyszał samochód. Jego ziemia graniczyła z wiejską drogą, na której niewiele się działo. Może ktoś odwozi Chloe do domu... na przykład matka tej jej przyjaciółki, Mony... Ruszając w stronę wolnej od drzew przestrzeni, zobaczył zbliżające się światła.

Kierowca malej granatowej furgonetki chyba nie bardzo się spieszył, bo jechał dość wolno. Szyby były opuszczone, z wnętrza dobiegała muzyka. Rozpoznał przebój Emmylou

Harris. Za kierownicą siedziała ciemnowłosa kobieta w czarnej skórzanej kurtce. Widział obciągnięty lśniąca skórą łokieć niedbale wytknięty za okno.

Odrzuciła włosy do tyłu i na ułamek sekundy spotkały się ich spojrzenia. On zastygł w bezruchu — tak jak przedtem na widok jeleniej rodzinki — ale ona dodała gazu i samochód zniknął mu z oczu. Widział ją po raz pierwszy, a jednak jej twarz wydała mu się znajoma.

Idąc do domu, wciąż miał przed oczami ten łokieć. Gładki i lśniący, granatowoczarny, wyglądał jak coś żywego, co za chwilę uleci ku światłu. Wyglądał jak wronie skrzydło.

Jane wiedziała, który to dom.

Nie była w tych stronach od lat, skorzystała więc z pomocy Internetu. Wystarczyło w dziale „Mapy” wystukać nazwisko, nazwę miasta i stanu — „Chadwick, Crofton, Rhode Island” — kliknąć „szukaj”, i po kilku sekundach komputer wypłynął doskonałą mapkę zaopatrzoną w dodatku w szczegółowe wskazówki, w jaki sposób można tam dojechać. Po wybraniu innej opcji ukazał się poszukiwany obiekt widziany z powietrza.

Już wcześniej, podczas którejś z poprzednich wizyt w Rhode Island, Jane odszukała w książce telefonicznej nazwisko właściciela domu; kupiła też wtedy mapkę Twin Rivers Valley, by ustalić lokalizację. Ulica, przy której stał dom, łączyła się z wielkim obszarem zieleni — sadami i stanowym lasem. Kiedyś nawet tędy przejeżdżała, było to jednak bardzo dawno, jeszcze przed wyjazdem do Nowego Jorku, toteż wiele szczegółów wyleciało jej już z pamięci.

Internet okazał się dla niej istną kopalnią informacji. Na zdjęciu lotniczym zobaczyła biały przytulny domek stojący na skraju wielkiego sadu, przez który płynęły strumyki, a wśród tysięcy zdziczałych jabłoni błyszcząły liczne oczka wodne. Z hasłem „Chadwick” system miał trochę kłopotów: w Crofton mieszkało kilkoro Chadwicków — między innymi pani Virginia Chadwick, nauczycielka biologii, małżeństwo, którego imiona brzmiały Eli i Sharon, a po sąsiedzku z tą dwójką mężczyzna imieniem Dylan.

Tym, czego szukała Jane, był domek owego małżeństwa. Interesował ją on tak bardzo, że im bliżej była celu, tym mocniej trzęsły jej się ręce. Nad pustą drogą unosił się wszechobecny zapach jabłek, w którym woń wykluwających się właśnie kwiatowych pączków, srebrnoróżowych w zimnym księżycowym świetle, mieszała się z ostrym alkoholowym aromatem fermentujących na ziemi owoców. Zapach ten szedł do głowy całkiem jak mocny jablecznik. Jeszcze bardziej oszałamiająco działało na Jane poczucie, że oto powraca na miejsce, którego nigdy nie powinna była odwiedzać — ani dawniej, ani teraz.

Spojrzała w głąb sadu na piękne sękaty jabłonie, jakby miała nadzieję, że te stare drzewa, tak mocno tkwiące korzeniami w gruncie, użyczą jej swojej siły — i nagle spostrzegła, że ktoś na nią patrzy.

Złękła się tak, że serce zamarło jej w piersiach. Mężczyzna nosił brodę, był wysoki i bardzo szczupły, lecz szerokie ramiona świadczyły o sile. Z jednego zwisała mu piła, w rękę zaś trzymał drabinę, z której blask księżyca wydobywał metaliczne błyski. Przyglądał jej się nieruchomym wzrokiem — chyba nawet nie mrugnął powieką. Sprawiał wrażenie strażnika tego starego sadu.

Jane zaschło w ustach, poczuła się nagle jak intruz przyłapany na gorącym uczynku. Twarz mężczyzny była bez wyrazu, ale jej się zdawało, że patrzy na nią z taką samą dezaprobatą, jak patrzyłyby matka i Sylvia, gdyby ją tu zastały.

Czym prędzej dodała gazu, omijając jakąś walącą się budę; kiedyś mógł to być stragan, na którym sprzedawano jabłka. Gdy wreszcie dotarła do domu, tego domu, który w wyobraźni odwiedzała dziesiątki razy, serce biło jej tak szaleńczo, że musiała zatrzymać samochód. To tu. Barn Swallow Way 114. Nie wyłączając silnika, zaczęła wpatrywać się w dom.

Był taki sam jak kiedyś — nieduży i biały. Miał te same ciemnozielone okiennice. Nowym elementem był tylko wrzosowy wieniec na drzwiach. A skrzynkę na listy przemaalowano na niebiesko. Widniał na niej ładny biały napis — Chadwickowie. Na parterze paliły się wszystkie światła, na piętrze

tylko jedno, w oknie z różowymi zasłonkami. Pomyślała, że dom ten sprawia miłe wrażenie — jakby żyli tu dobrzy ludzie. Poczula, że oddech wraca jej do normy.

To znaczy do tego, co dla niej samej było normą. Gdzieś między ustami a sercem czuła zawsze jakąś przeszkodę — jakby coś tam pękło i nie dało się już naprawić. Kojarzyło jej się to z zegarem, który zleciał z półki: wskazówki wprawdzie posuwają się naprzód, ale z głośnym zgrzytem, bo od mechanizmu oderwał się niewielki element i wpadł między tryby.

Teraz czuła ten klekot znacznie wyraźniej niż zwykle. Bolał ją każdy oddech. Nie lubiła tego uczucia, tak jak nie lubiła dziecinnej rymowanki o Humptym Dumptym. Już jako dziecko nie chciała uwierzyć, że nikt nie jest w stanie złożyć w całość tego, co rozpadło się na kawałki.

W tym domu nie było żadnych pęknięć — był solidną całością.

Jej obecność w tym miejscu może tylko zaszkodzić. Przygnał ją tu egoizm. Jak na zawołanie zabrzmiał jej w uszach głos matki: „Chcesz być taką straszną egoistką? Chcesz wszystkim zrujnować życie?”

Nie, oczywiście, że nie. Nigdy tego nie chciała, przeciwnie. Dlatego opuściła Twin Rivers i wybrała zawód cukiernika. Chciała tym, co robi, choć trochę uszczęśliwić ludzi. Pragnęła piec weselne torty, ciasta na Święto Dziękczynienia, ciasteczka dla dzieci na ich pierwszy dzień w szkole, śliczną galanterię na spotkania przy kawie, lecz najbardziej lubiła wymyślać i tworzyć torty urodzinowe. Wspaniałe fantastyczne torty rodem z najpiękniejszych marzeń. Były na nich deszczowe lasy Amazonii, zamki z cudownych baśni, statki przemierzające czarodziejskie oceany, a czasami trzy małe jajeczka ukryte w kunsztownym ptasim gnieździe...

To umiała robić najlepiej.

Powoli wprowadziła samochód na podjazd, patrząc w okno z różowymi zasłonkami. Jaki też tort dostała na urodziny lokatorka tego pokoju? Chloe... Tak ma na imię.

Zaczerpnęła wielki haust powietrza. Ten mężczyzna tam w sadzie... który to z nich, Eli czy Dylan? Ach, wszystko jedno.

L U A N N E R I C E

Zrobił na niej dobre wrażenie. Wydał jej się czujny i opiekuńczy.

To dobrze. Ludzie powinni być tacy.

Jadąc powoli z powrotem, przeszukała wzrokiem to miejsce, gdzie go zobaczyła. Uśmiechnęłaby się do niego, gdyby jeszcze tam był, lecz widocznie poszedł już do domu. Z lekkim rozczarowaniem przycisnęła pedał gazu, aby zdążyć do sklepu przed zamknięciem.

Kupi matce lalkę, która może zastąpi jej tę utraconą...

ROZDZIAŁ 3

Zdaniem Chloe Chadwick główną zaletą jej domu było to, że stał na skraju sadu, gdzie mieszkwały dzikie koty, których każdej wiosny przybywało, bo wtedy rodziły się młode. W księżycowe noce dzikie koty wychodziły z kryjówek i zaczynały tańczyć. Jej rodzice twierdzili, że zwierzaki po prostu polują — w ten właśnie sposób podchodząc zdobyc — ale Chloe uważała, że się mylą. Śledząc z okna te niezwykle nocne harce, była pewna, że ogląda czarodziejskie widowisko — wielki koci bal.

W ciągu wieloletniej koegzystencji z mieszkańcami dziczalego sadu Chloe dobrze poznała mnóstwo różnych kotów, choć nie mogłaby ich nazwać swymi pupilami. To raczej one nauczyły ją różnych rzeczy. Dzięki nim potrafiła wspinać się na drzewa, obserwować ptaki, poruszać się z kocią zręcznością lub dla odmiany siedzieć jak mysz pod miotłą bez względu na to, co działo się dookoła i co wtedy czuła.

Te fantastyczne zwierzęta były jej przyjaciółmi. Uważała za swój obowiązek dbać o nie, żywić je i chronić.

Wróciwszy ze szkoły, od razu napełniła karmą ogromną brytfannę. Już sam stukot suchych granulek wywabił koty z ukrycia — zaczęły wyskakiwać ze wszystkich możliwych miejsc. Jedne z wysokiej trawy, inne zza stodoły lub spod samochodu, jeszcze inne z wielkich ostrokrzewów, gdzie być może uciwały sobie drzemkę. Po chwili już chyba wszystkie tłoczyły się u jej stóp.

— Cześć — powitała je Chloe, stawiając na ziemi brytfanę. — Zapraszam na obiad. — Gdy jej stołownicy z głośnym miauczeniem zaczęli jeden przez drugiego przepychać się do jedzenia, stanęła z boku, przyglądając się bacznie stłoczonej gromadce: czy będzie im smakowało? Niektóre żarłocznie zmiały pokarm, inne wahały go tylko i odchodziły od miski.

— Nie wyobrażaj sobie, że koty przestaną jeść mięso, i to tylko dlatego że sama go nie jesz — odezwała się matka Chloe, zajęta sadzeniem bratków.

— Czemu nie?

— Z lwów i tygrysów też byś chciała zrobić wegetarian? Koty to mięsożercy!

Chloe ostatnio zmieniła im dietę. Zamiast zwykłego kociego jedzenia zaczęła kupować specjalną karmę w sklepie ze zdrową żywnością. Kosztowała dość drogo, ale była to wegetariańska kocia karma, warta tych pieniędzy.

— Muszę trzymać się swoich zasad — odrzekła nieustępliwie.

— I zamorzyć głodem te zwierzaki?

— Nie umrą z głodu. Oj, mamó, przecież to dzikie koty. Gdy już sobie potańczą, zaczynają polować.

— Tak? A tym, że łapią myszy, wcale się nie martwisz? — rzuciła matka, ignorując wzmiankę o tańcach. — Myślałam, że to także sprzeciwia się twoim zasadom.

— Polowanie leży w ich naturze, nie w mojej, więc to nie mój problem. Ale żywienie ich karmą z mączki kostnej i wieprzowych odpadków to już co innego. Wiesz, że świny są bardzo inteligentne? Prawie jak delfiny.

— Tak, mówiłaś nam o tym — odrzekła obojętnie pani Chadwick, uklepując ziemię wokół kolejnej sadzonki.

Chloe krytycznie przyjrzała się matce klęczącej przy głównej ścieżce. Na głowie miała duży słomkowy kapelusz przewiązany niebieską wstążką, na nogach zielone chodaczki, a na rękach irchowe rękawiczki z barwnym kwiatowym wzorem. Z ramienia zwiślał jej wdzięcznie półokrągły wiklinowy koszyk z narzędziami. Tkwiące już w ziemi bratki posadzone były w tak równych odstępach, jakby użyła do tego linijki. U matki wszystko musiało wyglądać ślicznie i schludnie.

— Świnie całe swe życie spędzają w zagrodach — pouczyła ją Chloe głosem nabrzmiąłym urazą. — Są tak stłoczone, że gdy którąś zaswędzi tylna noga, nie może się nawet podrapać, bo w tym ścisku nie sposób się obrócić.

— Dość tego, Chloe.

— Co dziś na kolację?

Odpowiedzi nie było. Wciąż tylko to kopanie i sadzenie, cierpko pomyślała Chloe. Żeby było ślicznie! No i jest! Wszędzie dookoła zaczynają już kwitnąć narcyzy, żonkile, krokusy, a za tydzień lub dwa zakwitną bzy i jabłonie.

— Mamo? Pytałam, co na kolację.

— Kurze piersi.

— A wiesz, że kury całe życie...

— Powiedziałam: dość tego! Ty możesz zjeść sałatkę i pieczone ziemniaki. Pasuje?

— Muszę iść do pracy. Zjem coś w barze sałatkowym.

— Myślałam, że wtorki masz wolne.

Znów to samo! zachnęła się Chloe. Przecież powiedziała matce, że zamieniła się z Marty Ford. Teraz Marty ma wolne wtorki, a ona soboty. Ale z matką tak zawsze. Jakby mówiły różnymi językami. A może z matką dzieje się coś złego? Słyszała, że starsi ludzie często tracą pamięć, dlatego mówią od rzeczy i wciąż o czymś zapominają. Niektórzy potrafią wyjść z domu bez butów. Czyżby coś takiego groziło matce? Jest wprawdzie starsza od matek jej koleżanek — ma pięćdziesiąt dwa lata — ale na taką chorobę chyba jednak za młoda?

— Do tej pory miałam wolne wtorki, ale Marty prosiła mnie o zamianę, no więc się zgodziłam — powiedziała wolno i wyraźnie, przyglądając się badawczo matce w poszukiwaniu oznak, które mogłyby świadczyć, że jej umysł nie pracuje prawidłowo. Od dzieciństwa strasznie się bała, że któreś z rodziców nagle zachoruje i umrze: po prostu przestanie oddychać i zniknie. Kiedy była malutka, przychodziła nocami do ich sypialni, by się upewnić, że żyją. Gdy się kłócili (zawsze bardzo gwałtownie, choć szeptem i za szczelnie zamkniętymi drzwiami) drętwiała z przerażenia, że podczas tej szeptanej awantury jedno z nich może paść trupem.

— Ach tak, rzeczywiście — powiedziała nagle matka, podnosząc głowę znad grządk. — Mówiłaś mi o tym, ale zapomniałam. Poczekaj chwileczkę, zaraz cię zawiozę.

— Nie trzeba, pojedę rowerem.

— Nie, złotko. W drodze powrotnej będzie już ciemno. Nie chcę, żebyś o tej porze samotnie wracała z pracy.

— Niedługo będę miała prawo jazdy.

— Nie będziemy się z tym spieszyć. Rozmawialiśmy już na ten temat.

— Tak, ale...

— Zobaczmy. Masz dopiero piętnaście lat. Musiałabyś dostać specjalne zezwolenie — powiedziała pani Chadwick, a potem z uśmiechem wyciągnęła rękę do Chloe, by pomogła jej podnieść się z kłęczek.

— Ładnie to wygląda — pochwaliła ją Chloe, wskazując równiutkie rządkie malutkich fioletowych bratków.

— Dziękuję — matka otrzepała rękawiczki.

— Tylko nie wiem, po co je sadzisz. Tyle tu przecież polnych kwiatów, a w sadzie już wkrótce zakwitną jabłonie. Polne kwiaty są takie śliczne i nie trzeba nic przy nich robić...

— To co dzikie, nie zawsze jest piękne. Ten sad nie wygląda już tak jak kiedyś — matka chmurnie prześliznęła się wzrokiem po gąszczu splątanych gałęzi — w dodatku nie jest nasz. Wuj Dylan robi, co może, żeby go przywrócić do dawnego stanu, ale to przegrana sprawa. Te drzewa zanadto zdziwały.

Chloe słyszała rozmowy rodziców na ten temat. Mówili, że Dylan niepotrzebnie uczeplił się tego sadu i że są rzeczy, którym człowiek powinien pozwolić umrzeć. Według nich należało wpuścić tam buldożery i cały ten teren przeznaczyć pod budowę eleganckich domów. Byłyby z tego pieniądze.

Na samą myśl o tym bolało ją serce. Wiedziała, dlaczego wuj Dylan tak desperacko stara się ratować te swoje zdziczałe jabłonie, ptaki gnieźdzące się na ich gałęziach, żyjące wśród nich dzikie koty... Miało to coś wspólnego z Amandą i Isabel, z ich tragiczną śmiercią.

Isabel... Była jej bliska jak siostra. Mieszkała stale w Nowym Jorku, ale często przyjeżdżała do Rhode Island — na

święta, w odwiedziny do babci, a podczas letnich wakacji zawsze spędzała tu tydzień. Żył jeszcze wtedy ich dziadek i to on był właścicielem sadu. Pracowało tam wtedy mnóstwo ludzi — przy zbiorze owoców, w tłoczni jabłecznika, przy sprzedaży tego wszystkiego na własnym przydrożnym stoisku.

Po śmierci Isabel Chloe przez miesiąc nie wypowiedziała ani słowa. To było tak, jakby wydarto jej serce. Jak dalej żyć, kiedy się straciło coś tak niezbędnego? Całymi dniami leżała nieruchomo — jak podarta papierowa lalka. Słyszała wokół siebie szepty — wszyscy mówili, że doznała ciężkiego szoku. Z całego tego okresu niewiele pozostało jej w pamięci. Wyraźnie pamiętała jedynie Dylana siedzącego na brzegu łóżka i to, że ją trzymał za rękę.

„Rodzice bardzo cię kochają, Chloe” — mówił. — „Tak jak ja kocham Isabel.”

Miała wtedy jedenaście lat, ale to, co się stało, cofnęło ją jakby do czasów wczesnego dzieciństwa. Wszystko pojmowała bardziej instynktownie niż logicznie. Do tego słowa nie były potrzebne. Popatrzyła mu w oczy, tak podobne do oczu Isabel, i leciutko dotknęła jego policzka. Był pokryty gęstym kłującym zarostem.

„Jej nie ma. Odeszła” — powiedziała wreszcie drżącym głosem. Były to jej pierwsze słowa od miesiąca.

Przecząco pokręcił głową.

„Mylisz się, Chloe. Ci, których kochasz, nigdy nie odchodzą.”

„To nieprawda!” — wykrzyknęła z płaczem, jakby lepiej od niego знаła ból utraty, gorycz tęsknoty i żalu. „Isabel odeszła. Odeszła!” Słowo to było jak czarna pustka, gdzie nie ma słów ani czasu, pustka, która kiedyś pochłonęła jej rodzoną matkę. „Czy ona mnie nie kochała? Dlatego mnie porzuciła?” Nie wiedziała już w końcu, o kim mówi — o zmarłej kuzynce czy swej utraconej matce?

Dylan nic nie odrzekł, po prostu trzymał ją za rękę. Rodzice stali mu za plecami i ojciec po chwili poklepał go po ramieniu, a matka przytuliła ją do siebie. Pamiętała, że o czymś nerwowo szeptali, a jej zrobiło się nieswojo — jakby zraniła czymś matkę. No tak, oczywiście. Sharon pewnie wyczuła, że

ona, Chloe, kojarzy śmierć przyjaciółki z utratą prawdziwej matki, tej, która się jej wyrzekła.

Dylan nigdy już potem nie chciał zgolić brody. Przycinał ją tylko. Była szpakowata i całkiem ładna. Choć nigdy jej tego nie mówił, Chloe wiedziała, dlaczego ta broda tyle dla niego znaczy: Isabel całowała jego kłujące policzki, a on tak ją kochał, że nie chciał się golić.

Tak, to była prawdziwa miłość.

Biegąc do domu, aby przebrać się w roboczy kitel, Chloe czuła gwałtowne bicie serca. Zawsze tak było, kiedy nawiedzały ją wspomnienia. Spryskała twarz zimną źródlaną wodą, po czym tak energicznie zaczęła szorować ją mydłem, że całe policzki pokryła jej biała piana. Spojrzawszy w lustro pomyślała, że gdyby patrzyła w nie dłużej, tyle ile trzeba, mogłaby zobaczyć twarz swojej prawdziwej matki i spytać ją czemu, jak mogła...

Wytarła się szybko i poszła do samochodu. Był to nowiutki, nieskazitelnie czysty minivan. Ojciec w każdą sobotę mył mu karoserię, a w pozostałe dni matka czyściła go odkurzaczem — z zewnątrz i wewnątrz. Rodzice potrafili klócić się okropnie, lecz co do jednego byli zgodni: w całym ich otoczeniu musiała panować wzorowa czystość i ład. To dlatego matka wolała schludne rzadki ogrodowych kwiatów od dzikiej gęstwiny sadu. Chloe tymczasem kochała dzikość i często marzyła o tym, żeby się w niej zgubić. Co ja robię w tej rodzinie? myślała.

Może naprawdę jestem kotem? Kiedy była mała, często jej się śniło, że leży w fantastycznym niebieskim wózek z piękną błyszczącą rączką z prawdziwego srebra. Rodzice zatrzymują się co chwila, by pochwalić się nią sąsiadom, a sąsiedzi sykają z zaskoczenia, widząc, że ona wcale nie jest dzieckiem, tylko małym tygrysiątkiem z zielonymi ślepkami i miękkim futerkiem w takie same czarno-pomarańczowe pasy jak ta pluszowa zabawka, którą miała w kołysce. Ciekawe, czy człowiek może mieć kocią duszę?

Dumała o tym, patrząc niewidzącym wzrokiem w okno samochodu, i nagle przypomniała sobie, że jedzie do pracy w wielkim sklepie spożywczym i że ma tam coś ważnego do

zrobienia. Matka tymczasem znalazła w radiu swoją ulubioną stację, która nadawała wyłącznie muzykę — tak śliczną, że robiło się od tego słabo. Każda piosenka brzmiała jak ilustracja do reklamy babskich produktów. Chloe jęknęła głośno, lecz została zignorowana.

Wygrzebała z kieszeni przygotowane zawczasu karteczki i zaczęła coś na nich pisać. Matka nie zwróciła na to uwagi.

Pewnie myślała, że Chloe odrabia lekcje.

W tym samym czasie w mieście za rzeką Jane urzędowała w kuchni, zgromadziwszy na stole wszystko, co potrzebne było do pieczenia — miski, brytfannę, masło, jajka i mąkę, którą właśnie zaczęła odmierzać. Wcześniej, wbrew zakazom Sylvii, sprowadziła do kuchni matkę.

— Dobrze się czujesz, mamo?

— Och tak, kochanie! — Margaret siedziała przy stole, piastując w zgięciu ramienia swoją nową lalkę. — To tak przyjemnie siedzieć w swojej kuchni!

— Jak twoja noga?

Margaret wzruszyła ramionami, potem jednak zdobyła się na uśmiech. Postanowiła być dzielna.

— Dobrze. Mam nadzieję, że zdążysz zatańczyć mnie na górę, zanim wróci Sylvia. Bo wiesz, zabroniła mi wstawać z łóżka.

— Mówisz tak, jakbyś była jej więźniem — roześmiała się Jane.

— Bo jestem! Bardzo kocham Sylvie, ale mój Boże, można by pomyśleć, że stałam się nagle kilkuletnim dzieckiem. Tak mnie traktuje. Mnie, dyrektorkę liceum! To ja wydawałam ludziom rozkazy!

— Pamiętam, że świetnie umiałas to robić — zauważyła Jane.

Jej matka zaśmiała się głośno. Jane nie zamierzała być złośliwa, z ulgą przyjęła więc reakcję matki, a jednak ta uwaga wisiała chwilę między nimi, zanim wreszcie zniknęła, wirując jak liść na wietrze.

— Tak, uważano, że jestem ostra — przyznała Margaret. — Bo starałam się utrzymać dyscyplinę. A za mojej kadencji

nastąpiło w szkole tyle zmian! Kiedy ty i Sylvia byłyście małe, największy problem stanowiło to, że uczniowie podczas lekcji wymieniają liściki, gadają w czytelni albo biorą się za lby w kafejce, a wiesz, co się działo, kiedy odchodziłam na emeryturę? Przy wejściu działały detektory do wykrywania noży i rewolwerów! Tak rozpanoszyła się ta... przygoda.

— Przemoc — łagodnie sprostowała Jane.

Matka udała, że tego nie słyszy.

— Powiedz mi, złotko, co takiego pieczesz?

— Biskopki. Bez cukru. Będziesz je mogła jeść.

— Cudownie! — wykrzyknęła Margaret, po czym uściśkała lalkę. — Sylvia jest dla mnie tak surowa... Czasami przychodzi mi na myśl, że bierze na mnie odwet za wszystkie te batoniki i ciastka, których nie chciałam jej kupić.

— Och nie, to nieprawda.

— Wiem. Troszczy się o mnie — westchnęła Margaret. — I wiem, że dlatego właśnie przyjechałaś. Dzwoniła do ciebie. Co ci powiedziała?

— Ze upadłaś i że bardzo cierpisz.

— Ach, rozciąłam sobie łydkę, ale to nic strasznego. Mój prawdziwy problem to stopy. Bołą mnie okropnie. To przez tę cukrzycę. Ale podobno jest na to sposób. Tak mówią lekarze. Wymyślono jakieś magnesy, które chcą mi włożyć do butów, wyobrażasz sobie?

— Naprawdę?

— Podobno łagodzi ból. Zalecają je lekarze, a nawet towarzystwa ubezpieczeniowe! To takie wkładki do butów. Mówi się, że magnetycznie wyciągają ból z chorych miejsc.

— Istna alchemia — uśmiechnęła się Jane. — Można by pomyśleć, że w jakimś supernowoczesnym laboratorium znajduje się tajna komnata, a w niej stary czarnoksiężnik...

— ...w spiczastym granatowym kapeluszu ze srebrnymi gwiazdkami — podchwyciła Margaret. — Na półkach stoją opasłe foliały pełne tajemnych receptur, retorty z gwiazdowym pyłem, morską solą...

— Co to? Jakiś kuchenny show? — Do kuchni wkroczyła Sylvia z torbami pełnym zakupów. — O czym rozmawiacie?

— O magnesach dla mamy. — Jane podeszła do siostry, by wziąć od niej torby. — Czy one rzeczywiście pomagają?

— Cóż... — zaczęła Sylvia.

— Pomagają! — weszła jej w słowo Margaret. — To znaczy... muszę w to wierzyć. Przeraza mnie myśl, że znów miałabym brać te środki przeciwbólowe. Są okropne. Mam po nich umysł jak w wacie i o wszystkim zapominam. Nawet teraz, chociaż przestałam je brać, wciąż jeszcze mi to nie przeszło. Zrobiłam się taka... taka zadziwiająca.

— Jaka?

— Taka zagadkowa — oświadczyła Margaret pewnym tonem dawnej dyrektorki, choć w jej oczach widać było popłoch. Jakby zdawała sobie sprawę, że mówi bez sensu, i starała się to zatuszować.

— Taka zapominalska? — podsunęła Jane.

— No właśnie! — Margaret ucałowała lalkę. — Wszystkie wiemy, o co chodzi, prawda, mój skarbie?

Jane westchnęła cicho. Co by powiedzieli dawni uczniowie i ich rodzice, gdyby zobaczyli, że Margaret Porter, kiedyś tak wymagająca, szanowana dyrektorka, bawi się teraz lalką? Jane wprawdzie sama ją kupiła, jednak... tego się nie spodziewała. Matka tymczasem wyszeptwała coś do lalki, jakby chciała jej powierzyć wielki sekret. Mój Boże! Ona, Jane, też tak kiedyś szeptała do pewnej małej istotki. Zamknęła oczy, myśląc, że matka mogła cieszyć się swoimi dziećmi, ale jej odmówiła tego szczęścia — stanowczo i bezapelacyjnie. Okrzyk Sylvii wyrwał ją z zadumy.

— Coś podobnego! — Jej siostra trzymała paczkę hamburgerów, oglądając ją ze wszystkich stron.

— Co się stało?

— Popatrzcie! Znalazłam to pod opakowaniem! — Sylvia machnęła jakąś karteczką.

— Co to jest?

— Posłuchajcie: „Krowy są piękne. Ta też była taka. Naprawdę chcesz ją zjeść?”

— Dziwne — mruknęła Margaret.

— Do licha, to nie w porządku! Jadę taki kawał drogi do Crofton, żeby kupić mrożone jagody, bo tu ich nie ma, i czym

mnie uraczono w tym słynnym „SaveRite”? Jakimś podejrzanym mięsem!

— Wszędzie są maniacy — rzuciła Margaret grobowym głosem.

— Jak tylko zmierzę ci cukier, porozmawiam z kierownikiem tego sklepu. Nie będziemy jeść tego mięsa! — oświadczyła Sylvia, zmierzając do kontuaru po glukometr. Nie dość, że muszę opiekować się matką, mówiły jej ruchy, to spotykają mnie jeszcze takie niespodzianki! — A ona powinna być w łóżku — wyszeptła bezgłośnie do Jane.

— Przepraszam...

— Muszę pobrać jej krew, potrzymaj — Sylvia wręczyła Jane lalkę.

— To głupie, prawda? Kobieta w moim wieku piastująca lalkę... — Margaret uśmiechnęła się przepraszająco. — Ale ona tak bardzo przypomina mi Lolly... a jeszcze bardziej was obie. Wasze narodziny to dwa najpiękniejsze dni w moim życiu.

— Nie kręć się, mamó — syknęła Sylvia.

— A teraz obie tu jesteście... Marzyłam o tym... żeby mieć was w domu... przy sobie... — szepnęła Margaret.

Jane ze współzuciem patrzyła na matkę. Jakże się zmieniła! Jej niebieskie oczy zmętniały od zaćmy, a lśniące niegdyś kasztanowe włosy stały się cienkie i szare. Po zwiędłych policzkach płynęły łzy. Kiedyś te policzki były jak aksamit.

— Czasem już myślałam, że nigdy tu nie przyjedziesz.

— Daj spokój, wiedziałas, że przyjadę. Odwiedzałam was przecież.

— Od czasu do czasu na gwiazdkę i raz z okazji mego przejścia na emeryturę. Zawsze jak po ogień. A ja tak pragnęłam, żebyś została... Żebyś była na gorze w swym dawnym pokoju.

Jane oddała jej lalkę. Właśnie dlatego rzadko bywała w domu. By uniknąć podobnych rozmów. Kochała matkę, wiedziała, że ma obowiązek pomóc Sylvii w podjęciu decyzji, co z nią dalej począć, nie była jednak w stanie wybaczyć tej starej kobiecie tego, co zrobiła.

W milczeniu zaczęła pomagać siostrze w układaniu zakupów.

— Napijemy się herbaty? — zaproponowała Sylvia.

— Byłoby cudownie — ucieszyła się Margaret.

Jane stała przy kontuarze, trzymając w ręku paczkę mrożonych jagód, mimo że zimno kąsało ją w palce. Nigdy nie wątpiła w to, że matka ogromnie ją kocha, lecz niczyja miłość nie mogła jej wynagrodzić tego, co straciła — samotnych lat, braku wspomnień i tamtej miłości.

— Jane? Mam zrobić herbatę?

— Poczekajmy jeszcze parę minut, aż wyjmę z piecyka biszkopty. Zaraz rozmrożę jagody i...

— Och, będzie ciasto z owocami! — wykrzyknęła z entuzjazmem matka. — Aż mi ślinka leci! Ale zaraz... coś jeszcze chciałam powiedzieć... o tym, że Jane jest w domu. Tylko co to było? — Przechyliła głowę, usiłując sobie przypomnieć. Sądząc po wyrazie oczu, szło jej to bardzo opornie.

— Później sobie przypomnisz — pocieszyła ją Sylvia.

— Do kogo dzwonisz? — spytała Jane, widząc, że siostra sięga po słuchawkę.

— Do kierownika „SaveRite”. Te hamburgery nie nadają się do jedzenia. Ktoś przy nich majstrował.

— Pewnie ktoś, kto lubi krowy. Ta karteczka to nic wielkiego. Udaj, że jej nie czytałaś. Jestem pewna, że bez żadnego ryzyka możesz zjeść tego hamburgera.

— Łatwo ci mówić, bo nie jadasz mięsa. Skąd można wiedzieć, czy to tutaj nie jest zatrute. Wolę być ostrożna.

— O tak, ostrożność przede wszystkim — poparła ją matka.

Jane spróbowała się uśmiechnąć. Jak dobrze być znowu w domu i zarazem jak strasznie trudno! pomyślała ze ściśniętym gardłem. Dom... Czuła, że w jego ciepłe zaczyna powoli tajać—jak góra lodowa dryfująca z mroźnych rejonów Arktyki ku ciepłym południowym wodom. Kochała te dwie kobiety bardziej niż kogokolwiek w świecie, z wyjątkiem jednej malutkiej istotki...

Tej, którą jej odebrano.

ROZDZIAŁ 4

W klimatyzowanym biurze kierownika sklepu było zimno jak w dziale mrożonek. Sam kierownik budził w Chloe dosyć mieszane uczucia. Nazywał się Achilles Fontaine, czyli tak, jak jej zdaniem mógłby nazywać się piąty muszkieter, zwłaszcza że jego ubiór oraz zamaszyste ruchy pasowały do takiej postaci. Miał obwisłe ziemiste policzki, wielkie szczeciniaste wąsy i krótkie siwiejące włosy, a upodobał sobie sute jedwabne koszule z szokująco szerokimi rękawami, w równie szokująco jaskrawych kolorach.

— Spójrz tutaj, Chloe — powiedział nie wróżącym nic dobrego tonem, wskazując rozłożone na biurku kwity kasowe i białe niewielkie karteczki.

Mimo że z jej punktu widzenia leżały do góry nogami, Chloe natychmiast rozpoznała swój charakter pisma, a nawet odtworzyła sobie kilka swoich ulubionych tekstów: „Ta kaczka była czyjąś matką!”, „Muu, muu, muu, nie jedz mnie!” i „Warzywa znajdziesz w pasażu numer 1. Czemu nie spróbujesz pożywnej i pysznej sałatki zamiast tego kawałka martwego prosiaka?”

— Zawiodłem się na tobie — stwierdził pan Fontaine. — A tak cię lubiłem! Myślałem, że czujesz się członkiem zespołu.

Chloe ze smutkiem pokiwała głową, koncentrując spojrzenie na górnym guziku jego koszuli. Była dziś pomarańczowa, nie, raczej w odcieniu mocno dojrzałej brzoskwini. Nawet mu

trochę współczuła, rozumiejąc, że jego ubiór to desperacka prośba o uznanie: spójrzcie, jaki jestem fajny! To samo robili niektórzy nauczyciele, nosząc młodzieżowe, szpanerskie skarpetki.

— Ale ty się nie czujesz członkinią zespołu, prawda?

— Hm... zależy jakiego.

— Personelu „SaveRite” oczywiście.

— Chyba nie.

— No cóż, nie mogę przymknąć oka na to, co zrobiłaś, ani uznać tego za kawał.

— To nie był kawał.

Chyba trochę go to zbiło z tropu, bo nie podjął tematu, tylko zaczął drapać się za uchem. Chloe patrzyła na to posępnie, myśląc o wszystkich nieszczęsnych zwierzętach więzionych w takich warunkach, że nie mogą się nawet podrapać.

— Za wszystkie te zakupy musieliśmy zwrócić pieniądze — oznajmił kierownik, stukając palcem w kwity oznaczone czerwonym flamastrem. — Każdy, kto kupił mięso z tą twoją wariacką karteczką, otrzymał od nas pełną rekompensatę. Wiesz, ile tego było?

— Nie.

— Sto czterdzieści dziewięć dolarów, a pewnie to jeszcze nie koniec. Jak długo musiałabyś pracować, żeby spłacić tę sumę? Policz sobie!

Chloe milczała, bo o czym tu było mówić? Za chwilę jej powie, że jest zwolniona, a ona do tego czasu ma tu stać i prowadzić z nim głupią dyskusję? Z człowiekiem, który nic nie rozumie?

— Słuchaj, Chloe, czy ty przynajmniej rozumiesz, że to, co zrobiłaś, to bardzo poważna sprawa?

— Doskonale rozumiem.

— Miło mi to słyszeć. Muszę cię zwolnić, pocieszam się jednak myślą, że nauczysz się przez to czegoś, co pomoże ci w dalszym życiu. Potrafisz powiedzieć, co to takiego?

Chloe odchrząknęła i spojrzała mu prosto w oczy.

— Ma pan rację, że to bardzo poważna sprawa — powiedziała spokojnie. — Czy pan wie, jak okrutnie traktowane są

zwierzęta? Matki oddziela się od młodych. Słyszał pan kiedyś płaczące cielę, panie Fontaine? Gdyby ci, co kupują mięso, usłyszeli to chociaż raz, nigdy by już tego nie robili.

Pan Fontaine wałnął pięścią w biurko.

— Chloe — warknął z twarzą pobladłą z gniewu — mógłbym wezwać policję i kazać cię aresztować, nie zrobię tego jednak przez wzgląd na twych rodziców. Zabieraj więc swoje manatki i wynoś się z mojego sklepu! I wiedz, że jeśli kiedykolwiek ośmielisz się tu pokazać, zadzwonię na policję!

Chloe bez słowa oddała mu roboczy kitel, włożyła własną kurtkę i chwyciwszy torbę z książkami, skierowała się w stronę drzwi. Widać było, że wręcz rozsadza go wściekłość, wołała mu zatem zejść z oczu. Tak właśnie robiła, ilekroć jej ojciec dostawał szalu. W połowie drogi przypomniała sobie, że nie wręczył jej czeku za ostatni tydzień, widząc jednak jego minę, dała za wygraną. Gdyby nienawiść sprawiła sobie twarz, to pewnie tak by wyglądała.

Przechodząc przez sklep, czuła na sobie spojrzenia swych szkolnych kolegów, którzy podobnie jak ona pracowali tutaj po lekcjach. Adrian Blocker, zajęty uzupełnianiem mleka na półkach, parsknął na jej widok ironicznym śmiechem. Udając, że tego nie słyszy, czym prędzej pobiegła do wyjścia, gdzie wisiał płatny telefon. Chciała poprosić matkę, żeby zaraz po nią przyjechała. W najbliższej kasie siedziała Jenny West, szepcząc coś do swego pakowacza, Marka Vibberta, który nagle zaryczał jak cielę: muu, muu, muu!

Jenny zaczęła chichotać.

Chloe patrzyła na nich z podniesioną głową, próbując coś powiedzieć, uświadomić swoim kolegom, że obrona dręczonych zwierząt to obowiązek każdego, kto ma trochę serca, lecz pod ostrzałem ich spojrzeń coraz bardziej paliły ją policzki. Zaczynała się czuć jak wyrzutek i pragnęła już tylko stąd uciec. Cóż, kiedy w żadnej kieszeni nie znalazła ćwiartki na telefon. W tej sytuacji postanowiła wracać piechotą. Matka zabroniła jej wprawdzie chodzić samotnie o zmierzchu, ale co za różnica?

I tak nie obejdzie się bez reprimendy.

Dylan w tym czasie jechał ciężarówką po Lambs Road, zerkając raz po raz w lusterko, aby się upewnić, że młode drzewka, które właśnie nabył w Kingston — była to dobra szkółka — nie podskakują na pacy. Po długiej i ostrej zimie droga pełna była wybojów, często przebiegały też przez nią jelenie, jechał więc bardzo powoli, żeby nie potrącić któregoś z tych zwierząt i nie pogubić sadzonek.

Ratowaniu rodzinnego sadu poświęcił wszystkie swe siły. Było to zajęcie tak absorbujące, że na nic innego nie miał już czasu, ale o to mu właśnie chodziło. Właśnie tak było dobrze. Po całodzienniej harówce przy drzewach i wieczornej lekturze odziedziczonej po ojcu „Hodowli jabłoni” Elwanglera — w dziedzinie sadownictwa to dziś klasyka! — był już zbyt zmęczony, aby myśleć o żonie i córce.

Było się czego uczyć. Podkładki, nawożenie, przycinanie, wszystko to wpływało na pokrój i rozmiary drzewa. Sprzedawane w szkółkach sadzonki jabłoni składały się zawsze z dwóch części łączonych przez hodowcę w procesie zwanym szczepieniem. Od części górnej, czyli „zrazu”, zależały między innymi wielkość i smak owoców, dolna zaś, czyli „podkładka”, decydowała o wielkości drzewa i takich jego cechach, jak na przykład odporność na choroby, szkodniki czy wymarzenie. Pomyślał z lekką ironią, że dziesięć lat temu taka lektura uspiłaby go pewnie już po trzech minutach.

Zatopiony w myślach omal nie przeoczył swojej bratanicy. Gwałtownie nacisnął hamulec i poczuł, że cały ładunek obję się o kabinę.

— A niech to! — Czym prędzej zdusił papierosa (ostatnio znów zaczął palić) i zarzuciwszy rękę na oparcie, włączył wsteczny bieg.

— Wujek Dylan! — Zgięta pod ciężarem wielkiego plecaka Chloe wyprostowała się na jego widok. Gdy podniosła na niego błyszczące radością oczy, ścisnęło go koło serca. Isabel też zawsze witała go z taką radością...

— Co ty tu robisz sama po ciemku? Jeszcze cię coś potrąci! Wskakuj!

Wrzuciła plecak na skrzynię, wdrapała się do kabiny i wtedy dopiero zerknęła do tyłu.

— O! Młode drzewka!

— Ano tak.

— To fajnie. Dzięki tobie ten sad będzie znów taki piękny jak dawniej.

— Naprawdę tak myślisz?

— Och tak! Dobrze, że go ratujesz. Dla kotów to istny raj, nie mówiąc już o ptakach i jeleniach, a nawet lisach i kojotach.

— Jasne. Dzikie zwierzęta też muszą jeść. Mam tylko nadzieję, że oszczędzą młode drzewka, póki chociaż trochę nie podrosną.

— Gdyby wszyscy mieli takie poglądy... — westchnęła Chloe.

Dylan roześmiał się głośno. Wątpliwe, by ktokolwiek z rodziny czy znajomych brał go sobie za przykład!

— Twoi rodzice są chyba innego zdania.

— To prawda. Oni mają nadzieję, że się zmęczysz tym sadem, i tylko na to czekają! Mówią, że wtedy go sprzedasz i będziesz miał kupę forsy. Och, te pieniądze! — jęknęła z głęboką frustracją.

Uśmiechnął się do niej.

— Coś się stało? Powiesz mi?

Chwilę milczała niezdecydowanie.

— Jak ci powiem, to zaraz powtórzysz rodzicom...

— Może tak, a może nie. Nie chciałabyś mnie wypróbować?

— Wylano mnie z pracy.

— Tak? A dlaczego?

— Wyłącznie z powodu moich zasad, przysięgam! Skorzystałam po prostu z prawa... no wiesz, istnieje u nas przecież wolność słowa, prawda? Włożyłam do mięsa parę karteczek z napisami sugerującymi ludziom, żeby kupowali na przykład sałatkę zamiast wołowiny. Żeby pozwolili żyć zwierzętom. A pan Fontaine bardzo źle to przyjął.

— Któż to taki? Kierownik sklepu?

Chloe ponuro pokiwała głową.

— Chloe, jesteś najinteligentniejszą dziewczyną, jaką znam, więc chyba nie wyobrażałaś sobie, że twój szef cię za to pochwali.

— Nie, pewnie że nie, bo to straszny tępak i głupek. Ty wiesz, jak on się ubiera? Jak hipis z lat sześćdziesiątych! Nosi jedwabne koszule z bufiastymi rękawami w takich kolorach, że zęby bolą! A te jego idiotyczne wąsy! Najgorsze, że on nic nie rozumie. Drugiej takiej zakutej pałki nie znajdziesz na całym świecie!

— Dlatego, że je mięso, czy dlatego, że nosi te głupie koszule? — spytał Dylan, ukrywając uśmiech.

— Dlatego że jest taki nietolerancyjny. Jak on mógł mnie zwolnić za poglądy?

— Nie gryzie się ręki, która cię karmi.

— Nie widziałeś, jak on na mnie patrzył! On mnie nienawidzi! — wybuchnęła Chloe. — I za co? Za to, że musiał zwrócić trochę forsy tym kilku klientom, którzy znaleźli moje karteczki. To ja go powinnam nienawidzić!

Dylan pozwolił jej się wykrzyczeć. Kiedy już wylała całą żółć, popadła w głucho milczenie, czuł jednak, że zerka na niego spod oka, czekając, co teraz powie. Zawsze we wszystkim liczyła się z jego zdaniem, bo „wujek jest taki mądry!” Wzruszała go ta wiara w jego nieomyślność, lecz zarazem i trochę peszyła. Jak zawsze w takich chwilach, pomyślał o Isabel, która też by miała teraz piętnaście lat... Co by jej powiedział w takiej sytuacji? O tym, czym jest nienawiść?

— Nienawiść... „Noc odarta z gwiazd”... — zacytował cicho.

— Co? — zdziwiła się Chloe.

Dylan zamilkł. Świerzbily go palce, żeby sięgnąć po papierośkę...

— Wujku?

Nienawiść... Czyż mógł powiedzieć swojej ukochanej bratanicy, że chyba nikt w świecie nie wie o tym tyle, ile on? Ze kilka ostatnich lat życia upłynęło mu najpierw na pielęgnowaniu tego uczucia, a potem szukaniu sposobów, jak się go pozbyć. Z kłopotu wybawił go ogromny jelen, który nagle pojawił się na drodze, przyhamował więc ostro, tak że młode drzewka potoczyły się znów do przodu. Chloe znieruchomiała ze wzrokiem utkwionym w ciemność. Wychowała się tutaj,

znała więc dobrze jelenie zwyczaje. Wiedziała, że zaraz pojawi się stadko.

— Są — wyszeptwała.

— Uhm, cała rodzina.

Z lasu wyłoniła się łania z roczniakiem. Cała trójka stanęła na skraju drogi, błyskając w mroku światełkami oczu. Dylan poczuł, że ścisza go w gardle.

— Cała rodzina... — powtórzyła Chloe jak echo.

Odczekał, aż wszystkie zwierzęta niespiesznie przejdą na drugą stronę, i wtedy dopiero wolno ruszył! naprzód.

Jakiś czas po powrocie do domu Chloe wyszła nakarmić koty i podumać o tym, co się stało.

Dylan podrzucił ją pod same drzwi, w których natychmiast stanęła matka. Oblana padającym ze środka światłem, wyglądała jak jakaś gniewna postać z Biblii. Dylan parsknął zduszonym śmiechem.

— Nie bój się, Chloe, twoja matka to bardzo rozsądna kobieta.

— Uhm — mruknęła Chloe. Tylko że ty nie znasz całej sytuacji, dopowiedziała w duchu. Nie wiesz, ile gniewu czai się w tym domu. Wzbiera on powoli, ale nieuchronnie, jak lawa w uspiętym wulkanie...

Matka powitała ją całkiem spokojnie — po prostu pytająco uniosła brwi. Kłamać nie było sensu, więc Chloe bez żadnych wstępów opowiedziała o swoich karteczkach, o tym, że kierownik wezwał ją do biura i że została zwolniona.

Matka wysłuchiwała tego w milczeniu, stojąc nieruchomo z rękami skrzyżowanymi na piersi, tylko w pewnym momencie gwałtownie zaczęły jej drgać nozdrza. Potem zawołała ojca, który siedział przy komputerze, wpisując do kartoteki sprzedane w tym dniu polisy, Chloe musiała zatem powtórzyć wszystko od początku.

Och, ci rodzice! Czemu gdy nie są z niej zadowoleni, zachowują się zawsze jak niewinne, straszliwie skrzywdzone ofiary? Jakby żadne z nich nigdy nie podniosło głosu! Słuchając jej opowieści, wyglądali jak para absolutnie kulturalnych ludzi,

którzy tylko lekkim przymrużeniem oczu dają wyraz swej jakże głębokiej przykrości. Do licha, przecież to, co zrobiła, nie było aż takie straszne, żeby patrzyli na nią wilgotnymi oczami i tak bezradnie, jakby nagle im oznajmiła, że wynosi się z domu, aby zostać bojowniczką Świetlistego Szlaku! Jakby do tego stopnia zawiodła ich zaufanie, że nie było o czym dyskutować. A przecież tak naprawdę byli na nią wściekli, choć świadczyły o tym tylko te drgające nerwowo nozdrza matki i czerwona jak burak twarz ojca. No i jeszcze ton jego głosu, gdy oznajmił w pewnym momencie:

— Ace Fontaine to mój znajomy. Obaj jesteście rotarianami.

Matka na koniec rzuciła przez zęby:

— Będziesz musiała znaleźć nową pracę. Powinnaś oszczędzać na college. A jeśli ci się zdaje, że my z ojcem będziemy finansować tę wegetariańską kocią karmę, to się mylisz. Tak, Chloe, utrzymanie kosztuje. Protestami nie napełnisz brzucha.

Chloe przeprosiła rodziców. W pierwszej chwili poczuła ulgę, że obyło się bez krzyków i szlabanu, później jednak doszła do wniosku, że na tym rzecz się nie skończy. Po jakimś czasie pożar wybuchnie. Zawsze tak się działo. Dlaczego? Rodzice lubią porządek, a gniew jest jego wrogiem, toteż oficjalnie wygnali go z domu wraz ze wszystkim, co burzy ustalony ład. Nieoficjalnie natomiast jest całkiem inaczej. Prawdziwe emocje w końcu biorą górę. Dylan twierdzi, że matka jest rozsądną kobietą, a ojciec rozsądnym mężczyzną. Ma rację, choć tylko do pewnego stopnia: oboje próbują być tacy.

Na dworze zrobiło się tak zimno, że Chloe dostała gęsiej skórki — wiosenny wiatr był wciąż jeszcze przenikliwie chłodny. Przypomniawszy sobie, po co tu przyszła, energicznie potrząsnęła torbą, a gdy ciemność ożyła zielonymi latarkami kocich oczu i zewsząd rozległo się głośne miauczenie, zapomniała o chłodzie. Poczua się teraz jak matka licznej rodziny. Kochała te koty, kochała tak bardzo, że nikomu nie oddałaby ani jednego.

Rodzina...

W dzieciństwie wierzyła, że gwiazdy spełniają życzenia. W ciepłe wieczory biegła na leżącą za domem łąkę, mościła sobie gniazdo w wysokiej trawie i patrzyła w niebo. Nie było jeszcze wtedy całkiem czarne — rozjaśniały je ostatnie promienie zachodzącego słońca. Potem dopiero jedna po drugiej zaczynały zapalać się gwiazdy.

Kilka tych lśniących światełek pojawiało się zawsze w tym samym porządku, jakby je łączyły cieniutkie pajęczne nici. Chloe nadała im nazwy: Mama, Tata, Babcia, Isabel, Wujek Dylan i Ciocia Amanda. Każda z tych gwiazdek była jednym rozdziałem czarodziejskiej księgi, w której ktoś zapisał historię rodziny. Czasami wyobrażała sobie, że to złote jabłka zwisające z gałęzi drzewa. Było to drzewo rodziny. Daleko od niego świeciły też zawsze dwie samotne gwiazdki — Chloe i jej matka. Ta prawdziwa. W nią wpatrywała się zawsze najdłużej. Z nadzieją, że zamiast gwiazdy ujrzy na niebie twarz matki.

Teraz już w to nie wierzyła. Wciąż jeszcze stała przed domem, obserwując swych kocich przyjaciół przy misce. Z sadu nadleciał wiatr, przynosząc leciutką woń kwiatów pomieszana z dymem papierosów. Szkoda, że Dylan zaczął znów palić. Jak to on dziś powiedział? „Noc odarta z gwiazd”? Powtórzyła głośno te słowa, zastanawiając się nad ich znaczeniem. Co chciał jej przez to powiedzieć? Nagły impuls kazał jej spojrzeć w niebo — tak jak za czasów dzieciństwa.

Były tam wszystkie — cała grupa, a dalej te dwie samotne, Chloe i jej matka. A może to Isabel i Dylan? Może to gwiazdy wszystkich rodziców i dzieci, którzy nie mogą być razem? Przystań, powiedziała sobie, to tylko dziecinne mrzonki, a gwiazdy to tylko gwiazdy.

Chloe próbowała już konkretnych działań. Po długim szperaniu w Internecie zdecydowała się w końcu pojechać do Providence, by w tamtejszym sądzie rodzinnym złożyć wniosek o odnalezienie biologicznej matki. Niestety. Powiedziano jej, że jest za młoda. Dopiero po ukończeniu dwudziestu jeden lat będzie miała prawo skorzystać z ustawy o łączeniu rodzin.

W tej sytuacji pozostały jej już tylko koty. Ale żeby je wyżywić, musi szybko znaleźć nową pracę. Trzeba żyć praw-

ZATAŃCZ ZE MNĄ

dziwym życiem, a nie legendami i fantazjowaniem o gwiazdach... Rozważania te przerwał jej ryk silnika. Znow jakiś chuligan na motorze. Czasami całe bandy jej zmotoryzowanych kolegów waliły na przełaj przez sad, strasząc jego dzikich mieszkańców — a wuj Dylan dostawał szału. Chwilę jeszcze nadsłuchiwała — na szczęście tym razem ktoś tylko przejechał drogą. Zrobiło się już tak chłodno, że zaczęła dygotać z zimna, powiedziała więc kotom „dobranoc” i ruszyła pędem do domu.

ROZDZIAŁ 5

Kąpiel chorej w archaicznej wannie na wysokich metalowych nogach była karkołomnym przedsięwzięciem — zarówno dla Jane i Sylvii, jak i dla ich matki. Margaret kuliała się z zażenowania w szarym bezlitosnym świetle sączącym się do łazienki. Do czego to doszło, że córki muszą jej świadczyć aż tak intymne usługi — dźwigać ją, mydlić, myć głowę. Jakież to upokarzające. Jane w głębi duszy podziwiała Sylvie za jej systematyczność i determinację; już wcześniej przygotowała wszystko co potrzebne — mydło, szampon, myjkę, prześcieradło kąpielowe — a teraz działała jak chirurg przy stole operacyjnym, raz po raz wydając rozkazy Jane: „Odżywka do włosów!” „Płukanka!”

— Zimno mi, moje drogie. Trochę za chłodna ta woda — jęknęła Margaret, obejmując rękami kolana. — Mogłybyście dolać mi gorącej?

Sylvia bez słowa odkręciła kurek, Jane jednak spostrzegła jej ściągnięte usta i nerwowo zwięzione oczy. Chwyciła płyn do kąpieli i nalała do wanny trochę pianistej substancji.

— Jane... — głucho rzuciła jej siostra.

— Och, jakie to śliczne, kochanie! — westchnęła Margaret. Poglaskała tworzącą się pianę, a potem nabrała jej w dłonie i podniosła w górę, do światła. Wydawała się zachwycona różnobarwnym lśnieniem mydlanych banieczek. Popatrzyła przy tym na córki, aby się upewnić, że i one widzą ten fenomen.

— Tak, mam, są bardzo ładne — potwierdziła Jane.

— Pozwól mi obejrzeć twoje stopy — sucho włączyła się Sylvia. — Muszę sprawdzić, czy nie masz znów jakiejś infekcji.

Margaret najchętniej siedziałaby w wodzie, dopóki nie znikną te śliczne banieczki, ale Sylvia uznała, że pora już wracać do łóżka. Obie córki pomogły jej wyjść z wanny. Sylvia wytarta ją szybko białym prześcieradłem, Jane podała czystą koszulę, tę z irlandzkiego lnu, a potem obie ułożyły ją w świeżej pościeli.

— Sylvio, jej potrzebna jest... — zaczęła Jane, kiedy schodziły już na dół, lecz jej siostra przyspieszyła kroku i wbiegła do kuchni, gdzie zajęła się od razu parzeniem herbaty, nie bacząc na to, że jej niebieska koszulka jest zupełnie mokra. Jane nie widziała jej twarzy, bo zasłaniały ją włosy, widziała za to ramiona: żyłaste i muskularne jak u mężczyzny od tego ciągłego dźwigania, choć zarazem tak strasznie szczupłe.

— Wiem, czego potrzebuję, i robię, co trzeba — w głosie Sylwii brzmiało znużenie. — Mam w tym już niezłą wprawę.

Och, Jane nie chciała jej krytykować ani też udzielać „zabawianych” rad. Takie metody miały w tym domu bardzo nie-dobłą tradycję. Było jej jednak żal siostry. Dobrze wiedziała, ile ją kosztuje rezygnacja z pracy, słyszała napięcie w jej głosie, zdążyła się też zorientować, jak odbija się na niej ta codzienna harówka przy matce — i tylko dlatego wymknęła się jej ta uwaga.

— Wiem, wspaniale się nią opiekujesz — powiedziała pojednawczo.

Sylvia wzruszyła ramionami, nie odrywając oczu od kociołka z wodą, który zaczynał już syczeć.

— Sprawiaś jej wielką przyjemność tą pianą. Lubi cię mieć przy sobie.

— No cóż... Wiesz, po co tu przyjechałam...

Sylvia podniosła głowę i popatrzyła jej w oczy, a Jane poczuła się nagle jak przyłapany złodziej. Powinno to była przewidzieć, skarciła się w duchu. Sylvia zna mnie lepiej niż ktokolwiek w świecie. Potrafi tym swoim wzrokiem spojrzeć mi prosto w serce.

— Wiem, co cię tu przygnało, choć wolałabym tego nie wiedzieć. Po to właśnie pożyczyłaś ode mnie samochód.

Jane poczuła, że się rumieni, więc czym prędzej odwróciła głowę.

— Nie, to nie tak. Przyjechałam, bo chodziło mi o mamę. I o ciebie. Sylvio, ona wymaga takiej opieki, jakiej ty sama nie jesteś jej w stanie zapewnić.

— Radzimy sobie całkiem dobrze.

— Jesteś wykończona. Nie wyobrażam sobie, jak ty potrafisz ją podnieść.

— Nie doceniasz mnie, siostrze. — Sylvia ugięła rękę, by zademonstrować mięśnie, ale właśnie w tej chwili zaczęła wrzeć woda, pobiegła więc wyłączyć palnik.

— Marnujesz sobie karierę.

— I kto to mówi? A twoja piekarnia? Niby kto ją teraz prowadzi?

— Potrzebna mi była przerwa. Nie miałam urlopu od piętnastu lat.

— Powiedzmy, że to prawda. Ja także wzięłam tylko urlop. Mogłam to zrobić, bo dyrekcja poszła mi na rękę. Wszyscy w tej szkole pamiętają mamę. Była dobrą dyrektorką. Ludzie ją kochali.

— Darzyli ją dość szczególną mieszanką uczuciową: miłości i strachu — uśmiechnęła się Jane. — Zupełnie jak my.

— Cóż chcesz, musiała być dla nas i matką, i ojcem.

Jane poczuła, że żołądek zwija jej się w kłębek; setki razy słyszała te słowa z ust matki. Dobrze pamiętała, jak to było z ojcem. Jego podróże stawały się coraz to dłuższe, a ona godzinami klęczała przy oknie, wypatrując jego samochodu. Nawet gdy było ciemno, potrafiła bezbłędnie rozpoznać go po reflektorach. Tak bardzo kochała ojca, że kiedy zniknął z domu, nie mogła sobie znaleźć miejsca.

— Zastanawiasz się czasem, co się z nim dzieje? — spytała.

— Nigdy — twardo odparła Sylvia.

— Naprawdę? — Jane bacznie przyjrzała się siostrze, która właśnie wsypała herbatę do niebieskiego czajnika i starannie zalała ją wrzątkiem.

— A ty? — spytała Sylvia, nie zwracając uwagi na dobiegające z piętra wołanie matki.

— Ja wciąż o nim myślę.

— Demony atakują cię zatem z dwóch stron.

— Co masz na myśli?

— Wiem, dokąd jeździłaś, Jane. Zaniosło cię tam... do sadów.

Jane zapatrzyła się w parę bijącą z czajnika. To prawda. Sylvia ma rację. Jej demony wyrwały się na wolność. Demony żalu i poczucia winy. Już dawno przestała z nimi walczyć.

Słyszając znów wołanie matki, poczuła, że tętno zaczyna jej bić jak szalone... Ten dom, podniesiony głos matki, trafny domysł Sylwii, wszystko to podziałało na nią w taki sposób, że kuchnia zaczęła wirować jej przed oczami. Zacisnąwszy powieki, uchwyciła się kontuaru — żeby nie upaść.

Jane pragnęła zatrzymać dziecko, ale w końcu uległa usilnym perswazjom matki. Rozumiała matczyne intencje. Margaret wciąż powtarzała, że chodzi wszak o „jej dobro” i o dobro dziecka. Wiedziała, że matka znalazła mu dom, i to o wiele lepszy, niż ona sama mogłaby zapewnić córce.

Dla matki już samo to, że Jane musi przerwać studia na cały semestr, było nieomal tragedią. A co potem? Czy ty zdajesz sobie sprawę, pytała, ile czasu i trudu wymaga opieka nad dzieckiem?

Matka pragnęła dla niej wspanialej przyszłości. Jane należała przecież do studenckiej czołówki Uniwersytetu Browna. W drużynie tenisowej była drugą rakieta w singlu. W literaturze angielskiej nie miała sobie równych. Margaret uważała, że ze swym potencjałem intelektualnym i ogromną dyscypliną umysłową może zostać profesorem uniwersytetu, aczkolwiek sama Jane nie miała takich ambicji. Chciała pójść w ślady matki i uczyć w dobrym liceum.

No cóż, nigdy już potem nie wzięła do ręki rakiety. Nigdy nie uczyła w żadnej szkole. Bała się takiej kariery. W szkole widziałyby wciąż młode twarze. Któraś z nich mogła być twarzą jej córki, a ona by nawet o tym nie wiedziała.

Wybrała cukiernictwo, bo nie stwarzało takich zagrożeń. Pracowało się w pojedynkę. Tutaj potrzebny był tylko pomysł, precyzja i koncentracja. Tu sama była sobie panią. A jej warsztat pracy znajdował się tak daleko od Rhode Island, że nie musiała walczyć z pokusą wpatrywania się w każdą dziewczęcą twarz — ze skrytą nadzieją i strachem...

Podpisała zrzeczenie się praw rodzicielskich. Nie wolno jej było utrzymywać kontaktów z córką, wpisała się jednak do rejestru adopcyjnego stanu Rhode Island i do ogólnokrajowej sieci Internetu funkcjonującej pod hasłem „Znajdź swą rodzinę biologiczną” — na wypadek gdyby córka zechciała jej kiedyś szukać. I tak minęło ponad piętnaście lat. Dokładnie piętnaście i pół.

Sama dobrze wiedziała, gdzie mieszka jej córka. To matka znalazła jej rodziców w osobach syna swojej znajomej, też nauczycielki, i jego bezpłodnej żony. Uważała, że oddając im dziecko, wyświadcza życiową przysługę zarówno im, jak i Jane. Niemowlę będzie miało kochających rodziców, Jane zaś odzyska szansę zrobienia świetnej kariery.

Tożsamość Jane miała pozostać ścisłą tajemnicą. Znały ją tylko dwie osoby: Margaret i jej koleżanka.

— Chyba nie zamierzasz z nią rozmawiać? Ma dopiero piętnaście lat. Byłoby to bardzo nie fair wobec niej samej i jej rodziców. W tej materii prawo Rhode Island...

— Jakie prawo?

— Przecież wiesz. Sąd rodzinny. Przepisy adopcyjne... daj spokój, Jane, wiem, że świetnie się w tym orientujesz.

Rzeczywiście. Jane znała na pamięć wszystkie procedury.

— Dopiero gdy skończy dwadzieścia jeden lat, będzie mogła cię poszukiwać — kontynuowała Sylvia. — Pamiętaj, że tylko ona może to zrobić, ty nie masz do tego prawa. Nie wolno ci w żaden sposób ingerować w jej życie, zwłaszcza teraz gdy dziewczyna nie ma nawet szesnastu lat.

Jane rozejrzała się po kuchni. Och, znała ten dom jak samą siebie. Wszystko tu budziło tyle wspomnień. To tu jako noworodka przywieziono ją ze szpitala i tu też wróciła po

latach ze Schroniska Świętego Józefa, gdzie spędziła kilka miesięcy przed urodzeniem Chloe.

— Pamiętasz, jak szukałyśmy taty?

— Przestań, Jane!

— Jak dzwoniłyśmy do firmy, w której był zatrudniony, udając jego klientki? Pojechałyśmy nawet autostopem do Hartford, aby go tam przyłapać, gdy będzie odwiedzał klientów.

— Mówię ci, przestań! Co chcesz udowodnić? Przecież to zupełnie co innego. My mieszkaliśmy z tatą, a ona nawet cię nie zna. Ma w dodatku idealną rodzinę. Ojciec jest cenionym agentem ubezpieczeniowym, a matka bardzo aktywnie działa w klubie ogrodniczym w Crofton.

— To ty ich znasz?

— Mama zawsze miała na nich oko. Przez Virginie.

Ach, tak przez Virginie Chadwick, przyjaciółkę matki, tę, dzięki której udało się rozwiązać kłopotliwy problem.

— I co jeszcze wiecie? To znaczy ona? — Jane zerknęła w sufit, w stronę pokoju matki.

— Nic więcej. Virginia w zeszłym roku miała udar mózgu i od tego czasu jest z nią bardzo kiepsko. Czasami ją widujemy; syn przywozi ją nieraz na te nasze wieczorki, no wiesz, „Czym chata bogata”, ale mama zawsze potem ubolewa tylko nad jej stanem. „Mój Boże, była z niej taka błyskotliwa kobieta, a teraz trudno zrozumieć jej bełkot! To straszne!” Muszę ci powiedzieć, że ja myślę dokładnie to samo, kiedy patrzę na naszą matkę.

— Wiem. — Jane z trudem tłumiała podniecenie. Czy Sylvia widzi, co się z nią dzieje? Ta krótka rozmowa o córce podziałała na nią jak nagłe porażenie prądem. Wcale by się nie zdziwiła, gdyby się okazało, że całe jej ciało iskrzy.

Sylvia jednak odetchnęła głośno i spytała, wyciągając rękę:

— Zawrzemy rozejm?

— Niech to będzie pełne odprężenie.

— Masz rację, że jestem w stresie — wyznała Sylvia. — Ciężko mi patrzeć na to, co się stało z mamą. Od Bożego Narodzenia strasznie się posunęła. Ten ostatni upadek bardzo jej zaszkodził. Tak często już teraz traci kontakt z rze-

czywistością! Mimo to nie chcę jej nigdzie oddawać. Chcę ją mieć przy sobie.

— Mimo że to praca ponad siły?

— Mam teraz ciebie do pomocy — uśmiechnęła się Sylvia.

— Na razie.

— Powiedz, jak się czujesz w domu? A może nie uważasz go już za swój dom?

Jane znów popatrzyła w sufit.

— Mój dom zawsze będzie tam, gdzie ty i mama — odzekała, uświadamiając sobie, że to prawda. I Chloe, dodała w duchu.

Sylvia popatrzyła na nią ze zdziwieniem. Jej wysoko uniesione brwi zdawały się pytać: „doprawdy?”

— Co cię tak dziwi?

— Ze mimo wszelkich wysiłków nie zdołałaś chyba jednak przeciąć pępowiny. Mam rację?

Jane po prostu skinęła głową, bo to także była szczerza prawda.

Wychodząc rano do szkoły, Chloe znalazła kopertę wtkniętą między drzwi a futrynę. Zaadresowana była do niej znajomym pismem Dylana. Przeczytała w autobusie, pomyślała, lecz gdy tylko weszła do środka, Teddy Lincoln natychmiast zaczął meczeć, a Jenny West opowiadać, jakie to przemówienie wygłosił do nich pan Fontaine, kiedy Chloe wyszła już ze sklepu. Zagroził, że jeśli ktokolwiek wytnie mu podobny numer, odda go w ręce policji. W tej sytuacji Chloe włączyła walkmana i zaczęła słuchać Michelle Branch, zapominając o liście.

Nie lepiej było i w szkole. Jej sympatia, Gil Albert, wprost przysłał się do Leny Allard — do licha, przez jeden weekend! — a najlepsza przyjaciółka, Mona Shippen, zachorowała na grypę czy jakieś inne draństwo. Cała klasa nie szczeniła jej docinków z powodu numeru w „SaveRite” i jakby tego było mało, na lekcji biologii pokazano im film o małpach w lasach deszczowych Amazonii, w którym znalazły się okropne sceny: grupa kłusowników brutalnie łapała bezbronne zwie-

rzęta, by je wepchnąć następnie do ciasnych bambusowych klatek. A gdy Chloe zapłakała nad ich losem, dopiero posypały się docinki!

— Małpia narzeczona! — prychnął Teddy.

— Och, ty łajdaku bez serca! — krzyknęła, ocierając oczy, ale on się tym wcale nie przejął.

Pod wpływem tych niemiłych przeżyć podczas lekcji rysunków wykonała życzeniową kartkę dla Mony. Przedstawiała dżunglę, gdzie spośród gęstego listowia wyzierało mnóstwo żółtych oczu. Pośrodku widać było małpkę zwinnie przeskakującą z gałęzi na gałąź. Podpis brzmiał: „Szkoła to wariacka dżungla. Wracaj i skacz razem ze mną”. Zadowolona z rysunku, postanowiła osobiście doręczyć kartkę przyjaciółce.

Drzwi otworzyła jej sama Mona w różowej flanelowej piżamie i fioletowym kimonie, którego klapę zdobiła tajemnicza plama — chyba po zupie pomidorowej — żywo przypominająca ośmiornicę. Na nosie przyjaciółki tkwiły jak zwykle śmieszne okulary w drucianej oprawce, ale jej włosy... Jeszcze w piątek te brązowe, trochę tłuste włosy sięgały jej aż do pasa, a teraz ledwie do ramion!

— Coś ty zrobiła z włosami?!

— Obcięłam. Znudziły mi się — obojętnie odrzekła Mona. — Nie powinnaś mnie odwiedzać, Chloe, ta moja choroba może być zaraźliwa.

— A co to właściwie jest?

— Choroba legionistów, a może mononukleozą. Diabli wiedzą.

Chloe z impetem rzuciła jej się na szyję, biorąc przy okazji możliwie głęboki oddech.

— O rany, nie masz pojęcia, jak bym się chciała zarazić! Gdybym ciężko zachorowała, może by mnie gdzieś wysłali, na przykład do jakiegoś sanatorium w Chile.

— Ja też marzę o tym, żeby pojechać do Chile. Wiesz, postanowiłam swojej pierwszej córce nadać imię „Tierra del Fuego”.*

— A jeżeli pierwszy będzie syn?

* Tierra del Fuego — Ziemia Ognista.

— To się będzie nazywał Gilbert Albert, tak jak ten twój ukochany. O Jezu, jak ty się mogłaś zakochać w chłopaku, który tak się nazywa! Przecież to nazwa angielskich kur!

— Wcale go nie kocham. Ja go nienawidzę.

— Bo od piątku chodzi z Leną?

— Kto ci powiedział?

— Mam swoich szpiegów. Powiedz lepiej, co mi przyniosłaś. — Mówiąc to, Mona otworzyła torbę Chloe i zaczęła w niej grzebać, zanosząc się kaszlem. — Aha, jest — oznajmiła, wyjmując paczuszkę suszonych owoców.

— Nie jedz tego! — zawołała Chloe. — One leżą tam już chyba od jesieni. Mam dla ciebie co innego, proszę!

Na widok fantastycznej dżungli na twarzy Mony odbił się isście matczyzny podziw, lecz gdy przeczytała podpis, spytała, uśmiechając się trochę przekornie:

— „Szkola to wariacka dżungla"... Co naprawdę chcesz przez to powiedzieć?

— Och, tylko to, żebyś szybko wróciła. Brak mi ciebie.

— No cóż, ja też za tobą tęsknię, ale wiesz, te kartki życzeniowe... Są w nich nieraz same kłamstwa. Ja w zeszłym roku dałam coś takiego Rhiannie na Dzień Matki. Jak się pewnie domyślasz, kartek dla macoch jest bardzo mało, więc w końcu kupiłam taką, w której było coś o tym, jak cudownie ta nowa mamusia pasuje do nowej rodziny. Zupełnie bez sensu...

Chloe parsknęła śmiechem.

— Pamiętam! Była zachwycona.

— Daj spokój, przecież to czyste kpiny. Ona uważa, że to my z ojcem mamy obowiązek dopasować się do niej, a nie odwrotnie. Wiesz co? Zaprojektujmy nowy rodzaj kartek. Pasywno-agresywnych.

— Pasywna agresja? Za często rozmawiasz ze swoim psychiatrą — zaśmiała się Chloe.

— Tobie by się to przydało! — odcięła się Mona. — Czy to ja wpycham do mięsa anonimowe karteczki? I kogóż to zwolniono z pracy? Och, przypominam sobie coś jeszcze: czyż nie ty próbowałaś ostatnio podrobić podpisy rodziców?

Uśmiech Chloe ulotnił się bez śladu.

— No sama powiedz, czy to nie wariactwo? — kontynuowała Mona, śmiejąc się i kaszląc na przemian. — Pojechać do sądu rodzinnego, żeby im wcisnąć formularz z podrobionym podpisem... a gdy to nie wypaliło, wrócić następnego dnia w kapeluszu, z urodzinowym pierścieniem udającym obrączkę i przedstawić się jako zamężna osoba po dwudziestce!

— Dobra, dobra, przestań.

— No i komu potrzebny psychiatra?

— Masz rację. To było trochę szalone.

Monę znowu złapał atak kaszlu. Chloe poklepała ją po plecach, po czym zajrzała do kuchni, żeby sprawdzić, czy nie ma tam Rhianny.

— Nie ma jej, poszła do dermatologa — poinformowała ją Mona. — Chcesz wiedzieć, co sobie wymyśliła? To jest dopiero wariactwo!

Chloe skinęła głową; bardzo chciała zmienić temat.

— Dają jej zastrzyki w czoło, tu, między brwiami. Z tego, no... z botulizmu!*

— Z tej trucizny?

— Tak! Paraliżuje jej mięśnie twarzy, tam gdzie się tworzą zmarszczki. Może teraz marszczyć sobie czoło, ile zechce i nic, żadnych zmarszczek!

— Ten... botulizm paraliżuje jej twarz? — zdumiała się Chloe.

Mona poprawiła okulary i zaniósła się znów suchym kaszlem.

— A może to botoks... Botulizm czy botoks, jeden diabeł. W każdym razie trucizna. Bardzo niebezpieczna. Ale czy to ja powinnam przemawiać jej do rozumu? To ona powinna mnie uczyć. Tylko czego? Och, moja matka byłaby niepokieszona, gdyby wiedziała, z jaką kobietą ożenił się ojciec! — Oczy Mony wypełniły się łzami, tym razem już nie od kaszlu.

Biedaczka, pomyślała Chloe. Znały się od dzieciństwa. Mona straciła matkę, gdy miała sześć lat. Wtedy właśnie połączyła je przyjaźń, która z każdym mijającym rokiem stawała się coraz głębsza.

* Botulizm, zatrucie jadem kielbasianym, ciężkie zatrucie pokarmowe.

— Nie powinien był tego robić. Jak można się żenić z pielęgniarką swojej zmarłej żony! — powiedziała surowo. Ujęła dłoń Mony i zamknęła ją w mocnym uścisku.

— Tak, to nie w porządku... — Mona pociągnęła nosem. — Niby mam wszystko, a nic mnie to nie obchodzi. Jedyne, czego pragnę, to być z moją mamą — jęknęła żałośnie.

— Pamiętasz ją?

Mona pokiwała głową i powoli zdjęła okulary.

— Widzę ją tak, jakby tu była, ale lepiej bez okularów. Kiedy byłam chora, kładła mi rękę na czole, żeby sprawdzić, czy mam gorączkę, a potem brała miseczkę, napełniała ją zmiażdżonym lodem i pozwalała mi go jeść srebrną łyżką... Miała rude wijące się włosy i taką zabawną szparkę pomiędzy górnymi zębami...

— Ty przynajmniej wiesz, jak wyglądała, i potrafisz ją nawet zobaczyć... — westchnęła Chloe.

— Uhm, bez okularów.

Chloe położyła jej rękę na czole. Było gorące. Zaciągnęła więc Monę na sofę, ułożyła ją tam wygodnie, a sama poszła do kuchni. Wygarnęła z zamrażalnika garść lodowych kostek, wrzuciła je do kubka i zaniósła Monie wraz z łyżką.

— Dziękuję, Chloe — szepnęła Mona z wdzięcznością. — Dobra byłaby z ciebie matka.

Chloe z uśmiechem chwyciła leżące na stoliku pióro i starannie narysowała dwie gwiazdki: jedną na wierzchu dłoni Mony, a drugą na własnej. Musiała niestety już wracać do domu. Podnosząc torbę z książkami, spostrzegła, że Mona nie włożyła okularów. Gdy spojrzała na nią już od drzwi, zobaczyła, że z kubkiem w ręku leży na poduszkach ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń. Pewnie widzi matkę, pomyślała. Napełniło ją to goryczą. Ludzie, których kochamy, nie powinni umierać ani porzucać swych dzieci, co chyba jest jeszcze gorsze.

Po namyśle uznała, że właściwie to żadna różnica.

Drugi dzień z rzędu Dylan wioził sadzonki i po drodze znowu spotkał Chloe. Wyrzuciwszy papierosa, zaczął do niej machać: wsiadaj!

— Czyżbyś znów się spóźniła na autobus? — zawołał, opuściwszy szybę, aby przewietrzyć kabinę; cała przesiąkła dymem z papierosów.

— Nie, dzisiaj wcześniej wyszłam ze szkoły, żeby odwiedzić Monę. Jest chora, więc zaniiosłam jej kartkę z życzeniami.

Dylan nie okazał wrażenia, jakie na nim zrobiła wzmianka o Monie. Dawniej w czasie lata Mona Shippen, Isabel i Chloe były nierozłączne... Na pozór spokojnie jechał dalej, choć nawet dziura na kolanie dżinsów Chloe i atramentowa gwiazdka na jej dłoni kojarzyły mu się z Isabel. Trochę zły na siebie, próbował przywołać się do porządku: skąd może wiedzieć, czy jego córka chodziłaby teraz w dziurawych spodniach albo malowała sobie gwiazdki! A może jednak?

— Myślałam, że zawozisz dziś babcię do szkoły — odezwała się po chwili Chloe.

— Ta impreza jest dopiero jutro.

— Coś mi się pomyliło. Znowu wiesz drzewka?

— Przynajmniej mam się czym zająć. A poza tym lubię kopać dziury.

— Nie tęsknisz za rozwiązywaniem zagadek kryminalnych?

— Nie, ani trochę. Tu też muszę zresztą rozwiązywać zagadki, i to o wiele trudniejsze.

— Na przykład jakie?

— Na przykład, jak to się dzieje, że ze skrzyżowania empire z gałą powstaje jonagold? I dlaczego miejsce szczepienia musi się znajdować przynajmniej pięć centymetrów nad ziemią.

— No dlaczego?

— Żeby zraz nie wypuszczał korzeni.

— Zraz, czyli ojciec... Nawet jabłonie mają rodziców — westchnęła Chloe.

Dylan powoli odwrócił głowę, aby jej się przyjrzeć. Czyżby znów chodziło o adopcję? Jego brat Eli wciąż jeszcze nie doszedł do siebie po wezwaniu do sądu rodzinnego, gdzie go poinformowano, że Chloe, udając dorosłą osobę, chciała wszcząć poszukiwania biologicznej matki.

— Ty też masz rodziców — powiedział z naciskiem.

— Wiem. — Z chmurną miną zacisnęła ręce na torbie. O, znał tę minę! Jemu już prawie przyrosła do twarzy. Sprzeciwi, udreka, złość na cały świat.

— Więc co się dzieje?

— O, bardzo dużo! Kłusownicy porywają małpy z dżungli, mnie wylano z pracy, więc nie mam teraz za co kupować kotom zdrowej karmy, w szkole wszyscy nabijają się ze mnie, a moja najlepsza przyjaciółka leży chora i nikt się o nią nie troszczy! Mam prawo znać swoje pochodzenie, a wszyscy mi tego odmawiają! Cały świat jest przeciwko mnie! Nienawidzę takiego świata! — zakończyła cienkim, łamiącym się głosem.

Mnie też? pomyślał Dylan. Powiedziałaś to tak, jakbyś nawet mnie uważała za swego ukrytego wroga.

— Czytałaś mój liścik? — zapytał.

— Och! — Klepnęła torbę, po czym zaczęła w niej szperać. — Zapomniałam.

Wydobyła kopertę i spieszenie przebiegła oczami kilka linijek tekstu. Napisał to późnym wieczorem, gdy w domu brata pogasły już światła, a on ciągle jeszcze nie mógł zasnąć.

— Mam przeczytać głośno?

— Jak chcesz. To tylko cytat.

— „Gwałt i przemoc wzmagają jedynie nienawiść... pogłębiając czerń nocy i tak już odartej z gwiazd. Ciemnością nie sposób pokonać ciemności, tylko światło może to sprawić. Nienawiści nie da się pokonać nienawiścią; tylko miłość jest do tego zdolna. Martin Luther King." Hm... Więc to miałaś wczoraj na myśli, gdy tak nagle powiedziałeś, „noc odarta z gwiazd”?

— Tak.

— Czemu mi to napisałeś? — Wydawała się mocno zaintrygowana.

— Pomyślałem, że powinnaś to wiedzieć.

— Ale dlaczego?

Przez chwilę nie odpowiadał. Nie mógł powiedzieć jej prawdy, a przynajmniej całej prawdy. Trochę jednak moge jej wyjawić, postanowił; to wrażliwa i mądra dziewczyna.

— Bo jesteś podobna do mnie.

— Ja? Pod jakim względem?

— Powiedzmy, że oboje jesteśmy wyczuleni na niesprawiedliwość.

Uciekła wzrokiem i oparła się czołem o szybę. Zjechali z głównej szosy na wąską wyboistą dróżkę biegnącą środkiem sadu. Byli już blisko wspólnego podjazdu, gdy Dylan zapytał, wskazując zrujnowany stragan:

— Chciałabyś popracować tutaj po lekcjach?

— A co bym miała robić?

— To ciężka robota — rzucił ostrzegawczo.

— Nie ma sprawy. Koty muszą jeść. No więc co to takiego?

— Co byś powiedziała, gdybym postanowił wyremontować stoisko?

— Ten stragan, na którym sprzedawano jabłka, gdy jeszcze żył dziadek?

— Tak. Teraz wygląda żałośnie. Musiałabyś go wyczyścić i odmalować. Ja bym naprawił półki.

— A szyld?

— Też trzeba go naprawić. Chyba jest w stodole.

— „Sady Chadwicków” — wyszeptła w zadumie Chloe. — Pracowałyśmy na tym stoisku... Isabel i ja. A dziadek częstował nas cukrem klonowym, miodem w plastrach i tartą z jabłkami...

— Pamiętam.

— Tyle czasu było nieczynne — westchnęła Chloe.

Dylan zerknął na nią z ukosa. W półmroku kabiny jej biała cera wydawała się jeszcze bielsza, pod oczami rysowały się głębokie cienie — jakby i ona spędziła tę noc bezsennie. Oczy miała niebieskie, a włosy tak proste i ciemne jak nikt w rodzinie Chadwicków. Patrząc na jej znoszone džinsy i tę atramentową gwiazdkę, niemal słyszał głos swojej córki: „Proszę cię, pomóż jej, tato”.

— Właśnie dlatego potrzebna mi pomoc — powiedział niskim, nie swoim głosem.

— Dobra. Masz to załatwione.

— Świetnie.

— Moglibyśmy sprzedawać nie tylko jabłka, ale i inne rzeczy. Na przykład miód, cukier klonowy i tarty z jabłkami!

LUANNE RICE

Posiał jej spojrzenie, które mówiło wyraźnie: hola, hola, nie przeciągaj struny!

Roześmiała się głośno:

— W porządku! Powiedz mi, kiedy mam zacząć.

— W ten weekend. W sobotę o bladym świetle.

Zebrała swoje manatki i popędziła do domu. Patrząc za nią, przypomniał sobie inny wieczór i dwie małe dziewczynki zbierające przy drodze dmuchawce. Pamiętał puchate nasionka tańczące na wietrze i głośny śmiech tych dziewczynek. Brzmiała w nim sama radość, radość, że są razem. Jak to jest być razem?

Pomyślał, że chyba już nie pamięta.

ROZDZIAŁ 6

Wieczorki nauczycielskie pod hasłem „Czym chata bogata” odbywały się zawsze w pierwszy piątek miesiąca w kafejkach kolejnych szkół. Przed miesiącem gospodarzem imprezy była Rogers High School w Newport, po niej Hope High w Providence, obecnie zaś przyszła kolej na Crofton Consolidated. Sylvia postanowiła uświetnić tę uroczystość artystycznym tortem wykonanym specjalnie na tę okazję przez Jane. Wyglądał jak podniszczone bibliofilskie wydanie „Drugiego Słownika Webstera”.

Wyjątkowo zadbała też o wygląd. Zrobiła sobie maseczkę, włożyła nową suknię od Eileen Fisher, umalowała usta nowo nabytą pomadką, pociągnęła nawet powieki odrobiną niebieskiego cienia. Wkładała już właśnie granatowy wiosenny płaszcz, kiedy matka zaczęła ją wołać.

— O co chodzi, mamo?

— A ja? — spytała Margaret.

Sylvia znieruchomiała na progu sypialni.

— Nie rozumiem...

— Jest pierwszy piątek, a ja czuję się dziś dużo lepiej. Mogę jechać z tobą?

Jane siedząca przy łóżku z otwartym egzemplarzem „Wielkich nadziei” na kolanach z lekkim zmieszanym podniosła głowę znad książki.

— Czytałyśmy sobie głośno, ale kiedy mama usłyszała, że się szykujesz do wyjścia, zapytała, jaki dziś dzień, i postanowiła też jechać.

— Och, mamó, przecież od kilku tygodni prawie nie ruszasz się z domu...

— No właśnie, kochanie. Potrzebna mi zmiana otoczenia, nie sądzisz?

Sylvia zamrugła powiekami, myśląc o Johnie Dufourze. Pewnie tam będzie. Wyobraziła go sobie, jak stoi przy wejściu w tej swojej dżersejowej kamizelce w odcieniu rudego brązu, niespokojnie przeczesując wzrokiem parking w poszukiwaniu jej wozu... Grywali czasami w scrabble i gdy przypadkiem zetknęli się kolanami, miała uczucie, że zaraz zemdleje. Pomyślała, że stanowią żywe uosobienie bohaterów piosenki „Working for the Weekend” — pary nieśmiałyh intelektualistów po ciemnej stronie trzydziestki. Mogłaby do niej dodać kilka własnych linijek tekstu: o tym, jak John na nią czeka, jak się niepokoi, czy aby ją dziś zobaczy...

Rozdzierana sprzecznymi uczuciami — pragnieniem skupienia się tylko na nim, zaobserwowania wyrazu jego twarzy w chwili, gdy ona wkroczy do kawiarni, z drugiej zaś strony głęboko zakorzenionym poczuciem obowiązku wobec matki, ostatecznie rzuciła sucho:

— Oczywiście, mamó, skoro się czujesz na siłach...

— Zapewniła mnie, że tak — odrzekła Jane, uśmiechając się szeroko.

— Cóż, wobec tego ty też musisz jechać — zadecydowała Sylvia. — Samej byłoby mi trudno wsadzić mamę do samochodu.

Jane zajęła miejsce z tyłu. Siedząca obok Sylvii Margaret co chwila wydawała takie okrzyki na widok znajomych miejsc, jakby nigdy ich nie oglądała:

— Ojejku! Spójrzcie na te bzy u Jensenów! Czyż nie są wspaniałe? Och, a cóż ci Dunlapowie zrobili ze swoim domem? Okropnie wielki ten pomost! O wiele za duży dla takiego małego budynku! — Opuściła szybę i wciągnęła w nozdrza wonne wiosenne powietrze. Widać było, jak bardzo się cieszy, że wyrwała się wreszcie z zamknięcia.

Jane uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

Matka wydawała się szczęśliwa, Sylvia natomiast sprawiała wrażenie pochłoniętej własnymi myślami. Wystrojona jak nigdy, przy każdym postoju na czerwonym świetle zerkała w lusterko i wciąż poprawiała włosy. Z pewnością w grę wchodził jakiś mężczyzna, ale kto? Jane niecierpliwie czekała chwili, kiedy go wreszcie zobaczy. Sama poprzestała na swoim codziennym rynsztunku — czarnych dzinsach i skórzanej kurtce — choć matka wołałaby pewnie, aby obie jej córki miały na sobie eleganckie granatowe płaszcze...

Teraz ona z kolei głęboko wciągnęła powietrze. W Rhode Island wszędzie pachniało morzem, nawet tutaj, w Crofton, leżącym w najdalej wysuniętym w głąb lądu punkcie całego stanu. Praktycznie jednak nie tak znów daleko, bowiem w cały jego obszar głęboko wcinała się zatoka Narragansett, zdaniem Jane zresztą najwspanialszy ze wszystkich akwenów na ziemi. O tej porze roku pachniało tu jeszcze piękniej niż zwykle, gdyż gorzką woń soli przenikał aromat kwitnących bzów i jabłoni.

Zerknęła na leżący obok tort. Udał się całkiem nieźle, zważywszy, że nie miała tu swojego pieca ani wszystkich potrzebnych ingrediencji. W swej nowojorskiej ciastkarni — pod nazwą „Calamity” — mogłaby bardziej popuścić wodze fantazji. Sam zakład nie był okazały, raczej wprost przeciwnie: z zewnątrz wyglądał jak dziura w murze pod opuszczoną linią kolejową biegnącą kiedyś Dziesiątą Aleją. Mimo to jej wyroby szybko zdobyły uznanie okolicznych mieszkańców, którzy zaczęli gorąco polecać je swoim znajomym, i w ten oto sposób zyskała sobie już prawdziwą sławę. Zamawiano teraz u niej ciasta z okazji największych wydarzeń: premier teatralnych i filmowych, nagród Tony i Grammy, promocji bestsellerów książkowych i wielkich wystaw malarskich.

Jej nazwisko znane było w Chelsea, TriBeCa i Gramercy Park, a jej automat telefoniczny nie mógł pomieścić wszystkich zamówień. Było tak nawet teraz, mimo ogłoszenia, że wyjechała do matki, że przeprasza wszystkich za zawód i że do jej powrotu mogą zwracać się do właścicieli wskazanego zakładu, którzy chętnie przyjmą zamówienia...

Dojechały już właśnie do szkoły, pomogły więc wysiąść matce, która rzeczywiście wydawała się dzisiaj znacznie sil-

niejsza niż dotąd. Jane sama wprowadziła ją do środka, podczas gdy Sylvia zajęła się parkowaniem.

Już na progu kafejki załapała ją fala wspomnień — wszystko tu wyglądało tak samo jak kiedyś. Zużłobetonowe ściany — relik z czasów zimnej wojny — były wciąż jasnożółte, na podłodze leżało niezniszczalne szare linoleum. Tylko na kon-tuarze z nierdzewnej stali rozpościerała się dziś góra jadła — rondle z domowym gulaszem, salaterki z sałatkami, półmi-ski wymyślnych kanapek — aż trudno było ogarnąć to wszyst-ko wzrokiem. Prostokątne stoliki zsunięto w trzy długie rzędy otoczone dziesiątkami krzeseł. Większość miejsc zajmowali już nauczyciele i pracownicy administracyjni. W całym po-mieszczeniu rozbrzmiewały głośnie rozmowy i śmiechy.

Na widok byłej dyrektorki sala na moment ucichła, a po-tem wybuchła radosna wrzawa.

— Margaret!

— Pani Porter!

— Och, spójrzcie! Przecież to Margaret!

— Margaret, jak dobrze cię widzieć, i to w tak świetnej formie!

Prawda, że wygląda świetnie, myślała Jane, obserwując swą wysoką elegancką matkę, ubraną w jedwabną lawendową suknię z koronkową wstawką przy szyi. Siwe włosy upięte mia-ła w zgrabny kok, a za jedyną ozdobę służył jej nieodłączny, długi złoty łańcuch, na którym wisiała kryształowa kulka z wtopionym ziarenkiem gorczycy. Natychmiast otoczył ją tłum przyjaciółek, kolegów i znajomych; wszyscy ci ludzie całowali ją w policzki, ściskali jej rękę, domagali się głośno, aby przed-stawić im Jane.

— To moja starsza córka. Właśnie wróciła do domu z tego nowojorskiego molocha... — dumnie oznajmiła Margaret.

— Bardzo mi miło panią poznać...

— Tyle o pani słyszałam...

Jane z uśmiechem kiwała głową, zastanawiając się w du-chu, co takiego mogli o niej słyszeć ci ludzie. Nigdy przedtem nie towarzyszyła matce na żadną z tych imprez. Odkąd jako dwudziestolatka opuściła Rhode Island, nie spotkała też ni-kogo z dawnych znajomych ani nawet o nich nie myślała.

I nagle w drugim końcu sali zobaczyła swojego anglistę, profesora Alana Romneya. Twarz miał tak samo kanciastą jak kiedyś i te same krzaczaste brwi. Patrzył też na nią z takim samym wyrzutem jak wówczas, gdy mu powiedziała, że rezygnuje ze studiów — po tylu staraniach z jego strony, żeby ją tam przyjęto! Od tego czasu minęło szesnaście lat, a jednak ogarnął ją wstyd, wcale nie mniejszy niż wtedy.

Widząc, że zmierza w jej stronę, zostawiła matkę w wianuszkach rozgdakanych przyjaciółek i chcąc nie chcąc wyszła mu naprzeciw.

— Dobry wieczór, panie profesorze.

— No proszę, moja najlepsza uczennica! Witaj, Jane Porter!

Jane splonęła rumieńcem; nie bardzo wiedząc, co zrobić z rękami, wcisnęła je do kieszeni.

— Jak zdrowie, panie profesorze?

— Dziękuję, dobrze, a ty jak się miewasz?

— Też dobrze, ale pan nic się nie zmienił.

— Z czego wniosek, że zawsze wyglądałem staro. Hmm. No dobrze, powiedz mi teraz, jakich to wspaniałych rzeczy udało ci się dokonać? Drukujesz poezje w jakimś awangardowym piśmie? A może piszesz sztuki sięgające najgłębszych granic ludzkich doznań? — Głos profesora wznosił się i opadał w tych samych dramatycznych kadencjach co przed laty; zawsze przemawiał w taki sposób, jakby stał na scenie, a nie przed grupką swoich młodych uczniów.

— Rzuciłam studia — przypomniała mu Jane, bardzo się starając, aby nie zabrzmiało to jak przeprasiny.

— Zdarza się to czasem najbardziej twórczym jednostkom. Prawdziwie wielkie talenty nie mieszczą się w ciasnych murach akademii.

Jane z uśmiechem opuściła oczy.

— No ale mówiąc serio: ułożyłaś sobie jakoś życie?

— Całkiem dobrze, panie profesorze. Prowadzę własny zakład w Nowym Jorku. Jestem cukiernikiem.

— Cukiernikiem? Muszę powiedzieć, że mnie zaskoczyłaś. Ty, która tak kochałaś słowa...

— Piekę ciasta dla wielu pisarzy, aktorów, reżyserów...

— Więc obracasz się jednak w świecie literackim!

— Tak, można tak powiedzieć.

W tym momencie do sali weszła Sylvia z tortem. I w tej samej chwili jakiś zażywny łysiejący mężczyzna w tweedowej marynarce ze skórzanymi łatkami na łokciach rzucił się jej na pomoc. Oboje ostrożnie umieścili tort pośrodku stołu, ledwie 0 pół metra od miejsca, gdzie stali pan Romney i Jane.

— To ja zrobiłam ten tort, choć naprawdę nie miałam pojęcia, że pan tu dziś będzie — rzuciła z uśmiechem Jane, śledząc wrażenie, jakie jej replika „Drugiego Webstera” wywarła na profesorze. Tort istotnie wyglądał tak realistycznie, że miało się ochotę odwrócić tę nieco zniszczoną okładkę i poszukać jakiegoś hasła. Profesor Romney promieniał.

— Bardziej już chyba nie mogłabyś mnie uszczęśliwić — powiedział gorąco. — Widzę, Jane, że wciąż kochasz słowa. Wiesz, nadal nie tracę nadziei, że któregoś dnia otworzę „New Yorkera” i znajdę tam coś twojego. Opowiadanie, a może wiersz?

— Nie zajmuję się już pisaniem.

Profesor popatrzył na nią z wyrzutem, po chwili jednak pokręcił głową ze śmiechem.

— Nigdy w to nie uwierzę! Nie możesz tak zawieść starego nauczyciela! Dlatego co tydzień będę nadal otwierał „New Yorkera” z taką samą nadzieją jak dotąd i na pewno któregoś dnia znajdę tam swoją Jane.

Jane otworzyła już usta, aby rzucić na ten temat jakiś żarcik, gdy nagle zabrakło jej tchu. Sprawił to widok wjeżdżającej na wózku Virginii Chadwick. Popychał go jakiś mężczyzna, pewnie syn. Zebrani powitali ją równie gorąco jak przedtem Margaret.

— Ach, oto i druga uwielbiana osoba — mruknął profesor Romney. — Całkiem jak twoja matka. Obie kochane i takie kruche...

Jane ledwo to usłyszała; całą jej uwagę przykuł mężczyzna towarzyszący Virginii.

Miał gęstą brodę i zadziwiająco zielone oczy. Pomyślała, że jest od niej starszy może o dziesięć lat. Ubrany w dżinsy

i czarny wełniany sweter, całym swym zachowaniem sprawiał wrażenie, że woli nie rzucać się w oczy, a gdyby to było możliwe, stałby się niewidzialny. Pozostał też przy samych drzwiach, pozwalając kolegom pani Chadwick podtoczyć wózek do stołu.

Był to ten sam mężczyzna, którego Jane już widziała — owego wieczoru w sadzie tuż obok domu Chloe.

Ktoś nagle chwycił ją za rękę i u jej boku wyrosła rozpromieniona Sylvia.

— Jane, pragnę ci przedstawić mego przyjaciela, Johna Dufoura...

— Miło mi pana poznać — odrzekła Jane z grzecznym uśmiechem, wymieniając z nim uścisk dłoni.

— Witaj, Alanie — zwróciła się Sylvia do pana Romneya.

Gdy oboje z Johnem wdali się z nim w pogawędkę, Jane oddaliła się chyłkiem i stanęła w kącie, obserwując z gwałtownie bijącym sercem siedzącą przy stole Virginie. Starsza pani błdziła wzrokiem po sali — jak gdyby kogoś szukała. Jane nigdy nie została jej przedstawiona, nie zetknęły się też nigdy w szkole — pani Chadwick uczyła w innym liceum — mimo to na moment zamarła, gdy spotkały się ich spojrzenia. Ale nie, w oczach starszej kobiety nie dostrzegła błysku rozpoznania. Virginia nadal rozglądała się po sali, być może za synem, który tymczasem gdzieś zniknął.

Jane patrzyła ze szczerym współczuciem na jej wychudłe ciało, żałośnie obwisłą połowę twarzy i zupełnie bezwładną lewą rękę, leżącą na kolanach jak martwy przedmiot. A jednak widząc tę kobietę w jednym końcu sali, w drugim zaś swoją matkę, czuła, że krew jej uderza do głowy. To one, te dwie kobiety zadecydowały o jej losach...

Postanowiła wyjść na dwór — odetchnąć świeżym powietrzem.

Przed szkołą z zaskoczeniem spostrzegła tamtego mężczyznę. Stał pod żółtym światłem lampy, pałac papierosa. W pierwszej chwili ogarnął ją strach, szybko jednak doszła do wniosku, że ten człowiek nie może jej znać. Gdyby nawet chodzili do tej samej szkoły, musiałyby skończyć naukę o wiele wcześniej niż ona, matka także nie mogła mu nic powiedzieć: nie widziała

jej przecież z Margaret, niemożliwe więc, aby nabrała podejrzeń co do jej tożsamości.

Uspokojona tym rozumowaniem, zmusiła się do uśmiechu i pewnym krokiem podeszła do nieznanego.

— My się chyba znamy, prawda? — zapytał głębokim głosem.

— Nie sądzę.

— Pani twarz wydaje mi się znajoma.

— Możliwe, to przecież Rhode Island — Jane uśmiechnęła się szerzej — na tym skrawku ziemi nietrudno się o siebie otrzeć.

— Emmylou — powiedział, przechylając głowę.

— Proszę?

— Lubi pani Emmylou Harris. W zeszłym tygodniu przejeżdżała pani koło mego sadu. W samochodzie grało radio, a pani słuchała „Wrecking Bali”.

— Ma pan dobrą pamięć — powiedziała z nagłym rumieńcem.

— To polna droga. Nie ma tam wielkiego ruchu.

— Wolno spytać, co pan tu robi? — Usta miała suche jak pieprz. Ten człowiek był albo adopcyjnym ojcem Chloe, albo jego bratem. Za wszelką cenę musiała się tego dowiedzieć.

— Pełnię synowskie obowiązki. Moja matka to Ginny Chadwick, była nauczycielka. Nie najlepiej ostatnio się czuje, tym razem jednak bardzo tu chciała przyjechać. Od tygodnia żyła tylko tą imprezą.

— Pan nie jest nauczycielem? — niecierpliwie czekała na odpowiedź, spodziewając się, że usłyszy: „Nie, jestem agentem ubezpieczeniowym”.

— Nie — odrzekł krótko.

Skinęła głową, wyczekująco patrząc mu w oczy. Były teraz ciemnozielone, w odcieniu głębokiej rzeki czy może liści jabłoni, i dziwnie mroczne, pełne jakiegoś strapienia. Takich oczu nie miewają pogodni, beztroscy ludzie. Z lekkim grymasem odrzucił niedopałek i zmiażdżył go czubkiem buta.

— Więc czym się pan zajmuje?

— Jestem farmerem.

A więc to brat ojca Chloe. Jane poczuła nagle, że dreszcz jej przebiega po grzbiecie. Doznała zarazem wrażenia, że patrząc mu w oczy, spogląda w lustro. Dostrzegła w nich ten sam ból, tę samą gorączkę utraty co u siebie. Jak przyciągana przez magnes zrobiła jeszcze pół kroku i nagle zrozumiała, że uczucia, które budzi w niej ten człowiek, nie mają nic wspólnego z Chloe.

— A pani? — zapytał. — Czym się pani zajmuje?

— Piekę ciasta. Zawodowo.

— Naprawdę? — zaczął się śmiać. — Czy także tarty z jabłkami?

— To jedna z moich specjalności. Dlaczego pan o to pyta?

— Tak się składa, że po latach przerwy otwieramy rodzinne stoisko przy sadzie i moja bratanica zasugerowała właśnie, że warto nawiązać do dawnych tradycji, kiedy to w sprzedaży mieliśmy takie tarty.

— Pańska bratanica... — szepnęła Jane, czując, że mięknie jej nogi.

— Tak. — Mrużąc oczy przed żółtopomarańczowym światłem, wyciągnął rękę. — Pozwoli pani, że się przedstawię. Jestem Dylan Chadwick.

— Jane Porter — zrewanżowała mu się, bacznie obserwując jego reakcję. Czy mówi mu coś jej nazwisko? Miała nadzieję, że nie. Tylko jego matka знаła jej tożsamość. Obie matki — jego i jej — zobowiązały też do milczenia wtajemniczone w sprawę siostry z katolickiego ośrodka, w którym Jane oczekiwała rozwiązania. Bo i o czym tu było mówić: córka jednej nie jest w stanie wychować swego dziecka, syn drugiej ma bezpłodną żonę, adopcja uszczęśliwi więc wszystkich, pod warunkiem że sprawa nie wyjdzie na jaw.

— Miło mi panią poznać, Jane — uśmiechnął się Dylan.

— Mnie również miło pana poznać.

— A co pani tu robi? — gestem wskazał szkołę.

— Jestem tu z siostrą. — On jest moją szansą! myślała z podnieceniem. Dzięki niemu mogę poznać Chloe!

Kiedy znów spojrzała mu w oczy, zmarszczył się lekko — czyżby zauważył podobieństwo? — a ona znowu poczuła

ciarki na grzbiecie. Widziała już w nim ogniwo, które połączy ją z córką.

— Pańska bratanica pewnie lubi ciasta z jabłkami — zaryzykowała.

— Ma na imię Chloe.

— Piękne imię.

Przytaknął ruchem głowy, nie wdając się w wyjaśnienia, kto i dlaczego je wybrał. Pewnie nawet nie wie, bo i skąd...

Wcisnęła rękę do kieszeni, aby ukryć drżenie. Miała nadzieję, że nie zauważył, jak strasznie trzęsą jej się ręce.

Jednak zauważył, tyle że nie odgadł prawdziwej przyczyny.

— Zmarzła pani. Zimno dziś nawet jak na kwiecień.

— Rzeczywiście, ale to już wiosna. Będzie coraz cieplej. A jeśli chodzi o mnie... jestem odporna.

Nie wydawał się przekonany.

— Nie wraca pani do środka? Ja muszę, matka już się pewnie niepokoi.

— Za chwileczkę. — Tak bardzo pragnęła, aby znów wymówił imię Chloe, powiedział jej coś o córce, ale oczywiście nie mogła go o to prosić, a jemu nie przyszło to myśl. — Miło mi było pana poznać — powtórzyła.

— Wzajemnie.

Po raz drugi uściśnęli sobie ręce. Dłoń miał zgrubiałą i szorstką — od pracy w sadzie. Przytrzymał jej rękę odrobinę dłużej, niż to było konieczne, a Jane znów poczuła tę dziwną iskrę, która podobnie jak przedtem nie miała nic wspólnego z Chloe.

— Zobaczmy się jeszcze tam, w środku? — zapytał.

Skinęła głową, zaraz jednak pomyślała, że nie wolno jej tak ryzykować. Ani Dylan, ani Virginia nie powinni jej widzieć w towarzystwie matki czy Sylvii. Kiedy więc zniknął w drzwiach szkoły, poszła do samochodu.

Nikt tutaj nie zamykał drzwiczek. Nie było takiej potrzeby. Ulokowała się na tylnym siedzeniu, owijając się szczelnie kurtką. Była gładka, bardzo miękka i równie droga. Otrzymała ją przed rokiem w prezencie od pewnego producenta filmowego z grupy tych niezależnych, dla którego wykonała jeden ze swo-

ich artystycznych tortów, z dekoracją przedstawiającą tytuł jego filmu.

W samochodzie było dosyć zimno, ale nie zwracała na to uwagi. Myślała o swoim życiu, o tym, że od lat prześladuje ją uczucie pustki. Powód oczywiście był jej dobrze znany, choć wzbraniała się go nazwać po imieniu. Bo po co? I tak już nie można było nic zrobić, klamka zapadła, wyrzekła się dziecka. Jedynym logicznym wyjściem z sytuacji było pogodzić się z tym — i zapomnieć.

Wszystko to działo się tak dawno temu, że cała sprawa nabierała chwilami posmaku nierealności — jakby była to cudza historia, o której gdzieś przeczytała, teraz jednak wspomnienia wróciły, i to z jakże bolesną ostrością. Pamiętała ten dzień, gdy w końcu wyznała matce, że jest w ciąży. Czuła się okropnie, dręczyły ją mdłości, ręce miała wilgotne od potu.

Pamiętała lzy matki i jej panikę. Boże! Jane straci cały rok studiów! Gdy Margaret nieco ochłonęła, powiedziała jej, że może zostać w domu, póki ciąża nie stanie się widoczna, ale potem będzie musiała wyjechać — zejść z oczu miejscowym. Za pośrednictwem znajomych zakonnicy z Salve Reginy załatwiła Jane miejsce w Schronisku Świętego Józefa w Bristolu.

Jane tak nie chciała opuszczać domu, że starała się być niewidoczna. Ubierała się w wielkie workowate dżinsy i za duże o kilka numerów koszule. Z ulgą powitała jesień: można było teraz nosić ogromne swetryzyska. Aż pewnego dnia przeżyła szok — gdy podczas kąpieli ujrzała swój brzuch z dziwacznie sterczącym pępkiem. Ogłuszyła ją świadomość, że jest bezbronna, że nie kontroluje już sytuacji. Zwinięta w kłębek na dnie wanny, wybuchnęła rozpaczliwym szlochem.

Po pewnym czasie w łazience zjawiła się matka i też zaczęła płakać. Otoczyła ramieniem jej nagie plecy, a Jane przytuliła się do niej jak dziecko. Sytuacja była strasznie żenująca, lecz tak bardzo pragnęła matczynej pociechy! Matka zadzwoniła potem do zaprzyjaźnionej zakonnicy, siostry Celeste Marie, i uzgodniła z nią wszystkie szczegóły. Jane dziękowała Bogu, że Sylvia nie słyszy tej rozmowy. Jej siostra rozpoczęła właśnie studia i mieszkała teraz w kampusie.

Następnego dnia przysłano po nią samochód, który miał ją zawieźć do schroniska. Droga nie była daleka — Rhode Island to najmniejszy stan w całym kraju — ale jej się zdawało, że wywożą ją na Syberię. W schronisku było wiele niezamężnych dziewcząt pochodzących z różnych stron kraju. Wszystkie były młode, więc przypominało to college, z tą różnicą, że jedynym zadaniem, jakie miały tu do spełnienia, było urodzenie dziecka. Zaraz potem znikwały. Jane zamknęła się w sobie. Aby opłacić swój pobyt, zaczęła pracować w kuchni — i wypiekać wspaniałe ciasta. Jej wyłącznym towarzystwem było rosnące w niej dziecko, a ona przywiązywała się coraz bardziej do tej malutkiej istotki.

Dlaczego nie zawarła tu żadnych przyjaźni? Po doświadczeniach z ojcem bała się rozstań; wiedziała, że wkrótce każda z tych dziewcząt pójdzie swoją drogą, że postara się zapomnieć o pobycie w ośrodku i wszystkich poznanych tam ludziach. Wolała nie darzyć żadnej przyjaźnią, by nie cierpieć później po jej stracie. Nie umiała jednak bronić się przed więzią z nie narodzonym dzieckiem, choć siostry z ośrodka przestrzegwały przed tym wszystkie przyszłe matki. Zabraniały nadawać dzieciom imiona, a po urodzeniu brać je na ręce, przytulać czy pieścić. Nie wolno było nawet o tym myśleć. Ale Jane nie chciała stosować się do tych poleceń. Cały czas myślała tylko o tym, czego jej zabraniano.

Była tak nieposłuszna, że kiedyś nawet wymknęła się chylkiem z ośrodka.

Ze słoika w kuchni wyjęła trochę drobnych na autobus i tak jak stała, wybiegła na główną szosę, gdzie miał swój przystanek autobus do Providence. Jego trasa biegła wzdłuż zatoki, przez Barrington, East Providence i Fox Point do Providence's East Side i kampusu Browna.

Na przystanku przy Thayer Street Jane przycisnęła dłoń do szyby. Jakże straszliwie tęskniła za herbatą w „Pingwinie”, filmami w „Avonie”, czytaniem poezji w gmachu Horacego Manna, za swoim kącikiem w bibliotece! A najbardziej — aż do bólu! — za Jeffreyem. Och, żałowała wszystkiego, co tu zostawiła, a gdy pomyślała, że byłaby tu teraz z Sylvia, nie mogła powstrzymać łez.

„Tutaj studiuje twój ojciec” — wyszeptła do dziecka.
— „Tu go poznałam i tu powołaliśmy cię do życia”...

Jeffrey! Spozregła go nagle, gdy autobus skręcił w Angell Street. Z plecakiem zwisającym z jednego ramienia powoli człapał ulicą, tak zatopiony w myślach, że nic wokół siebie nie widział. Czyżby myślał o niej? Pragnęła, aby tak było, lecz rozsądek kazał jej w to wątpić.

Nie chciał tego dziecka.

Po powrocie do Świętego Józefa zakonnice wymierzyły jej karę: do końca pobytu nie wolno jej było piec ciasta. Niech to będzie dla ciebie nauczka, powiedziała siostra przełożona. Popelniłaś już tak wielki błąd, że nie stać cię na następne. Stanowczo powinnaś mieć więcej rozsądku!

Rosądek! Czyż nawet najbardziej rozsądny postępek jest w stanie ustrzec przed szaleństwem? Jane postąpiła rozsądnie, zgadzając się oddać dziecko, i omal nie popadła przez to w obłąd. A teraz nie potrafiła spokojnie przejść obok żadnej piętnastoletniej dziewczyny... Natychmiast zaczynały nękać ją myśli o tym, co zrobiła, i o dziecku, którego nie pozwalano jej poznać. Och, w końcu zrozumiała, że dłużej tego nie znieśie. Musi wreszcie poznać swoją córkę. Czowała, że umrze, jeśli tego nie zrobi. Dlatego musiała wrócić do Rhode Island. Ta decyzja dojrzewała w niej od lat.

No i dopisało jej szczęście. Poznała Dylana Chadwicka, rozmawiała z nim o jego „bratanicy”. O Chloe.

— Chloe — powtórzyła szeptem w ciemnym aucie
— Chloe...

ROZDZIAŁ 7

Może to wizyta w liceum i spotkanie z dawnym profesorem przeniosły Jane w przeszłość, a może wpłynęła na to rozmowa z Dylanem Chadwickiem. To, że nazywał Chloe swoją bratanicą i tak naturalnie wymawiał jej imię, nadało realny wymiar i samej Chloe, i temu wszystkiemu, co się zdarzyło przed laty.

Bywały chwile, gdy Jane zadawała sobie pytanie, czy wszystko to nie było snem. Czy naprawdę zaszła w ciążę i urodziła córkę? Stało się to tak dawno... Tak właśnie o tym myślała: stało się. Jakby było to coś, co działo się bez jej woli, coś, na co sama nie miała większego wpływu. Po prostu nadszedł taki moment, gdy przestała decydować o swym losie.

Ale nie, nie była to cała prawda. O pewnych sprawach mogła decydować, czemu więc tego nie zrobiła? Bo za bardzo kochała. Nie dało się temu zaprzeczyć, choć wygodniej byłoby o tym nie pamiętać. Kochała tego chłopca, ojca Chloe. Kochała swe nie narodzone dziecko. Kochała nawet matkę, choć była to miłość zaprawiona chwilami nienawiścią. Czyż mogła jej jednak nie kochać? Matka przecież pragnęła wyłącznie jej dobra.

Teraz przeszłość zaczęła nawiedzać ją w snach. Śniła o chłopcu, który był jej pierwszą miłością. Nazywał się Jeffrey Hayden. Miał brązowe kędzierzawe włosy, a jego oczy... zawsze czaił się w nich smutek. Pokochała go w jednej chwili, od pierwszego wejrzenia. Było to we wrześniu, gdy dopiero co

zaczęła studia. Obładowani książkami, zderzyli się ze sobą na schodach gmachu Horacego Manna. Oboje bardzo się spieszyli na spotkanie z profesorami.

Zderzenie było tak silne, że Jane zobaczyła wszystkie gwiazdy, a książki obojga utworzyły bezładną stertę. Kiedy uniosła powieki, klęczał przy niej chłopak w kraciastej koszuli i troskliwie dotykał jej czoła.

— Jak się czujesz? — spytał niespokojnie.

— Dobrze, a ty?

— Kiepsko, bo masz rozcięty łuk brwiowy.

Jane zaczęła się śmiać.

— Mnie krwawi łuk brwiowy, a ty źle się czujesz?

Bez uśmiechu pokiwał głową. Sięgnął do kieszeni swych wymiętych spodni w kolorze khaki i wydobył z nich białą, idealnie złożoną chusteczkę. Jane natychmiast przyszła na myśl Sylvia, która miała istną obsesję na punkcie takiego składania bielizny, żeby nic nie wystawało nawet na milimetr. To właśnie przez tę chusteczkę spojrzała mu głęboko w oczy.

Kiedy zaczął wycierać jej krew płynącą z rozciętego czoła, nawiedziła ją fala gwałtownych emocji. W jej życiu mężczyźni stanowili rzadkość. Odkąd odszedł ojciec, otaczały ją same kobiety, poczynając od matki, kończąc na pediatrze. Nieśmiała z natury i zajęta wyłącznie nauką, nigdy nie miała chłopaka, którego by mogła nazywać „sympatią”. Nie przypominała sobie, aby jakkolwiek osobnik płci męskiej był dla niej tak miły, by okazał jej aż tyle troski.

Miał tak delikatne palce... Gdy ujął ją za policzek, a drugą ręką zaczął ocierać krew z czoła, przeniknął ją dreszcz. Topniała pod jego dotykiem.

— Myślę, że trzeba by to zszyć — powiedział po chwili.

— Och nie, przecież to drobiazg... — zaczęła protestować i urwała. Z wrażenia zabrakło jej tchu.

— Boję się, że możesz mieć bliznę, jeśli ci tego nie zszyją. Nie zniósłbym myśli, że to przeze mnie. Ze zostawiłem ci taką pamiątkę.

— Nie będzie żadnej blizny. — Uśmiechnęła się do niego całą twarzą. Teraz dopiero dostrzegła złociste punkciki w jego niebieskich oczach. Och, ale czemu wydaje się taki zmart-

wiony? — Wszystko się zagoi — dodała. — Twarda ze mnie zawodniczka.

— Skoro tak mówisz... — odrzekł bez przekonania, po raz pierwszy jednak zobaczyła jego uśmiech.

Pozbierali rozrzucone książki, uściśli sobie ręce — po czym każde poszło w swoją stronę.

Dopiero po powrocie do swego mieszkania przekonała się, że brakuje jej jednej pozycji — były to „Mity od średnio-wiecza do postmodernizmu” — ma natomiast w torbie jego „Historię krytyki literackiej”. Na pierwszej stronie widniał podpis: „Jeffrey Hayden, Wayland” — i w ten oto sposób poznała jego nazwisko. Trudniej było ustalić, gdzie mieszka. Później się okazało, że na George Street; jej akademik stał na Littlefield, mieszkali więc niemal po sąsiedzku.

Prawie przez dwa dni nosiła przy sobie jego „Krytykę”, nim wreszcie go zobaczyła: siedział przy stoliku w refektarzu Sharpe'a, w towarzystwie paru kolegów. Gdy wręczyła mu książkę, on wyjął z teczki jej „Mity”. Popatrzyli na siebie i zaczęli się śmiać: miał takiego samego guza jak ona.

Zrobił jej miejsce obok siebie i razem zjedli posiłek. Zaczęli uczyć się razem. Oboje za główny przedmiot wybrali literaturę i język angielski. Jane chciała pisać i uczyć w liceum, Jeffrey myślał o karierze uniwersyteckiej. Zdaniem Jane bardzo słusznie. Od samego początku podziwiała jego błyskotliwość, on jednak zawsze protestował, gdy mu to mówiła, utrzymując, że nie może się nawet z nią równać; to ona góruje nad nim intelektem i bystrością sądów. Podniósłszy kiedyś wzrok znad lektury „Beowulfa” — a może był to „Sir Gawen”? — spostrzegła, że Jeffrey wpatruje się w nią jak w tęczę.

— Czemu tak mi się przyglądasz?

— Studiuję — odrzekł.

— Wcale nie. Gapisz się na mnie.

— Literatura to podobno obraz dziejów świata, a dla mnie całym światem jesteś ty.

Wtedy jeszcze nawet jej nie pocałował. Pocałunki...

Właśnie o tym śniła po piętnastu latach w swoim dawnym pokoju w Twin Rivers. O pocałunkach Jeffreya. Tak czułych i tak delikatnych...

Leżała na plecach na swym wąskim łóżku, a on coś czytał przy biurku. Przez okno lało się światło, jakby słońce pod koniec swej dziennej wędrówki usiadło na rosnącym obok żywopłocie. Blask był tak oślepiający, że musiała zasłonić oczy. Z korytarza dobiegała dudniąca muzyka.

Nie wiedziała nawet, kiedy właściwie ukląkł przy łóżku. Guz zdążył już zniknąć mu z czoła — od wypadku upłynął miesiąc — ale oczy miał tak samo smutne jak w dniu, gdy się poznali. Już miała go spytać, czym się tak martwi, gdy ujrzała nad sobą jego usta.

Wargi miał wąskie, lecz pełne i jędrne. Kiedy musnął dłonią jej policzek, przypomniała sobie zderzenie na schodach i jego palce na twarzy... ich dotyk czuły jak pieśczoła. To wspomnienie było jak iskra... wywołało pożar w jej ciele. Wtedy właśnie ją pocałował.

Sen przypomniał jej wszystkie szczegóły. Pochylił się nad nią i zaczął zasypywać pocałunkami leciutkimi jak skrzydło motyla. Nie dotykał jej w tym momencie ani ona jego, chłonęła tylko ciepło jego ust na swoich, lecz po chwili jej wygięte w łuk ciało zapragnęło nagle czegoś więcej...

Dotknęła jego ramienia, prześlizgując się dłonią po napiętym mięśniu pod krótkim rękawem niebieskiej koszuli. W półcieniu to ramię wydawało się opalone, choć w rzeczywistości miał skórę tak białą jak ona. Ogień płonął w niej coraz gwałtowniej. Zamknęła oczy, ale zaraz je otworzyła, aby się upewnić, że istnieje, że nie spłonęła na popiół. Gdy poczuła w ustach jego język, wszystko inne przestało się liczyć. Sprawa była przesądzona — zakochali się w sobie bez pamięci.

Mieli z sobą wiele wspólnego. On pochodził z Oceanside na Long Island, ona z Twin Rivers w Rhode Island. Oboje pragnęli się uczyć. Kochali swoją uczelnię prawie jak siebie nawzajem. Razem chodzili na mecze futbolowe, mimo że ich drużynie nie szczęściło się jakoś w rozgrywkach. Owinięci kurtkami przed chłodem, siedzieli na stadionie wśród tłumu kolegów wrzeszczących ile sił w płucach: „Naprzód, Bruno! Hej, Bruno, do boju!” — lecz oboje byli zbyt nieśmiali, by przyłączyć się do tego chóru.

Ich sytuacja rodzinna... Tu widać było różnice. Jane pochodziła z rozbitej rodziny — miała tylko matkę i siostrę, podczas gdy Jeffrey miał trójkę rodzeństwa — dwie siostry i brata — jego ojciec był wziętym lekarzem, a rodzice obchodzili właśnie srebrne gody. Gdy nadeszło Święto Dziękczynienia, Jane zalewała się łzami — musieli się rozstać aż na cztery dni!

Jeszcze trudniej im było przetrwać rozłąkę z okazji Bożego Narodzenia, toteż mimo że oboje uwielbiali swych bliskich, spędzili w domu tylko tyle czasu, ile wymagała przyzwoitość. Wrócili do Providence natychmiast, gdy otwarto znów akademiki.

Zaczęli już wtedy regularnie uprawiać seks. Było to cudowne. Jane jako katoliczka miała z tego powodu lekkie wyrzuty sumienia. Matka latami wbijała jej w głowę jak credo, że przyzwoita dziewczyna powinna zachować cnotę do ślubu i Jane w głębi duszy uznawała ten nakaz za słuszny. Tylko że tak bardzo kochała Jeffreya, a on ją! Wydawało jej się rzeczą nie do pomyślenia, aby któreś z nich dwojga mogło kiedykolwiek poślubić kogoś innego. Mieliby przestać się kochać?

Nie, sama myśl o rozstaniu przeczyła wszelkiej logice.

W dodatku wykłady z filozofii wpłynęły na jej poglądy, zmieniając je w taki sposób, jaki dawniej byłby dla niej nie do przyjęcia z powodów kulturowych, religijnych, a zwłaszcza środowiskowych. O miłości i seksie zaczęła teraz myśleć innymi kategoriami, dochodząc na koniec do wniosku, że w całej tej sprawie jedynym problemem jest czas, czy ściślej mówiąc, kolejność wydarzeń, która w ich wypadku nie ma żadnego znaczenia. Bo skoro się kochają i nic nigdy nie zmieni ich uczuć, to co za różnica, kiedy rozpoczną współzycie — przed czy po ślubie? Ważny jest sam związek. Ważna jest miłość.

Czym wobec tego jest seks? Cudownym pomostem łączącym ciała i umysły. Gdy Jeffrey brał ją w ramiona, słowa nie były potrzebne. Mówiły ich ciała, ich skóra. Wszystko w Jeffreyu — jego usta, ramiona, jego penis — krzyczało o jego miłości. Czowała ją w sutkach, w koniuszkach palców rąk i nóg.

Słowo „żyć” nabrało nowego znaczenia. Życie eksplodowało istną feerią doznań. Wszystko wydawało się barwniejsze, ciekawsze, bardziej intensywne. Muzyka nabrała treści i głębi, każda opowieść literacka stawała się odbiciem ich przeżyć i uczuć. Kluczem do tego wszystkiego był seks; to on pootwiera! przed nią nowe światy.

A matka tak ją przestrzegała przed seksem i przed mężczyznami! Jane i Sylvia całymi latami nasiąkały jej rozczarowaniem, goryczą i żalem. No cóż, ze swego punktu widzenia pewnie miała rację, ale przecież nie wszyscy są tacy jak ojciec, a Jeffrey z pewnością jest inny! Jane wprost nie mogła doczekać się chwili, kiedy przedstawi go siostrze. Sylvia przekonała się wtedy, jak bardzo myliła się matka, potępiając hurtem wszystkich mężczyzn.

Jej wydawało się teraz, że każda historia miłosna, jaką kiedykolwiek opisano, jest opowieścią o Jane i Jeffreyu. Czyż nie tak samo kochali się Pyram i Tyzbe albo Romeo i Julia? Obie te historie kończyły się wprawdzie tragicznie, Jane była jednak pewna, że z nimi będzie inaczej. W opowieści o Jane i Jeffreyu nie mogło być miejsca na żadną tragedię.

Tak minął pierwszy rok studiów i zaczął się drugi. Świadomi ryzyka niechcianej ciąży, od początku używali wszelkich możliwych środków ochronnych. Jane zaczęła brać pigułki, a Jeffrey używał prezerwatyw, dopóki hormony nie zaczęły działać. Od tych pigułek przybrała trochę na wadze — ku radości Jeffreya, który wprost uwielbiał jej pełniejszy biust, twierdząc, że jest teraz niesłychanie sexy. Musiała sobie kupić o numer większe staniki.

Sama nie lubiła jednak swoich nowych kształtów. W dodatku bolały ją sutki, a dżinsy zaczęły niemile uwierać, szczególnie w talii i w udach. Po jakimś czasie poszła więc do lekarza, który dopasował jej diafragme. Jeffrey całkowicie poparł jej decyzję i na wszelki wypadek zaczął na powrót używać kondomów. Drobnym dysonansem mącąym nieco jej szczęście był negatywny stosunek Kościoła katolickiego do wszelkich form antykoncepcji z wyjątkiem naturalnych, Jeffrey jednak potrafił rozproszyć jej wątpliwości. Te poglądy, dowodził, to relikwiny z czasów patriarchy, gdy o losach plemienia decy-

dowała liczebność. Nie wyobrażaj sobie, że łamiąc ów zakaz, jesteś zła czy nawet okrutna. Jesteś najlepszą istotą na świecie, uwierz w to, Jane. Polegaj na sobie i swoich sądach.

Pokochała go za to jeszcze bardziej. Dla niej antykoncepcja była po prostu środkiem pozwalającym kobiecie cieszyć się własnym ciałem, a co jeszcze ważniejsze, wyrazić swą miłość mężczyźnie — wybranemu na całe życie.

Na drugim roku zmieniła kwaterę. Mieszkała teraz z dwiema koleżankami na Wriston Quad, a Jeffrey wraz z trzema chłopakami w budynku Morrissa-Champlina. Sypiali na zmianę u niego lub u niej. Umówili się, że w przyszłym roku zamieszkają razem — w budynku koedukacyjnym. Jane od pewnego czasu pracowała dorywczo w refektarzu Sharpe'a i kiedy pieczono tam ciasto, zawsze udawało jej się zachować kawałek „spodu”, z którego robiła potem małą tartę dla ukochanego — z owocami lub z galaretką.

Zaczęli układać plany na przyszłość. Trzeba było podjąć decyzję o wyborze specjalizacji i o tym, kiedy wziąć ślub: przed magisterium Jane czy już po. Jeffrey zamierzał robić doktorat, tak długo jednak nie chcieli czekać. A potem...

Odkąd Jane poznała Dylana Chadwicka, zaczął nawiedzać ją sen o Chloe, o jej poczęciu. Tak żywy i pełen kolorów jak owa pamiętna noc pod gwiazdami.

Była to noc tradycyjnej wiosennej zabawy organizowanej co rok w końcu maja pod hasłem „Cały kampus tańczy”. W piątek przed poniedziałkowym rozdaniem dyplomów cały teren uczelni przekształcano w wielką salę balową pod gołym niebem, rozjarzoną światłem sześciu setek barwnych lampionów.

Wypełniał ją gęsty kolorowy tłum: absolwenci drugiego roku, szczącący się już teraz stopniem bakalarza, ich rodziny, młodszy i starsi koledzy, dawni wychowankowie uczelni, wśród których nie brak było osób starszych od dziadków Jeffreya i Jane, i całe szacowne grono profesorskie. Wszyscy przybyli na tańce, które miały trwać aż do rana. Różnicom wieku dorównywała różnorodność strojów — od sukien balowych i smokingów do hawajskich koszul i sarongów. Jane wystąpiła w prościutkiej czarnej sukience, która pozostała jej po balu

maturalnym, Jeffrey miał na sobie smokingową marynarkę ojca, a pod nią swoją kraciastą koszulę.

Tańczyli do upadłego. Na głównym trawniku przy muzyce Duke'a i Ezoteryków, na Lincoln Field przy dźwiękach studenckich orkiestr, a potem poszli posłuchać jazzu pod wieżą Carrie. Jane promieniała szczęściem. Była z ukochanym mężczyzną, w otoczeniu, w którym się poznali, w którym czuli się na swoim miejscu. Czyż mogła sobie wymarzyć coś bardziej romantycznego?

— Chodź, chcę cię gdzieś zaprowadzić — szepnęła Jeffrey. Nie wypuszczał jej z objęć, jakby musiał bez przerwy czuć ją blisko siebie.

— Dokąd idziemy?

— Zobaczysz. To miejsce przeznaczył nam los — odrzekł enigmatycznie. — Trzeba będzie mu tylko zmienić nazwę.

Nie miała pojęcia, dokąd ją prowadzi. Przecięli na ukos pełen gwaru i muzyki główny trawnik, otoczony przez stare neoklasyczne budowle z ciemnoczerwonej cegły. Tylko wieża Carrie — nazwana tak na pamiątkę czyjejś żony, a może córki? — wyglądała zupełnie jak włoska dzwonnica. Frontowy trawnik, na którym stała, otaczało masywne ogrodzenie z kutego żelaza, zamknięte bramą Van Wickle'a. Otwierano ją tylko dwa razy w roku: żeby wpuścić pierwszoroczników i pożegnać absolwentów. Przebiegli obok „Rocka”, imponująco nowoczesnej Biblioteki Johna D. Rockefellera, gdzie oboje spędzili setki godzin — na lekturze w ogólnej sali i namiętnych pocałunkach w przydzielonych im pomieszczeniach* — przeszli przez George Street i tutaj Jeffrey przystanął.

— Jesteśmy na miejscu — oznajmił uroczyście, takim gestem wskazując kwadratowy czerwony budynek, jakby ofiarowywał swej wybrance co najmniej kawałek nieba. — Oto Wydział Filologii Angielskiej imienia Jane i Jeffreya Porter-Haydenów.

— O ile mi wiadomo, to wciąż jeszcze budynek Horacego Manna — roześmiała się Jane.

* W amerykańskich bibliotekach uniwersyteckich studenci mają wydzielone pomieszczenia do indywidualnej lektury (przyp. tłum.).

— A któż to jest ten Horacy? Czy to ten, co wygłosił mowę pożegnalną w imieniu absolwentów swojego rocznika? To był rok 1819! Dziś mamy inne czasy. Tak więc nic nie ujmując jego oratorskim talentom, wiedzy i wszelkim możliwym zasługom, uważam, że ten budynek powinien mieć inne, o wiele ważniejsze powody do chwały.

— Na przykład jakie? — spytała Jane, wpatrując się z miłością w jego złościście nakrapiane oczy. Kiedy ujął jej twarz w obie dłonie i obdarzył ją czułym uśmiechem, po raz pierwszy odkąd się poznali, nie dostrzegła w tych oczach strapienia.

Z głównego trawnika napłynęła właśnie wiązanka znanych melodii, od „Moon River” do „Keep on Rocking in the Free World”, budząc w obojgu falę czułych wspomnień. Jeffrey przyciągnął ją do siebie i zaczęli tańczyć.

— Tym powodem jesteśmy my — szepnął jej do ucha. — Poznaliśmy się tutaj, prawda?

Oboje wybuchnęli śmiechem.

Pocałował ją w usta, a potem pogładził po czole identycznym gestem jak po tym zderzeniu na schodach. Ona zrobiła to samo i znowu zaczęli się śmiać. Jeffrey pociągnął ją na schody. Budynek miał dwa wejścia, co samo w sobie było ciekawostką. Zanim stał się siedzibą wydziału anglistyki, mieścił się w nim pierwszy koedukacyjny akademik Ivy League — z osobnymi wejściami dla mężczyzn i kobiet.

Jane ot, tak sobie nacisnęła klamkę i ku ich zdumieniu drzwi otworzyły się na oścież. W pierwszej chwili chcieli się wycofać, zwyciężyła jednak ciekawość. Czyżby jakiś profesor aż tak się zasiedzia! A może ktoś zapomniał zamknąć drzwi? Chichocząc cicho, wkroczyli do środka.

W holu było ciemno. Odgłos ich kroków odbijał się echem od pustych ścian, mieszając się z dźwiękiem muzyki Duke'a. Cienie wielkich drzew padające na ściany przez wysokie okna nadawały całemu wnętrzu jakiś niesamowity, surrealistyczny wygląd.

— Ależ z nas gagatki! — szepnął Jeffrey, całując ją w szyję.

— My?

— Wszyscy bawią się i tańczą, a my? Co my wyprawiamy w tych czcigodnych murach? — Psotnym gestem szarpnęła za

suwak przy spodniach, a Jane z nagłym dreszczykiem emocji wyciągnęła mu z nich koszulę. Przycisnęła ją do ściany i zaczął całować, mocno i namiętnie, a ją zalała tak gwałtowna fala podniecenia, że z trudem chwyciła oddech.

Nigdy jeszcze nie kochali się w miejscu publicznym, była to więc dla nich nowość, równie ekscytująca, co skandaliczna. Jane była pewna, że nikt z ich kolegów też nigdy tego nie robił. A co by powiedziała na to jej matka?

Podniecona własną odwagą, pozwoliła Jeffreyowi pociągnąć się w jakieś drzwi i tak znaleźli się w pustym sekretariacie. Jeffrey zdjął ojcowską marynarkę i razem z kraciatą koszulą rzucił na chińską matę leżącą za wielkim biurkiem. Gdy łagodnie ułożył tam Jane, popatrzyła na niego z lekkim wahaniem.

— Masz przy sobie... no wiesz co? — spytała.

— Nie, nie przyszło mi to na myśl. A ty?

— Och nie! — zachichotała. — Trudno nosić z sobą coś takiego.

Znów ją pocałował. Wpatrywał się w nią z namysłem, lecz to wieczne zmartwienie na dobre zniknęło mu z oczu.

— Jak myślisz, czy to bezpieczny okres?

— Nie wiem. W matematyce jestem kiepska.

To znów pobudziło ich do śmiechu. Jane próbowała obliczyć, jak to z nią jest, ale nie bardzo wiedziała, co można uznać za „bezpieczny okres”. Większość dziewczyn twierdziła, że w ciążę zachodzi się w środku cyklu, ale jedna z jej współlokaterek przysięgała, że ma znajomą, która kochała się podczas miesiączki — i straciła ją potem na dziewięć miesięcy. Zamknawszy oczy, próbowała sobie przypomnieć kiedy to ostatnio miała okres — niestety, bez skutku. Nigdy jakoś nie zwracała na to uwagi.

— Przecież to tylko raz — szepnęła Jeffrey.

— Ale...

— Kocham cię, Jane.

— Ja też cię kocham.

Czy można było oprzeć się tym słowom? Niosły w sobie ważniejsze treści niż wszystkie opasłe tomy zgromadzone w murach tej uczelni. Miłość była przecież najważniejszą rze-

czą na świecie. Była czymś większym niż kosmos. Dla Jane była wszystkim, co nadawało treść życiu. Zawładnęła całym jej sercem, wzięła ją do nieba, kazała iść za sobą wszędzie i zawsze. Przepełniała każdą sekundę istnienia.

Zamknęła oczy, kiedy w nią wszedł, gdy poczuła go głęboko w sobie. Chyba jeszcze nigdy nie była taka wilgotna. Czy jakakolwiek para kochanków potrafiła dać sobie tyle szczęścia? Czują fałę rozkoszy biegnącą z owego sekretnego punktu — wprost do serca. Zupełnie jakby przeszła ją strzała. Teraz dopiero nabrał dla niej sensu mit o Kupidynie.

Strzała sięgnęła celu.

Tej nocy Jane zaszła w ciążę.

Wiedziała o tym już w chwili, gdy się to stało. Nie mówiła nic Jeffreyowi, bo chciała być pewna. Myślała, że ogarnie ją przerażenie, gdy już uzyska tę pewność, ale nie, to co czuła, wcale nie było strachem.

Pokochała to dziecko.

Natychmiast i całym swym jestestwem. Tak jak pokochała jego ojca, nie, jeszcze mocniej. Było jej częścią, a ona jego. Nie potrafiła zrozumieć, jak takie uczucie może w ogóle istnieć, więc jak by je mogła komuś wytłumaczyć?

Dlatego nic nie mówiła, przynajmniej z początku. Po nocy tańców w kampusie zaczęły się kolejne uroczystości: wielki koncert muzyki pop, rozdanie dyplomów, a potem tradycyjna procesja absolwentów, podczas której po raz drugi w tym roku akademickim otwarto bramę Van Wickle'a. Jeffrey szykował się do wyjazdu: miał pracować latem w Nowym Jorku jako asystent któregoś z profesorów Columbi; Jane wybierała się do Twin Rivers, gdzie matka załatwiła jej pracę w piekarni swojej kuzynki. Z Jeffreyem miała spotkać się znowu we wrześniu, gdy powróci na uczelnię wraz z Sylvia, którą właśnie przyjęto na studia.

Przy pożegnaniu oboje płakali, trzymając się w ciasnym uścisku. Żadne nie podejrzewało, że widzą się po raz ostatni — przynajmniej jako para.

W tych snach o przeszłości nawiedzających ją teraz co noc w domu matki płakała tak rozpaczliwie, że poduszka była

mokra od łez. Budziła się objęta ramionami, jakby chciała zatrzymać w sobie to wszystko, co przeżyła na jawie i we śnie, złożyć na powrót w całość rozproszone fragmenty trzech ludzkich istnień.

Którejś nocy do jej pokoju cicho wsunęła się Sylvia. Chłodny blask księżyca sączący się do wnętrza przez wciąż jeszcze bezlistne konary rosnących za oknem drzew oblewał pokój niebieską poświatą, wśród której jasną plamą rysowała się postać Sylvii w długiej białej koszuli. Jane ciągle jeszcze nie pozbyła się resztek swego snu. Wciąż czuła się tak, jakby wyrwano jej serce, jakby jej przeszłość była dziką bestią, która pożera ją żywcem.

Sylvia ujęła ją za rękę, co wywołało nowy atak płaczu.

— Przestań o tym myśleć, Jane. Daj wreszcie spokój przeszłości.

— Nie mogę.

— Możesz. To minie, jeśli tylko na to pozwolisz.

— Nie, Sylvio, to niemożliwe.

— Przestań się zadrećzać. Robisz to za każdym razem, kiedy przyjeżdżasz do domu.

Jane wlepiła oczy w twarz siostry, czując, że oddech powoli jej się uspokaja. Nareszcie się obudziła, sen się skończył. Ale czy rzeczywiście? Ten sen tak naprawdę nigdy się nie kończy.

Gdybyż Sylvia wiedziała, jak to jest, myślała, zamykając oczy. Wyrwano jej kawałek serca, żeby błąka! się sam po świecie. Ta żywa, wydarta jej cząstka mieszka teraz na skraju sadu, lubi ciasto z jabłkami i nosi imię, które nadała jej prawdziwa matka.

Ten kawałek serca ma na imię Chloe.

ROZDZIAŁ 8

Był słoneczny sobotni ranek. W rześkim powietrzu unosił się świeży zapach łąk i mokrej farby, na gałęziach jabłoni widać było mnóstwo nabrzmiątych różowych pączków, z których lada moment mogły wystrzelić śnieżnobiałe kwiatki. Minął już tydzień od chwili, gdy Chloe zaczęła odnawiać stoisko. Poświęciła na to całą poprzednią sobotę i większość wolnego czasu w ciągu zeszłego tygodnia.

Dylan pozwolił jej wybrać kolory, malowała więc teraz ładę na niebiesko z leciutkim odcieniem turkus, takim samym, jaki miały jajka znoszone przez kury rasy araukańskiej. Półki miały być żółte — w kolorze kwitnących jaskrów.

Ubrała się do tej pracy w drelichowy owerol, niebieską bawełnianą koszulkę oraz stare pantofle gimnastyczne. Całość uzupełniały srebrne kolczyki w kształcie kółek, które co chwila wplątywały jej się we włosy. Te włosy! Niecierpliwym gestem odgarnęła z twarzy proste nieposłuszne pasma; powinna była wziąć jakąś czapkę. No cóż, brakowało jej wprawy w malowaniu — i było to po niej widać. Przez policzek biegi jej rozprysnięty zygzak, ręce miała niebieskie od farby, ale tego, co trzeba, to draństwo nie chciało się chwytać! Żeby jako tako pokryć te stare chropowate deski, trzeba było zdrowo się namachać, a trwało to w nieskończoność.

Rodzice demonstracyjnie powstrzymali się od wszelkich uwag na temat całej operacji, ale łatwo było wyczuć, co myślą. Zdaniem ojca, który wychował się na farmie i jako chłopiec

pomagał w sadzie swemu ojcu — a było co robić na tych stu akrach! — sprzedawanie jabłek na przydrożnym stoisku było dla jego córki straszną degradacją w porównaniu z pracą w „SaveRite”. On sam zrobił wszystko, żeby wyrwać się z farmy. Ukończył College Rogera Williama i został najpierw rzeczoznawcą ubezpieczeniowym, a później na tyle dobrym agentem, żeby nikt z jego rodziny nie musiał pracować na roli.

Chloe bolała nad jego niechęcią do sadu. Dwa lata temu, gdy rodzice obchodzili srebrne gody, postanowiła uczcić tę rocznicę na swój sposób: zorganizować dla nich przyjęcie z tańcami w stodole wuja Dylana. Obmyśliły to na spółkę z Moną, ale że miały wtedy zaledwie po trzynaście lat, potrzebna im była pomoc kogoś dorosłego. Dylan był wciąż jeszcze tak pogrążony w żałobie, że nie bardzo się do tego nadawał, Chloe wyjawiała więc matce swój plan.

Och, jakże się ucieszyła! Chloe patrzyła na nią ze zdumieniem: z tymi rumieńcami na policzkach wyglądała zupełnie jak młoda dziewczyna! I tak mocno ją uściskała. Wspólnie sporządziły listę gości. Chloe na jej czele umieściła dwie swoje babcie i brata mamy z żoną (mieli przyjechać z Portland), a mama dopisała nazwiska rotariańskich przyjaciół ojca i swoich znajomych z klubu ogrodniczego.

Wykonała również piękne zaproszenia. Widniało na nich wewnątrz stodoły udekorowane mnóstwem kolorowych chorągiewek, wśród których błyszcząły małe białe światełka. Chloe widząc to, uznała, że tak właśnie trzeba przyozdobić zaimprovizowaną salę. Kosztowało to sporo zachodu, ale efekt był tego wart. Wieczór udał się wprost niebywale i prawie nic nie kosztował. Mama przygotowała kilka rondli smakowitych potraw, do picia było mnóstwo domowego jablecznika, a muzykę puszczał jeden z klubowych przyjaciół ojca, który w wolnych chwilach bywał dyskdzokejem. Goście tańczyli do białego rana. Gdy Chloe i Mona w pewnej chwili poczuły się zmęczone, wdrapały się na stryszek i zasnęły tam sobie na sianie.

Może gdyby rodzice mieli więcej takich miłych wspomnień, ich stosunek do sadu by się zmienił... Pod wieloma względami potrafili być fantastyczni, ale pod innymi — szkoda mówić!

Sad trzeba sprzedać — i koniec! Dla Chloe i wuja Dylana było to nie do przyjęcia; za bardzo kochali te drzewa.

Dylan pracował dziś przy nich od rana. Sądząc po odgłosach silnika, holował młode drzewka na miejsca, gdzie je zamierzał posadzić. Raz nawet przejechał obok swoim zielonym traktorem na wielkich jasnożółtych kołach, mrugających w ruchu jak czyjeś gigantyczne oczy. Pomachał do niej, a ona zaczęła się śmiać, bo w tych ciemnych okularach na nosie wyglądał zupełnie jak szpieg, który udaje farmera.

Nawet się nie uśmiechnął, gdy mu to powiedziała, a przecież był kiedyś najweselszym człowiekiem w świecie, choć nosił wtedy tę swoją odznakę i rewolwer. Obie z Isabel uważały, że jest super; żadna z ich koleżanek nie miała tak fajnego taty ani wujka. Czyż można było sobie wyobrazić, że kiedyś zostanie farmerem? Chybaby pękły ze śmiechu, gdyby im ktoś to powiedział.

Która to godzina? Chloe nie wzięła dzisiaj zegarka, bo nie chciało jej się czyścić go znów z farby. Czekala na Monę, która przyrzekła jej pomoc. Och, niechby już przyjechała! Te odgłosy mokrego pędzla szorującego po drewnie zaczynały doprowadzać ją do wariacji. Było to coś niesamowitego — ten pędzel mówił! Nie, nie słowami, lecz rytmem znanej melodii, pod którą jakby sam z siebie podkładał się głupi tekst: „Strasznie mi się nudzi, a tobie? Czy te koty wiedzą, co ja dla nich robię? Araukańskie kury jedzą dużo ziarna, ale za to śliczne znoszą jajka”.

Gdyby tylko mogła z kimś porozmawiać...

Zaledwie tak pomyślała, gdy jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki na drodze ukazał się stary granatowy samochód, który po chwili, o dziwo, zatrzymał się przy stoisku. Kto to może być?

Za kierownicą siedziała jakaś pani w ciemnych okularach i odlotowej skórzanej kurtce. Zaczesane do tyłu ciemne włosy przewiązane miała przepaską z długiego niebieskiego szala. Chloe uznała, że jest bardzo ładna.

Widząc, że kobieta nie spuszcza z niej wzroku, zaczęła się zastanawiać, czy kiedyś już jej nie spotkała. Wydawało jej się, że tak, nie mogła sobie tylko uzmysłwić, w jakich okolicz-

nościach. Jakaś dawna nauczycielka? A może znajoma rodziców? Malowała dalej, gotowa natychmiast się uśmiechnąć, gdy tylko ta kobieta da do zrozumienia, że się znają, na przykład wypowie jej imię.

Tamta tymczasem wysiadła z wozu i zaczęła zbliżać się do lady. W ręku niosła koszyk.

— Cześć — powiedziała.

— Cześć — odrzekła Chloe.

— Ładny dziś dzień. W sam raz na przejażdżkę po wsi — zagaiła rozmowę przyjezdna. Była średniego wzrostu, szczupła, ubrana w czarne dzinsy, koszulkę w biało-niebieskie pasy i tę odjazdową kurtkę. Na szyi miała okrągły srebrny medalion zawieszony na czarnej aksamitce. W obu dłoniach trzymała koszyk przykryty kwiecistą serwetką.

— Owszem, bardzo ładny — uśmiechnęła się Chloe — ale ja mieszkam na wsi, więc wolałabym raczej pojeździć sobie po mieście.

— Och, a więc lubisz miasto? — podchwyciła z ożywieniem nieznajoma. — Ja właśnie mieszkam w mieście.

— W Providence?

— W Nowym Jorku.

— O rany! — westchnęła Chloe, z wrażenia odkładając pędzel. Nikt spośród jej znajomych nie mieszkał teraz w Nowym Jorku. Dawniej uwielbiała tam jeździć w odwiedziny do Isabel. Kiedy była tam ostatnim razem, ciotka Amanda zabrała je najpierw na wystawę motyli w Muzeum Historii Naturalnej, a potem na gorącą czekoladę u Sarabeth. A Dylan codziennie po powrocie z pracy zabierał je do restauracji. Znajdowała się na tak wysokim piętrze, że z okna widać było całe miasto, istne morze domów i mostów. Miało się wrażenie, że siedzi się w samolocie. Teraz tej wieży już nie ma...

— Lubisz Nowy Jork? — spytała ta pani.

— Jeździłam tam często, kiedy byłam mała — odrzekła Chloe w zadumie. — Czy nadal jest tam zoo?

— O które ci chodzi? To w Bronksie czy w parku?

— Chyba w parku. Był tam taki zegar z odlanymi z brązu zwierzętami. Pojawiały się, kiedy wybijał godziny.

— To zegar Delacorte'a w Central Parku — odrzekła kobieta. Wydawała się dziwnie uszczęśliwiona. — Więc tam byłaś...

Chloe skinęła głową.

— To zoo nadal istnieje, w Bronksie zresztą też. Lubiłaś tam chodzić?

— Nie podobało mi się, że trzymają tam foki — Chloe zmarszczyła brwi. — Basen jest bardzo ładny, ale to nie miejsce dla fok. One powinny żyć w oceanie.

— Widzę, że masz wiele współczucia dla zwierząt.

Chloe chwyciła znów pędzel.

— I to mnie gubi — wyznała z westchnieniem.

Jej rozmówczyni stłumiła uśmiech.

— Doprawdy?

— Tak. Za bardzo się o wszystko troszcę — stwierdziła samokrytycznie Chloe.

Z całych sił próbowała skupić uwagę na desce, bo ogarnęły ją dziwne emocje, których zupełnie nie mogła zrozumieć i których nie chciała ujawniać przed nieznaną. Może źródłem tych uczuć było wspomnienie o Isabel, a może poruszy! ją los biednych fok?

— Każde zwierzę należy do swego środowiska — podjęła po chwili. — Ludzie wyobrażają sobie, że można oszukać prawa natury, ale to się nigdy nie udaje. Foki potrzebują chłodnych oceanów, lwom najlepiej się żyje w Serengeti, a moim kotom najbardziej odpowiada ten sad.

Nieznaną odchrząknęła jakoś dziwnie, więc Chloe obrzuciła ją szybkim spojrzeniem, tamta jednak odwróciła głowę. Co jej się stało?

— Źle się pani czuje? — zapytała.

— Nie, nic mi nie jest, tylko... widok zwierząt w niewoli budzi we mnie te same uczucia.

Chloe pomyślała nagle, że taka rozmowa z kimś nieznanym to rzecz dosyć dziwna, postanowiła zatem zmienić temat.

— Hm... Nasze stoisko jeszcze nie działa. Trzeba wszystko to raz jeszcze pociągnąć farbą, a potem musimy się zastanowić, co właściwie chcemy tu sprzedawać.

— Tak czy inaczej robisz wspaniałą robotę — uśmiechnęła się ta miła pani.

— Dziękuję.

— Twój wujek mi mówił, że mu pomagasz. Jesteś Chloe, prawda?

— Tak.

— Ja jestem Jane.

Chloe znów poczuła leciutki dreszczyk emocji: dorosła osoba chce być z nią na ty! Kim jest ta Jane? Dziewczyną Dylana? Słyszała niedawno rozmowę rodziców na ten temat. Zastanawiali się, kiedy Dylan znów zacznie spotykać się z kobietami. Od tragedii upłynęły przecież cztery lata. Chloe w dodatku wiedziała, chociaż nigdy się o tym nie mówiło, że wujek i ciotka byli wtedy w separacji. Czyżby więc ta kobieta... Z nowym zainteresowaniem zmierzyła ją wzrokiem.

— Poznałaś Dylana w Nowym Jorku?

— Nie — Jane wydawała się trochę zbita z tropu. — Sądziłam, że mieszka tutaj.

— Tak, ale przedtem, zanim Isabel... Nieważne. Tak, mieszka tutaj.

Chloe poczuła ulgę, gdy Jane zostawiła to bez komentarza. Nie miała ochoty mówić o kuzynce ani o tym, co się z nią stało.

— Poznałam twojego wujka dopiero przedwczoraj na tym przyjęciu w liceum.

— Ach, tak. Zawoził tam moją babcie. Jesteś nauczycielką?

— O nie, jestem cukiernikiem. Wypiekam ciasta. — Jane podsunęła Chloe swój koszyk. Ta zawahała się lekko: ręce miała lepkie od farby, Jane wybawiła ją więc z kłopotu, podnosząc kwiecistą serwetkę.

— O rany! Tarty z jabłkami! — Chloe w życiu nie widziała tak ślicznych, tak wspaniale udekorowanych ciastek. Byto ich cztery; wszystkie złociście brązowe, każde z inną dekoracją. Jedno z jabłuszkiem, drugie z kwitnącym drzewem, trzecie z owocującą jabłonią, czwarte z ptasim gniazdkiem. — Och, są cudowne! Upiekłaś je dla wujka?

— Dla niego i dla ciebie. Zasłużyłaś sobie na to. Którą wybierasz?

— Tę z ptasim gniazdkiem. Wiesz, uwielbiam ptaki i w ogóle wszystkie zwierzęta — wyznała Chloe, patrząc w przejrzyście niebieskie oczy ofiarodawczyni. — Jestem z tego znana. Szczerze mówiąc, właśnie dlatego tu pracuję. Potrzebne mi są pieniądze na specjalną karmę dla całego stada dzikich kotów, które mieszkają w tym sadzie.

Jane pokiwała głową z takim wyrazem twarzy, który Chloe skojarzył się zaraz z wypowiedzianym przez nią wcześniej słowem „współczucie”.

— Bardzo ci dziękuję — powiedziała, szukając wzrokiem Dylana. Nigdzie nie było go widać, choć nadal słyszała warkot silnika. Jane także spojrzała na sad.

— Jest bardzo piękny, a co to będzie, kiedy te drzewa zakwitną! Spójrz na te pączki! Już jutro cały ten obszar będzie wyglądał jak biały obłok. Czuję, że to już jutro...

Chloe też czuła, że włoski na karku zaczynają jej się jeżyć — jak przed burzą. Śmieszne. Słońce świeciło jasno, na niebie nie było ani jednej chmurki. Ale świetnie rozumiała, co Jane ma na myśli.

— Tak to jest wiosną — odrzekła. — Zawsze wtedy na coś czekamy, na coś, co ma się stać.

— Na przykład?

— Na przykład, że z jajek wyklują się ptaszki lub że zakwitną jabłonie...

— Iz góry się na to cieszymy.

— Właśnie.

Uśmiechnęły się do siebie i Chloe poczuła znów tę dziwną iskrę. Zupełnie jakby przeszedł ją prąd — od czubka głowy aż do dużych palców u nóg. W tym momencie na drodze ukazał się drugi już dzisiaj samochód. Jane drgnęła gwałtownie: widać było, że jest przestraszona. Z takim napięciem wpatrywała się w auto, jakby się spodziewała, że wysiądzie z niego ktoś znany, kogo jednak z jakichś powodów wolałaby tu nie oglądać. Widok Mony wyłaniającej się z drzwiczek ojcowskiego volvo sprawił jej wyraźną ulgę. Chloe, zajęta śledzeniem jej osobliwych reakcji, nie zwróciła z po-

czątku uwagi na ubiór swojej przyjaciółki. A było na co patrzeć.

— Zdaje się, że masz pomocnicę — stwierdziła Jane.

— O Boże! — westchnęła Chloe, teraz dopiero obrzucając Monę pełnym podziwu spojrzeniem.

Jej przyjaciółka miała na sobie nieprzemakalne, sięgające aż do ziemi poncho z naciągniętym na głowę kapturem, wielkie gogle nałożone na okulary, a na rękach gumowe rękawice. Drugą parę takich samych podsunęła Chloe.

— Za późno! — Chloe pomachała niebieskimi palcami.

— Okropnie się upaprałaś — skrzywiła się Mona, po czym z uśmiechem zaofiarowała rękawice Jane. — Chce się pani przyłączyć do zespołu?

— Będziecie chyba musiały radzić sobie same — odrzekła Jane, zbierając się do odejścia.

— Nie, nie idź jeszcze! — wykrzyknęła Chloe. Co ja wyprawiam, pomyślała, dziwiąc się samej sobie. — Poznajcie się, proszę. To jest Mona, moja najlepsza przyjaciółka. Mono, to jest Jane.

— Witam, bardzo mi miło — powiedziała Mona.

— Powinam już wracać do domu — zaczęła tłumaczyć się Jane. — Muszę zluzować siostrę, która opiekuje się naszą matką. Należy jej się przerwa.

— Ach tak, wysiadanie przy babci — rzuciła Mona, posyłając Chloe znaczące spojrzenie zza swych wielkich gogli. Chloe, przestraszona, że Jane może się poczuć dotknięta, zaczęła szybko wyjaśniać:

— Obie nasze babcie, Mony i moja, miały w zeszłym roku udar mózgu. Często się nimi opiekujemy.

— Dobrze mieć takie troskliwe wnuczki — uśmiechnęła się nowa znajoma.

Nadjeżdżał Dylan — wyraźnie było to słychać — ale Jane zdążyła już wsiąść do wozu. Chwilę jeszcze siedziała za kierownicą, machając do Chloe przez szybę. Rewanżując jej się, Chloe doznała dziwnego uczucia: coś strasznie ścisnęło ją w gardle. Zupełnie jakby stała w porcie, żegnając kogoś bliskiego przed bardzo długą podróżą. Trudno to było zrozumieć.

— Co jest w tym koszyku? — spytała Mona i nie czekając na odpowiedź, podniosła kwiecistą serwetkę. — Och, cóż za prześliczne ciasteczka!

— To są tarty. Z jabłkami — sprostowała Chloe.

— O, jest i wizytówka! — zawołała Mona, podnosząc do góry mały kartonik.

Chloe dopiero teraz przyjrzała się jej rękawicy. Zdobiły ją wymalowane pierścienie z brylantami oraz szmaragdowa bransoletka. Nie zważając na to, że jej własne palce ociekają farbą, chwyciła wizytówkę, by odczytać napis:

*Piekarnia „Calamity”
512 West 22nd Street
Nowy Jork, NY10011
917-555-6402*

— Myślisz, że jest właścicielką tej piekarni? — spytała Mona.

— Chyba tak.

— „Calamity Jane.” Ciekawe, czy ona wie, co to za postać.*

— Założę się, że wie.

— Jeśli tak, to ma superpoczucie humoru, jak na osobę w jej wieku. Jej kurtka też jest w dechę.

— Hej, dziewczyny, co słyhać? — zawołał Dylan, przekrzykując terkot silnika. Wyłączył stacyjkę i lekko zeskoczył z siodła. — Czy to ustawowa przerwa?

— Była tu twoja znajoma — poinformowała go Chloe. Pokazała mu kosz i wizytówkę, lecz gdy sięgnął po nią, zacisnęła palce.

— O! — westchnął z podziwem na widok zawartości kosza, nadal próbując przejąć kartonik. — Nie wiedziałem, że ona jest z „Calamity”... To najlepsza ciastkarnia w Nowym Jorku. Ładnie z jej strony, że przywiozła nam swoje wypieki. Wspomniałem jej tylko, że mam bratanicę, która szaleje za tartą z jabłkami.

* Calamity Jane (1852—1903), postać historyczna, której temperament i awanturnicze losy sprawiły, że już za życia stała się legendą Dzikiego Zachodu (przyp. tłum.).

— Szaleje za tartą z jabłkami! — Mona wykonała coś w rodzaju tańca świętego Wita.

Chloe wybaczyła jej ten wygląd. Wiedziała, że Mona durzy się w Dylanie i gotowa jest zrobić wszystko, żeby zwrócić jego uwagę.

On tymczasem zwrócił się do niej:

— Zależy ci na tej wizytówce? Chcesz ją zatrzymać?

— Tak, na pamiątkę. Przecież to pierwsza osoba, która odwiedziła nasze stoisko. Wiesz, że właściciele sklepów często zachowują pierwszego zarobionego dolara? Ja tak właśnie potraktuję tę wizytówkę.

— Gdzie się znajduje obszar oznaczony tym kodem? Czyżby to była Alaska? — wtrąciła się Mona.

— To Nowy Jork — dumnie odrzekła Chloe.

— Od cyfr dziewięć-jeden-siedem zaczynają się numery nowojorskich telefonów komórkowych — uściślił Dylan. — I pagerów.

— Cukierniczka na wycieczce — nie przestawała wygłupiać się Mona. — To jak, Chloe? Mam coś pomalować?

— Tu masz pędzel. — Chloe sięgnęła po koszyk. Wybrała sobie tarte z gniazdkiem i wtedy dopiero podsunęła resztę Monie i Dylanowi. Wziął tę z kwitnącym drzewem, Mona natomiast zignorowała ofertę i zabrała się za malowanie. Chloe ugryzła ciastko i z rozkoszy zamknęła oczy. Co za delicje! Spód był kruchy i lekki jak piórko, a jabłka! Można by pomyśleć, że ktoś przed chwilą zerwał je z drzewa.

— Och, ależ to dobre! — westchnął Dylan.

— Pyszne — przytaknęła Chloe. Oczy miała nadal zamknięte. Ciekawe, po co ta Jane przyjechała do Rhode Island? I kiedy chce wracać do Nowego Jorku?

Miała nadzieję, że jeszcze nieprędko.

Jane dojechała do głównej drogi, lecz zamiast skrócić w lewo i wracać do domu, wyłączyła silnik. Czuła, że trzęsą jej się ręce. Wpatrzona w białą linię na czarnym asfalcie, mogła myśleć tylko o jednym.

Właśnie poznała swą córkę.

Chloe ma jej oczy, te same jasnoniebieskie oczy, tak jasne, że prawie szare. I włosy... Spoglądając w lusterko, widziała identyczne proste ciemne włosy i kości policzkowe o takim samym rysunku.

Zdjąwszy lewą rękę z kierownicy, spostrzegła na palcach odrobinę czegoś niebieskiego. Farba. Widocznie odchodząc, niechcący musnęła dłonią jeszcze wilgotną powierzchnię.

Spojrzała na swoje ręce. Były małe i szczupłe. Sylvia i matka miały takie same. Jako nastolatka marzyła o pięknych dłoniach z długimi palcami o długich i lśniących paznokciach. O dłoniach stworzonych do gry na pianinie, noszenia kosztownych pierścionków i wytwornej gestykulacji, jaką widywała w filmach. To samo marzyło się Sylvii. Nie było jeszcze wtedy sztucznych paznokci, które można dziś kupić w każdym salonie kosmetycznym, wycinały więc sobie paznokcie z tektury, żeby się przekonać, jak by to wyglądało.

Teraz polubiła swoje ręce, bo takie ma Chloe: wążutkie nadgarstki, małe dłonie, krótko obcięte paznokcie. Ręce kobiet z rodziny Porterów.

Mijały minuty, a ona siedziała wciąż w wozie. Powinna jechać do domu i zająć się matką — Sylvia wybierała się dziś na kolację z Johnem Dufourem — ale sad był tak piękny, że trudno się było z nim rozstać.

Niosła się z niego woń kwiatów i młodych, rozwijających się liści. Zapach zieleni, aromat krążącego w niej chlorofilu, tak ostry, że czuła go w gardle. Wśród drzew śpiewały ptaki; od czasu do czasu któryś przefruwał z gałęzi na gałąź — jak miętka, brunatno-błękitna smużka.

W głowie kłębiły jej się pytania; dziesiątki pytań bez odpowiedzi. Czego się spodziewała? Co ją tu dzisiaj przyznało? Dlaczego w ogóle przyjechała do Rhode Island, nie wyznaczwszy sobie żadnej konkretnej daty powrotu do Nowego Jorku? Czyżby nie chciała tam wracać? Po co wobec tego zostawiła w drzwiach tę wywieszkę i nagranie w swoim telefonie?

Nie potrafiła na to odpowiedzieć. Może powodem tego wszystkiego był ów dziwny ucisk w okolicy serca, właściwie coś pośredniego pomiędzy uciskiem a bólem. Jakby jakaś dawno

ZATAŃCZ ZE MNA

zasklepią blizna nagle zaczęła się jątrzyć, aby dać jej do zrozumienia, że są rany, które nie goją się nigdy.

Może to był powód, że po piętnastu latach trzymania się z dala od domu nagle zrozumiała, że pora tam wrócić. Tylko że teraz akurat nie była w stanie wykonać najbardziej trywialnych czynności: przycisnąć pedału gazu, włączyć migacza i wyjechać na główną drogę, choć przecież wiedziała, że powinna złuzować Sylvie. Obiecała to siostrze, a teraz tu siedzi jak zaczarowana. Wszystkiemu winien ten sad. To on rzucił na nią czar.

Dlaczego? Na to pytanie i na wszystkie inne istniała tylko jedna sensowna odpowiedź.

Bo tu jest Chloe.

ROZDZIAŁ 9

Margaret powiodła wzrokiem po leżących na łóżku książkach. Dickens, Austen, Christie, Wodehouse, Colwin, Updike, McMurtry, Godden... Przyjaciele i wierni towarzysze. Znała ich wszystkich, a oni ją. Już same okładki wprawiały ją w dobry nastrój — i te stare, pełne rys i pęknięć, i te nowe, niezbyt często jeszcze otwierane. Nowsze miały na obwolutach notki wydawnicze i opinie innych pisarzy, które bardzo lubiła czytać, lecz najbardziej interesowały ją zdjęcia — fotografie autorów tych książek.

Można było dowiedzieć się z nich tylu rzeczy! Tego na przykład, że John Cheever kocha psy, a Laurie Colwin miała kiedyś pasiastą bluzkę i tak zabawnie mrużyła oczy przed słońcem. Interesowało ją wszystko, co dotyczyło tych ludzi; och, gdybyż mogła ich poznać!

Z cichym westchnieniem położyła na kolanach „Szczęście rodzinne” Laurie Colwin. Postacie tworzone przez tę autorkę wywodziły się zawsze z kochających rodzin, więc gdy nawet wytykały sobie błędy, robiły to spokojnie i z wielką czułością.

— Jane! — zawołała. — Jane!

Odpowiedzi nie było. Margaret słyszała, że Jane jest na strychu i przetrząsa tam jakieś pudła. Bóg raczy wiedzieć po co. Ona tymczasem przeczytała właśnie w „Szczęściu rodzinnym” prześliczny dialog pomiędzy jedną z bohaterek imieniem Wendy a jej córką Polly i miała ogromną ochotę odtwo-

rzyć go teraz — po niewielkich modyfikacjach — w swojej rozmowie z Jane.

— Jane! — zawołała głośniej.

Po chwili jej córka stanęła w drzwiach. Ręce miała brudne po łokcie, a na jej czarnych dżinsach i purpurowej koszulce z wizerunkiem jakiegoś ciastka osiadły liczne kłębki kurzu, jednakże to nie one sprawiły, że Margaret z niechęcią zaciśnęła usta. Denerwował ją srebrny medalion wiszący na szyi Jane.

— Co ty tam robisz, kochanie? — zapytała. — Sylvia poszła wreszcie na randkę, myślałam więc, że razem spędzimy ten wieczór, a tymczasem ty mnie opuszczasz.

— Wreszcie poszła na randkę? — powtórzyła Jane, unosząc brwi.

— No tak, z Johnem Dufourem.

— Wiem, z kim poszła. Dziwię się tylko, że mówisz o tym w taki sposób, jakby była jakimś kocmołuchem, którego ktoś z łaski zaprasza na randkę. A jest przecież całkiem inaczej. Twoja młodsza córka to bardzo inteligentna i piękna kobieta, a John Dufour kocha się w niej do szaleństwa.

— Och, Jane, źle mnie zrozumiałaś! — zawołała Margaret. — Chciałam tylko powiedzieć, że jest strasznie obowiązkowa i nie pozwala sobie zostawić mnie samej nawet teraz, gdy ty jesteś w domu. A jeśli chodzi o Johna... kiedy go tutaj zaprasza, grają po prostu w scrabble...

— Mówisz, że siedzi w domu, ponieważ mi nie ufa? — uśmiechnęła się Jane.

— Och nie, nic podobnego! Nie bądź taka przekorna, kochanie! — jęknęła Margaret. Nie była to wymarzona przez nią konwersacja w stylu Wendy i Polly. Między nimi nigdy nie dochodziło do zgrzytów. Matki i córki Laurie Colwin świetnie umiały omijać wszelkie ewentualne rafy...

— Przepraszam — Jane przysiadła na brzegu łóżka z jedną nogą na stojącym w pobliżu bujaku.

— Polly wie, że Wendy bardzo ją kocha — oznajmiła Margaret, przyciskając do piersi „Szczęście rodzinne”.

— Kto? — Jane wyjęła jej z ręki książkę i zaczęła przerzucać strony.

— Polly Solo-Miller i Wendy. Och, tak bym chciała, żebyśmy były do nich podobne! Żebyś ty... Żebyś nie miała mi za złe tylu rzeczy. Polly nigdy nie osądza matki i nie chowa do niej żadnych uraz.

— Mówisz o bohaterkach tej książki?

Margaret skinęła głową, czując z niezadowoleniem, że zbiera jej się na płacz.

— Ależ mam, przecież to postacie fikcyjne! My nimi nie jesteśmy.

— One też nie! — obruszyła się Margaret. — Są absolutnie prawdziwe. I tak się kochają! Wendy tylko dlatego nalega, żeby Polly w każdą niedzielę przychodziła do niej na lunch, że kocha ją z całego serca. Może i popełniła parę drobnych błędów, kiedy dzieci były jeszcze małe, może nie do końca rozumiała swoją córkę, ale Polly jej to wybacza!

— Mamo... — zaczęła Jane, lecz Margaret weszła jej w słowo.

— Co nosisz w tym medalionie?

— Nic.

— Nieprawda. Nigdy go nie zdejmujesz. Nosisz go od czasu... Och, jak żałuję, że wtedy w szpitalu pozwoliłam zrobić to zdjęcie! Ale byłaś taka roztrzęsiona i tak mnie błagała...

— Przestań! — ucięła Jane.

Margaret patrzyła ze smutkiem na sztywno siedzącą córkę. Och, gdybyż zamiast tak siedzieć, Jane wzięła ją teraz za rękę, jak z pewnością zrobiłaby Polly! Spojrzałyby sobie w oczy, czując, jak przepływa między nimi fala zrozumienia i wybaczenia. Jakże długo już czeka na ten cudowny moment.

— Masz tam jej zdjęcie, prawda?

Jane nie odpowiedziała. Z dziwnym skupieniem wpatrywała się w swoje zakurzone ręce. Margaret spostrzegła na jej palcach ślady niebieskiej farby. Skąd się to wzięło?

— Powiedz mi, Jane, gdzie tak ciągle jeździsz?

— Och, mam, tak sobie jeżdżę, bez celu.

— Pytam dlatego, że Sylvie to denerwuje...

— Daj spokój, pomówmy raczej o tobie. O tym, jak się czujesz.

— Czuję się dobrze, kochanie. Naprawdę.

— Odkąd wróciłyśmy z Crofton, wydajesz się bardzo zmęczona.

— No cóż — Margaret westchnęła — spotkałam tam tylu ludzi... starych przyjaciół i całą tę młodą generację nauczycieli... Sama wiesz, jak to wyglądało. Uściski, prezentacje, oglądanie fotografii dzieci i wnuków, no i te pytania o zdrowie... Wszystko to rzeczywiście mocno mnie zmęczyło. Zwłaszcza te rozmowy o mojej kondycji. Póki człowiekowi dopisuje zdrowie, zupełnie tego nie ceni! Na pytanie, „jak się masz?” odpowiadasz „dobrze”, i tyle. To były czasy! Dałabym wszystko, żeby wróciły!

— Wiem.

Margaret znów westchnęła. Jane nawet się nie domyśla, jak po tym przyjęciu bolą ją stopy i łydki. Bo była na nogach troszeczkę dłużej niż zwykle. Do licha, minął już tydzień, a ona nadal cierpi! Ze wzrokiem ostatnio jest też dużo gorzej, coraz trudniej jej czytać, ale postanowiła nie mówić o tym dziewczynom. Zapisałyby to zaraz po stronie minusów... Kolejny argument za oddaniem matki do domu opieki...

— Ogólnie rzecz biorąc, za bardzo chyba nie narzekam — powiedziała głośno, usiłując się uśmiechnąć.

— Wiemy, że trudno ci samej wstać z łóżka, ale nie chcesz nas budzić...

— Sza! — Margaret zamknęła oczy, czując, że się rumieni. To prawda, że woli nie budzić córek, no i ostatniej nocy zdarzył się wypadek. Nie zdążyła pójść do łazienki... Koszula, pościel, materac... wszystko było mokre...

— Nie myśl, że mamy ci to za złe. Po prostu martwimy się o ciebie.

— Dyskutujecie o tym, co ze mną zrobić?

Wielkie oczy Jane nabrały twardego wyrazu.

— Ja bardzo bym chciała, ale Sylvia nie chce o tym słyszeć.

— Chcesz się na mnie odegrać, prawda? Za to, co zrobiłam.

— Oczywiście, że nie!

— Za to, że chciałam cię chronić, że znalazłam dziecku dobry dom!

— To dziecko ma imię — twardo rzuciła Jane. — Nazywa się Chloe.

Margaret przygryzła wargę. Ona nawet w myślach nie pozwalała sobie wymawiać tego imienia. To by tylko pogorszyło sprawę, która i bez tego ciąży na całej rodzinie. Dlaczego Jane, jej śliczna, wrażliwa córka, musi wciąż tak się dręczyć? Miała dziką ochotę zerwać jej z szyi przekłęty medalion i wyrzucić przez okno razem ze wszystkimi wspomnieniami i tym nieznośnym bólem, jaki budzą w niej jeszcze po tylu latach. Tamten lekarz nie powinien był absolutnie zostawiać jej samej z dzieckiem. Niepotrzebnie pozwolił zawiązać małej kokardę, a już w żadnym razie nie powinien był się godzić na to zdjęcie...

— Wiesz, że zrobiłam to wszystko dla ciebie...

— Proszę cię, mamó, dajmy temu spokój, to stare dzieje. Pomyślmy raczej o przyszłości. Musimy przede wszystkim zapewnić ci lepszą opiekę. Boję się, że znów możesz upaść. Co będzie, jeśli tym razem uderzysz się w głowę? Boję się też, że Sylvia uszkodzi sobie kręgosłup przez to dźwiganie cię z łóżka.

— Nie jestem znów taka ciężka — zaprotestowała Margaret. Postanowiła, że będzie mniej jeść, żeby jeszcze stracić na wadze, choć ostatnio już mocno schudła. Zadbaj też bardziej o stopy. Spróbuje tej maści z antybiotykiem, którą niedawno przepisał jej lekarz, zacznie używać magnesów... Może je mieć nawet w łóżku.

— Może by zatrudnić pielęgniarkę? — spytała Jane.

Margaret pokręciła głową. Słyszała na ten temat straszne rzeczy. Skradzione srebra, niebotyczne rachunki za telefon, drobne okrucieństwa wobec chorych — szczypanie, popychanie, złośliwe uwagi.

— Dlaczego mnie o to pytasz?

— Bo nie chcę być taka jak wielu moich znajomych, którzy decydują o losach rodziców, nie pytając ich w ogóle o zdanie. Ja tak nie potrafię.

— A wiesz, co ja o tym myślę? Jeśli chcesz mnie wyprawić z domu, to zrób to bez konsultacji. Mam optować za własną śmiercią?

— Za śmiercią? Co ty mówisz, mamó? — zaśmiała się Jane.

— Poczytaj sobie Dickensa — krzyknęła Margaret, wyciągając egzemplarzem „Olivera Twista” — zanim mnie wpakujesz do jednej z tych instytucji, które on znał na wylot! Postanowiłaś mnie ukarać, prawda?

— Ty nigdy się ze mną nie konsultowałaś — rzuciła Jane z cichą goryczą. — Powiedziałaś mi tylko, gdzie mam jechać, co zrobić, i koniec. Pamiętam te miesiące u Świętego Józefa...

— Chodziło mi tylko o twoje dobro! — jęknęła Margaret. — Byłaś taką błyskotliwą dziewczyną... widziałam przed tobą wspaniałą przyszłość! Nigdy nie wybaczę twemu ojcu krzywdy, którą ci wyrządził, pozwalając ci myśleć, że nie jesteś nic warta, że można cię wykorzystać, a potem odrzucić jak zużyty przedmiot! Dla mnie byłaś warta wszystkiego! Tak strasznie się bałam, że zaprzepaścisz swoje możliwości, rzucisz studia...

— I zostanę piekarzem? — wyszeptała Jane, ale nagle zadzwonił telefon, więc wyjęła z kieszeni malutką srebrną komórkę i szybko wyszła z pokoju.

Margaret z trudem stłumiła szloch. Odłożywszy „Olivera Twista”, sięgnęła znów po książkę Laurie Colwin. Myślała o tych cudownych postaciach — Wendy i Polly — o matce i córce połączonych tak bliską, tak nierozzerwalną więzią uczuciową. Czuła, że są teraz przy niej — wierne, kochające przyjaciółki. Mój Boże, cóż by dała za to, żeby między nią i Jane wszystko wyglądało tak jak w tej książce!

Jane przystanąła w holu z gwałtownie bijącym sercem. Po rozmowie z matką drżał w niej każdy nerw.

— Halo? — wykrztusiła, przykładając telefon do ucha.

— Jane?

Czyj to głos? Na moment zamilkła, usiłując go przypisać znajomej twarzy.

— Mówi Dylan Chadwick.

— Och, witaj!

— Znaleźliśmy w koszyku twoją wizytówkę z numerem telefonu, postanowiłem więc zadzwonić, żeby ci podziękować.

— Nie ma za co...

— Przeciwnie. Tarty były przepyszne. To naprawdę miło z twojej strony. Ja przecież tylko wspomniałem, że je lubimy, a ty zadałaś sobie tyle trudu!

— Och, to żaden kłopot! Ostatnio bardzo mało piekę, a nie chcę wyjść z wprawy — zaczęła się tłumaczyć, modląc się przy tym w duchu, aby jej niespodziewany prezent nie wzbudził w nim jakichś podejrzeń.

— Jesteś wciąż w Rhode Island czy wróciłaś do Nowego Jorku?

— Jestem tutaj.

— A nasze stoisko już prawie gotowe. Pewnie się domyślasz, dlaczego postanowiłem je uruchomić? Chcę zapewnić zajęcie mojej bratanicy i jej przyjaciółce. Głównie na wakacje, ale teraz też im się to przyda.

— Tak, wiem — Jane uśmiechnęła się do słuchawki.

— Kłopot polega na tym, że jabłka dojrzeją dopiero we wrześnieu. Mam wprowadzić trochę truskawek, ale na nie też trzeba czekać do czerwca. W lipcu będą pomidory i kukurydza, ale co teraz? Będziemy mieć nowe stoisko, tyle że całkiem puste.

Jane nie mogła uwierzyć własnym uszom: czyżby chciał ją prosić o współpracę?

— Chcesz, żebym...

— Dostarczała nam swoje wyroby. Chloe była zachwycona tymi, które nam upiekłaś. Nie wyobrażasz sobie, jak chwaliła twoje dekoracje. Oczywiście nie miała pojęcia, kim jesteś...

Jane nagle zamarła.

— Co masz na myśli?

— Ze jesteś właścicielką „Calamity”.

— Och — załała ją fala ulgi — znasz mnie z Nowego Jorku...

— Mieszkałem tam kilka lat. Moja żona była projektantką, wydawała więc sporo przyjęć, my też bywaliśmy u różnych ludzi. Zawsze się bardzo cieszyłem, gdy na deser podawano twoje ciasta. Były nie tylko wspaniałe, ale jakieś takie... swojskie. Proste a pyszne. Podziwiałem też zawsze twoje dekoracje. Były rewelacyjne.

— Naprawdę?

— Tak. Te dzisiejsze również. Już ci mówiłem, że Chloe nie mogła się ich nachwalić.

— Bardzo się cieszę. — Jane miała ochotę skakać z radości.

— Więc się zgadzasz? Myślę, że dziewczyny zechcą pracować przez dwa dni w tygodniu, to znaczy w soboty i niedziele. Moglibyśmy zacząć od dwóch, może trzech szarlotek dziennie. Przydałoby się także kilka tart.

— Powiedzmy, pięć?

— Tak.

— Pozostaje tylko sprawa jabłek.

— Nie rozumiem... — w słuchawce zapadła cisza.

— Chodzi mi o to — zaczęła wyjaśniać Jane — że klienci będą pewnie pytać, skąd pochodzą jabłka. Czy są to owoce z waszego sadu.

— Tak myślisz? No cóż, jeszcze ich nie mamy. Uważasz, że to takie ważne?

— Tu może nie, ale w Nowym Jorku... Tam wszyscy chcą wiedzieć, czy na przykład jajka pochodzą z pewnej farmy w Stonington i czy aby maliny na pewno zbierane były ręcznie przez irlandzkich mnichów z hrabstwa Wicklow...

Dylan parsknął śmiechem.

— Pamiętam te gadki! Dla nowojorczyków to typowe, ale tutejsi ludzie nie są aż tak dociekliwi. Tu takie pytania można usłyszeć tylko w Providence, i to wyłącznie w najlepszych lokalach.

— Uważasz więc, że wystarczy, jeśli kupię w sklepie na przykład jabłka Granny Smith?

— Przypuszczam, że tak.

— W takim razie możemy spróbować.

Chloe z przykrością słuchała kłótni rodziców. Zamknęli się wprawdzie w sypialni, ale czy im się zdaje, że ona nie słyszy? Jeśli nawet nie słowa, to ich głosy, których ton mówi sam za siebie. Ten ton wystarczy, żeby wiedzieć, że skaczą sobie do oczu. Chloe wiedziała także, co jest powodem tej kłótni. Zawsze były to tylko dwie sprawy: pieniądze lub ona.

Tak jak przewidywała, założono jej w końcu szlaban za zwolnienie z „SaveRite”. Sprawa kisiła się przez kilka dni, jednak w końcu widocznie dojrzała i ojciec wymierzył jej karę: przez dwa tygodnie ma zakaz chodzenia do kina. No cóż, dobrze, że skończyło się tylko na tym.

Ciekawe, czy przed jej adopcją też się tak kłócili? Może we dwoje było im lepiej? — dumiała, wędrując po domu w ten sobotni wieczór. Wszędzie panowała sterylna czystość. Podłoga była tak wywoskowana, że raz po raz wpadało się w poślizg, a salon...

Właśnie się tam znalazła. Biał pomocnika błyszczał jak dwa słońca, a wiszący na ścianie kilim raził oczy swoim białym tłem. Obrzuciwszy wzrokiem kwiecistą sofę i fotele, ominęła je szerokim łukiem: nie wolno jej było na nich siadać. Mogła co najwyżej usiąść w gabinecie, gdzie na krzesłach leżały pokrowce z jasnoniebieskiej bawełny. Zwierzętom oczywiście nie wolno było wchodzić do domu — przecież gubiły sierść.

Pod ścianą stała półka na książki, na której nie było prawie książek, tylko mnóstwo czasopism poświęconych aranżacji wnętrza i ogrodnictwu, matczyzna kolekcja mlecznego szkła oraz kilka oprawnych w ramki fotografii. Chloe wzięła do ręki ślubne zdjęcie rodziców i zaczęła przyglądać się ich młodym twarzom.

Twarz ojca była tak pogodna, jakby nigdy nie zaznał żadnych trosk. Oczy matki błyszczały szczęściem; na jej ustach zastygł promienny uśmiech. Byli tak zadowoleni z tego, że są razem, i tak bardzo do siebie podobni! Z tymi rudoblond włosami i brązowymi oczyma wyglądali prawie jak rodzeństwo. Mieli wtedy po dwadzieścia pięć lat. Kiedy doszli do trzydziestu siedmiu, desperacko już pragnęli dziecka. W następnym roku postanowili je zaadoptować i tak w ich domu znalazła się ona, Chloe.

Wzięli ją razem z imieniem.

Taki był warunek umowy. Domagała się tego jej prawdziwa matka, bo to ona nadała jej imię. Rodzice woleliby raczej, żeby nazywała się „Emily”, lecz pragnęli jej tak gorąco, że zgodzili się i na „Chloe”.

Czy naprawdę aż tak jej pragnęli? Czy gdyby zdawali sobie sprawę, że jej obecność wywoła w ich życiu tyle zmian i kłopotów, też by ją chcieli? Zwłaszcza że ze swymi czarnymi włosami i niebieskimi oczami nie pasuje do tej rodziny. Może teraz żałują, że wzięli sobie takie diabelskie nasienie, bardziej przypominające kota niż dziewczynkę, zuchwałe i samowolne.

Podeszła do okna i mocnym pchnięciem otworzyła je na oścież. Na dziedzińcu trwał koci bal. Widziała puszyste cienie tańczące w świetle księżyca. Codziennie teraz rodziły się młode. Czasami słyszała, że płaczą. Jakby się gdzieś zgubiły i wzywały rodziców na pomoc.

Usłyszała nagle podniesiony głos ojca; wśród całego potoku gniewnych słów kilka zabrzmiało na tyle wyraźnie, że je zdołała uchwycić: „rachunki”, „pieniądze” i „ten cholerny sad”. Przebiegł ją dreszcz, trochę z zimna, ale głównie dlatego, że wiedziała, na co się zanosi: ojciec zacznie znowu atakować Dylana, żeby sprzedał ziemię.

Zadzwoił telefon.

— To ja — usłyszała głos Mony w odpowiedzi na swoje „halo”. — Wolno ci rozmawiać przez telefon?

— Tak. Mam tylko szlaban na kino. Do końca przyszłego tygodnia.

— No to nie jest tak źle. Co robisz?

— Słucham ich kłótni.

— O co znów się kłócą?

— O pieniądze — krótko odrzekła Chloe. Nie chciało jej się rozwijać tematu. Musiałyby mówić o stosunkach ojca z Dylanem, o śmierci Isabel i o sadzie, o tym wreszcie, że rodzice byli znacznie szczęśliwsi, zanim ona zjawiła się w ich domu. Mona dzięki Bogu dość dobrze знаła sytuację, potrafiła też zawsze wyczuć jej nastrój. Wiedziała, że ona, Chloe, dostaje skurczów żołądka od tych szeptanych kłótni, podczas których nagromadzone napięcia nigdy tak naprawdę nie mogą się rozładować.

— Wiesz, co ci powiem? To nie jest fair — oświadczyła Mona.

— To znaczy co?

— To, co oni robią. Jeśli się rodzisz kaleką, to trudno, taki los, ale jeśli ktoś cię zaprasza do domu, żeby cię okaleczyć, to już co innego.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Że ci ludzie cię a d o p t o w a l i . Gdybyś była ich rodzonym dzieckiem, nie miałabyś wyjścia, rodziców się nie wybiera, ale ty jesteś właściwie ich g o ś c i e m ! Ty nie wpraszałaś się do nich, to oni cię zaprosili! Mogłaś trafić do wielu innych rodzin, setki ludzi pragną adoptować dzieci... No więc skoro cię zaprosili, czyż nie powinni choć trochę liczyć się z twoimi uczuciami? Muszą przecież zdawać sobie sprawę, jak działają na ciebie te ich kłótnie!

Dla Chloe te słowa były echem jej własnych myśli i uczuć. Ileż razy sama to mówiła! Wiedziała też, że Mona ma podobne pretensje do Rhianny. Nic dziwnego. Macochy i ojczymowie to przecież prawie to samo co adopcyjni rodzice.

— Zwłaszcza gdy kłócą się o mnie — uzupełniła wypowiedź przyjaciółki. — Ojciec nie może mi wybaczyć, że narobiłam mu wstydu w klubie rotariańskim przez tę, jak mówi, aferę z Ace'em Fontainem.

— No pewnie! To okropne mieć taką niegrzeczną córkę!
— zakpiła Mona.

— Ich rodzona córka nigdy by tego nie zrobiła!

— Przenigdy!

— Byłaby tak doskonała jak oni. Jej pokój lśniłby czystością, jadłaby mięso jak normalny człowiek, a już na pewno nie karmiłaby całej sfory dzikich kotów.

— Co to, to nie!

— A gdyby ją jednak ruszyło sumienie, toby im nie kupowała bezmięsnej i bezmlecznej karmy.

— Och, więc te twoje koty to wegetarianie!

— Staram się odzwyczaić je od mięsa i mam nadzieję, że mi się to uda, ale ta karma jest okropnie droga. Wszystko zależy od tego, ile wuj Dylan zechce nam płacić.

— Umm, wuj Dylan — mruknęła Mona marzycielsko.

— Przestań, on jest w żałobie. A poza tym jest już strasznie stary.

— Jemu po prostu potrzebny jest ktoś, kto go nauczy znów kochać. Ktoś taki jak ja.

— Wiesz, ile on ma lat? Czterdzieści osiem. Jest starszy od twojego ojca.

— Ale młodszy od twojego. Powiedz mi, jak to się dzieje, że starszy brat, to znaczy twój ojciec, chce pozbyć się sadu, a młodszy mu nie pozwala?

— Bo mój dziadek pragnął, żeby ten sad istniał. Pragnął tego tak bardzo, że zamieścił w testamencie specjalną klauzulę: ten z braci zostanie właścicielem farmy, który zajmie się sadem i nie pozwoli mu zginąć.

— Czyżby bardziej kochał ten kawałek ziemi niż własnych synów?

Chloe spojrzała za okno. Księżyc oblewał drzewa białym światłem; w jego blasku sad wyglądał po prostu baśniowo. Panowała w nim kojąca cisza: nie było dziś żadnych intruzów na ich brudnych ryczących motorach. Gdybyż można było wejść w ten zaklęty świat i żyć tam szczęśliwie przez wieki...

— Chyba nie — odrzekła w odpowiedzi na pytanie Mony. — Dziadek pewnie myślał, że dzięki temu rodzina będzie trzymać się razem.

— Tacy są wszyscy rodzice — stwierdziła Mona. — Wszystkim się zdaje, że wpadli na pomysł, jak utrzymać rodzinę w całości. Dla jednych tym sposobem jest posiadanie dzieci, dla innych zachowanie ojcowizny...

— Myślisz, że komuś się to udało? — spytała Chloe, nad słuchując odgłosów rodzicielskiej kłótni. Wyraźnie przybrała na sile.

— Zapytajmy o to nasze prawdziwe matki — gorzko rzuciła Mona.

Chloe w milczeniu pokiwała głową, wpatrzona wciąż w biały sad. W słuchawce rozległo się tylko coś jakby zdławiony szloch.

ROZDZIAŁ 10

Kiedy Sharon Chadwick zeszła w niedzielę do kuchni, Chloe nie było już w domu. Nawet nie zjadła nic porządnego, myślała markotnie Sharon, przygotowując śniadanie dla męża. Chloe nie tknęłaby oczywiście boczku ani jajek, które tradycyjnie jadało się u nich w niedzielę, ale przecież chętnie zrobiłaby jej owsiankę czy parę tostów z angielskiej bułeczki, gdyby się tak wcześnie nie wymknęła z domu...

Utarła na tarce trochę sera Cheddar, pokroiła pomidora, położyła na patelni kilka plasterków bekonu i zaczęła nakrywać długi klonowy stół. Starannie ustawiła terakotowe talerze i gliniane kubki do kawy na kraciastych śniadaniowych matkach, dodając do nakryć takie same kraciaste serwetki.

Czas było zaparzyć kawę. Gdy po kuchni rozszedł się miły aromat, wróciła do boczku, który skwierczał już na patelni, i w tej właśnie chwili usłyszała na schodach kroki męża. Serce zaczęło jej bić niespokojnie. Poszli wczoraj spać tacy wściekli! Na samo wspomnienie tej kłótni zrobiło jej się gorąco, a kark tak zeszytniał, że nie mogła podnieść głowy nad patelnię. On tymczasem po cichu wsunął się do kuchni, zaszedł ją od tyłu i niespodziewanie pocałował w szyję.

— Przepraszam cię, Sharon — powiedział.

W milczeniu skinęła głową, bo słowa uwięzły jej w gardle. Chciało jej się krzyżeć. Dlaczego ciągle się kłóć, zamiast postarać się o to, żeby każde poczuło się choć trochę szczęśliwsze? Za dużo tego wszystkiego. Wciąż ledwie wiąże koniec

z końcem, Chloe raz po raz zaskakuje ich jakimś wybrykiem, a oni dwoje tak bardzo oddalili się od siebie... Kiedyś byto inaczej.

— Ja też cię przepraszam — udało jej się powiedzieć.

Eli usiadł na swoim miejscu i rozłożywszy gazetę, którą wcześniej przyniosła sprzed domu, zaczął przerzucać strony.

— Gdzie Chloe? — zapytał.

— Poszła już do pracy — skrzywiła się Sharon.

— Ten cholerny stragan! Czy ja już naprawdę jestem za stary, żeby wybić Dylanowi z głowy to wariactwo? — warknął gniewnie, Sharon jednak poczuła ulgę. Sprzymierzając się z sobą przeciwko planom Dylana, odzyskiwali na chwilę poczucie partnerstwa.

— Wiem, wiem — przytaknęła gorliwie. — On uważa, że wyświadcza nam przysługę, dając Chloe robotę, ale na miłość boską, cóż to za robota! Ten stragan to coś okropnego!

— W głowie mi się nie mieści, że mógł zapomnieć, jak się kiedyś wstydził, że w ogóle mamy tę budę na farmie! Właśnie przez to nie zaprosił tu żadnej dziewczyny, a miał ich przecież na pęczki! Patrzyły w niego jak w tęczę!

— Pamiętam — rzuciła Sharon, wlewając na drugą patelnię rozmącone jajka na omlet. Znała braci Chadwicków od liceum. W tym czasie w całej dolinie zaczął się wielki ruch budowlany; większość miejscowych pozbyła się ziemi, a uczniowie z tych rodzin, które nadal trzymały się swoich farm, stali się przedmiotem kpinek. Nazywano ich „wsiokami” i tępymi zacofańcami, którzy hamują postęp.

— Nie chcę, żeby Chloe tak dokuczano jak nam — powiedział Eli, wtórując jej myśłom.

— Wiem — powtórzyła Sharon. Pamiętała przezwisko „jabole”, którym złośliwi koledzy obrzucali braci Chadwicków, oczywiście za ich plecami.

— Jest taka wrażliwa — mówił dalej Eli. — Trzęsie się nad każdym pisklęciem, które wypadnie z gniazda, a cała ta afera w sklepie to też nic innego, jak tylko skutek przewrażliwienia...

Sharon starannie posypała serem jajeczno-pomidorową masę. W sprawie Chloe miała inne zdanie, wołała go jednak

nie ujawniać. To prawda, że ich córka ma wielkie serce, ale Eli popełnia błąd, uważając ją za nadwrażliwe dziecko. Nie widzi jej siły i uporu w dążeniu do celu.

— Chloe potrafi się obronić — powiedziała tylko. — Spójrz, jak broni swoich podopiecznych.

— Tak, bo jeszcze nie spędziła lata przy straganie. Nikt jej nie nazwał zakutą pałą ani amatorką zgniłych jabłek.

— Ona się tym nie przejmie.

— A powinna! — sarknął Eli. — Nie wolno lekceważyć ludzkich opinii! Ale ona uważa, że jej to nie dotyczy. Jest tak zajęta zbawianiem świata, że nie ma już czasu myśleć o sobie, a to się źle dla niej skończy. Dziewczyna w jej wieku powinna już zacząć myśleć o przyszłości. Niedługo pójdzie do college^... Ale czy interesuje ją cokolwiek, co by jej ułatwiło przyjęcie na dobrą uczelnię? Nie uprawia żadnego sportu, nie pisze do szkolnej gazety, nie zależy jej na dobrej pracy, a taki punkt w życiorysie bardzo się przecież liczy!

— Masz rację — pojednawczo rzuciła Sharon. Och, niechby Eli dał już temu spokój! Dzień zaczął się dobrze, ale jeśli dalej tak pójdzie...

— Ace Fontaine mi mówił, że przed Dniem Pamięci* chciał ją awansować na kasjerkę. Miałaby doskonałą pracę, bardzo odpowiedzialną. Nabyłaby praktyki, dzięki której mogłaby później ubiegać się na przykład o posadę w banku czy w jakiejś firmie prawniczej, och, do licha, nawet w ubezpieczeniach! Człowiek musi umieć piąć się w górę!

— Śniadanie już prawie gotowe — oznajmiła Sharon.

— A co ona robi? Dokąd ją zaprowadzi handelek na tym straganie? Do stodoły? A może do stajni? Cofa się, zamiast iść naprzód!

Sharon złożyła omlet na połowę, zsunęła go na talerz i postawiła na stole. Wróciwszy do pieca, wbiła widelec w chrupiący plaster bekonu — Eli lubił dobrze wysmażony — i położyła na chwilę na papierowym ręczniku, aby osaczyć

* Tak zwany Memorial (lub Decoration) Day, czyli dzień poświęcony pamięci poległych na polu chwały, obchodzony jest w Stanach trzydziestego maja (przyp. tłum.).

go z tłuszczu. Ów kawałek mięsa przypomniał jej nagle namiętną tyradę Chloe w obronie nieszczęsnych prosiaków trzymany w tak strasznych warunkach, że nie tylko nie oglądają słońca, ale nie są nawet w stanie podrapać się w tylną nogę. Ledwie to pomyślała, coś zaswedziało ją w łydkę. Do licha, jak to się dzieje, że Chloe, nawet nieobecna, potrafi o sobie przypomnieć, i to w najmniej spodziewany sposób!

— Mmm, pyszne śniadanko — mruknął z uznaniem Eli. Przechylił się przy tym przez stół, aby ją cmoknąć w policzek.

Podziękowała mu za to uśmiechem i zaczęła nalewać kawę do kubków.

— Przepraszam, że znów mnie poniosło — powiedział ze skruchą.

— Cóż... Chcesz dla niej jak najlepiej.

— Chodzi o to, że ona... — spojrzał w górę, jakby szukał właściwego słowa — ...ona jest całkiem inna niż my.

Sharon próbowała zagłuszyć te słowa śmiechem.

— Witaj w świecie ojców piętnastoletnich córek! Wszyscy nasi znajomi mówią, że to zwariowany okres, i tak będzie jeszcze ze trzy lata. Pamiętaj, że nastolatki to przybysze z innej planety. Dlatego tak się od nas różnią.

— Nie jestem pewien, czy tylko w tym rzecz...

Sharon gwałtownie wbiła widelec w omlet.

— ...może powodem tych różnic...

— Nie, Eli! — przerwała mu szorstko. — Ona jest naszą córką, a my jej rodziną.

— Czasami patrzę na nią i wybac mi Boże, zadaję sobie pytanie... — urwał, zamykając oczy.

— Eli! — Sharon z lękiem zerknęła na drzwi, modląc się w duchu, by przypadkiem nie było za nimi Chloe. — Mówię ci, że to kwestia wieku. Nie wspominaj o tym nigdy więcej. Wyobrażasz sobie, co by to było, gdyby cię usłyszała?

— Wiem, wybac mi — odrzekł markotnie. Machinalnie przełknął kawałek bekonu i popił go łykiem kawy.

Sharon wiedziała, co go dręczy. Uważał, że cała ta sprawa z Fontainem przynosi mu straszny wstyd, a taki był dumny ze swojej pozycji w mieście! Ubezpieczali się u niego wszyscy ważniejsi ludzie — członkowie związku nauczycieli, a nawet

księża. Sumiennie uczęszczał na spotkania klubu rotariańskiego i cieszył się tam poważaniem, a teraz nie mógł znieść myśli, że wszyscy ci ludzie wiedzą, jakich kłopotów narobiła jego córka w sklepie Ace'a Fontaine'a, i pewnie uważają, że to jego wina. Sharon czuła jednak, że tym, co w tej chwili najbardziej martwi jej męża, jest chyba nie tyle sprawa Chloe, ile raczej problemy z Dylanem.

Eli, choć starszy o cztery lata, zawsze pozostawał w jego cieniu. W swoich licealnych czasach Dylan był świetnym sportowcem, co łącznie z innymi jego walorami zyskiwało mu ogromną popularność, podczas gdy Eli zmuszony harować w rodzinnym sadzie z trudem przepychał się przez szkołę. Dylan dzięki swym talentom koszykarskim i czarowi osobistemu bez większych starań został studentem Uniwersytetu Browna, gdzie wstąpił do Ivy League, strząsając z siebie, jak to mówią, całą swoją wiejską przeszłość.

W college'u był nadal gwiazdą drużyny koszykarskiej, zdobywającej kolejno wszystkie możliwe trofea, łącznie z tytułem krajowego mistrza zespołów uniwersyteckich. Miał bogate dziewczyny i możnych sponsorów, a wszyscy ci ludzie traktowali go jak księcia. Rodzina jednej z tych dziewczyn zabrała go do Europy, z inną pożegłował na Bermudy. Eli o czymś takim mógł co najwyżej pomarzyć. Po studiach Dylana zwerbowano do „pracy dla rządu”. To znaczy gdzie — pytali zaintrygowani znajomi — do CIA czy FBI? Sam Dylan nie chciał o tym mówić, zasłaniając się tajemnicą, a Eli nie mógł nic z niego wyciągnąć z tej choćby prostej przyczyny, że od czasu swojej nominacji jego brat ani razu nie zjawił się w domu.

Zamieszkał samotnie w Waszyngtonie w dzielnicy Georgetown. Na tyłach jego domku z czerwonej cegły znajdował się śliczny ogródek, który zachwyił Sharon. Był tam taras wykładany cegłą, mnóstwo kwitnących peonii i pnącego się po ścianach bluszczu, a urocze ogrodowe meble musiały kosztować więcej niż jej sypialnia i salon razem wzięte. Nie znaczy to, że Dylan siedział na pieniądzach — wiedział po prostu, co za nie kupić. Łatwo też się było zorientować, dlaczego wciąż jeszcze nie znalazł sobie dziewczyny: tak pochłaniała go praca, że zwyczajnie nie miał czasu na nic innego.

Przyjechali do niego wiosną. Dylan najpierw uraczył ich kolacją u Jean Louisa w Watergate, a potem zabrał w objazd po mieście swoim czarnym porsche 911S.

Sharon spostrzegła, że nosi rewolwer. Ściśnięta na przednim siedzeniu wraz z mężem, widziała, że Eli wpatruje się w kaburę i że strasznie go korci, by zapytać brata o broń. Ją też rozpierała ciekawość.

— Zapytaj go — wyszeptwała. — Co ci szkodzi?

— Dyl, jesteś już chyba po służbie? — rzucił Eli.

— Tak.

— Więc po co ci broń?

— Taka praca. Nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć.

— Kiedy skądś wyleżą jakieś czarne typy? — zaśmiał się Eli.

Dylan bez uśmiechu kiwnął głową.

— Na czym polega ta praca? — włączyła się Sharon. Znała Dylana prawie tak długo jak swojego męża i choć wobec wszystkich, nie wyłączając własnej rodziny, zachowywał on zawsze pewien dystans, uważała go niemal za swego młodszego brata. — Wiemy, że pracujesz dla rządu — wszyscy już teraz wiedzieli, że jest funkcjonariuszem U. S. Marshals Service* — ale co ty właściwie robisz?

— Chronię i służę — odrzekł z szerokim uśmiechem.

— Bądź poważny! — prychnął Eli. — Czyżbyś sobie wyobrażał, że gdy tylko wrócimy do Rhode Island, zaczniemy zaraz paplać o tych twoich strasznie tajnych misjach?

— Jestem w wydziale narkotyków.

Czekali na ciąg dalszy, Dylan jednak milczał.

— No dalej, co z tobą? — zniecierpliwił się Eli. Widać było, że za chwilę poniosą go nerwy. Siedząc mu niemal na kolanach, Sharon czuła to wyraźnie. — Jak ci nie wstyd wsuwać mi taki kit? Nie ufasz własnemu bratu?

— Ufam ci bez zastrzeżeń, ale czy nigdy nie przyszło ci na myśl, że po prostu nie lubię o tym mówić?

* U. S. Marshals Service — agencja rządowa o profilu działalności podobnym do FBI (przyp. tłum.).

— A ja to pieprzę! — burknął Eli. Wypił przy kolacji sporo czerwonego wina, znacznie więcej niż miał w zwyczaju, i zaczynał być agresywny.

— Hej — wyszeptała Sharon, muskając go nosem w szyję — daj spokój.

Byli tak ściśnięci, że gdyby nawet chciał ją odepchnąć, byłoby to niemożliwe, toteż rad nierad zaczął się powoli uspokajać.

Dylan tymczasem jechał tak spokojnie, jakby wcale nie zauważył frustracji starszego brata. Dopiero gdy skręcił za jakiś róg, zerknął na swoich pasażerów, najwyraźniej by sprawdzić, jakie wrażenie zrobił na nich rozpościerający się przed nimi widok. Sharon głośno westchnęła z zachwytu: kwitnące drzewa wiśniowe otaczające rześkie oświetlony pomnik Jeffersona były niezwykle piękne, a ich lśniąco białe sylwety odbijające się w ciemnych wodach jeziora Tidal Basin nadały całemu obrazowi posmak czegoś nierzeczywistego.

— Mój Boże! — szepnęła.

— No fajnie — rzucił Eli. — Więc po to jechaliśmy tu z krainy jabłek, żeby znów oglądać drzewa owocowe?

— Jak tam sad? — zagadnął go Dylan.

— Marnieje z dnia na dzień, ale tata przecież nie popuści. Będzie się go trzymał do ostatka. Mogliśmy sprzedać tę ziemię za okrągłe pięćset tysięcy, proponowało nam to aż sześciu różnych przedsiębiorców, ale gdzie tam! Nasz tata nie chce o tym słyszeć.

— No i bardzo dobrze.

— Dla kogo?

— Dla wszystkich. Świat nie potrzebuje następnych apartamentowców ani centrów handlowych.

— My też nie, ale sytuacja jest taka, że będziemy musieli obciążyć hipotekę kolejną pożyczką. Wiesz, jakie podatki płacimy od akra?

— Owszem — odrzekł Dylan. Eli zamknął usta. Dobrze przecież wiedział, że Dylan od paru lat przysyła rodzicom pieniądze na pokrycie kosztów związanych z utrzymaniem sadu. Za swą pensję pracownika rządowej agencji nie opływał bynajmniej w dostatki, zbyt jednak kochał ten sad, aby go skazać na śmierć. W oczach ojca czyniło go to bohaterem.

— Ta ziemia nie zarabia nawet na siebie — sarknął Eli — a ty mi mówisz, że ludzkość nie potrzebuje rozwoju takich nierentownych enklaw? Czego więc nam trzeba twoim zdaniem?

— Drzew owocowych, prawda, Sharon?

— Pozwól, że zostawię to bez komentarza — rzuciła z nerwowym uśmiechem. — Miałabym się narażać kóremuś z was?

— Przyjrzyjcie się temu miejscu — powiedział Dylan, wskazując odbijające się w wodzie białoróżowe drzewa. — Kiedy poznam właściwą dziewczynę, tu właśnie jej się oświadczę. Albo ją zawiozę do naszego sadu.

Eli w tym momencie po raz pierwszy wybuchnął serdecznym śmiechem.

— Patrzcie państwo! I kto to mówi! Wielki prawnik, właściciel szpanerskiego porsche, człowiek, który rozbija się po całym kraju i jada wyłącznie w najlepszych lokalach! I ty uważasz, że takie oświadczyzny byłyby romantyczne?

— Po pierwsze, to „szpanerskie” porsche, jak je zechciałeś nazwać, to używany samochód, a po drugie, tak, właśnie tak uważam.

— Powiedz no, Shar — Eli trącił ją w bok — gdzie byś wolała przyjąć oświadczyzny agenta 007: we francuskiej restauracji przy szampanie i świecach czy tonąc po kostki w błocie, pośród żarłocznych moskitów i woni gnijących jabłek?

Są tacy podobni, myślała Sharon, zerkając na kwadratowe szczęki i te same przenikliwe oczy obu braci, a jednocześnie tak bardzo się różnią! Choćby tylko stosunkiem do domu i ziemi. Eli wprawdzie nigdy nie opuszczał domu, lecz nie darzył go sentymentem i za wszelką cenę chciał się wyrwać z tej przeklętej farmy, Dylan natomiast opuścił ją przy pierwszej możliwej okazji, a jednak kocha tę ziemię jak żadne inne miejsce w świecie.

— Myślę, że to nieważne, gdzie się kto oświadcza — odrzekła w odpowiedzi na pytanie męża — ważne, żeby to była właściwa osoba.

Bracia zaczęli się śmiać, choć w głosie starszego zabrzmiała z lekka cierpka nuta. Pogratulował jej dyplomatycznej odpo-

wiedzi i ruszyli w drogę powrotną do Georgetown. Oboje co chwila zerkali na zegar.

Tak bardzo starali się począć dziecko, że w każdej chwili mogli powiedzieć, który to dzień cyklu i czy to dzień płodny czy nie. Tak się złożyło, że ten akurat rokował najwyższe szanse. Kochali się więc tej nocy w gościnnym pokoju Dylana, lecz mimo paradnego łoża z baldachimem nie było w tym nic z romantyzmu. Seks stał się dla nich już prawie zabiegiem medycznym. Miesięczne wykresy owulacji, mierzenie liczby plemników w testach laboratoryjnych, najsukuteczniejsze pozycje, wszystko to odbierało ich zbliżeniom całą spontaniczność, a lęk przed kolejnym fiaskiem pogarszał jeszcze sytuację. Czasami załatwiali sprawę nawet bez jednego pocałunku.

Było tak i tym razem. Eli po wszystkim odwrócił się na bok i zasnął, a może tylko udawał, Sharon zaś długą chwilę leżała z nogami na ścianie, tak jak zalecał jej lekarz. Myślała o tym, co mówił Dylan. Miał rację. Oświadczyńy wśród kwitnących wiśni byłyby tak romantyczne! Czy życie naprawdę może być tak piękne i proste? pomyślała z nagłym skurczem serca.

Z tym samym przykrym uczuciem patrzyła teraz na męża pogrążonego w lekturze niedzielnej gazety. Dylan znalazł swoją dziewczynę, oświadczył się jednak Amandzie nie w swym ukochanym sadzie, tylko na jachcie jej ojca w Newport Harbor. Ślub wzięli na trawniku jej rodzinnej willi, zwanej Maison du Soleil, która w rzeczywistości była istnym pałacem stojącym wśród wielu podobnych przy Bellevue Avenue. Rozpościerał się przed nią idealnie wystrzyżony trawnik opadający dalej stromo aż do Cliff Walk, za którym szumiał ocean.

Dylana wkrótce potem przeniesiono do służby w nowojorskiej komendzie U. S. Marshals, przeprowadzili się więc z Georgetown na Upper East Side. Już po roku małżeństwa urodziło im się dziecko. W tym samym roku Eli i Sharon po latach bezowocnych starań zaadoptowali Chloe.

Eli, Sharon i Chloe, Dylan, Amanda i Isabel...

Dwaj rodzeni bracia, a jak różnie ułożyły im się losy. Można by powiedzieć, że żyli w dwóch różnych światach. Młodszy był zamożny, starszy ledwie wiązał koniec z końcem. Młodszy miał rodzoną córkę, starszy musiał swoją adoptować.

Młodszy żył w wielkim mieście, starszy w małym miasteczku. A jak się ma życie w sadzie do życia na Manhattanie?

Gdy jednak do akcji wkroczyła śmierć, ten wielki a bezwzględny niwelator, wszystko się nagle zmieniło. Po zabójstwie żony i córki Dylan wrócił do Crofton i zaszył się w sadzie. Jego ojciec już nie żył, żyła wszakże matka, toteż sprawa sadu początkowo nie budziła kontrowersji, a kością niezgody stała się dopiero przed rokiem, gdy Virginie powalił udar mózgu.

Sharon zamknęła oczy. Zapach kwitnących jabłoni wpadający przez otwarte okno przeniósł ją znowu w przeszłość; raz jeszcze wróciła myślą do owej pamiętnej nocy w Georgetown. Jak potoczyłyby się losy całej ich trójki, gdyby wtedy wiedzieli to, co wiedzą teraz?

Pomyślała o Amandzie... Czy gdyby żyła, Dylan potrafiłby wybaczyć jej zdradę? Cóż, na to pytanie nigdy nie uzyska odpowiedzi, podobnie jak na kilka innych. Były wśród nich takie, które bała się nawet ubrać w słowa.

Gdy Eli powiedział: „Czasami patrzę na nią i wybac mi, Boże, zadaję sobie pytanie...” — nie pozwoliła mu dokończyć zdania, wiedząc doskonale, jak brzmiałoby ono w całości: „Czasami patrzę na nią i wybac mi, Boże, zadaję sobie pytanie, jakie byłoby nasze rodzone dziecko”.

Sama też nieraz o tym myślała, tyle że nigdy nie pozwoliła sobie wypowiedzieć głośno tych słów. Bo cóż to właściwie znaczy „rodzone dziecko”? Kochała Chloe ponad wszystko w świecie; pokochała ją od pierwszej chwili. Chloe była dla niej „prawdziwsza” od wszystkich „prawdziwych” dzieci.

Złapała się na tym, że machinalnie przeżuwa omlet, choć zupełnie straciła apetyt. Tylko tak dalej, skarciła się w duchu, a roztyjesz się jeszcze bardziej! W ciągu zeszłego roku przybyło jej siedem kilo. Wszystko przez te stresy.

Dobiegł ją odgłos traktora Dylana, a potem daleki stukot młotka: to pewnie Chloe naprawia coś na straganie. Spostrzegła, że Eli też to usłyszał, bo bezwiednie zacisnął szczęki.

O tak, życie nie szczędzi im stresów.

ROZDZIAŁ 11

W następnym tygodniu Dylan przystąpił do sadzenia drzewek. Wyzaczył sobie na to kilka dni. Tej wiosny panowała dotąd taka susza, że grunt był twardy jak skała, teraz jednak pogoda zaczynała się zmieniać. Wiał silny wiatr, strącając z drzew białe płatki i niosąc je ku zatoce, po niebie pędziły niskie szarobure chmury. Dylana bolała też noga — nieomylny znak, że będzie padać. Stalowe gwoździe spajające zgruchotaną kość były niezawodnym barometrem.

Idąc na miejsce, gdzie zostawił drzewko, spostrzegł nagle świeże ślady opon, a trochę dalej poszarpane korzenie starego drzewa wystające ze zrytego gruntu. Samo drzewo też zostało uszkodzone. Przykucnąwszy obok, przebiegł ręką po pozbawionej kory białej tkance: wyglądała jak czyjaś obnażona kość. To pewnie znowu ci młodzi szaleńcy na motorach, pomyślał kręcąc głową. Odkąd sięgał pamięcią, zawsze jakaś grupa wyrostków zabawiała się tutaj w podchody. Coś po prostu ciągnęło ich do tego sadu. Wieczorami te stare pokręcone drzewa wyglądały dość niesamowicie. Amatorom niezwykłych przygód mogło się wydawać, że to nawiedzone miejsce. Trzeba będzie naprawić płot, pomyślał ruszając dalej.

Odnalazłszy po chwili ponad półmetrowy otwór — co odpowiadało podwójnej długości średnicy — dorzucił na dno trochę ziemi, obruszył motyką boki wykopu, by ułatwić sprawę korzeniom młodego drzewka, rozplata! je bardzo ostrożnie i równiutko rozpostarł w wykopanym dole.

Gdy już zasypał je ziemią, uklepał ją mocno, by nie zostały żadne kieszeni powietrznych, sprawdził, czy miejsce połączenia zrazu i podkładki znajduje się na odpowiedniej wysokości, i przystanął na chwilę, przyglądając się swojemu dziełu. Wszystko było w porządku, tyle że uklepując ziemię wokół drzewka, doznał dziwnego uczucia, że grzebie kogoś bliskiego. Pomyślał o Isabel i o dniu, gdy składano jej ciało do grobu.

Zaczęło padać. Wielkie krople deszczu z szumem rozpryskiwały się na twardym gruncie. Po chwili deszcz przeszedł w ulewę, zamieniając ziemię w grząskie błoto. Wiatr też się wzmagał, posyłając w powietrze chmurę białych płatków. Dylan nie zważając na to, pracował dalej jak w transie. Nie przestał nawet wtedy, gdy z jego pokrytych pęcherzami dłoni zaczęła sączyć się krew. Widział czerwone strumyczki wsiąkające wraz z deszczem w glebę, ale było mu to całkiem obojętne.

Podniósł głowę dopiero wtedy, gdy usłyszał okrzyk. Na drodze stała granatowa furgonetka, z której wyłoniła się kobieta postać w cienkiej białej bluzce i spłówałych dzinsach. Mokra włosy opadały jej na oczy.

— Przywiozłam ciasto! — zawołała. — Mam je w samochodzie!

Dylan zastygł z nogą na szpadlu. Gonił resztkami sił, nie zamierzał jednak dawać za wygraną. Pracując w sadzie, mógł przynajmniej na chwilę zapomnieć o sobie i swoich udrękach. Istniały tylko korzenie, mokra ziemia i siekący deszcz. Tak zapamiętał się w pracy, że powrót do rzeczywistości zajął mu dobrą chwilę. Na widok przemoczonej Jane pomyślał niezbyt rozsądnie, że wygląda jak anioł, który spadł na ziemię wraz z deszczem; oprzytomniał na dobre, dopiero gdy zapytała:

— Gdzie mam zostawić te ciasta?

— Nie musiałaś biegać po deszczu... — powiedział z zakłopotaniem.

— Wołałam do ciebie z drogi, ale nie słyszałeś.

— Przepraszam. — Był bez koszuli, która zwinięta w kłębek leżała na kamieniu pod starym drzewem, tak gęstym, że wydawała się prawie sucha. Sięgnął po nią teraz i otrzepał zamaszystym ruchem, próbując zarazem osłonić nią Jane.

Grudki ziemi posypały jej się w oczy, więc ze śmiechem potrząsnęła głową. Na policzku pozostał jej błotnisty zaciek.

— Co zrobimy z ciastem?

— Mogłabyś podrzucić je do domu? Skręć w tamten podjazd za płotem. Ja zaraz przyjdę.

Skinęła głową, już biegnąc do samochodu.

Zgodnie ze wskazówkami Dylana skręciła w zabłocony podjazd, drząc z emocji i zakłopotania. To nie w porządku. Ten człowiek był dla niej tak miły! Próbował osłonić ją własną koszulą, uśmiechał się do niej, a ona? Nie była w stanie spojrzeć mu w oczy — bo jak? Jest przecież zwykłą oszustką, która pod pretekstem dostarczenia ciasta wybrała się tu na przeżycie. To nie fair...

Czekając na Dylana, przyjrzała się jego domowi. Miał białe ściany i ciemnozielone okiennice z plackami łuszczącej się farby, był duży i rozłożysty. Z obu stron otaczały go werandy, z dachu sterczało kilka kominów. Na frontowym dziedzińcu uchowała się dość już archaiczna studnia, przykryta teraz plandeką. Przed starą, srebrzysto-czerwoną stodołą stała jasnoczerwona ciężarówka. Dalsze oględziny uniemożliwił jej Dylan, który właśnie wyłonił się z sadu i zaprosił ją gestem do środka.

Jane pochwyciła koszyk i osłaniając go własnym ciałem przed zacinającym deszczem, popędziła co tchu w stronę domu. Dylan zdążył już otworzyć drzwi. Stojąc w mrocznym holu, otrząsnęli się oboje jak zmoknięte psiaki. Idąc za nim do kuchni, zerknęła do saloniku: wszystkie krzesła zajmowały śpiące koty.

— Widzę, że im tu dobrze. Koty uwielbiają tak spędzać deszczowe dni.

— Hm... tak... mamy tu ich sporo.

— Wyglądają sympatycznie.

— Tylko że wszystko pachnie kocią sierścią. Są za to niezłą strażą sanitarną.

Weszli już do kuchni, która zdaniem Jane mogłaby spełnić najśmielsze marzenia każdego wielbiciela stylu retro. Wszystko tu było kremowe, począwszy od stołu i drewnianych krzeseł na wysokich a cienkich nogach, kończąc zaś na wyblakłych

bawełnianych zasłonach. Nie zmieniano tu chyba niczego od połowy lat pięćdziesiątych.

— Powiedziałeś, że koty to „straż sanitarna”?

— Myślę, że to dobre określenie. Tępią myszy i szczury, a nawet węże.

— Jesteś z nich zadowolony?

— A jakże! W stodole trzymamy jabłka, gdzie zwykle już w październiku pojawia się taka chmara gryzoni, że gdyby nie koty, do wiosny nic by nie zostało. Mój brat radził wprawdzie wyłożyć truciznę, ale jego propozycja omal nie rozbiła rodziny.

— Czemu?

— Z powodu Chloe.

Sam dźwięk tego imienia podział na Jane jak lekkie porażenie prądem, choć mogła się przecież spodziewać, że będzie dziś mowa o Chloe.

— Co zrobiła?

— Dostała ataku hysterii. Wytruć myszy? Nigdy w życiu! Raczej otruje się sama. Eli próbował jej wytłumaczyć, że to jakaś specjalna trucizna, po której każda myszka łagodnie odejdzie do krainy snów, ale nie chciała go słuchać. Zagroziła, że ucieknie z domu, jeśli popełnimy takie barbarzyństwo.

— Kocha zwierzęta — uśmiechnęła się Jane, ciesząc się w duchu, że udało jej się dowiedzieć czegoś nowego o córce.

— To prawda — potwierdził Dylan. Stał oparty o kontuar, skrzyżowawszy ręce na piersi.

Kim on właściwie jest? zastanawiała się Jane, przyglądając mu się dyskretnie. Był wysoki, jego dobrze zbudowane ciało wyglądało na silne i krzepkie, ale twarz... nie była twarzą farmera. Miał zbyt piękne i zbyt mądre oczy. Sprawiał wrażenie człowieka, z którym można porozmawiać o Szekspirze... Mimo woli pomyślała o Jeffreyu. Zaniepokojona tym skojarzeniem, czym prędzej opuściła oczy — i spostrzegła wielką kroplę krwi spływającą po bucie Dy lana.

— Ojej, ty krwawisz!

— To nic wielkiego — mruknął. Sięgnął po papierowy ręcznik i przycisnął go sobie do dłoni. — Do licha, powinna już stwardnieć.

— Co sobie zrobiłeś?

— Po prostu za długo siedziałem za biurkiem. — Mocniej przycisnął rącznik, lecz gdy go odrzucił, z dłoni natychmiast zaczęła mu znów kapać krew.

— Daj mi tę rękę — rzuciła Jane rozkazująco.

— Czyżbyś była lekarzem?

— Skąd wiesz, czy nie jestem? — odparła, biorąc go za rękę. Skórę miał szorstką jak tarka, pod paznokciami czarne obwódki, a na całej dłoni pełno ogromnych pęcherzy, które popękały i zaczęły krwawić. Bez słowa pociągnęła go w stronę głębokiego emaliowanego zlewu. — Masz piękną staroświecką kuchnię — powiedziała, odkręcając wielki chromowany kurek z białym napisem „gorąca”.

— Na mnie nie robi wrażenia; tu się wychowałem.

— Pewnie przypomina ci dzieciństwo?

— Było tak z początku, kiedy tu wróciłem. Teraz jest to dla mnie już tylko zwyczajna kuchnia. Powiedz mi lepiej: naprawdę jesteś lekarzem?

— Tak.

— Psychiatrą? — uśmiechnął się kpiąco.

— Bo spytałam cię o dzieciństwo? Cóż za spostrzegawczość! Otóż nie, nie jestem psychiatrą. Co byś powiedział, gdybym była neurochirurgiem? Teraz uważaj, może trochę szczytać — rzuciła ostrzegawczo, sprawdzivszy temperaturę wody.

— Wytrzymam.

— Zobaczmy. — Wsunęła jego rękę pod strumień ciepłej wody, obserwując spływającą z niej krew i brud. Dłoń miał tak poranioną, że musiało go to mocno boleć, ale nawet nie drgnął. — No dobrze, jesteś bardzo dzielny.

— Dziękuję, pani doktor, choć dotąd myślałem, że jesteś słynnym cukiernikiem.

— Bo jestem, ale tyle razy zdarzyło mi się skaleczyć w rękę, że umiem udzielić pierwszej pomocy. Masz jakieś środki antyseptyczne?

Otworzywszy drzwiczki pod zlewem, pokazał jej niewielką plastikową saszetkę opatrzoną czerwonym krzyżem.

— Bo muszę ci wyznać, że nie jestem lekarzem — rzuciła z uśmiechem.

On też się uśmiechnął.

— Wyobraź sobie, że sam już zdążyłem to odkryć. Wiesz, za co płacono mi w poprzednim życiu? Za umiejętność rozpoznawania, czy ktoś mówi prawdę. Wiem, że chciałaś trochę pozartować, i nawet wiem po co: przygotowując pacjenta do zabiegu, należy go wprowadzić w dobry nastrój, prawda?

— Jesteś naprawdę bardzo spostrzegawczy, ale teraz stój spokojnie. — Osuszywszy mu rękę papierowym ręcznikiem, posmarowała ją maścią z apteczki, po czym zręcznie owinęła kawałkiem gazy. — Gotowe.

— No proszę, całkiem jak nowa! Zechcesz teraz usiąść? — Gestem zaprosił ją do stołu i szarmancko podsunął krzesło.

Ten stary stół był naprawdę rewelacyjny. Trochę wyszczerbiony na brzegach, ale to właśnie dodawało mu autentyzmu. Od lakierowanej kremowej powierzchni pięknie odcinały się umieszczone w rogach czerwone różyczki. Ta kuchnia wygląda jak kapsuła czasu, myślała Jane, ogarniając spojrzeniem całe wnętrze. Człowiek czuje się tutaj jak podróżnik z innej epoki.

— Nie zmieniaj niczego w tej kuchni — powiedziała głośno. — W Nowym Jorku takie rzeczy kosztują fortunę.

— Ach, Nowy Jork!

Popatrzyła na niego z uśmiechem.

— Tęsknisz za nim?

— Ani trochę.

— To co? Wymienimy parę informacji? O tym, gdzieśmy mieszkali i w których lokalach najbardziej lubiliśmy bywać?

— Aby się przekonać, że gazety kupowaliśmy w tym samym kiosku?

— Nie. Gazety dostarczano mi do domu.

— Mnie też! — parsknął śmiechem Dylan.

— No cóż, gazety odpadają, ale istnieje na pewno jakiś inny punkt wspólny.

Skinął głową, nie podjął jednak tematu.

— Jako nastolatka — powiedziała Jane po krótkiej pauzie — wprost nie mogłam doczekać się chwili, kiedy się stąd wyrwę. Marzyłam o Nowym Jorku i kiedy tam teraz jestem, czuję się na swoim miejscu. To miasto jest tak niezwykle! Wszystko przeżywa się tam jakby ostrzej, bardziej intensyw-

nie... jakby każde z tych przeżyć miało być ostatnim... To tak, jakby człowiek balansował wciąż na krawędzi, ale w dobrym znaczeniu. A wiesz, co w tym wszystkim jest najzabawniejsze? Że gdy wracam do Rhode Island, mam wrażenie, że nigdy stąd nie wyjeżdżałam!

— Nie rozumiem, co może być dobrego w życiu na krawędzi — odrzekł Dylan, pomijając całą resztę jej wypowiedzi. Z jego oczu zniknęła wesołość.

— Chyba wiem, czemu tak myślisz, i po części przyznaję ci rację. — Jane na moment zamilkła. — To prawda, że idąc wieczorem ulicą, musisz mieć oczy dookoła głowy, bo trzeba wiedzieć, kto za tobą idzie, kto jest obok... że gdy chcesz przejść przez jezdnię, nie wolno ci ufać światłom, bo skądś może wyskoczyć na przykład taksówka, która pośle cię do wieczności... Że nawet na chodniku nie jesteś bezpieczny, bo z czyjegoś tarasu na dwudziestym piętrze może nagle spaść doniczka i zrobić z ciebie warzywo... albo że cię trafi zabłąkana kula, bo między policjantem a jakimś przestępcą wywiązała się strzelanina, a ty przypadkiem znalazłeś się na linii strzału...

Dylan słuchał tego z twarzą bez wyrazu.

— Masz rację, że życie w Nowym Jorku bywa niebezpieczne, ale ma też swoje dobre strony. Gdy na przykład w kwietniowy poranek idziesz sobie spacerkiem po Charles Street i widząc cudownie kwitnące grusze, masz nagle ochotę napisać wiersz. Gdy otwierasz w piątek poranną gazetę i znajdujesz w niej informację, która wprawia cię w taką euforię, że natychmiast dzwonisz po bilety: wieczorem w Joyce Theater wystąpi balet Eliota Felda! A kiedy w połowie lipca żar leje się z nieba i zaczynasz tęsknić za morzem, zawsze możesz pójść do Battery Park, gdzie ochłodzi cię wiatr od portu, lub zafundować sobie wycieczkę na Staten Island.

— Ty chyba kochasz to miasto — rzucił Dylan.

— Kocham i nienawidzę, częściej jednak kocham. Sam pewnie wiesz, jak to jest.

W milczeniu pokiwał głową.

Jane rozejrzała się po kuchni i nagle jej serce ruszyło w obłąkany galop: teraz dopiero spostrzegła, że na ścianie wisi fotografia przedstawiająca pięcioletnią chyba Chloe i jakąś

drugą dziewczynkę. Klęczały wśród kwiatów, objęte ciasno ramionami. Bardzo powoli, by nie wzbudzić podejrzeń Dylana, zaczęła przesuwać się w tym kierunku.

— Jak to się stało, że tu wróciłeś? — spytała, by go czymś zająć.

— Kocham tę ziemię — powiedział cicho.

Zaskoczyło ją to na tyle, że przestała zerkać na zdjęcie.

— Mówisz o sadzie?

— Tak. Od kilku pokoleń należy do mojej rodziny. Kiedy byłem dzieckiem, dziadek wsiadał na traktor, brał mnie na kolana i jeździliśmy sobie wśród drzew, a on opowiadał mi o nich, uczył, jak odróżnić jedno od drugiego po liściach i korze... Mój ojciec też kochał sad, pragnął jednak, by jego synowie, to znaczy Eli i ja, poszli na studia. Chciał stworzyć nam szansę na inne życie. Spełniliśmy jego życzenie... ale ja nigdy nie przestałem myśleć o powrocie.

Jane jakoś udało się nie drgnąć na dźwięk imienia człowieka, który zaadoptował Chloe.

— Mieszkając w Nowym Jorku, tęskniłeś za jabłoniemi? — spytała z lekką przekorą.

— Miewałem takie chwile, choć w żadnym razie nie dlatego, że bym był niezadowolony ze swego nowego życia. Przeciwnie. Od początku układało mi się świetnie. Po ukończeniu college'u mieszkałem jakiś czas w Waszyngtonie, podróżując często po kraju i świecie. Przeniesiono mnie potem do Nowego Jorku, gdzie też nie miałem na co narzekać. Czasami jednak to miasto zaczynało mnie przytłaczać...

— Nowy Jork na każdego tak działa.

— ...i wtedy pragnąłem być tutaj. Było to czyste wariactwo...

Zamilkł, więc spojrzała na niego zachęcająco; chciała go skłonić, żeby mówił dalej.

— Wyobrazałem sobie, że otaczają mnie drzewa, a jest ich tyle, że ciągną się aż po horyzont. Wydawało mi się, że czuję zapach zieleni, że powietrze wypełnia mi płuca...

— I lżej ci było oddychać.

— Tak. Dziadek i ojciec nauczyli mnie uprawy roślin. Już jako mały chłopiec miałem własny ogródek warzywny. Malut-

ki. Sadziłem w nim pomidory. Mieściło się tam ledwie parę krzaczków, ale rosły fenomenalnie. Miałem, jak to mówią, dobrą rękę, no i lubiłem to robić.

Jane znów spojrzała na zdjęcie. Chloe z taką czułością wpatrywała się w swą towarzyszkę. Kim może być ta dziewczynka?

— Zdaje się, że masz w rodzinie jeszcze jedną osobę, która także kocha ten sad — zaryzykowała, czując znów przyspieszone bicie serca. Nie doczekawszy się odpowiedzi, spróbowała w inny sposób zagaić rozmowę o Chloe. — Ile lat miała twoja bratanica, kiedy zrobiono to zdjęcie?

— Pięć. Obie były w tym wieku.

— Kim jest ta druga dziewczynka?

— To moja córka.

— Jest w tym samym wieku co Chloe? — niemal wykrzyknęła Jane. Zaskoczyła ją nagle świadomość, jak niewiele wie o swej córce. Nawet nie przyszło jej na myśl, że Chloe może mieć kuzynkę.

— Urodziły się w tym samym roku — odrzekł Dylan.

— W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym — wymknęło się Jane, nim zdążyła pomyśleć, co mówi. Dylan na szczęście nie zwrócił na to uwagi.

— Tak — powiedział tylko.

— Chloe urodziła się...

— ...w lutym. Nasze cudowne dziecko.

Jane zacisnęła szczęki. Te słowa trafiły ją w samo serce. Ich cudowne dziecko! Jak on mógł tak powiedzieć! Ten cud zdarzył się jej, a oni go jej odebrali!

— Cudowne dziecko? — powtórzyła z wysiłkiem.

— Tak. Mój brat i bratowa od dawna pragnęli dziecka, los jednak odmówił im tego szczęścia. To dobrzy ludzie, pełni miłości, i to, że nie mieli komu jej ofiarować, wydawało się tak niesprawiedliwe... Zdecydowali się w końcu zaadoptować dziecko...

— Zaadoptować... — powtórzyła znów Jane jak automat. — Mówisz o Chloe? Czemu więc nazwałeś ją cudownym dzieckiem?

— Normalnie tak o niej nie myślę. Sam nie wiem, co mi podsunęło te słowa. Chyba przypomniałem sobie, jaka to była

radość, gdy się zjawiła w naszej rodzinie. Nie wyobrażasz sobie, jak jej obecność zmieniła życie moich bliskich. To był prawdziwy cud.

— No tak — szepnęła Jane, nie odrywając oczu od zdjęcia — dwie śliczne dziewczynki w rodzinie.

— Chloe przyszła na świat w lutym, a Isabel w czerwcu.

— Cztery miesiące różnicy... — Jane cierpiała męki. Myśl, że jej córka przeżyła bez niej tyle lat, była nie do zniesienia. — Są pewnie bardzo sobie bliskie.

— Były — odrzekł Dylan.

Zajęta sobą, w pierwszej chwili nie zwróciła na to uwagi, lecz gdy zobaczyła jego oczy... rozpacz, uczucie beznadziejnej pustki, to że nagle straciły swą zielono-złocistą barwę i nabrały odcienia wodnistej herbaty — poczuła dla niego współczucie.

— Były?

— Moja córka... — zaczął mówić i urwał, jakby słowa uwięzły mu w gardle, ale Jane już wiedziała: jego córka nie żyje.

Wystarczyło na niego spojrzeć, by zrozumieć, co teraz czuje. Och, dobrze to знаła. Cierpiał tak samo jak ona, gdy stojąc przed lustrem, próbowała we własnej twarzy i oczach zobaczyć utraconą córkę, wyobrazić sobie, jaką kobietą będzie kiedyś Chloe. O tak, dobrze wiedziała, co to znaczy utracić dziecko.

— Jak... Co się stało? — Próbowала do niego podejść i nie mogła. Nie była w stanie oderwać się od zdjęcia Chloe. Działo na nią jak magnes.

— Mówiąc o Nowym Jorku, wspomniałaś o tym, co się może zdarzyć...

— O tym, że wszystko przeżywa się tam intensywniej...

Popatrzył na swą zabandażowaną rękę, a gdy podniósł głowę, zobaczyła w jego oczach całkiem inny wyraz; miejsce beznadziei i pustki zajęła gwałtowna nienawiść.

— I o zbłąkanych kulach.

— Och, nie!

— Było tak, jak mówiłaś. Isabel i jej matka przypadkiem znalazły się na linii ognia. Byłem wtedy funkcjonariuszem U. S. Marshals. Pracowałem nad pewną niebezpieczną sprawą, chciałem więc wywieźć je z miasta. Nie zdążyłem.

Jane przyjrzała się drugiej dziewczynce na zdjęciu. Między ojcem a córką istniało duże podobieństwo. Takie samo jak między nią i Chloe. Isabel ze swą jasną, radosną twarzą i kasztanowymi włosami przypominała wesołego elfa. Była tak pełna życia...

— Współczuję ci z całego serca.

Skinął głową, wzruszając jednocześnie ramionami. Nie patrzył na nią. Z głęboką zmarszczką na czole utkwiał niewidzące oczy w przestrzeń. Miały teraz barwę kamieni wypłukanych przez rzekę.

Pragnęła mu powiedzieć, że rozumie, co to znaczy utracić córkę. Myślała o latach przeżytych bez Chloe, o snach czy raczej koszmarach, w których wyrywano jej dziecko, o nocach, gdy tuliła do siebie poduszkę, oblewając ją Izami, póki nie przemokła na wylot. Gdy jednak po chwili spojrzała mu w twarz, zrozumiała, że nie może się z nim porównywać, że los obszedł się z nim okrutniej niż z nią.

Chloe żyje. Jej nie zabiła zabłąkana kula. Może żyć i cieszyć się życiem. Odetchnęła głęboko i wreszcie udało jej się odejść o krok od ściany. Po chwili zrobiła drugi. Posuwając się tak krok po kroku, powoli przeszła przez kuchnię, stanęła przed Dylanem i ostrożnie wzięła go za rękę. Czuła jego ból w taki sposób, jakby w nią wnikał przez skórę. Ból wszystkich tych bezsennych nocy, gdy leżąc samotnie w ciemności, opłakiwał ukochaną córkę.

Ogarnęły ją znowu wyrzuty sumienia. Tak ufnie pozwolił się trzymać za rękę, a powinien ją stąd wyrzucić, powiedzieć, że ma iść do diabła razem ze swoim ciastem. Pewnie by tak zrobił, gdyby znał jej intencje.

Gdyby wiedział, że chodzi o Chloe.

Nie miała jeszcze żadnych konkretnych planów, pewne było tylko jedno: nigdy już nie będzie żyć z dala od Chloe. Patrząc na tego obcego mężczyznę, który stał się tak bliski jej córce, zapragnęła nagle, żeby poznał prawdę, by w jej oczach zobaczył! Chloe.

Och nie, pomyślała w tej samej chwili, oby nigdy się tak nie stało.

W pokoju było cicho i przyjemnie, zza okna dochodził śpiew ptaków. Wśród gałęzi wielkiego klonu uwijała się wilga, budując gniazdo, srebrzyście szary koszycek z mięciutkich traw i porostów. Margaret, pólleżąc na poduszkach, z przyjemnością słuchała ptasiej serenady. Jej młodsza córka, zajęta haftem, siedziała na bujaku po drugiej stronie pokoju, starsza zaś stała przy oknie, obserwując budowę gniazda.

— O czym tak myślisz? — zagadnęła ją Margaret.

— Przyglądam się temu ptaszкови. To wilga Baltimore.

— Teraz to wilga wschodnia — sprostowała Sylvia — zmieniono jej nazwę. Nie lubię takich niespodzianek. Przez całe życie używamy danej nazwy, przyzwyczajamy się do niej i nagle pojawia się inna, bo paru naukowców z im tylko znanych powodów tak postanowiło. Zupełnie nie rozumiem po co.

— Virginia Chadwick zaraz by ci to wyjaśniła — włączyła się Margaret, dodając z westchnieniem: — Była taką wspaniałą nauczycielką! Powiedziałyby, że ten ptaszek to wschodnia odmiana wilgi północnej i że precyzyjna klasyfikacja to rzecz nieodzowna dla ustalenia czyjejs tożsamości.

— No tak, tożsamość to rzecz najważniejsza. Nawet dla ptaków — rzuciła uszczypliwie Jane.

Margaret drgnęła: o co jej chodzi? Ale już po sekundzie uświadomiła sobie swój błąd: wspomniała przy Jane o Virginii!

— Przepraszam cię, kochanie — mruknęła ze skruchą, widząc, że nawet Sylvia przestała nagle haftować.

— W porządku, mamó.

— Macie jakieś życzenia co do kolacji? — żywo spytała Sylvia, ale matka i siostra puściły to mimo uszu.

— Jakoś nigdy nie miałam okazji osobiście poznać pani Chadwick — wycedziła Jane. — Jak to się stało, że się z nią zaprzyjaźniłaś? O ile mi wiadomo, była to przyjaźń niezwykle bliska.

— Och, moja droga, po co wyciągać takie stare sprawy? — zapytała Margaret.

— Dla mnie nie są stare.

Sylvia z przesadnym skupieniem pochyliła się znów nad robótką. Jej przygarbione plecy przypomniały Jane czasy dzieciństwa. Wtedy jej młodsza siostra z taką samą determinacją zasiadała przy stole do lekcji.

— Chodziłyśmy obie do tej samej szkoły — odrzekła Margaret — tyle że ona o parę klas wyżej. Obie wybrałyśmy karierę nauczycielską. Virginia uczyła biologii, a ja angielskiego, mimo to pod wieloma względami uważałam ją za mentorkę. Podziwiałam zwłaszcza jej niezwykle dyscyplinę umysłową. No i oczywiście łączyła nas religia.

— Katolicka — uściśliła Jane.

— Tak, kochanie. Obie byłyśmy przecież wychowankami Salve Reginy. Virginia była... i jest... wyjątkowo szlachetną kobietą. Była też wspaiałą przyjaciółką, troskliwą, zawsze gotową pomóc...

— I obie miałyście dzieci. Ty dwie dziewczynki, ona dwóch chłopców.

— No tak.

— Znasz jej synów?

— Jane, proszę cię...

— Znasz Dylana?

Margaret zmarszczyła brwi, trochę zbita z tropu: spodziewała się pytania o starszego z braci Chadwicków.

— Poznałam go kiedyś — wtrąciła Sylvia. — Wozi czasem matkę na nasze wieczorki.

— Co się stało z jego żoną i córką?

Co to było? Margaret mgliście pamiętała, że Virginia wzięła długi urlop, miesiąc czy nawet więcej, że nosiła żałobę po wnuczce i synowej, ale żadnych szczegółów nie mogła sobie przypomnieć.

— Och, to było straszne! Obie zostały zastrzelone — powiedziała Sylvia. — Dylan był wtedy jakimś agentem... pracował chyba w FBI...

— Nie w FBI, tylko w U. S. Marshals — poprawiła ją Margaret. — To najstarsza federalna agencja bezpieczeństwa publicznego. Pamiętam, jaka dumna była z niego Virginia i jak ją załamała ta tragedia...

— Jak do tego doszło?

Margaret nie odpowiedziała. Zalała ją nagle tak ogromne współczucie dla Virginii, że zaczęło jej się kręcić w głowie. Sięgnęła po lalkę i przycisnęła ją do piersi. Przypomniało jej się, że tak samo tuliła kiedyś córki. I Lolly, swoją ukochaną lalkę... Poczuła, że ogarniają spokój. Pamiętała, że zadano jej jakieś pytanie — świadczyły o tym pytające spojrzenia córek — ale co to było?

Za oknem nadal śpiewała wilga. Czarno-pomarańczowa kuleczka dała nagle nurka między liście, tam gdzie na gałęzi kołysał się mały srebrzysty koszycek. Jak melodyjnie i czysto śpiewał ten śliczny ptaszek!

— Moja przyjaciółka Virginia jest nauczycielką biologii — oznajmiła rzeczowym tonem. — Ta wschodnia wilga to odmiana wilgi północnej. Dziś już nikt jej nie nazywa baltimorską...

Może nie trzeba było zapraszać Johna na scrabble, myślała Sylvia, krzątając się po kuchni; mama jest dziś w kiepskiej formie. W pewnym momencie zasłabła i gdy Sylvia zmierzyła jej cukier, okazało się nagle, że ma zbyt wysoki poziom insuliny. Żeby go obniżyć, musiała podać chorej dużą szklanekę soku z dwiema łyżkami cukru. Jane nie ma pojęcia, co robić w takich sytuacjach; przez cały ten czas siedziała tylko przy łóżku... No ale teraz nie powinno być już takich niespodzianek.

Starannie ułożyła na tacy przekąski, wyjęła z szafki wiaderko do lodu, sprawdziła, czy w lodówce jest piwo i woda

sodowa. Nie brakowało niczego, przeszła więc do salonu, aby zająć się oświetleniem. Żadnych jaskrawych świateł. Zarzucając na abażur jedwabny różowy szal, usłyszała głośny śmiech Jane.

— Przy tak pięknej cerze nie masz powodu do zmartwień! — zawołała jej siostra. — Naprawdę nie musisz przyciemniać świateł.

— A te drobne zmarszczki pod oczami? — jęknęła Sylvia. To ty się nie masz czym martwić, dodała w duchu; masz trzydzieści pięć lat, a wyglądasz na dwadzieścia pięć. — Nigdy nie powinnam się byta opalać — powiedziała z przygnębieniem.

— Oddałabyś te cudowne godziny na plaży za lepszą cerę? Daj spokój! Dla niego i tak jesteś piękna.

Sylvia z lekkim rumieńcem zerknęła na siostrę, lecz Jane uśmiechała się z taką czułością, że zrobiło jej się ciepło koło serca.

— O której spodziewasz się Johna?

— O ósmej. Zagrasz z nami?

— Nie, zostanę na górze. Mama może czegoś potrzebować.

— Niepokoją mnie ostatnio te wahania poziomu cukru. Raz go jest za dużo, potem znów za mało. Tak bardzo straciła na wadze, że ta dawka insuliny, którą teraz bierze, jest chyba dla niej za duża. Jutro zadzwonię do lekarza.

— Dobrze wiesz, że chodzi nie tylko o poziom cukru.

— Ale to główny problem...

— A to, że bawi się lalką?

— Ojej! I cóż w tym złego, że czasami weźmie ją na ręce?

Jane głośno wciągnęła powietrze. Na chwilę zapadła cisza. Z góry dobiegał głos matki — mówiła coś do siebie, a może do lalki? Sylvia westchnęła w duchu. W tych warunkach trudno jej było udawać przed siostrą, że z matką nie dzieje się nic złego, lecz tak bardzo bała się zmian, iż była gotowa zrobić wszystko, byle tylko zatrzymać ją w domu. Wyczuwając wyraźnie, że Jane znów zamierza poruszyć wiadomy temat, postanowiła uprzedzić atak.

— No mów, proszę bardzo! Wiem, o czym myślisz!

— Tak? No to powiedz, słucham.

— Że coraz bardziej się gubi. A ty myślisz tylko o tym, żeby wyprawić ją z domu. Już się nie możesz doczekać...

Jane milczała, pozwalając jej się wygadać. Może Sylvia oprzytomnieje, gdy do niej dotrze, co mówi. Sylvia jednak urwała w pół zdania i poszła do kuchni, gdzie zaczęła układać suszone morele, przedzielając je migdałami. Jane poszła za nią.

— Syl, czy ty naprawdę nie widzisz, jak bardzo się zmieniła? Była przecież tak żywą, tak błyskotliwą osobą, w lot chwyciła wszystko co nowe, a teraz nagle zachowuje się jak małe dziecko! I ty uważasz, że to nic nie znaczy?

Sylvia tak mocno zacisnęła usta, że ścierpły jej wargi.

— Była zdenerwowana. — Zabrzmiało to jak zarzut.

Jane popatrzyła na nią zwężonymi oczyma.

— Przeze mnie?

— A jak myślisz? Zadałaś jej tyle kłopotliwych pytań.

— Na które w ogóle nie odpowiedziała. Bo nagle odpłynęła. Straciła kontakt z rzeczywistością. Nie dowiedziałam się od niej niczego, więc może ty mi opowiesz?

— O czym?

— O Dylanie Chadwicku i jego rodzinie.

Sylvia zerknęła na zegar. Do przybycia Johna pozostało jeszcze piętnaście minut. Przerazała ją ta rozmowa. Miała wrażenie, że obie z Jane zaczynają balansować nad przepaścią.

— Och, Jane, po co ci to?

— Po prostu mi powiedz. Proszę cię.

— Wiem tylko tyle, że miał się odbyć proces jakichś handlarzy narkotyków, a Dylana przydzielono do ochrony głównego świadka. Bał się, że przez to jego żonie i córce może grozić niebezpieczeństwo, chciał je więc wywieźć z Nowego Jorku...

— Czy on był przy tym? Widział ich śmierć? — przerwała jej Jane.

— Nie wiem — odrzekła Sylvia, zaniepokojona jej tonem — nie znam szczegółów. Czemu o to pytasz?

— Bo chcę wiedzieć.

— Ale po co? Nic nas nie łączy z tymi ludźmi. Przestań o nich myśleć.

Jane zaczęła się śmiać.

— Co cię tak śmieszy?

— Ty. Jak możesz mówić, że nic nas z nimi nie łączy? Mnie łączy, i to bardzo dużo.

— Jane, to już przeszłość. Powinnaś zostawić ją w spokoju... iść naprzód.

— Właśnie to robię.

— Chcesz się z nią skontaktować, prawda?

— Sylvio, ona ma imię. Słyszałaś, jak je nadawałam. Byłaś przy tym.

— Jane, proszę cię, przestań!

Tak, Sylvia dobrze pamiętała, jak się to odbyło. Na samo wspomnienie tej chwili przeszedł ją zimny dreszcz. Zaraz potem usłyszała, że matka zaczyna krążyć po pokoju, a przed domem zatrzymuje się samochód. Widząc, że Jane zrywa się z miejsca, by pobiec na górę, zerknęła przez okno: John Dufour wysiadł właśnie z auta. Niósł pod pachą pudło czekoladek.

— Chyba nie zaprzeczysz, że to ona jest przyczyną twojego powrotu do domu — rzuciła pod adresem siostry. — Chloe — dodała po pauzie, bo nagle wszystko stało się dla niej jasne: to nie choroba matki skłoniła Jane do przyjazdu.

— Nie mam zamiaru zaprzeczać — odrzekła Jane, wchodząc już na schody.

Sylvia nie zdążyła nic powiedzieć, bo w tym momencie odezwał się dzwonek u drzwi.

Było już ciemno, gdy Chloe wyszła nakarmić koty. Skryty za drzewami księżyc w połowie swej drogi do pełni świecił tak czarodziejsko, że można się było spodziewać wielkiego kociego balu. Dookoła panowała cisza; słychać było tylko podniecone pomruki kotów, które zdążyły już zwęszyć jedzenie, szelest młodych liści i cichy stukot gałązek kołysanych lekkimi podmuchami wiatru.

Ciszę rozdarł nagle dochodzący z sadu ryk silnika. Takiego hałasu nie robił nawet traktor Dylana; musiała to być maszyna o dwa razy większej mocy i znacznie od niego szybsza. Znów pewnie jakiś wariat na motorze! gniewnie pomyślała Chloe.

Upuściwszy torbę z karmą, przesadziła płot jak młody jelen i rzuciła się pędem w stronę dziko tańczących świateł.

Gdy w końcu zabrakło jej tchu, przykucnęła w wysokiej trawie: poczeka na intruza, a potem wyskoczy z ukrycia, rzuci się na niego i ściągnie z siodełka. Silnik zawył głośniejsze. Słyszała, jak koła ryją ziemię, rozpryskując ją na wszystkie strony. Intruz był już blisko. Czekwała z bijącym sercem, gotowa do skoku, gdy nagle... musiał chyba zawadzić kołem o korzeń, bo dobiegł ją zgrzyt metalu, głuchy odgłos ciała uderzającego o grunt i czyjś zduszony okrzyk: „A niech to jasna cholera!”

Ostrożnie wysunawszy głowę z trawy, zobaczyła jakiegoś chłopaka, który podniósł się już na nogi i zaczął otrząpywać z kurzu. Był wysoki i chudy, ubrany w postrzępione džinsy i skórzaną kurtkę. Jasne włosy związane miał w kucyk. Coś chyba stało mu się w rękę, bo oglądał ją w taki sposób, jakby go mocno bolała.

— Hej, ty, to posiadłość prywatna! — ostro powiedziała Chloe.

— Co? Kto tu jest? — zapytał wyraźnie spłoszony.

— Zabieraj stąd tego nędznego gruchota i zjeżdżaj do domu! Drogą publiczną!

— Odpieprz się! — warknął.

— Złamałeś sobie rękę?

Nie odpowiedział. Domyślała się, że cierpi, bo tak się przygarbił, że wyglądał jak znak zapytania. Wiedziała, że nie powinna z nim rozmawiać — rodzice od dzieciństwa wbijali jej w głowę, że nie wolno odzywać się do obcych, a zwłaszcza do kogoś takiego jak ten wulgarny motocyklista — cóż, kiedy miała zbyt miękkie serce. Cierpiący człowiek budził w niej takie samo współczucie jak ranny kociak.

— Pokaż mi tę rękę — powiedziała, wychodząc ze swej kryjówki.

— Nic mi nie jest — burknął, trzymając się za nadgarstek. Leżący obok motocykl miał zwinięty w trąbkę przedni błotnik. Unosił się nad nim zapach benzyny. Po ziemi wiła się strużka wyciekającego paliwa.

— No pięknie! — cierpko rzuciła Chloe.

— Co?

— Zobacz, co zrobiłeś. Słyszałeś kiedyś o ochronie środowiska? To rozlane paliwo przeniknie prosto do wód gruntowych i zatruje okoliczne źródła. Wiesz, co się stanie ze zwierzęciem, które napije się takiej wody? Ale to jeszcze nie koniec. Całe to świństwo spłynie do dwóch naszych rzek, a potem do zatoki Narragansett, gdzie zabije okonie pasiaste.

— I to wszystko przeze mnie — rzucił z jawnym sarkazmem, Chloe postanowiła jednak wziąć to za dobrą monetę.

— Dobrze, że przynajmniej czujesz się za to odpowiedzialny. To już coś. Tylko niech ci nie strzeli do głowy domagać się od nas odszkodowania za odniesioną kontuzję. To ty wtargnąłeś na nasz grunt, więc sam jesteś sobie winien. Pokaż mi ten nadgarstek.

— Jeszcze czego! — parsknął szyderczo.

Chloe zlustrowała go od stóp do głów. Był od niej znacznie wyższy — miał na oko ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu — no i był całkiem przystojny. Miał gęste, bardzo jasne włosy, opadające mu teraz na oczy, a oczy wręcz niesamowite! Jasnozielone i błyszczące — całkiem jak u kota. Patrząc na niego, miała uczucie, że zna go od dawna; jakby w którymś z poprzednich żywotów oboje byli kotami.

— Czemu się tak gapisz? — spytał zaczepnie.

— Bo... hm... wyglądasz znajomo.

— Chodzę do liceum w Twin Rivers. Mam ci pokazać legitymację?

— Nie trzeba.

— Doprawdy? To czemu zachowujesz się jak glina?

— Przepraszam cię bardzo, ale to prywatna posiadłość. Nie widziałeś znaków zakazu?

— Wszyscy tędy jeżdżą.

— Jeśli ktoś skoczy z Newport Bridge, to ty też?

Parsknął śmiechem, choć minę miał taką, jakby się sam temu dziwił.

— No a ty? — zapytał. — W której jesteś klasie? W dziewiątej?

— Zgadza się.

— To dlaczego tak gadasz, jakbyś była po sześćdziesiątce?

— Jeśli chciałeś mi zrobić przykrość, to musisz obejść się smakiem. Starsi ludzie są mądrzy, więc uznają to za komplement. Daj mi tę rękę.

— Nie wysilaj się — mruknął, masując nadgarstek.

— No daj. Przez całe życie opatruję różne połamane łapy, kocie, królicze... twoja niewiele się różni. Wątpię wprowadzić, czy byłabym w stanie ją nastawić, bo tu nie wystarczą patyczki i kawałek plastra, ale mogę sprawdzić, czy nie jest złamana.

— Już się rozpędziłem! Miałbym jakiejś stukniętej miłośniczce kulawych kotów, co gada jak stare babsko, pokazywać... — Nie skończył, gdyż w tej samej chwili usłyszeli odgłos czyichś kroków.

— Jest tam kto? — rozległ się głos Dylana.

Intruz na chwilę zeszywniał, a potem szybko sięgnął po motocykl, najwidoczniej zamierzając uciec. Zdaniem Chloe był jeszcze zbyt zamroczony, by trzeźwo ocenić swe szanse, a były one znikome. Ona sama doznawała sprzecznych uczuć. Lojalność wobec Dylana walczyła w niej o lepsze ze współczuciem dla tego chłopaka. Zwyciężyło to drugie. Przyłożywszy palec do ust, dała mu znak: „na ziemię”. Oboje przykucnęli w trawie.

— Kto to? — spytał szeptem

— Dozorca — szepnęła Chloe. — Siedz cicho. Ma broń.

— Cholera, ale szambo!

— No. Przestań gadać.

Sądząc po odgłosie kroków, Dylan musiał być niedaleko. Dzieliło go od nich może piętnaście metrów. Czy nie poczuje zapachu benzyny? Wiatr na szczęście wiał w przeciwną stronę. Chloe nadal zmagala się z sobą. Wiedziała, że powinna zawołać Dylana — strasznie denerwowali go ci zuchwalcy rozbijający się po jego sadzie — ale ten chłopiec... Miał takie zielone oczy, a jego bliskość działała na nią w sposób... trudny do opisania. Nigdy jeszcze się tak nie czuła. Ani rusz nie mogła opanować drżenia, choć wcale nie było zimno.

— Hej, ty — krzyknął Dylan — radzę ci dobrze się schować, bo jak cię złapię, gorzko pożałujesz, że wtargnąłeś na moją ziemię!

— On nie żartuje — syknęła Chloe.

— No i co mi zrobi? Zastrzeli?

— To całkiem możliwe. Był funkcjonariuszem U. S. Marshals.

— Takim jak Tommy Lee Jones?

— Dwa razy twardszym. Tommy Lee Jones to przy nim mięczak. Jest w dodatku ekspertem w tropieniu zbiegów.

Słyszac zbliżające się kroki, oboje zamilkli. Chloe nisko pochyliła głowę, jej towarzysz zrobił to samo. Ich twarze prawie się teraz stykały. Czują jego zapach — zmieszana woń skóry i potu, od której zakręciło jej się w głowie. W dodatku musieli patrzeć sobie w oczy, a te jego oczy... Miała wrażenie, że zapada się w głęboką studnię o wodzie zielonej jak szmaragd.

Kiedy się nagle uśmiechnął, pomyślała, że chyba zemdleje. Zrobił się taki ładny, a jakie piękne miał zęby! Idealnie białe i równe. Zrewanżowała mu się tym samym, uważając jednak, by przypadkiem nie rozchylić warg. Jej dwa dolne siekacze zachodziły trochę na siebie, a między dwoma górnymi miała niewielką szparkę. Nie chciała, żeby to zobaczył.

Po paru minutach usłyszała, że Dylan zawraca. Jego kroki brzmiały coraz ciszej, potem trzasnęły drzwi domu i światło na ganku zgasło. Teraz już tylko księżyc rozpraszał głęboką ciemność, ale nawet w tym nikłym świetle oczy chłopca nie straciły swej zielonej barwy.

— Dzięki — powiedział.

— Nie ma za co.

— Skąd wiesz, że ten gość był agentem?

— To mój wujek.

— Więc ten sad jest wasz?

— Uhm.

— Jest cool.

— Naprawdę nie powinieneś tędy jeździć. Z punktu widzenia ekologii jest to ogromnie szkodliwe.

— O rany, ty znów przemawiasz jak belfer. Pani od biologii! Wiesz, że to fatalny nawyk?

— Moja babcia byłaby szczęśliwa, gdyby słyszała, co mówisz. Była nauczycielką biologii i to ona wszczepiła mi swoje

zasady, co oznacza, że wpływ środowiska jest równie ważny jak geny.

— No i widzisz? Znowu to robisz! Geny! Środowisko! Kto tak mówi?

— Nic na to nie poradzę. Zbyt troszczę się o przyrodę, żebyśmy miała udawać głupią.

— A niby po co miałabyś udawać głupią?

— Słyszałam, że chłopakom podobają się głupie dziewczyny.

— Chyba głupim chłopakom.

Jak pięknie załśniły mu oczy, kiedy to powiedział. Znów przebiegł ją dreszcz, tym razem jednak było to coś nowego, coś, czego dotąd nie czuła.

Pomyślała, że podoba jej się jego głos. Był głęboki, a teraz pojawiła się w nim ciepła nuta. Jakby jego właściciel zdecydował się ją polubić. Na koniec uznała, że głos ten brzmi całkiem inteligentnie.

— Nazywam się Chloe Chadwick — powiedziała.

— No jasne! „Sady Chadwicków”!

— Aha, widziałeś stoisko! Właśnie tam pracuję.

— Ja jestem Zeke Vaill.

— Cześć. — Podała mu rękę, zapominając o jego kontuzji. Nie mogło to być jednak złamanie, bo bez wahania uściśnięła jej dłoń, a potem zaczął zginać i prostować palce.

— Wraca do normy — stwierdził.

— To dobrze.

— Ale motocykl to inna sprawa.

Teraz gdy Dylan zniknął z horyzontu, wyleźli ze swej kryjówki. Zeke podniósł motocykl i mocnym pchnięciem spróbował wprowadzić go w ruch, okazało się jednak, że obręcz przedniego koła jest mocno skrzywiona.

— Daleko mieszkasz? — spytała Chloe.

— W Twin Rivers.

— No cóż, odwiozłabym cię do domu, ale nie mam prawa jazdy.

Uśmiechnął się na to iście szatańskim uśmieszkiem — śmiała się tylko lewa połowa ust — wyjął z kieszeni telefon i szybko wystukał numer.

— Hej — powiedział po chwili — miałem kraknę. Uhm — roześmiał się głośno — kompletnie sponiewierany. Gdzie? No wiesz, w sadzie. Za dziesięć minut? Dobra. Będę czekał przy końcu ogrodzenia. Na razie!

Chloe wyschły usta. Pragnęła zadać mu tyle pytań! Bardzo też chciała wiedzieć, do kogo dzwonił po pomoc.

— To mój brat — wyjaśnił, jakby czytał jej w myślach. — Przyjedzie ciężarówką ojca, więc zabierzemy motocykl. Przepraszam cię za ten wyciek paliwa.

Ruszyli w stronę głównej drogi. Zeke pchał swój pojazd. Chloe czuła się coraz dziwniej. Ogarnęła ją jakaś niezrozumiała tęsknota, podobna do tej, którą odczuwała jako dziecko, obserwując na niebie dwie samotne gwiazdy. Miała wrażenie, że uczucie to rozdyma jej serce od środka, tak że jego ścianki stają się coraz cieńsze jak zbyt mocno naciągnięty elastik.

— Do której szkoły chodzisz? — zapytał. — W Crofton?

W milczeniu skinęła głową. To dławiące uczucie było tak silne, że na chwilę zaniemówiła.

— Masz rodzeństwo?

— Nie.

— Jedyńaczka!

Chloe zamyśliła się nad tym. Może dlatego tak bardzo kochała Isabel? Dobrze jest mieć rodzeństwo. Ciekawe, czy jej prawdziwi rodzice mają inne dzieci. Jeśli tak, to może i ona ma braci lub siostry. Może była kolejnym dzieckiem w rodzinie tak biednej, że ojciec i matka nie mogli jej już utrzymać i dlatego oddali do adopcji? A może bardzo się kochali, ale byli zbyt młodzi, żeby się pobrać? Rozstali się i teraz każde ma własne dzieci. Pod wpływem tych myśli sensacje sercowe tak bardzo się wzmożyły, że zaczęła drżeć na całym ciele.

— Zmarzłaś — zauważył Zeke.

— Nie, ja tylko...

Ale on już zdjął kurtkę i narzucił jej na ramiona. Nigdy dotąd nie miała na sobie żadnej zwierzęcej skóry, toteż w pierwszej chwili ogarnęła ją zgroza, gdy jednak poczuła emanujące z kurtki jego ciepło, zamknęła oczy, rozkoszując się tym doznaniem. Było tak, jakby gwiazdy zeszyły do niej

z nieba. Gdy znów podniosła powieki, zobaczyła, że jej rycerz ma na sobie znoszoną białą koszulkę, a na lewym bicepsie tatuaż. Delikatnie dotknęła go palcem.

— Delfin! Lubisz je?

— Odstraszą rekinami.

— Rekinami?

— Tak. Uprawiam surfing.

— Naprawdę? — Wyobraziła sobie, jak wielka oceaniczna fala oblewa pianą jego jasne włosy.

— Uhm. Przy plaży numer jeden. Masz deskę?

— Nie.

— No tak — zażartował — ekologia! Nie surfujesz, bo mogłabyś rąbnąć w ławicę jakichś cennych rybek. Mam rację?

— Mniej więcej. — Nie miała ochoty mu mówić, że jej rodzice nie przepadają za morzem i plażą, więc choć jest mieszkanką „Ocean State”, jak popularnie zwano Rhode Island, na plaży była ledwie parę razy, i to nie tutaj, lecz w Newport, kiedy wraz z Isabel bywała tam u jej dziadków.

— No cóż, może kiedyś jednak spróbujesz.

— Może.

— Jeśli pewnego dnia przyjdzie ci na to ochota — mówił dalej, patrząc jej w oczy, i to tak głęboko, że och, czuła to spojrzenie w pępku! — rozglądaj się za delfinami. Nie dopuszczaj do ciebie rekinów.

Ogarnęło ją uniesienie, gdy pochylił się nad nią, jakby ją chciał pocałować, i właśnie w tej chwili usłyszała okrzyk:

— Chloe!

— Ojej, to moja matka!

— Lepiej leć do domu, zanim przyśle po ciebie tego seryfa.

— Masz rację. — Odsunęła się od niego z ciężkim sercem. Jakże pragnęła, żeby ją pocałował, zapoznał z bratem, nauczył surfować! Ciało miała tak obolałe, jakby wyrwano ją z paszczy rekina.

— Chloe! — rozległo się znowu.

— No to idę.

— Bardzo ci dziękuję... za wszystko.

— Nie ma za co.

Matka najwyraźniej postanowiła ją znaleźć, bo nie przestawała wołać. Uświadomiwszy to sobie, Chloe wpadła w popłoch: jeśli zobaczy tego chłopaka, zacznie na niego krzyczeć, zagrozi, że zadzwoni do jego rodziców albo na policję. Och nie, to byłoby straszne!

Czym prędzej wysliznęła się z jego kurtki i nie mówiąc nawet „do widzenia”, puściła się pędem w głąb sadu.

ROZDZIAŁ 13

Dzień otwarcia stoiska obfitował w niezwykle emocje. Chloe zadała sobie wiele trudu, by jej nowe miejsce pracy wyglądało jak najokazalej, i efekt wart był tych starań. Odnowiony obiekt, błękitny jak kawałek słonecznego nieba, już z daleka rzucał się w oczy. Z pólek bił kuszący aromat świeżutkiego ciasta, a nad całym stoiskiem łopotały barwne proporce zapowiadające wielkie otwarcie. One także były dziełem Chloe. Jeden z nich przedstawiał złościstą szarlotkę, inny — o dziwo — delfina. Chloe i Mona siedziały na ławce, czekając na pierwszych klientów. Tak jak kiedyś Eli i ja, pomyślał z uśmiechem Dylan.

Pracując na skraju sadu, raz po raz zerkał na dziewczyny, starając się równocześnie zaradzić szkodom wyrządzonym przez któregoś z tych młodych idiotów. Zrobił już, co się dało, by oczyścić skażone miejsce z benzyny, a teraz powlekał zranione korzenie specjalną farbą ochronną. Miał przy sobie parę ogrodniczych nożyc — musiał jeszcze poobcinać kilka złamanych gałęzi zwisających ze starej jabłoni, w którą uderzył ten bezmyślny szczeniak.

Wiedział od dziadka, że zadanie to wymaga uwagi i ostrożności. Należało ciąć jak najrówniej w miejscu lekkiego zgrubienia łączącego gałąź z głównym pniem. Wystające kikuty goiły się dłużej; powierzchnia uszkodzenia była wtedy większa, co ułatwiało działalność bakteriom gnilnym i wszelkiego rodzaju pasożytom.

Przerwał na chwilę, by zerknąć na Chloe. Z takim napięciem wpatrywała się w drogę, jakby chciała przyciągnąć klientów wyłącznie siłą własnej woli. Uśmiechnęła się w duchu: on kiedyś robił to samo. Kłopot polegał na tym, że stragan stał przy mało uczęszczanej drodze, trudno więc było liczyć na tłumy chętnych nabywców. Może później, gdy wieść się rozniesie...

A jednak po paru minutach dał się słyszeć warkot silnika. Chloe wyciągnęła szyję, a Mona zerwała się z ławki, by wyczekująco stanąć na poboczu. Dylan powrócił do pracy. W odsłoniętych korzeniach jabłoni widniały głębokie pęknięcia, przez które chorobotwórcze grzyby mogły łatwo wnikać w miąższ drzewa. Jakże kruche jest życie i jak łatwo je unicestwić... Isabel, pomyślał, to ty powinnaś teraz siedzieć na ławce wraz z Chloe...

Gdy znowu spojrzął na drogę i zobaczył parkującą furgonetkę, rozpoznał ją od razu: to Jane. Obserwując jej szczupłą sprężystą postać w czarnym swetrze i dzinsach, pomyślał, że wygląda jak młody chłopak i że jej czarne błyszczące włosy mają ten sam odcień co włosy Chloe, która na widok gościa radośnie zerwała się z ławki.

— Jest pani naszą pierwszą klientką! — zawołała Mona.

— Świetnie! Możecie oprawić mojego dolara!

— Nie możesz nic od nas kupować! — zaśmiała się Chloe.

— Sama upiekłaś te ciasta!

— Nie szkodzi. — Jane wzięła leżącą na ladzie tartę, wyjęła z kieszeni portfel i wręczyła dziewczynom banknot dolarowy. — Uznajmy to za gest symboliczny. Jestem pewna, że wasze stoisko stanie się wkrótce najlepszym punktem sprzedaży jabłek na całym północnym wschodzie.

— Słyszysz? Na całym północnym wschodzie! — wykrzyknęła Mona, trącając Chloe pod żebro. — Szkoda, że twoja matka tak nie myśli!

Jane nie skomentowała tej uwagi, lecz Dylan zauważył, że oczy rozszerzyły jej się z ciekawości.

— Jej rodzice nie mogą przeboleć, że marnuje sobie karierę, pracując przy tym stoisku — zachichotała Mona. — Chcieli, żeby Chloe...

— Została kasjerką! — dokończyła ze śmiechem Chloe.

Jane pozwoliła sobie na bardzo powściągliwy uśmiech, jakby uważała za rzecz niestosowną pokpiwanie z cudzych rodziców, co Dylan zapisał jej po stronie plusów. Zachowała się bardzo taktownie. Dopiero gdy dziewczyny przestały chichotać, spytała ciekawie:

— Możecie mi powiedzieć, co tu robi delfin?

Na twarz Chloe wypłynął promienny uśmiech, choć starała się go powstrzymać. Dylan podsunął się bliżej: jego też zaintrygował ten delfin.

— No powiedz, Chloe — szturchnęła ją Mona.

— Ma nas chronić przed rekinami.

— Rekiny w sadzie? — zdumiała się Jane.

— Podobno boją się delfinów, tak przynajmniej twierdzą surferzy — oznajmiła Mona. Niczego to nie wyjaśniało, ale obie dziewczyny zaczęły się śmiać jak szalone.

Dylan dobrze to znał: Isabel i Chloe potrafiły śmiać się bez końca, i to tak żywiołowo, że aż zginało je w pół. Jane uśmiechała się nadal z takim wyrazem twarzy, jakby cieszyła ją wesołość dziewcząt, a on nagle poczuł, że pragnie się do nich przyłączyć. Oparłszy nożyce o pień, pospieszył w stronę stoiska.

Dla Jane była to cudowna chwila, jedna z owych rzadkich chwil w życiu, gdy każda sekunda wydaje się wprost bezcenna. Cieszyło ją wszystko: radosny śmiech dziewczyn, ciepły blask słońca, w którym włosy Chloe lśniły jak czarny agat, a nawet ten dziwny porzecz z delfinem kołyszący się na lekkim wietrze. Zdążyła już zauważyć, że każde spojrzenie na ten rysunek wywołuje u dziewczyn nowe salwy śmiechu.

— Co was tak bawi? — Z wyrwy w płocie wyłonił się Dylan.

— Delfiny w sadzie! — pisnęła Mona. — Oj, bo zaraz pękne!

— Rozumiem, a ty? — Uniósłszy jedną brew, pytająco popatrzył na Jane.

— Och tak, całkowicie.

— Witaj, Jane.

— Cześć, Dylanie.

— A, prawda, wy już się znacie — włączyła się Chloe.
— Wiesz, wujku, że Jane jest naszą pierwszą klientką?

Jane udało się zachować obojętną minę, choć słysząc, że Chloe nazywa ją po imieniu, poczuła ciarki na skórze.

— Czy to wypada, żeby osoba, która upiekła te ciasta, musiała za nie płacić?

— Właśnie to powiedziałam — odrzekła Chloe — a jednak oprawię tego dolara. Bardzo się cieszę, że go dostałam od Jane.

Na dźwięk swego imienia Jane znów poczuła gwałtowną falę emocji.

— Świetnie się spisalaś — stwierdziła, patrząc w oczy córce. — Stoisko wygląda wspaniale.

— Naprawdę tak myślisz? — Chloe zarumieniła się z zadowolenia.

— Oczywiście. No powiedz, Dylanie, czyż nie jest rewelacyjne?

— Mnie trudno o obiektywizm, a pozostałym członkom rodziny niezbyt się ono podoba. Prawdę mówiąc, tkwi im solą w oku.

— Wujek ma rację — wtrąciła Chloe — moi rodzice nie cierpią „tej okropnej budy”.

„Moi rodzice”!

Jane znów jakimś cudem udało się znieść to bez drgnięcia. Obrzuciwszy szybkim spojrzeniem niebieskie ścianki, barwne proporce i żółte półki, powiedziała ze szczerym podziwem:

— A mnie aż nie chce się wierzyć, że wszystko zrobiłaś sama. Dla mnie to dzieło sztuki.

— Doprawdy? — zaśmiała się Chloe.

— Słowo daję. Ten kiosk to istny cukiereczek. W Nowym Jorku taki sklepik z miejsca by zrobił furorę. A proporce są fantastyczne.

— Słyszysz, Chloe? Zrobiłybyśmy furorę! — zapała Mona.

— Te proporce wymyśliłam dopiero w ostatniej chwili, gdy zaczęłam się zastanawiać, czym by tu przyciągnąć ludzi — skromnie wyjaśniła Chloe. — Stary szyld jest całkiem ładny — powiedziała, dotykając granatowej, świeżo pomalowanej deski z napisem „Sady Chadwicków” ozdobionej czerwonymi jabłuskami — ale sam szyld to jednak trochę za mało.

Dylan roześmiał się głośno.

— Musiała powiedzieć, że ładny, bo to dzieło jej ojca i moje. Byliśmy wtedy mniej więcej w jej wieku.

— Od razu widać, że nie ja to namalowałam! — odcięła się Chloe.

— Tak? A dlaczego?

— Bo... z całym szacunkiem, żaden z was nie ma... hm... artystycznej duszy. Zwłaszcza tata. On kocha tylko ubezpieczenia i liczby.

— Słyszysz, co ona mówi? Że z nas urzędnicze dusze!

— Ty nie, ale tata owszem.

— Tak czy owak muszę przyznać, że twoje pomysły są lepsze od naszych. Co my tu mamy? Aha, jabłka i tęczę, świetnie, ale ten delfin... hm...

— Ja już rozumiem, o co tu chodzi — wtrąciła Jane.

— Chloe pewnie doszła do wniosku, że trzeba zrobić coś takiego, żeby ludzie zaczęli się dziwić. Zatrzymają się wtedy z czystej ciekawości. I tę właśnie rolę ma spełniać delfin.

— Zeke i rekiny! — tajemniczo rzuciła Mona.

— Mona... — syknęła Chloe.

Na drodze ukazał się jakiś samochód i och! zbliżając się do stoiska, najwyraźniej zwolnił! Wszyscy jak na komendę przybrali obojętne miny, a Chloe tajemniczym szeptem zaczęła „czarować” przyjezdnych:

— Tak, bardzo dobrze... Macie ochotę na ciasto... macie wielką ochotę na ciasto...

— No, jeszcze bliżej... — wsparła ją Mona. — Jeszcze kawałeczek... teraz się zatrzymajcie...

— Te pyszności upiekła sama Calamity Jane — mruknął Dylan. — Nigdzie takich nie dostaniecie...

Samochód zatrzymał się przed stoiskiem. Siedząca w środku leciwa para rozmawiała o czymś z żywieniem, pokazując sobie proporce. Zwłaszcza starsza pani wydawała się oczarowana.

— O co chodzi? — wyszeptała Jane, widząc, że Dylan przygląda jej się uważnie. — Chcesz mi coś powiedzieć?

— Tak, ale teraz nie mogę — ruchem głowy wskazał dziewczyny.

Zabawne, ona także miała ochotę zapytać go o wiele rzeczy.

— Może poszlibyśmy gdzieś na kolację? — rzucił nie-
dbale.

— Z przyjemnością.

— W piątek wieczorem?

Skinęła głową.

Starsi państwo wysiedli z wozu. Mężczyzna podpierał się
laską. Jego żona, siwowłosa, krótko ostrzyżona pani w grana-
towej sukni w białe grochy, wysforowała się naprzód. Widząc
to, Chloe i Mona wyprostowały się na swoich miejscach, rzu-
cając pozostałym zwycięskie uśmiechy.

— Czym możemy służyć? — uprzejmie spytała Chloe.

— Szarlotką, a może tartą? Zapewniam, że obie są pyszne.

— Myślę, że coś kupimy — odrzekła siwowłosa pani

— ale najpierw proszę nam powiedzieć coś o tym proporcju
z delfinem. Delfin w sadzie to rzecz dość niezwykła.

Jane uśmiechnęła się szeroko.

Gdy po odjeździe starszych państwa Jane też pojechała do
domu, a Dylan wrócił do pracy, Chloe poczuła się bardzo
dziwnie. Całkiem inaczej niż Mona, która wykonała coś na
kształt wojennego tańca, wymachując nad głową zarobionymi
pieniężdmi.

Robiło się coraz cieplej, pozdejmowały więc bluzki. Mogły
sobie na to pozwolić, gdyż obie przezornie ubrały się w kostiu-
my kąpielowe. Mona na wszelkie sposoby próbowała wyciąg-
nąć z Chloe więcej informacji o Zekem i o ich niezwykłym
spotkaniu. „Koniecznie musisz złapać trochę słońca” — po-
owiedziała w pewnym momencie — „żebyś dobrze wyglądała,
gdy cię zaprosi na surfing”, ale wszystkie jej próby zakończyły
się niepowodzeniem. Chloe nabrała wody w usta.

Kiedy Dylan i Jane odjechali — Dylan na traktorze, Jane
swoją furgonetką — poczuła się nagle opuszczona.

Tak, opuszczona. Teoretycznie poznała znaczenie tego sło-
wa jeszcze w siódmej klasie podczas któregoś ze szkolnych
konkursów ortograficznych, przekonała się jednak dopiero
teraz, co to za uczucie. Była to właściwie mieszanina kilku
uczuć: osierocenia, pozbawienia czegoś co drogie, tęsknoty za

czymś i pustki, której nie da się niczym wypełnić. Wszystko to w stu procentach pasowało do definicji.

Mona musiała to wyczuć.

— Co ci jest? — spytała, smarując Chloe olejkiem.
— Jesteś strasznie cicha.

— Czuję się osierocona, brakuje mi czegoś, odczuwam pustkę, rozumiesz?

— Hę? — Mona postanowiła udawać tępą.

— Nie wiem, co się ze mną dzieje. Szkoda, że Jane pojechała.

— No owszem, jest miła.

— Jak myślisz, dlaczego zapłaciła nam za ciasto, chociaż je sama upiekła?

Mona chrząknęła znacząco.

Chloe gestem dała znak przyjaciółce, że ma teraz zająć się plecami.

— Co znaczy to twoje chrząknięcie?

— Jedno słowo: Dylan.

— Myślisz, że jej się podoba?

— Pewnie. A ona jemu. Już ja potrafię rozpoznać rywalkę. Od razu zaczyna mnie nosić, gdy widzę, jak na nią patrzy.

Chloe sposepniała jeszcze bardziej. Zaniepokoiły ją słowa Mony, i to aż z dwóch powodów. Nie była pewna, czy potrafi zaakceptować zainteresowanie Dylana jakąkolwiek kobietą, nawet sympatyczną. Nie chodziło o jego nieżyjącą żonę. Chloe, szczerze mówiąc, niezbyt lubiła Amandę. Uważała ją za zimną uczuciowo snobkę, która w końcu zdradziła męża z jakimś graczem w polo, wpędzając tym Isabel w rozpacz. Rzecz w tym, że Chloe nie lubiła zmian, a nie miała pojęcia, jak by to było, gdyby Dylan wdał się nagle w romantyczny związek.

Drugim powodem była sama Jane. Od początku ich znajomości Chloe miała uczucie, że ta miła osoba tylko dla niej przyjeżdża do Crofton. Uwielbiała jej uśmiech, który zdawał się mówić, że Jane ogromnie na niej zależy i że widzi w niej same zalety. W zachowaniu Jane nie było ani krzty mentorstwa, co często zdarzało się nauczycielom — żadnych pouczeń, wytykania błędów, przedstawiania świetlanych przykładów. Nie była też taka jak rodzice, którzy tylko czekali na kolejne wy-

kroczenie, żeby móc ze smutkiem pokivać głowami czy w inny sposób dać do zrozumienia, jak ciężko są rozczarowani.

Nie, Jane ją po prostu lubiła, nie żądając niczego w zamian: odrabiania lekcji, jedzenia mięsa, sprzątanego pokoju, przyjęcia do renomowanej szkoły. I właśnie dlatego znajomość z nią była tak fajna. Chloe nie była pewna, czy można to nazwać prawdziwą przyjaźnią — dzieliła je przecież zbyt duża różnica wieku. Byłoby to trochę tak, jakby chciała zaprzyjaźnić się na serio na przykład z trenerem czy matką malucha, którym czasem się opiekowała. Prawdziwa czy nieprawdziwa, przyjaźń z Jane była jednak niezwykła, była przyjaźnią, która nie stawia warunków.

Chloe bardzo to sobie ceniła, gdyż z nikim innym nie łączył jej taki związek. Nawet Mona, najlepsza przyjaciółka, stawiała jej pewne wymagania. Uważała, że Chloe ma obowiązek informować ją o wszystkim, co wydarzy się w domu lub w szkole, zwierzać się ze swych tajemnic, rezerwować piątkowe i sobotnie wieczory na pogaduszki lub wspólne wyprawy do kina. Bywało to czasem nużące.

Rozważania te przerwał jej odgłos, który sprawił, że nagle ścisnęło ją w dołku, a serce zaczęło bić jak szalone.

— To chyba motocykl — rzuciła Mona.

— Uhm — mruknęła Chloe, poprawiając nerwowo ramięczko stanika.

Jeździec tymczasem wyłonił się już zza zakrętu. To Zeke! Teraz dopiero spostrzegła, że włosy ma w różnych odcieniach; niektóre pasma tak już wyblakły od słońca, że wydawały się prawie białe, a oczy... oczy nabrały ciepłej zielono-złotej barwy. Nie miał dziś swojej skórzanej kurtki — było za gorąco — tylko bawełnianą koszulkę z reklamą „Purgatory Chasm” — magazynu ze sprzętem do surfingu. Z lewego bicepsa uśmiechał się delfin, na prawym nadgarstku widać było kawałek bandaża.

— Zegnaj, Gilberte Albert — mruknęła kpiąco Mona pod adresem byłego chłopaka Chloe.

— Cześć, dziewczyny — pozdrowił je Zeke.

— Cześć — odrzekła Chloe. Odkąd go zobaczyła, uśmiech nie schodził jej z ust. Zauważyła z pewną satysfakcją, że Zeke

lustruje górną część jej starego bikini. Ten różowy opalacz był już mocno spłowiały, ale leżał na niej bardzo dobrze, podkreślając seksowną wypukłość biustu, który w zwykłym ubraniu prezentował się mniej okazale. Resztę jej stroju stanowiły sterane szorty biodrówki odsłaniające fragment złocistego brzucha. Od ich spotkania w sadzie zdołała złapać tyle opalenizny, ile tylko było możliwe o tej porze roku w Rhode Island.

— Fajny — stwierdził przybysz na widok proporca z delfinem.

— Będzie odstraszać rekiny — oznajmiła Chloe.

— Delfiny naprawdę to robią? — wtrąciła Mona.

— Jasne.

— Trudno w to uwierzyć, zważywszy, że rekin to maszyna do zabijania, podczas gdy delfin to przecież łagodne stworzenie.

— Ale nie dla rekina. Na widok któregoś z nich delfin rozpędza się jak rakietka i bodzie go pyskiem w brzuch. A szczęki ma bardzo mocne.

— Miły sposób zawierania znajomości — parsknęła Mona, przewracając oczami.

— Ach — zreflektowała się Chloe — poznajcie się, proszę. — To jest Mona, moja najlepsza przyjaciółka, a to Zeke, o którym ci opowiadałam.

„Witaj”, powiedzieli równocześnie, Chloe jednak widziała, że nawet zwracając się do Mony, Zeke nie odrywa od niej oczu. Było to tak ekscytujące, jakby ją trzymał za rękę.

— Widziałeś je kiedyś w akcji? — indagowała go dalej Mona.

Aha, chodzi o delfiny, pomyślała Chloe, która zdążyła już o nich zapomnieć.

— Raz. W zeszłym roku. Surfowaliśmy koło plaży numer jeden zaraz za linią przyboju i nagle zobaczyliśmy płetwy.

— Płetwy? — bąknęła Chloe.

— No tak, płetwy rekinów.

— Kiepska sprawa! — syknęła Mona.

Pojawił się znowu jakiś samochód, lecz choć trochę zwolnił, zbliżając się do stoiska, w końcu pojechał dalej. Chloe musiała przyznać, że jest z tego zadowolona.

— Fakt, wyglądało to groźnie — odrzekł Zeke. — Nie były zbyt wielkie, ale...

— Czy to były te białe ludojady? — Mona zanuciła melodię ze „Szczęk”.

— Nie, w naszych wodach prawie ich nie ma. To były reki-ny błękitne. Te nie jedzą ludzi, ale mogą przegryźć deskę albo nogę.

— No i co się stało?

Jak to dobrze, że jest ze mną Mona, pomyślała Chloe. Sama nie byłaby w stanie prowadzić tak swobodnej rozmowy z tym chłopcem. Mogła tylko patrzeć w te jego zielone oczy.

— Z pomocą przyszedł nam delfin. Zналиśmy go z widzenia, bo krążył koło nas już chyba tydzień. Teraz też był w pobliżu, ale płynął sobie spokojnie, aż tu nagle wyprysnął z wody jak rakietka! A potem wydał z siebie coś jakby bojowy okrzyk...

— I runął do wody! — wtrąciła dramatycznie Mona. Jakbym nie czytała „Moby Dicka”, pomyślała cierpko Chloe.

— Iz nosem sterzczącym jak lanca ruszył do ataku na największego rekina w tym stadzie. Rąbnął go tak mocno, że tamten wzbił się nad wodę. Widzieliśmy jego biały brzuch.

— I uciekł? — spytała Chloe.

— Tak, z całym stadem.

— Wiesz, co ci powiem? Prowadzisz bardzo niebezpieczne życie — surowo orzekła Mona. — Wypadki motocyklowe, ataki rekinów! To się może źle dla ciebie skończyć.

— Delfiny będą go strzec — ujęła się za nim Chloe.

— Właśnie — powiedział Zeke.

Stał koło niej tak blisko, że wyraźnie czuła zapach olejku do opalania, widziała nawet lśniące kryształki soli na jego brwiach, a na ramionach drobniutkie włoski. Przestała się czuć opuszczona, zwłaszcza gdy wziął ją za rękę, a kiedy uściśnił jej palce, mocno splecione ze swymi, pomyślała, że wie, co to znaczy. Zeke chce jej w ten sposób powiedzieć, że to ona jest jego delfinem.

Jest mój, pomyślała z uczuciem nagłej pewności — i ogarnęła ją radość.

ROZDZIAŁ 14

— Powiedziałaś, że dokąd się wybierasz? — spytała Margaret, patrząc na Jane.

— Nie, mamo, ona nic nie mówiła — odrzekła Sylvia. — Jest niezwykle tajemnicza.

— Nieodgadniona jak Sfinks — zaśmiała się Jane.

Margaret też się uśmiechnęła, konstatuując w duchu, że jej starsza córka wygląda dzisiaj wyjątkowo ładnie. Jane miała na sobie czarną spódnicę do kostek i przezroczystą niebieską bluzeczkę nadającą jej oczom kolor i połysk szafirów. Lśniące czarne włosy zaczesane były za ucho i spięte ozdobnym klipsem. Sylvia przeciwnie, wyglądała dziś niezbyt elegancko. Ubrana w czarne spodnie od dresu i spłowiła żółtą koszulkę, siedziała zgarbiona w fotelu na biegunach, zawzięcie haftując jakiś kawałek płótna.

— Zepsujesz sobie oczy w tym świetle — ostrzegła ją Margaret.

— Widzę całkiem dobrze.

— Nigdy nie dbałyście o oczy, ani jedna, ani druga. Myślisz, że nie wiedziałam, co robicie? Zaledwie zdążyłam ucałować was na dobranoc i zamknąć za sobą drzwi, wy już wyjmowałyście książki, zapalałyście latarki i zaczynało się nocne czytanie.

Jane uniosła brwi, ale Sylvia haftowała dalej, nie podnosząc wzroku znad robótki.

— Jesteś wściekła, prawda? — zaatakowała ją matka.

— Skądże! Niby dlaczego miałabym być wściekła?

— Bo jest piątek, a ty miałaś pecha w losowaniu. Twoja siostra idzie na randkę, a ty musisz siedzieć w domu, przykuta do chorej matki. Czemu nie oddasz mnie wreszcie do jakiegoś ośrodka? Niechby teraz inni zaczęli się o mnie kłopotać.

Teraz już Sylvia podniosła głowę. Widząc jej zdenerwowanie, a nawet coś na kształt paniki, Margaret poczuła wyrzuty sumienia: pozwoliła sobie na taką przewrotność! Nigdy nie pochwałała manipulowania ludźmi, cóż, kiedy był to najlepszy sposób, by zwrócić na siebie uwagę Sylvii. Teraz obie jej córki wydawały się mocno wstrząśnięte. Jane nagle znieruchomiała — całkiem jak jeleń oślepiiony światłem reflektorów. Margaret poczuła, że zbiera jej się na płacz. Odegrała tę scenkę z premedytacją, by uzyskać określony efekt, lecz tym, co ją do tego skłoniło, były prawdziwe emocje — strach i poczucie krzywdy.

— Powinnaś wyjść dzisiaj z Johnem — dodała po krótkiej pauzie. — To taki miły człowiek i świetny nauczyciel... Powinnaś się zabawić, zamiast tkwić kołkiem w domu.

— Daj spokój, mamó, John wkrótce tu będzie, mam właśnie zamiar wziąć kąpiel. Bardzo cię proszę, nie mów takich rzeczy! To nieprawda, że przez ciebie coś mnie omija.

— Nie, Sylvio, to prawda. Marnujesz przeze mnie swe najlepsze lata. Opiekujesz się mną, zamiast żyć.

— Ty też opiekowałaś się nami.

— No tak — wyszeptała Margaret. Czując coraz szybsze bicie serca, pochwyliła lalkę i przycisnęła ją mocno do piersi. Niech dziewczyny zobaczą, niech sobie przypominą, że musiała wychować je sama. Ze tysiące ludzi w tym mieście to jej byli uczniowie. Ze wydział oświaty w uznaniu jej zasług mianował ją dyrektorką. Bo to prawda, że dobro innych było dla niej zawsze najważniejsze. A teraz tu leży przykuta do łóżka. Teraz już nie jest w stanie troszczyć się o kogokolwiek... ani nawet o siebie. I żyje w nieustannym strachu, że córki chcą się jej pozbyć.

Sylvia, widząc, że płacze, czym prędzej podała jej chusteczkę.

— Co ci jest, mamó?

— Ja... — wyjąkała Margaret przez ściśnięte gardło i zamilkła. Łzy zalewały jej twarz. Widziała, że Sylvia i Jane czekają na dalsze słowa i że coraz bardziej denerwują się jej milczeniem. Pragnęła im powiedzieć, że je kocha. Że kocha ten dom. Stworzyłam go dla was, myślała. Chorowałyście tu obie na wietrzną ospę. Tu kołysałam was w ramionach, gdy któraś miała zły sen, i tu powiedziałam waszemu ojcu, że ma się wynosić. W tym domu jak w lustrze odbijają się moje upodobania — miłość do nagich podłóg, ładnych kilimów i koloru nieba. Są tu wszystkie fotografie, które wam zrobiłam — szkoda, że nie więcej! Póki życia będę tego żałować! Kocham ten dom, bo to istna skarbnica wspomnień. Tu pisałam pracę magisterską, tu uczyłam się robić te okropne zastrzyki z insuliny.

Ale wszystkie te myśli kłębiły jej się w głowie jak woda w ciasnej zatoczce podczas wielkiego sztormu. Próbowwała je uchwycić, lecz było to niemożliwe, bo gdy tylko którejs udało się wypłynąć na powierzchnię, już przeganiała ją druga. Walczyły z sobą zaciekle wśród gwałtownej kipieli i bijących z dna fontann piasku, aby zaraz potem się rozpląnąć. Odpływając, zabierały ze sobą słowa, a jej zostawały jedynie uczucia, których w żaden sposób nie mogła wyrazić. Mogła tylko kołysać lalkę, powtarzając wśród coraz głośniejszego płaczu:

— Ja, ja, ja...

Sylvia zeszała na dół kompletnie wypompowana. Widok matki w tym stanie był dla niej nie do zniesienia. Mój Boże! Ta bystra, błyskotliwa kobieta nie potrafi teraz skończyć zdania! Czują, że coś ją dławi w gardle, jakby rosła tam wielka kula, i chyba to samo działo się z Jane stojącą u podnóża schodów.

— Myślisz, że jej lepiej? — spytała, spoglądając w górę.

— Tak, już jej przeszło — odrzekła Sylvia. — Musiało ją coś zdenerwować.

— Wiadomo co: boi się, że chcemy umieścić ją w domu opieki.

— Cały czas próbuję ci to uświadomić.

— Och, Sylvio, przecież ja wcale tego nie chcę! Mówię tylko, że musimy zacząć o tym myśleć.

— Ona opiekowała się nami, pamiętasz?

Jane westchnęła ciężko.

— Ale my nie miałyśmy cukrzycy, problemów z krążeniem, skłonności do groźnych upadków ani...

— Nie mów tego! — zawołała Sylvia.

— Czego?

— Ze to alzheimer.

— Bo przeraża cię myśl, że to prawda?

Sylvia opuściła głowę, czując wzbierającą falę paniki. Co rok w okresie Bożego Narodzenia organizowała w szkole konkurs literacki, którego zwycięzców zabierała potem do Domu Opieki Marsh Glen, by tamtejszym rezydentom przeczytali swoje utwory. Widziała tych ludzi. Niektórzy byli owszem bardzo eleganccy, świetnie ubrani, kobiety miały staranny makijaż i fryzury. Ci z żywym zainteresowaniem uczestniczyli w imprezie, ale inni...

Inni siedzieli na wózkach przypięci do nich pasami. Głowy im się trzęsły lub opadały na piersi. Jedni jęczeli, drudzy wylamywali sobie palce, jeszcze inni rozmawiali z duchami lub z kimś urojonym, kogo nikt poza nimi nie widział. Sylvia za każdym razem wracała stamtąd z rozdartym sercem. Nie mogła przestać myśleć o tych ludziach. Kim byli, nim choroba sprowadziła ich do tego strasznego stanu? Myśl, że to samo może spotkać matkę, przejmowała ją zgrozą.

— Syl — Jane chwyciła ją nagle w objęcia — zrozum, że obie kochamy matkę bez względu na wszystko, co się z nią dzieje.

Sylvia głośno zaczerpnęła tchu. Kręciło jej się w głowie, jakby miała za chwilę zemdleć. Odsunawszy siostrę, usiadła na schodach i popatrzyła jej w twarz. W oczach Jane malowało się tyle siostrzanej miłości, że aż trudno to było znieść. I wyglądała tak pięknie... Sylvia mimo woli pomyślała o sobie i o Johnie, którego zaprosiła dziś na pizzę...

— Ty przyjechałaś tu tylko po to, żeby załatwić sprawę i wrócić do Nowego Jorku, ale ja...

— Nie! To nie tak! — zaprotestowała Jane.

— A jak? Prowadzisz tam przecież interes. Siedząc tu w nieskończoność, ryzykujesz, że wszystko ci się rozleci. Chcesz tego?

— Już ci mówiłam, że to mój pierwszy urlop od piętnastu lat. Klienci mnie nie zapomną, a ja nie oduczę się pieczenia ciast.

— Och, co do tego nie ma obawy! Ostatnio ciągle coś pieczesz. Znalazłaś tu pewnie kogoś, kto chętnie sprzedaje twoje wypieki... — Sylvia urwała na chwilę, aby dać Jane szansę potwierdzenia owej sugestii. Nic z tego. Zacerwieniła się nagle, uświadomiwszy sobie, że jej podejrzenia są słuszne.

— Sylvio...

— Nie myśl, że nie wiem, kto to taki! Pieczesz wyłącznie ciasta z jabłkami. Pachnie nimi w całym domu.

— Daj spokój...

— A w śmieciach jest pełno obierzyn z jabłek.

— Grzebiesz w śmieciach?!

— Bo wiem, że źle robisz, cokolwiek to jest.

— Ja tak nie myślę.

— Ma to coś wspólnego z sadami Chadwicków, nieprawdaż? Chcesz związać ją z sobą za pomocą tych swoich ciast. Przypodobać jej się. Mieszka wśród jabłoni, więc pieczesz szarlotki. Tak, Jane! Wprost wyłazisz ze skóry, żeby jej zrobić przyjemność! Gdyby mieszkała na plaży, piekłabyś pewnie ciasto z wodorostów.

— Grzebałaś w śmieciach? — powtórzyła Jane, kręcąc głową z niedowierzaniem.

Zabawne, pomyślała Sylvia, że akurat ciebie tak strasznie to gorszy. Kiedy były małe, to właśnie Jane bez przerwy grzebała w szufladach ojca, przetrząsała mu kieszenie, szperała w schowku na rękawiczki, ukradła mu nawet notatnik, by przeczytać jego zapiski. Ścisnęło ją w dołku, gdy sobie to przypomniała.

— Nie widzisz, jakie to niesmaczne? — skrzywiła się Jane.

— Nie. Niesmaczny jest sposób, w jaki ty się narzucasz Chadwickom, jak próbujesz wkraść się w ich łaski. Założę się, że oni nie mają pojęcia, kim jesteś.

— Mają. Podałam im swoje nazwisko.

— Więc prosz Boga, żeby nikt go nie wymieni! przy Virginia Ona czuwa nad swoją rodziną jak jastrząb. Nie wolno ci łamać warunków adopcji! Jej synowie nie znają twojej tożsamości, ale ona tak... — Sylvia nagle zamilkła, przypominając sobie, że z Virginia dzieje się teraz zupełnie to samo co z matką; z dnia na dzień coraz mniej pamięta. Nie chcąc jednak dawać za wygraną, sięgnęła po inny argument: — Oddałaś to dziecko, Jane!

— Wiem. Nasza mama postarała się o to.

— Jak śmiesz winić mamę? Byłaś za młoda na dziecko, studiowałaś, a ten chłopak nie chciał się z tobą ożenić...

Urwała gwałtownie, widząc na policzkach siostry dwie czerwone plamy. To było niepotrzebne! Posunęła się za daleko.

— Przepraszam, nie chciałam tego powiedzieć. — Zrobiłaby teraz wszystko, żeby wycofać te słowa. Jane tak kochała tego chłopaka! Była to miłość, o jakiej marzyły w dzieciństwie, oglądając w czasopismach zdjęcia z cudzych ślubów. Wyobrażały sobie wtedy, że to one są tymi pięknymi oblubienicami. Przyrzekły też sobie, że gdy dorosną, jedna będzie druhną drugiej. No i proszę, żadna z nich nie wyszła za mąż.

— To, że nie chciał się ze mną ożenić, okazało się w końcu najmniej ważne — powiedziała po chwili Jane. — Prawda, że te pierwsze miesiące bez niego były trudne do wytrzymania. Tak trudne, że chwilami byłam bliska szaleństwa. Wydawało mi się, że bez niego... nie będę w stanie oddychać... a jednak... jednak wytrzymałam.

— Wiem.

— Trudno mi się było z nim rozstać. Kochałam Jeffreya... Myślałaś kiedyś o tym, co miłość robi z człowiekiem? Ona nas obezwładnia. Odbiera nam oddech, serce i myśli. Nie pozostawia nam nic własnego.

Sylvia pomyślała o Johnie: czy budzi w niej takie uczucia?

— Nic nam nie pozostawia — powtórzyła Jane — i nie pozwala nam odejść. Trzyma człowieka jak w kleszczach. Wiesz, dzięki czemu zrozumiałam, że uczucie, którym darzyłam Jeffreya, nie było prawdziwą miłością, choć wydawało mi się, że tak jest?

Sylvia przecząco pokręciła głową.

— Bo mogłam odejść.

— To dobrze — bąknęła Sylvia, myśląc zarazem, że to, co Jane nazywa miłością, jest, prawdę mówiąc, okropne; bardziej przypomina pułapkę lub ciężką chorobę niż uczucie.

— Z Chloe było inaczej. Ta miłość w żaden sposób nie pozwoliła mi się uwolnić. Wyobraź sobie, że ktoś cię trzyma w stalowym uścisku. I uścisk ten nigdy nie słabnie. Przez wszystkie te lata nigdy ani na chwilę nie przestałam myśleć o Chloe. Wciąż czuję ją tu, przy sobie — Jane wyciągnęła ręce gestem matki łagodnie kołyszącej dziecko, lecz jej oczy płonęły dziko. Jak u szaleńca, pomyślała z przerażeniem Sylvia.

— Więc ty każ jej odejść. Postaraj się o to.

— Tak się nie da. To niemożliwe. Miłości niepodobna kontrolować, to ona ma nad nami absolutną władzę. Nie zdążyłaś się jeszcze o tym przekonać?

Sylvia zastygła w bezruchu. Myślała o Johnie, miłym, spokojnym, niewymagającym Johnie, który nigdy nie przypawił jej o żaden stres. Czuła, że coś ich zaczyna łączyć, coś prawdziwego i solidnego. Kiedy ją ujął za rękę — zdarzyło się to dwa razy — po grzbiecie przebiegły jej ciarki. Tak samo było i wtedy, gdy siedząc przy stole, zetknęli się przypadkiem kolanami. Pragnęła, by ją pocałował, i spodziewając się tego, kupiła dziś nawet lawendową sól do kąpieli, ale takich uczuć, o jakich mówiła Jane, nie zdarzyło jej się doznawać.

— Taka miłość wydaje mi się nienormalna — powiedziała głośno. — Wiesz, jak brzmi to, co mówisz? Jakby doprowadzało cię to do szaleństwa.

— Bo tak jest — wyznała Jane. — Może nie zawsze, ale gdy pomyślę o tych straconych latach... O tym, że nie widziałam jej pierwszych ząbków, pierwszego kroczonego, że nie było mnie przy niej w dniu, kiedy poszła do szkoły, że nie wiem, jaką lubi muzykę... — urwała, zamykając oczy.

Sylvia nie umiałaby powiedzieć, czego w tym momencie bardziej pragnie: przytulić siostrę do serca czy uciekać od niej jak najdalej. Swego czasu strasznie się bała, że Jane może skończyć w domu bez klamek. Po powrocie ze szpitala, gdzie

urodziła się Chloe, Jane przez kilka dni spała. Omotana kołdrą wraz z głową, leżała nieruchomo jak pakunek, czy była to trzecia w nocy, czy środek dnia.

Po dwóch tygodniach zaczęło się zawodzenie. Sylvia była już wtedy na studiach, lecz większość weekendów spędzała w domu. Na zawsze zapamiętała ten dźwięk: ostry, przenikliwy, nieludzki. Był jak głos nura nocą nad jeziorem czy lament rannego zwierzęcia. Jakby to wszystko, co Jane stłamsiła w sobie w czasie pobytu w Ośrodku Świętego Józefa, a później w szpitalu, nagle eksplodowało. Czasami zaczynało jej się wydawać, że ten krzyk jest czymś samoistnym, że to jakby ostatni protest tego nowego życia, które jej siostra wydała na świat. Sylvia płakała wraz z nią, ukryta w swoim pokoju, z twarzą we własnej poduszce.

— Posłuchaj, Jane — odezwała się po długiej chwili — czyż nie możesz sobie powiedzieć, że postąpiłaś słusznie? Że zrobiłaś to dla jej dobra?

— Nie, bo uważam, że zrobiłam źle.

Replika brzmiała sucho, ale oczy Jane gorączkowo obiegały pokój, jakby nie widziała tu niczego, co by mogło jej przynieść ulgę. Sylvii ścisnęło się serce. Czyżby Jane przez całe piętnaście lat doświadczała takiej udręki? Gdy się to wszystko zaczęło, była na nią wściekła. Głównym powodem, dla którego wybrała Uniwersytet Browna, było to, że studiowała tam Jane. Cieszyła się, że będą razem, ale Jane zaszła w ciążę, i wszystkie plany runęły! Później przestała się na nią złościć. Studiowała w tym czasie twórczość Fitzgeralda i pod wpływem tych lektur zaczęła strasznie się bać, że z Jane stanie się to samo co z Zeldą, którą sercowe rozterki przywiodły w końcu do szaleństwa.

— Jane, daj temu wszystkiemu spokój. Doprowadzasz mnie do obłądu.

— Ja ciebie? Dlaczego?

— Kocham cię i nie mogę patrzeć na to, co robisz. Niszczysz siebie, a w jej życiu wywołujesz zamęt. Ośmielam się twierdzić, że nie wyjdzie jej to na dobre. Spójrz na to z jej punktu widzenia. Nie wiadomo skąd pojawia się nagle jakaś obca kobieta i ni stąd, ni zowąd, przywozi jej świeżą,

upieczoną przez siebie szarlotkę! Myślisz, że jej to nie dziwi? A co na to jej matka? Nie boisz się, że naśle na ciebie policję?

— Och nie, to nie tak, to wcale nie tak!

— Bo jeszcze nie wiedzą, kim jesteś, ale gdy to odkryją...

— Możesz przestać?

Sylvia dała za wygraną. Przecież to piątkowy wieczór, a Jane jest z kimś umówiona. Niech idzie, przyda jej się trochę rozrywki. Może choć na chwilę zapomni o Chloe i swoim szaleństwie. W młodości obie bardzo rzadko umawiały się z chłopakami — najpierw przez ciągłe problemy z ojcem, a później przez to, co spotkało Jane — toteż Sylvia patrzyła teraz na siostrę jak na nastolatkę przed jej pierwszą randką. Obrzuciwszy krytycznym spojrzeniem delikatny makijaż, srebrne koła w uszach, lśniąca czarna włosy i seksowny niebieski top, uznała, że całość robi wrażenie.

— No dobrze. Zawrzemy rozejm? — spytała, uśmiechając się pojednawczo.

— Czemu nie? Zawsze to przecież robimy — odrzekła Jane z lekkim sarkazmem.

Sylvia postanowiła puścić to mimo uszu.

— Kim jest ten szczęśliwiec, z którym się umówiłaś?

Jane w odpowiedzi uśmiechnęła się tylko, i to bardziej tajemniczo niż zwykle. Słyszac w tym momencie chrzęst opon na żwirze, Sylvia drgnęła gwałtownie: czyżby to był John? O Boże, a ja jestem w proszku! pomyślała z przerażeniem. Muszę przecież wziąć kąpiel, zrobić masaż twarzy i przebrać się w coś ładnego! Jane tymczasem cmoknęła ją w policzek — aż tak jej się spieszy? — i wybiegła powitać swojego amanta, zanim Sylvia zdążyła powiedzieć, że bardzo by chciała go poznać.

Na chwilę ogarnęła ją ulga, że to jeszcze nie John, zaraz potem jednak pojawił się też niepokój: skoro wpadła w panikę na samą myśl o tym, że mógłby ją zobaczyć rozczochraną i bez makijażu, to może i nad nią miłość zdobywa tę bezwzględną władzę, o której mówiła Jane? Trochę wstrząśnięta taką możliwością, podeszła do okna i kryjąc się za firanką, rzuciła okiem na zewnątrz.

LUANNE RICE

Przed domem stała ciężarówka. Na widok drzewka leżącego na pace Sylvii momentalnie wyschły usta. Kierowca wyskoczył z kabiny, by otworzyć drzwi z drugiej strony, lecz widziała go tylko od tyłu.

Wysoki i dobrze zbudowany, miał gęste brązowe włosy, a na sobie czarne dżinsy i niebieską koszulę z oksfordu. Rozpoznała go po czym innym: utykał, dziś chyba wyraźniej niż podczas tamtej imprezy, na którą przywiózł Virginie.

No tak, Dylan Chadwick! szepnęła Sylvia. Mogłam się tego domyślić.

ROZDZIAŁ 15

Wsiadając do czerwonej jak krew ciężarówki, Jane niemal namacalnie czuła na sobie pełen potępienia wzrok Sylvii. Wrażenie było tak silne, że odwróciła się od okna, lecz gdy uśmiechnęła się do Dylana, ogarnęły ją nagle wyrzuty sumienia: oszukuje tego człowieka! Cała ich znajomość oparta jest na jej kłamstwach.

Czym prędzej zepchnęła tę myśl na samo dno świadomości, bo natychmiast zdała sobie sprawę, że zrobiłaby nawet coś gorszego, byle tylko być blisko Chloe. Lecz prawdą było i to, że zdążyła już szczerze polubić Dylana.

— Jak się masz? — spytała, kiedy usiadł za kierownicą.

— Świetnie, a ty?

— Dobrze, ale bardzo bym chciała już jechać.

Zaczął się śmiać.

— Zauważyłem. Takim pędem wybiegłaś z domu, że omal mnie nie przewróciłaś, choć byłem dopiero w połowie drogi do drzwi.

— Przepraszam. Dostaję kręčka od siedzenia w domu. Chyba już jestem za stara, żeby mieszkać razem z rodziną. Moja matka i siostra...

— Wiem, wiem, jak to jest. Ja też mam matkę i brata... Lata lecą, a nasi bliscy traktują nas wciąż tak jak wtedy, gdyśmy mieli piętnaście lat.

Jane zamilkła ze wzrokiem utkwionym w okno. W Rhode Island panowała już prawdziwa wiosna. Wzdłuż całej drogi

rozkwitły bzy — białe, ciemnofioletowe, koloru lawendy i fiołków — przesycając powietrze słodką wonią. Młode liście przydrożnych drzew cieszyły oko majową zielenią. Nadchodził ciepły spokojny wieczór.

Zmierzali na północ, w stronę Providence. Znajoma panorama miasta z górującymi nad nią sylwetami wysokich budynków obudziła w Jane wiele wspomnień. Dwom najwyższym nadała kiedyś własne nazwy: „pudełko chusteczek” i „dom Supermana”. Ten pierwszy, Hospital Trust, był wysoki i kwadratowy, drugi, niegdyś własność marynarki wojennej, a obecnie siedziba Narodowego Banku Przemysłowego, wyglądał jak rakieta kosmiczna wynosząca statek na orbitę. Architektów zainspirowały podobno pierwsze odcinki telewizyjnego „Supermana”, a ściślej mówiąc budynek, który dzielny George Reeves potrafił przesadzić jednym płynnym skokiem. Z prawej strony wznosiło się wzgórze College Hill z czerwonymi budynkami Uniwersytetu Browna, wszędzie zaś widać było strzeliste wieże kościołów przypominające przyjezdnym, że miasto Providence założyli i zbudowali wyznawcy wielu religii.

— Czuję się, jakbym wracała do domu—westchnęła Jane.

— Dobrze znasz Providence?

— To moje drugie ulubione miasto.

— Moje też, chociaż z Nowym Jorkiem nie może się równać.

— Nie musi — odrzekła miękko. — To miasto ma taki urok, o jakim Nowy Jork może sobie tylko pomarzyć.

Minęli zoo, potem wielki dom towarowy z ogromnym błękitnym karaluchem reklamującym z dachu „niezawodne” środki na insekty — i oto po prawej ukazał się port. Mimo późnej pory nie przerwano pracy. Z wielkich tankowców wyładowywano ropę, na redzie stały kontenerowce z japońskimi samochodami, przy India Point kołysał się prom pasażerski gotowy do wyjścia w morze.

W wigilię Bożego Narodzenia roku 1898 właśnie do tego nabrzeża przycumował statek z Irlandii, którym przybyła do Stanów młodziutka prababka Jane ze strony matki. Zgodnie z rodzinną legendą na pokładzie tego statku urodził się mały George, braciszek owej prababki, i to ona wybrała mu imię.

Jane miała ochotę opowiedzieć o tym Dylanowi, bała się jednak własnej reakcji. Każda opowieść o małych dzieciach wyzwalała w niej tyle emocji, że mogło się to wydać podejrzane, siedziała więc cicho wpatrzona w srebrzystą powierzchnię wody, tak dziś spokojnej, że nie widać było na niej nawet zmarszczki.

Zajęta własnymi myślami, nie zastanawiała się nad tym, dokąd właściwie jadą, lecz gdy po pewnym czasie Dylan zjechał z trasy 195 i skierował się w stronę wylotu Wickenden Street, poczuła lekką ciekawość. Zespół miejski Providence składał się z kilku odrębnych miast o różnej strukturze architektonicznej i ludnościowej. To samo dotyczyło poszczególnych dzielnic. Na Federal Hill mieszkali Włosi, w miasteczku akademickim skupionym wokół uniwersytetu profesorowie i młodzież, w Fox Point cyganeria artystyczna na spółkę z Portugalczykami, East Side natomiast upodobali sobie potomkowie dawnych wielkich rodów. Kolejne skupisko tworzyli artyści z RISD — Rhode Island School of Design. Ciekawe, co wymyślił Dylan? Zerknęła na niego ukradkiem.

— Co? — spytał z uśmiechem, choć nawet nie odwrócił głowy; musiał chyba wyczuć jej spojrzenie.

— Nic, zastanawiam się tylko, dokąd jedziemy.

— Nie wierzysz, że potrafię znaleźć miłe miejsce?

— Nie, skądże! Jestem tylko ciekawa, co też to będzie.

Uśmiechnąwszy się tajemniczo, wjechał w wytworną Benefit Street, gdzie szacowne rezydencje w stylu kolonialnym nabierały szczególnej urody w świetle gazowych latarni.

Tłok na jezdni był większy, niż powinien być o tej porze. Posuwali się w ślimaczym tempie, mijając po drodze historyczne budowle, między innymi Dom Johna Browna, Jane patrzyła jednak prosto przed siebie. Tam, na wzgórzu, wznosiła się jej Alma Mater. Już tylko parę przecznic dzieliło ich od miejscy, gdzie poczęta została Chloe.

Minęli wsparty na białych kolumnach neoklasycy gmach Ateneum, kilka budynków RISD i wreszcie majestatyczną siedzibę Sądu Najwyższego Rhode Island, za którą Dylanowi udało się wyrwać z ciasnego strumienia pojazdów. Skręciwszy w lewo, wjechał w dość ciemną i wąską uliczkę. Po kilku metrach zatrzymał samochód przy jakiejś metalowej siatce i wy-

sunąwszy rękę na zewnątrz, nacisnął kilka przycisków na wmontowanej w tę siatkę tabliczce.

— A cóż to takiego? Ściśle tajny parking? — zażartowała Jane, gdy fragment ogrodzenia rozsunał się nagle na boki, otwierając im drogę na małe podwórkó.

— Mam na pace sadzonkę rzadkiej odmiany jabłoni. A nuż by ją zobaczył jakiś szalony hodowca? Lepiej nie kusić losu.

— Ale skąd znałeś kod, który otwiera tę bramę?

— To, że było się kiedyś agentem, ma czasami swoje dobre strony.

Pomógł jej wysiąść i wyprowadził za bramę, która po ich wyjściu zatrzasnęła się zaraz z głośnym szczękiem. Wydobywszy z kieszeni paczkę papierosów, podsunął ją Jane, a gdy odmówiła, wystukał sobie jednego i łapczywie zaciągnął się dymem. W jego mimice i gestach widać było namiętą potrzebę palacza, ale też pogardę dla własnej słabości. Brnąc przez istny labirynt mrocznych uliczek, zaczęła się zastanawiać, jaka to ciemna sprawa mogła go kiedyś tu przywieść. Nie zapytała go o to, przekonała się jednak, że i on ma swoje sekrety.

Przejściem między dwoma domami z ciemnoczerwonej cegły wyprowadził ją na South Main Street. Po obu stronach ulicy znajdowało się kilka dużych restauracji, ale on, ująwszy Jane pod ramię, skierował się do jakiegoś malutkiego lokaliku pod nazwą „Umbria”. Pachniało tu ziołami i oliwą, na stolikach migotały świece. Ściany z czerwonej cegły pozbawione były wszelkich ozdób, jedynie przedzielające je drewniane belki pomalowano na kolor dyni.

Obsługą gości i wszystkim innym zajmowały się tutaj tylko dwie kobiety — pewnie właścicielki — w czarnych chińskich pizamach i płóciennych kłapkach. Nosiły rzeźbioną, bardzo oryginalną biżuterię, lecz tym, co natychmiast zwracało uwagę, były tatuaże na nadgarstkach, tak piękne i skomplikowane, że musiały być dziełem ludzi z RISD. Jedna miała go na prawym, druga na lewym ręku.

Na początek oboje z Dylanem zamówili wodę mineralną, a jedna z właściolek wyrecytowała im listę dań — widocznie nie uznawano tu czegoś takiego jak drukowane menu. Kobie-

ta była bardzo miła, lecz w sposób tak bezosobowy, jakby w ogóle nie знаła Dylana, toteż Jane szeroko otworzyła oczy, gdy się okazało, że łączą ich na tyle zażyłe stosunki, aby mówić sobie po imieniu.

— Dziękuję ci, Oley — powiedział, gdy kobieta przyjęła zamówienie.

— Oley?

— Tak, ma na imię Olympia, a jej partnerka to Del, Delphina. Poznały się w szkole artystycznej, a gdy się okazało, że obie noszą imiona pochodzące od słynnych miejsc w Grecji, orzekły, że nie może to być przypadek. I tak się zaczęła ich przyjaźń.

— Jesteś tu częstym gościem?

— Kiedyś dość często bywałem w Providence w związku z pewną sprawą, nad którą pracował nasz wydział, a tu gdzie teraz siedzimy, znajdowała się wtedy moja ulubiona restauracja „Bluepoint”. W pewnym momencie została zamknięta, a lokal przejęły Oley i Del. Przyzwyczyliłem się do tego miejsca, więc któregoś dnia postanowiłem tu wstąpić, no i spodobało mi się.

— Całkiem tu inaczej niż w tych włoskich restauracjach na Atwells Avenue, gdzie wszystko pływa w czerwonym sosie — stwierdziła Jane, maczając kawałek chleba w sałatce przyprawionej obficie zielonozłotą oliwą.

— Rzeczywiście.

— Podoba mi się. Dziękuję, że mnie tu przyprowadziłeś.

Zabrali się do jedzenia, rozmawiając przy tym na tematy ogólne, głównie o cukiernictwie i sadzeniu drzewek.

— Spójrz — powiedziała Jane w pewnej chwili, wskazując tatuaż Del — jak ogromnie zmienił się stosunek do tego rodzaju ozdób. Kiedy chodziłam do szkoły, mieli je tylko marynarze, a teraz to przecież ostatni krzyk mody. Pewnie i ty mógłbyś się czymś pochwalić?

— Nie — Dylan pokręci! głową — a ty?

Jane uśmiechnęła się enigmatycznie i bardzo starannie zajęła się małą zieloną oliwką.

— Masz ochotę na wino? — zagadnął ją Dylan.

— Dziękuję, nie piję alkoholu, ale ty się nie krępuj.

— Ja też nie piję.

— Naprawdę?

— Tak. To co wypilem, wystarczy mi na całe życie. Był taki okres, gdy nie mogłem się temu oprzeć.

Jane drgnęła wewnątrz, choć nie zdziwiło jej to wyznanie. Każdy by się rozpił po stracie dziecka. Powinna się była domyślić...

— Znam to — powiedziała — ze mną też tak było.

Spojrzał na nią z takim wyrazem twarzy, jakby i on się temu nie dziwił, ale nie podjął tematu. Oboje w milczeniu zajęli się sałatką. Jane, która pod wpływem zarzutów Sylvii czuła się z początku jak złodziej sięgający po cudzą własność, zaczęła się teraz z wolna odprężyć. Napotkawszy spojrzenie Dylana, nie tylko nie uciekła wzrokiem, lecz uśmiechnęła się do niego z uczuciem, że to milczenie ich łączy.

W drzwiach ukazały się właśnie dwie pary, starsza i młodsza, na których widok oboje podnieśli głowy.

— Dzieciak z Browna ze swoją dziewczyną i jej rodzicami — powiedział Dylan.

— Skąd wiesz, że to nie jego rodzice?

— Spójrz na dziewczynę, jest bardzo podobna do matki. A chłopak denerwuje się jak diabli. Znam te objawy z autopcji. Tyle że w moich czasach rodzice zabierali nas do Harbor Room.

— Pamiętam ten lokal! Studiowałeś tutaj? W Providence?

— Oczywiście.

Jane z wrażenia odłożyła widelec.

— Ja też!

— Ładnych parę latek po mnie. Kiedy odebrałaś dyplom?

— Nie zrobiłam dyplomu. Rzuciłam studia po drugim roku.

— Och! — wyraźnie czekał na ciąg dalszy.

Poczuła się jak balonik, z którego uszło powietrze. Nie mogła mu przecież powiedzieć, co się stało. Najwyższym wysiłkiem woli sięgnęła znów po widelec, choć zupełnie straciła apetyt.

— Widocznie dyplom nie był ci potrzebny — powiedział po chwili. — Miałaś inne powołanie.

— Miło z twojej strony, że tak myślisz — odrzekła, czując się znów jak oszustka. Może powiedzieć mu tylko pół prawdy, a to też nieuczciwość.

— Jak to się stało, że zajęłaś się cukiernictwem?

Temat wydawał się neutralny, ale tylko pozornie.

— Moi krewni mieli w Twin Rivers piekarnię — powiedziała, udając zajęta jedzeniem — a ja jako dziecko bardzo lubiłam tam chodzić. Było to dla mnie magiczne miejsce: sypiesz do dzieży różne ingrediencje, mieszasz to wszystko i nagle masz pyszny placek! A chleb! To dopiero było fascynujące. Przykrywasz wilgotnym płótnem pół misy ciasta, a gdy je zdejmujesz, jest pełna! Dla mnie to było coś niezwykłego, rzecz, w którą trudno uwierzyć. Nadal uważam, że jest w tym procesie coś z magii, że wszystko to wymaga tyle samo wiary w cuda, ile nauki.

— A te wspaniałe zapachy!

— O tak! — Jane zamknęła oczy. — Do dziś działają na mnie kojąco.

— Chcesz powiedzieć, że praca poprawia ci samopoczucie?

— Tak.

— I dlatego wybrałaś ten zawód? Potrzebowałaś pociechy?

Jane zignorowała tę kwestię, udając, że z wielką uwagą przysłuchuje się rozmowie siedzącego obok towarzystwa. Para studentów opowiadała rodzicom o zajęciach na swoim wydziale — studiowali teatrologię — i o sztuce, w której brali udział.

— Wszystkiego nauczyła mnie moja kuzynka — podjęła po chwili. — Przekazała mi mnóstwo sekretów dotyczących zarówno samego pieczenia, jak i dekoracji ciast. Była osobą niezwykle życzliwą ludziom: lubiła sprawiać radość swym klientom. Każdemu pragnęła ofiarować coś pięknego.

— Tak jak ty Chloe.

Och nie, tylko nie to! Jane pragnęła rozmawiać o Chloe, ale myśl, że trzeba będzie powiększyć tę górę kłamstw i przemilczeń, która już między nimi wyrosła, była nie do zniesienia. Nie teraz, nie w tej chwili. Ten wieczór miał być wyjątkowy.

— Mam na myśli życzliwą ocenę jej pracy i to, że tak pięknie udekorowałaś ciasta. Nie masz pojęcia, jaka jest dumna, że sprzedaje takie wspaniałe wyroby.

— Bardzo się cieszę — powiedziała Jane głosem napiętym jak struna.

— Ona tego bardzo potrzebuje.

— Czego?

— Poczucia, że stąpa po twardym gruncie, że to, co robi, jest słuszne. To wyjątkowa dziewczyna. Nie wszyscy ją rozumieją.

Jane w tym momencie nie była już w stanie powstrzymać się od dalszych pytań.

— Z jakiego powodu? Czego nie można zrozumieć w jej charakterze czy postępowaniu?

Dylan zamyślił się nad tym. Poznała to po jego ruchach, gdy zaczął ponownie napełniać szklanki. Rozboliła ją nagle gardło, więc chętnie napiła się wody, nie przyniosło jej to jednak ulgi.

— Po tej strzelaninie — powiedział wreszcie — świat stał się dla mnie bezludną wyspą. Czułem się tak, jakby wraz z Isabel zabrano mi serce. Wiem, że to brzmi po wariacku...

— Nie, wcale nie. To nie jest żadne wariactwo.

Skąd ty to możesz wiedzieć? wyczytała w jego spojrzeniu, mimo to mówił dalej:

— Wróciłem do Rhode Island. Nie mogłem znieść Nowego Jorku.

Jane znów zamknęła oczy: ona uciekła do Nowego Jorku, bo nie mogła wytrzymać w Rhode Island. Och, dobrze go rozumiała! Podstępem zdobyła jego zaufanie, ale teraz szczerze mu współczuła. Teraz nie chodziło już tylko o Chloe. Z całego serca pragnęła mu ulżyć.

— Myślałem, że będę tu żyć jak pustelnik. Chciałem skryć się przed ludźmi, zapomnieć o całym świecie. Zaszyję się w sadzie, myślałem. Tam nie będę musiał nikogo widywać ani odbierać telefonów. Będę kopał doły, przycinał drzewa i myślał o mojej córce.

— I tak zrobiłeś?

— Tak, ale niezupełnie, bo przekonałem się w pewnej chwili, że jestem komuś potrzebny.

— Chloe?

— Tak. Odczuła śmierć Isabel prawie tak samo jak ja.

— Łączyła je bliska przyjaźń...

— To prawda, ale rzecz nie tylko w tym. Jak już powiedziałem, Chloe jest osobą wyjątkową. Inną niż większość dziewczyn w jej wieku.

— To znaczy...?

— Ma dopiero piętnaście lat, ale jej dusza i serce są o wiele starsze.

— Co masz na myśli?

— Żeby to dobrze zrozumieć, musiałabyś zaobserwować jej stosunek do zwierząt. Kiedyś na przykład jakieś pisklę wypadło z gniazda, a ona przebiegła pędem cały sad, żeby mnie sprowadzić na miejsce wypadku, bo sama nie była w stanie włożyć ptaszka z powrotem do gniazda. Wiesz, że mamy tutaj całą sforę dzikich kotów; Chloe troszczy się o nie jak o własne dzieci. Po śmierci Isabel w podobny sposób troszczyła się o mnie. Nie tylko rozumiała, co czuję, ale i czuła to samo. Patrząc jej w oczy, widziałem mój własny ból. To niesłychanie silna empatia, ciekawe tylko, skąd się to bierze, prawda? Mam na ten temat swoją teorię.

— Jaką?

Dylan otworzył już usta, lecz niespodziewanie zmienił zamiar.

— Nie, dajmy temu spokój. Nie chcę się bawić w psychologa.

Jane znieruchomiała. Poczowała się przezroczyista. Wydawało jej się, że Dylan widzi ją na wylot, i nagle zapragnęła, żeby poznał prawdę. Żeby wybaczył jej kłamstwa.

— Ale ja bardzo bym chciała usłyszeć tę twoją teorię.

Zaczął obracać w palcach widelec, wpatrując się z dziwnym napięciem w jedzenie. Wyglądało to tak, jakby odczuwał głód, lecz z jakichś powodów nie chciał go zaspokoić.

— Masz w sobie coś takiego — powiedział w końcu ze śmiechem — co skłania mnie do mówienia. To dziwne, bo nie jestem skłonny do zwierzeń.

— Ja też nie. A mógłbyś powiedzieć, dlaczego tak na ciebie działałam?

— Myślę, że wiesz i rozumiesz znacznie więcej niż inni, toteż trudno cię czymś zaszokować. Chyba dlatego tak dobrze się czuję w twoim towarzystwie.

— No więc... Powiedz mi coś więcej o swej bratanicy.
— Znow nawiedziło ją przykre poczucie, że nadużywa jego zaufania.

— Nie chcę być nielojalny wobec brata...

— Ale jest dobrym ojcem? — spytała ostrożnie Jane.

— Och tak, bardzo dobrym i bardzo ją kocha, dlatego zostawmy lepiej ten temat... — Urwał i z nagłym zainteresowaniem zaczął się przyglądać towarzystwu siedzącemu przy sąsiednim stole. Rodzice dziewczyny zamówili szampana i właśnie wzniesli toast za sukces swych dzieci na scenie, a potem za ich dyplomy. Mieli je otrzymać w poniedziałek. Dylan w tym momencie uśmiechnął się w taki sposób, jakby go olśniło. — Coś ci powiem, Jane — oznajmił z rozjaśnioną twarzą.

Z bijącym sercem uniosła brwi, przekonana, że chce jej wyjaśnić, skąd się bierze empatia Chloe, ale on, trąciwszy się z nią szklanką wody, powiedział wesoło:

— Nie zabiorę cię w poniedziałek na uroczystość rozdania dyplomów, ale wiem, co możemy dziś zrobić. Ciekaw jestem, czy zgadniesz, co to takiego!

— Dzisiaj? — Jest piątek, pomyślała, ostatni weekend przed rozdaniem dyplomów... No tak! Teraz zrozumiała, skąd ten tłok na ulicy.

— „Cały kampus tańczy” — zaśmiał się Dylan. — Brałaś w tym udział na pierwszym albo drugim roku? To fantastyczna impreza! Pójdziemy tam po kolacji!

ROZDZIAŁ 16

Chloe wymknęła się z domu, opuszczając się z okna po rynnie — za chwilę miał zjawić się Zeke. Ubrała się na to spotkanie w białą przezroczystą bluzkę haftowaną z przodu w złote pszczoły, a do kieszeni dżinsów wetknęła flakonik perfum „Muguet des bois”. Użyła ich dopiero na dworze z obawy przed rodzicami: gdyby wyczuli ten zapach, mogliby nabrać podejrzeń. Stojąc teraz w sadzie w umówionym miejscu, czekała na swego chłopca. U jej stóp tłoczyły się koty, miaucząc tak donośnie, jakby chciały całemu światu obwieścić swoją obecność.

Gwiazdy świecące wśród liści wyglądały dziś jak złote jabłka. Och, gdyby mogła je zerwać! Nosiłaby je w kieszeni, aby przy każdym spotkaniu ofiarować jedną Zekemu.

Już z daleka usłyszała ryk silnika. Nigdy by nie przypuszczała, że z takim utęsknieniem będzie wypatrywać światła motocykla, i to tutaj, w sadzie. Sprzeciwiało się to wszelkim jej zasadom — te maszyny zagrażały środowisku — a jednak na widok reflektorów ogarnęła ją taka euforia, jakby na niebie ukazał się nagle meteor.

Przyjechał! Patrzyła na niego z zachwytem. W świetle gwiazd jego włosy lśniły czystą bielą, w oczach zapalały się zielone błyski, całkiem jak u kota. Zatrzymał się przed nią i ruchem głowy nakazał jej wsiąść na motor. Usłyszała bez wahania i natychmiast takim gestem objęła go w pasie, jakby robiła to przez całe życie.

— Mocniej — powiedział — i uważaj na lewą nogę. Rura jest gorąca. Gotowa?

— Tak — wyszeptała w jego kark.

Pognali z rykiem przez sad. Nisko wiszące gałązki siekły ją po twarzy. Zamknęła oczy, napawając się zapachem jego włosów, a potem musnęła je lekko wargami. Jak szybko okrążyli cały sad! Cudownie było pędzić tak wśród nocy, lecz najcudowniejsza była jego bliskość. Ten intymny kontakt z jego ciałem działał na nią tak upajająco, że kręciło się od tego w głowie.

Przez wyrwę w płocie wydostali się na zewnątrz. Widoczna na szczycie pagórka czerwona stodoła Dylana z czterema oknami w kopule wyglądała w ciemności trochę niesamowicie, jakby z okien tych patrzyły na nich czyjeś oczy, ale Chloe wyobraziła sobie, że to oczy kogoś bliskiego — może Isabel, a może prawdziwej matki. Ktokolwiek to był, wcale nie miał jej za złe tej eskapady, przeciwnie, cieszył się jej szczęściem.

Zeke zatrzymał się nad strumieniem, w miejscu gdzie sad Chadwicków graniczył z ziemią sąsiada. Chloe kochała to miejsce. Tutaj złapała swoją pierwszą żabę, tu dowiedziała się także wielu ciekawych rzeczy. Tego na przykład, jak mądre są brązowe pstrągi: nie odpowiada im upał, więc przeczekują go w głębokich jamach.

Zeke wziął ją za rękę i pomógł zsiąść z motocykla.

— Dokąd idziemy? — spytała ze śmiechem.

— Wasz sad kończy się przy potoku, prawda?

— Tak, czemu pytasz?

— Chcę cię wyprowadzić poza wasz teren.

Kiedy objął ją wpół, pomyślała, że zaraz zemdleje. Jego dotyk wydawał się lekki, a jednak palił ją w plecy. I nagle poczuła obie jego ręce pod bluzką. Wolniutko sunęły po bokach, wyraźnie zmierzając ku piersiom. Zrobiło jej się gorąco.

— Zoe...— wyszeptał.

— Chloe — poprawiła go lekko wstrząśnięta. Jak mógł się tak pomylić?!

— Wiem — zaśmiał się głośno. — Pomyślałem tylko, że byłoby fajnie, gdyby nasze imiona zaczynały się od tej samej litery.

— Chciałbyś zmienić swoje na „Ceke”?

Nie roześmiał się z tego żartu i pocałował ją w usta, wzdając nadal rękami pod bluzkę. Ach, cóż to był za pocałunek! Przeszedł wszelkie jej oczekiwania. Sprawił, że nogi się pod nią ugięły, lecz silne ramię Zekego nie pozwoliło jej upaść. Trzymając ją w ciasnym uścisku, powoli rozchylił jej wargi i nagle poczuła w ustach jego język. O nieba! Było to uczucie nie do opisania! Nie miała pojęcia, że można doznawać takich wrażeń. Mąciła je tylko obawa, aby Zeke się nie domyślił, że to jej pierwszy pocałunek.

— Och — westchnęła głośno, wyrażając tym wszystko, co czuła: to, że z nieba spadają gwiazdy, to, że och! jest cudownie, i o Boże! szkoda, że już się skończyło. Zeke wziął ją za rękę — nie miał już bandaża — i przeprowadził przez strumień. Miał na nogach wysokie buty, a ona lekkie białe klapki, z których zrobiły się teraz białe, bardzo brudne klapki.

Ale co tam! Było to zabawne i tak romantyczne! Wspinając się na drugi brzeg, czuła, że swędzą ją kostki, jakby setki jakichś nocnych stworzeń oblaży jej nogi, lecz i to nie miało znaczenia.

Na drugim brzegu, w wysokiej trawie pasła się para jeleni z młodym.

— Popatrz! — szepnęła bez tchu, chwytając Zekego za koszulkę. — Czyż nie są piękne?

Nie odpowiedział, tylko znów przyciągnął ją do siebie jeszcze mocniej i czulej niż przedtem.

Jelenie musiały wyczuć ich obecność, a jednak spokojnie pasły się dalej, co Chloe uznała za dobry znak: widocznie Zeke im się spodobał, inaczej dawno by uciekły. W niej samej jelenie budziły szczególne uczucia: widząc te piękne zwierzęta, zaczynała myśleć o swojej prawdziwej matce, o tym, że jest piękna jak one, że porusza się z taką samą gracją, że ma wielkie łagodne oczy. Ze potrafi się wtopić w otoczenie, bo tak jak one jest dzieckiem natury.

Teraz gdy Zeke trzymał ją w ramionach, ona także czuła się częścią natury. I jakież to było cudowne! Czyż istniało na świecie coś bardziej romantycznego niż ten uścisk? Tak czuły i delikatny, jakby Zeke bał się sprawić jej ból swoją siłą,

i zarazem tak namiętny, jakby pragnął ją całować w nieskończoność. A jego gorące usta miały tak rozkoszny smak... Cieszyła się teraz, że znajdują się w miejscu niewidocznym z okien stodoły; ta chwila była tak intymna, że nie chciała, by ich ktoś zobaczył.

— Chloe — szepnął Zeke; już nie próbował zmieniać jej imienia.

Nie mogła mówić, bo nakrył ustami jej usta, czuła tylko, że coś dużego i twardego zaczyna uciskać jej nogę. Wiedziała, co to jest. Troszkę ją to podekscytowało, ale też i trochę przestraszyło. Co by na to powiedziała Mona? Próbowwała przegnać ją z pamięci, ale Mona nie dawała za wygraną, a co gorsza, rozśmieszała ją swymi kpinkami. Ależ to twarde! mówiła. Wyobraź sobie, jak byś się czuła, gdybyś była chłopcem: ni stąd, ni zowąd, pewna część ciała twardnieje ci nagle na kamień!

Musiało to rzeczywiście być trochę niesamowite i na pewno bardzo niewygodne. Wyobrażając to sobie, Chloe parsknęła zduszonym śmiechem. Och nie, nie powinnam była się śmiać, pomyślała z zakłopotaniem. Może Zeke uzna ten dźwięk za chrząknięcie? Zaczęła się też trochę denerwować: oby tylko nie trzeba było oglądać tej dziwnej rzeczy. Nie była na to gotowa. Zeke chyba nie będzie jej do tego zmuszać?

On tymczasem położył ją na ziemi i zaczął uklepywać trawę, aby wymościć im gniazdko. Przyglądała się temu z aprobatą; to samo robiły jelenie, gdy chciały położyć się razem. Widocznie Zeke zna ich zwyczaje. Wetknąwszy mu nos w szyję, głośno wciągnęła w nozdrza jego zapach. Popchnął ją do tego tak przemożny impuls, że nie była w stanie mu się oprzeć.

Kiedy jednak znów wsunął ręce pod jej bluzkę, umknęła przed jego dotykiem. Wrażenia były zbyt silne. Chyba zrozumiał, bo wycofał ręce; jedną zaczął rozpinać jej dzinsy, drugą ujął jej dłoń i przyłożył ją sobie do brzucha, dając do zrozumienia, co ma zrobić. Nie było to łatwe. Jego dzinsy miały pięć guzików, a ta twarda rzecz naciskała na nie od środka. Chloe na dodatek popadła w rozterkę: nie chciała, by to coś wyskoczyło na zewnątrz, czując jednak, że Zeke tego oczekuje, nie mogła mu sprawić zawodu. Spróbowała wykonać jego polecenie, cóż, kiedy ręka nie chciała jej słuchać. Musiał to wyczuć,

bo nakrył ją dłonią i szepnął z lekkim rozdrażnieniem: „po prostu pociągnij!”

Niby za co?? Chloe teraz już wpadła w panikę: Zeke uzna ją za idiotkę! Dziewczyna powinna wiedzieć, co ma robić, gdy chłopak mówi: „pociągnij”, a co najważniejsze, mieć na to ochotę. A ja wcale tego nie chcę, pomyślała. Dlaczego? Czy to znaczy, że jestem nienormalna? Otworzywszy jedno oko, spróbowała zmusić do działania dziwnie oporną rękę, lecz zniecierpliwiony Zeke postanowił ją uprzedzić. Szarpnął za przód swoich džinsów i wszystkie guziki wyskoczyły z dziurek!

Omiał nie roześmiała się ze swej głupoty, ale właśnie w tej chwili ukazało się to coś, czego trochę się bała, choć rzecz ta budziła również jej ciekawość. Był to jej pierwszy kontakt wizualny z tą częścią męskiego ciała. Więc tak wygląda penis? O rany! Spłoszyła się jeszcze bardziej, gdy Zeke zapuścił rękę za jej dzinsy i zaczął gmerać przy gumce od majtek. Miała ochotę zerwać się z trawy i pognać na osłep przed siebie.

Podniósłszy lekko głowę, napotkała spojrzenie stojącej naprzeciw łani. Trochę dalej pasł się jeszcze jej towarzysz. Ciekawe, gdzie podział się jelonek. W wielkich oczach matki malowało się tyle spokoju i miłości! Chloe posłała zwierzęciu równie czułe spojrzenie i natychmiast pomyślała o matce: czy szesnaście lat temu ona też leżała w trawie z jakimś chłopcem?

— W porządku? — spytał szeptem Zeke.

Poczuła łzy w oczach. Nie chciała płakać, chciała być szczęśliwa, ofiarować mu to, czego pragnął, cóż, kiedy tak strasznie dławilo ją w gardle.

— Nie wiem — wyszeptwała.

— To twój pierwszy raz?

Skinęła głową.

Z uśmiechem odgarnęła jej włosy z twarzy i końcem palca zdjął łzę, która kapnęła jej z oka.

— Nie musimy tego robić, jeśli nie chcesz.

Głośno przełknąwszy ślinę, spojrzała w stronę jeleni. Z trójki pozostała tylko łania. Chloe czuła, że chce jej dodać otuchy: bądź sobą, mówiło spojrzenie zwierzęcia, powiedz, że nie masz ochoty. Nie posuwaj się za daleko.

— Chodzi o to... — zaczęła niepewnie — że jesteśmy z sobą dopiero pierwszy raz... więc myślałam, że...

— Tak tylko sobie połączymy?

Roześmiała się głośno, lecz zabrzmiało to bardziej jak szloch. W jego słowach nie było nic obraźliwego, ale ton... Łatwo było z niego wywnioskować, co Zeke myśli o „takim sobie łożeniu”: jakież to nudne! No pewnie, Zeke to jest ktoś. Surfuje wśród rekinów, szaleje na motorze bez kasku, a dziewczyn może mieć na pęczki.

— Myślałam...

Pocałował ją teraz całkiem inaczej niż przedtem. Miętko i czule. Jakby była kruchym pisklęciem, któremu mimo woli można zrobić krzywdę. Jego dotyk i pocałunki stały się powolne i pełne uczucia, a ją znów ogarnęło uniesienie. Jakby zza chmurnego horyzontu zaczęło wypływać słońce.

Oddała mu pocałunek i mocno objęła za szyję. Czowała bicie jego serca przy swoim. Nadal zbierało jej się na płacz, ale nie, teraz nie chciała już płakać. Teraz aż do bólu pragnęła czego innego: bliskości jego ciała, dotyku jego skóry. Wydawało jej się, że bez tego umrze. Zaczął manipulować przy dzinsach — swoich i jej — zsuwając je cał po calu. Przestała się tym przejmować.

Pragnęła tak leżeć bez końca, tulić się do niego, chłonać jego słodkie pocałunki. Położył się na niej i zaczął rozsuwać jej nogi, z początku łagodnie, potem już dosyć bezceremonialnie. Wiedziała, że nie chce sprawiać jej bólu, gdy jednak przygniótł ją swoim ciężarem, zrobiło jej się bardzo niewygodnie: sucha ziemia i drobne kamyki powbijały jej się w pośladki. Jego penis uciskał ją w intymnym miejscu.

Czy powinna powiedzieć, że to boli? Zagryzła wargi, żeby nie krzyknąć. Czy uprawianie seksu zawsze jest takie przykre?

— Nie bądź taka spięta — szepnął jej do ucha. — Chcesz, żebym przestał?

— Nie, ale... — wykrztusiła ze łzami w oczach.

— Daj spokój, po prostu się odpręż.

Był tak podniecony, że nawet porządnie nie zdjął jej majtek. Pętały się teraz przy jej mokrych klapkach. Swoje spodnie

opuścił też tylko do kostek. Krzyknęła z bólu, gdy jego buciska wbiły jej się w łydki.

— Musisz się rozluźnić — syknął. — To jest jak surfing, wyobraź sobie, że jedziesz na fali.

Wszedł w nią i jęknął z ulgi. Był gorący i taki twardy! Rzeczywiście przypominało to surfing, ale to on był jeźdźcem, a ona falą wznoszącą się i pękającą jak tafla rozbitego szkła w rytm jego gwałtownych ruchów. Och nie, inaczej to sobie wyobrażała. Czowała się teraz jak człowiek, który wypadł za burzę do morza pełnego rekinów, a nigdzie w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby jej przyjść z pomocą — żadnego delfina, jej prawdziwej matki ani nawet tej pięknej lani.

Kiedy już było po wszystkim, Zeke cmoknął ją w usta i stoczył się z niej na plecy, co wcale nie było łatwe, bo spodnie tak się zapętyliły, że skrępowały mu nogi. Chloe urwała garść trawy i zaczęła się nią wycierać.

On wstał i zaczął zapinać spodnie. Chwilę czekała, by podał jej rękę, lecz widząc, że nie ma takiego zamiaru, w końcu podniosła się sama. Oboje milczeli, nie patrząc na siebie. Trzask zapinanego suwaka wydał jej się głośny jak wystrzał.

— Już późno — mruknął wreszcie Zeke. — Odwiozę cię do domu.

Chloe zaniemówiła. Więc dla niego tak wygląda romantyczna randka?

— Gotowa? — zapytał, po czym z pewnym wahaniem wyciągnął do niej rękę. Nie podała mu swojej. Nie mogła.

Wzruszył ramionami i odszedł. Słyszała chłopot wody, kiedy przechodził przez strumień, a potem trzask suchych gałązek. Musiał być już w sadzie, gdy usłyszała:

— Chloe?

Nie była w stanie odpowiedzieć. Głos uwiązał jej w gardle.

— No to cześć! — zawołał. Po kilku sekundach dał się słyszeć warkot silnika.

— Cześć — szepnęła bezgłośnie.

Gwiazdy świeciły dziś jaśniej niż zwykle — jakby tam, na niebie, zapalono miliardy świątecznych ognisk. W ich świetle jej skóra jaśniała niezwykłym blaskiem. Wprost czuła, jak to

piękne światło przenika całe jej ciało. Poszukała wzrokiem znajomej łani, ale już jej nie było, uciekła. A tak pragnęła spojrzeć w te wielkie wilgotne oczy.

Ogarnęło ją straszne zmęczenie. Marzyła o tym, żeby się położyć, zagrzebać w przytulnym gnieździe. Tylko że to miejsce, gdzie leżeli, nie było prawdziwym gniazdem, takim, za jakim tęskniła. Tęskniła za swoją prawdziwą matką. Powoli ruszyła przed siebie i gdy znalazła się w miejscu, gdzie widziała jelenią matkę, opadła na czworaki i rozgarnąwszy wysoką trawę, zaczęła szukać jej śladów.

Były. Widać było wyraźnie, że stał tutaj jelen. Chloe uklękła pośrodku i zaczęła ugniatać wokół siebie trawę, a potem zwinięta w kłębek, z policzkiem przy ziemi, ułożyła się w swoim gnieździe. Otoczyło ją miłe ciepło. Aby zająć czymś myśli, zaczęła fantazjować, że pozostawiła je łania lub jej prawdziwa matka, która tu kiedyś była, albo że ciepło to płynie wprost z głębi ziemi. Na koniec doszła do wniosku, że to bez znaczenia. W świecie, w którym żyjemy, wszystko stanowi jedność, więc co za różnica?

Wtedy dopiero zaczęła płakać. Niebo było ciemne. Gwiazdy zniknęły.

Dylan dotrzymał obietnicy: gdy tylko wyszli z restauracji, pociągnął Jane w stronę kampusu. Już z daleka słychać było muzykę. Nie była tam prawie szesnaście lat. Nie chciała oglądać tych miejsc — wiązało się z nimi zbyt wiele wspomnień. Kiedy Sylvia pod koniec swych studiów zaczęła namawiać ją na przyjazd, wymigała się nawałem pracy.

Droga na College Hill była tak stroma, że każdy krok kosztował ją sporo wysiłku. Dylanowi musiało być jeszcze trudniej. Zwolniła tempo, mówiąc sobie, że to ze względu na niego, prawda była jednak taka, że im bliżej byli uniwersytetu, tym większy ucisk czuła wokół serca.

— Co ci się stało? — zagadnęła Dylana, aby o tym nie myśleć.

— Mówisz o mojej nodze?

— Tak.

— Nic wielkiego.

Widać było, że unika odpowiedzi. Przystanąła, aby nabrać tchu, rzucając mu przy okazji wyczekujące spojrzenie.

— Zostałem postrzelony. Wywołało to trwałe uszkodzenia — powiedział sucho i zamilkł. Podjął też zaraz wspinaczkę, nie pozostało jej więc nic innego, jak pójść w jego ślady.

Chciała go spytać o tyle rzeczy! Pomogłoby jej to zapomnieć o sobie i własnej przeszłości, dlatego postanowiła nie dać za wygraną.

— To straszne — powiedziała.

Zignorował tę uwagę.

Byli już blisko wieży Carrie, czerwonej budowli, wysokiej i smukłej jak dzwonnica, usadowionej w północno-zachodnim rogu wielkiego trawnika. Nieopodal, po jej prawej stronie wznosił się budynek Horacego Manna. Zewsząd słychać było muzykę. Przez lukę w metalowym ogrodzeniu przedostali się do środka i Jane skierowała się w stronę wieży.

— Nie — Dylan chwycił ją za rękę — tańce są tam!

— Wiem — odrzekła, nie zwalniając kroku.

Serce biło jej jak szalone. Mój Boże, wszystko wyglądało tak samo jak szesnaście lat temu! Z setek kołyszących się na wietrze papierowych lampionów — złocistych, błękitnych, w kolorze dojrzałej śliwki i cynobru — biła w niebo różnobarwna luna, ludzie tańczyli przy dźwiękach orkiestr. Czas zatoczył koło.

Podeszli do podnóża wieży i tam przystanęli, spoglądając w górę. Ta urocza budowla miała prawie trzydzieści metrów. Wiązała się z nią jakaś legenda, ale Jane przed laty była zbyt pochłonięta czym innym, aby się nią bliżej zainteresować.

— Znasz może historię tej wieży? — spytała.

Skinął głową.

— Możesz mi opowiedzieć?

— Wiem tyle, że zbudował ją Paul Bajnotti, aby uczcić pamięć swojej ukochanej żony Carrie. Była wnuczką Nicholasa Browna.

— Jednego z dobroczyńców uniwersytetu.

— Zgadza się. Spójrz. — Wskazał jej tabliczkę wmurowaną w podstawę wieży. Widniał na niej jakiś napis.

— „Miłość jest silna jak śmierć” — przeczytała głośno.

Dłonie zwilgotniały jej nagle z emocji. Ta inskrypcja nie wiadomo czemu przypomiała jej ową noc sprzed lat szesnastu, gdy poczęta została Chloe. Czy to przypadek, że droga życiowa tej cudownej czarnowłosej dziewczyny o chłodnych niebieskich oczach, tak pełnej miłości do życia we wszystkich jego przejawach, rozpoczęła się w cieniu tej wieży — po drugiej stronie ulicy?

Zatopiona w swoich wspomnieniach, prawie zapomniała o Dylanie. Z transu wyrwał ją dopiero jego głos.

— To prawda — powiedział, patrząc na tabliczkę. — Miłość jest nawet silniejsza niż śmierć.

No tak, pomyślała, on także stracił dwie ukochane istoty.

— O czym myślisz? — spytała po chwili ciszy.

— O tej sentencji i o tym, jak bardzo jest prawdziwa.

— Twoja żona...

Zawahał się lekko.

— Byliśmy w separacji, kiedy się to stało. Myślałem o mojej córce.

— O Isabel...

— Pytałaś mnie o nogę — powiedział nieoczekiwanie. — O mało jej nie straciłem. Kula zgruchotała mi kość udową, a potem wdała się jeszcze infekcja. Operowano mnie dwadzieścia dwa razy i mam teraz w udzie chyba więcej stali niż kości. Ale to głupstwo...

— Nie mów tak. To nie jest głupstwo.

— Jest, w porównaniu z tym, co się stało. One właśnie wtedy zginęły. Isabel i Amanda. A ja... ja nie potrafiłem ich obronić. Nie mogłem nawet wziąć na ręce mojej rannej córki. Trzeba ją było zawieźć do szpitala, a ja leżałem jak kłoda.

— Przecież to nie twoja wina!

Nic nie powiedział, tylko zamknął oczy. Jane ze ściśniętym gardłem zerknęła na budynek Wydziału Anglistyki i nagle tak wyraźnie poczuła obecność Chloe, jakby ją miała u boku. Tak samo jest pewnie z Dylaniem, pomyślała. Isabel wszędzie mu towarzyszy, bo to prawda, że miłość potrafi pokonać śmierć.

Spontanicznym ruchem wzięła go za rękę. Jego dłoń wydawała się taka solidna. Czy dlatego serce zabiło jej żywiej? A może to muzyka, rozlewna i romantyczna, kolorowe świat-

ta, cichy szept wiatru wśród liści obudziły w niej uczucia zapomniane od tylu lat?

Uśmiechnął się po raz pierwszy od momentu wyjścia z restauracji. Był to uśmiech tak jasny i pełen radości, że musiała odpowiedzieć mu tym samym. Trzymając się za ręce, stali nadal w cieniu pamiątkowej wieży. Jakie to dziwne, myślała Jane, że po tylu latach znalazłam się tu właśnie z nim, z tym zranionym, pełnym rezerwy mężczyzną, który przez przypadek stał się wujem Chloe. A może to nie przypadek? Tak czy inaczej to on jest ogniwem łączącym mnie z Chloe. Dzięki niemu, choć on o tym nie wie, powstał nasz niezwykły trójkąt.

— No cóż — powiedział takim tonem, jakby i jemu ta niespodziewana bliskość wydawała się zagadkowa.

Oboje dziwili się potem, jak do tego doszło. Ze stało się to tak szybko i bez żadnych wahań. Każde z nich zrobiło zaledwie pół kroku, on otoczył ramieniem jej plecy, a ona przytuliła się do niego — z uczuciem, że po długim nieistnieniu powraca wreszcie do życia. Z gwałtownie bijącym sercem odchyliła głowę do tyłu i poczuła jego usta na swoich.

Papierowe lampiony zamieniły się w gwiazdy i zaczęły wirować po niebie. Rzeczywistość straciła kontury. Czas wypadł ze swego koryta, a jej jaźń uleciała z wiatrem. Gdyby ją ktoś zapytał, kim jest, powiedziałaaby, że może czyjaś ukochaną Carrie, a może czarnowłosą dziewczyną imieniem Chloe. Tym, co po chwili zaczęło jej przywracać świadomość własnego istnienia, był dotyk brody Dylana na policzku, smak jego ust, ciepło rąk przesuwających się powoli po jej plecach. Świat odzyskał swój realny wymiar. Poczuła, że żyje tu i teraz.

— Zatańcz ze mną — szepnęła mu do ucha.

Spleceni ciasnym uściskiem, zaczęli tańczyć, nie ruszając się prawie z miejsca. Dylan już nie utykał. Jego noga była idealnie sprawna. Nic się nigdy nie stało, czy raczej wszystko co złe zostało unieważnione przez tę majową noc, kolorowe lampiony, gwiazdzone niebo i przez tę sentencję głoszącą, że miłość jest silna jak śmierć lub jak to powiedział Dylan, silniejsza nawet od śmierci.

Część druga

GWIAZDY NA STRYCHU

ROZDZIAŁ 17

Z Chloe działo się coś dziwnego. Im bliżej było do lata, tym mniej miała sił. Doszło w końcu do tego, że tylko z najwyższym trudem mogła zwlec się wieczorem z łóżka, aby nakarmić koty. Czuła się strasznie zmęczona, lecz powodem było i to, że wolała nie wychodzić z domu. Na zewnątrz wiał wiatr, a jego łagodny dotyk przypominał jej o tym, co chciała wykreślić z pamięci. Nawet koty ocierające się o nogi przyprawiły ją teraz już o chęć ucieczki, choć przecież dawniej uwielbiała się z nimi bawić. Wszystko przypominało jej teraz tę noc sprzed tygodnia. Tę noc i Zekego.

W domu było tylko trochę lepiej. Rodzice lubili klimatyzację. Gdy dawniej nie było ich w domu, Chloe czym prędzej wyłączała te urządzenia, otwierając zarazem wszystkie okna, teraz jednak była zadowolona i z mechanicznego szumu, i ze sztucznego chłodu. Szmer klimatyzacji miał jeszcze i tę zaletę, że zagłuszał natrętne myśli.

Zadzwoił telefon. Chloe od kilku dni unikała odbierania telefonów, tym razem wszakże podniosła słuchawkę. Dzwoniła Mona, żeby się dowiedzieć, w które dni stoisko będzie czynne. W piątek, sobotę i w niedzielę, poinformowała ją Chloe. A czemuż to jeszcze nie zdała relacji z tej swojej romantycznej randki? Czemu robi z tego taki sekret? Czyżby coś nie wypaliło? „Wszystko w porządku” — powiedziała Chloe — „ale Zeke to świrus. Już go nie lubię.”

Monę zdumiały te słowa, a jeszcze bardziej ich ton. Był tak powściągliwy i chłodny, jakby Chloe naprawdę przestał obchodzić ten chłopak!

Było to całkiem do niej niepodobne. Gdy już polubiła chłopca, stawał się dla niej bożyszczem. Kiedy jej sympatią był Gilbert Albert — a trwało to dziesięć lat — interesowała się nim tak dalece, że na pamięć znała tygodniowy rozkład jego zajęć, nie mówiąc już o tym, że nosiła czapeczkę Red Soksów, bo była to jego ulubiona drużyna, a słomkę, przez którą pił coca-colę, zabierała sobie na pamiątkę.

Tak więc Mona była nieco zbita z tropu obecną nonszalancją przyjaciółki, lecz Chloe miała nadzieję, że zostanie to poczytane za oznakę dojrzałości. Może nawet tak właśnie było. Ważne wydarzenia przyspieszają proces dorastania, a w minionym roku doprawdy ich nie brakowało. Zwolniono ją z „SaveRite'a" za kampanię przeciwko jedzeniu mięsa, uratowała rodzinne stoisko przed ostateczną ruiną i w końcu straciła cnotę. To, że z takim spokojem postanowiła wyrzucić z serca chłopaka, w którym jeszcze parę dni temu zakochana była do szaleństwa, mogło być skutkiem tych przeżyć.

Tylko że niestety niewiele w tym było prawdy.

Pozornie sprawiała wrażenie pogodnej dojrzałej osoby, ale w środku... w środku była w totalnej rozsypce. Czuta się całkiem jak zepsuty zegar, jak coś zżutego i wyplutego, jak krowa zagnana do rzeźni!

Dlatego wszystko tak ją męczyło. Przez dwa dni symulowała chorobę (dłużej się nie dało), w szkole drzemała z otwartymi oczami i natychmiast po powrocie do domu biegła do swego pokoju, by uciąć tam sobie kolejną drzemkę. Z Moną prawie nie rozmawiała. Gdy matka kazała jej odrabiać lekcje, a ojciec pytał o stopnie, zaczynała ziewać. Aż tak cię nudzimy? spytał w końcu cierpko.

Nie, chciała krzyknąć, wcale mnie nie nudzicie, ale coś się ze mną stało, sama nie wiem co! Było tak, jakby serce w ogóle nie słuchało głowy.

W głowie też miała jeden wielki zamęt. Całe szczęście, że w domu panował spokój. Był hermetyczny jak puszka konserw. Słuchając monotonnego szumu klimatyzacji, Chloe

miała wrażenie, że siedzi w lodówce. Bez przerwy chciało jej się spać, lecz gdy tylko zasnęła, nawiedzały ją okropne sny.

W jednym z nich była gwiazdą. Ludzie spoglądali w niebo i szeptali jej swe życzenia. I nagle zaczęła spadać. Leciała jak pocisk przez ciemny kosmos i w końcu runęła na ziemię. Stała się martwą gwiazdą. Leżała na piasku jak pusta muszla, a po morzu surfowali chłopcy. Znalazła ją jakaś kobieta i zabrała do swego domu. Owiniętą w bibułkę schowała do pudełka, które wyniosła na strych. „Jesteś moim dzieckiem” — wyszeptowała i wyszła. Chloe zaczęła płakać: ta kobieta była jej prawdziwą matką!

W innym śnie pływała w wielkim zbiorniku pełnym jakiegoś żelu. Dookoła widać było mnóstwo płetw. Chwyliła za jedną, myśląc, że to delfin, ale był to biały ludojad. Druga należała do delfina, który miał ogromne zęby i wyraźnie zamierzał ją pożreć. Przerazona, że za chwilę zginie, z krzykiem dała nurka, krztusząc się tą gęstą kleistą cieczą. Płetwy rzuciły się za nią w pogoń. Zaczęły wpływać jej między nogi i bóść twardymi pyskami.

Wytknąwszy głowę na powierzchnię, usłyszała, że ktoś ją woła. Jakaś pani siedziała w łodzi, lecz gdy podpłynęła bliżej, łódź zamieniła się w placek z jabłkami. Pani zaczęła ją wciągać na pokład. Chloe nadal krzyczała ze strachu, ale brzmiało to teraz jak kwilenie noworodka. Nieznajoma wciągnęła ją w końcu do łodzi. Uratowała jej życie. Chloe rozpląkała się z ulgi: cieszyła się, że żyje i że nie jest martwą gwiazdą, którą zamknięto na czymś strychu.

Wszystko to wydawało się takie realne, że kiedy się obudziła, musiała powtórzyć sobie kilka razy, że był to tylko zły sen. Dobrze było jedynie wspomnienie nieznajomej wybawicielki. Cudownie byłoby mieć kogoś takiego, pomyślała tęsknie. Słyszac, że matka wróciła z zakupów, nakazała sobie wstać z łóżka i powoli zeszła do kuchni.

— Witaj, kochanie — powiedziała matka zajęta układaniem warzyw w lodówce.

— Mamo... — zaczęła Chloe, wciąż jeszcze zmagając się z paniką.

Obrzuciwszy szybkim spojrzeniem jej zmięte ubranie i zmierzwione włosy, matka ze smutkiem pokręciła głową.

— Wiesz, że nie jestem zachwycona twoją pracą przy stoisku — powiedziała z lekkim wyrzutem — ale wolę już to, niż patrzeć, jak przesypiasz kolejny dzień. Czy Dylan cię dziś nie potrzebuje? Przejeżdżając koło jego domu, widziałam samochód tej waszej znajomej, no wiesz, tej pani, która piecze dla was ciasta.

— Ma na imię Jane — miękko powiedziała Chloe, uświadamiając sobie w tym momencie, że to właśnie Jane jest kobietą z jej snu.

— Chciałabym ją poznać — rzuciła z uśmiechem matka. — Myślisz, że jest coś między nią i Dylanem? Ostatnio spędzają z sobą sporo czasu.

Chloe ziewnęła i przetrzała oczy.

— Nie wiem. — Chciała porozmawiać o czymś z matką, lecz nagle straciła ochotę.

— Życzyłabym mu tego. Jest taki samotny, odkąd...

Och nie! Chloe zrobiło się zimno. Oby tylko matka nie zaczęła mówić o Isabel i Amandzie! To by ją dobiło. Czułaby się po takiej rozmowie jak rozłupany orzech rzucony wronom na pożarcie. Matka na szczęście zmieniła temat.

— Mam nadzieję, że to miła osoba — mówiła, chowając sałatę do dolnej szuflady lodówki. — Dylan zasługuje na kogoś takiego.

— Jest miła.

— I umie piec szarlotkę, to jej trzeba przyznać!

Chloe w milczeniu pokiwała głową. Wpatrzona w bujną zieleń za oknem, już prawie postanowiła, że pójdzie odwiedzić Dylana. Zwłaszcza że jest tam Jane... Powie im, że choć na razie stoisko czynne jest tylko w weekendy, mogłaby popracować dodatkowo... trzeba by tylko wybrać jakiś dzień.

Po chwili zmieniła decyzję: nie, musi najpierw zrobić coś innego. Coś dręczyło ją od paru dni. Czowała, że póki się z tym nie upora, nie będzie mieć chwili spokoju.

— No to idę — oznajmiła matce. Zabrzmiało to tak, jakby rzeczywiście miała zamiar odwiedzić Dylana. — Potem może wpadnę do Mony.

— Dobry pomysł. Nie weźmiesz ze sobą książek? Mogłybyście razem odrobić lekcje.

— Słusznie. — Chloe chwyciła plecak i zaczęła pakować książki. Zrobiłaby wszystko, byle tylko matka nie zaczęła podejrzewać, że wybiera się całkiem gdzie indziej.

— Koniec roku szkolnego za pasem — uśmiechnęła się Sharon.

— A potem długie gorące lato — dodała Chloe.

Wcale nie cieszyła jej ta perspektywa, miała jednak nadzieję, że głos jej nie zdradził. Matka nie powinna o tym wiedzieć.

— Pijesz czarną, prawda? — zapytał Dylan, nalewając wody do dzbanka.

— Tak, miło, że o tym pamiętasz — uśmiechnęła się Jane.

Stali daleko od siebie, a jednak całym sobą czuł jej obecność. Nie widzieli się od owej piątkowej nocy, więc gdy zjawiała się z ciastem, natychmiast skorzystał z okazji, by ją zaprosić na kawę.

Nastawił wodę i zaczął wyjmować kubki. Robił to z pozorną swobodą, lecz na samo wspomnienie ich pocałunku napinały mu się wszystkie mięśnie. Po powrocie z Providence rozmawiali tylko raz przez telefon, i to bardzo konwencjonalnie: Jane podziękowała mu za przyjemny wieczór, on złożył jej zamówienie, i to było wszystko. Kiedy dzisiaj zobaczył ją w drzwiach, nie mógł myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, czy i ją przyprawia o bezsenność wspomnienie tej cudownej nocy i jak by się zachowała, gdyby wziął ją w ramiona? Na jej widok nawiedziło go znowu to zdumiewające poczucie bliskości i tak niebywała radość, że był to dla niego szok.

— Powinnam była przywieźć jakąś dodatkową tartę. Mieilibyśmy coś do kawy — powiedziała wesoło.

— Moglibyśmy uszczknąć coś z tego — wskazał przywieszzone przez nią wielkie pudło — obawiam się jednak, że Chloe wzięłaby nam to za złe. To ona sporządziła listę i spodziewa się pewnie, że otrzyma wszystko zgodnie z zamówieniem.

— Nie możemy jej rozczarować! Jak jej idzie sprzedaż?

— Doskonale. Liczy, że będzie jeszcze lepiej, gdy zaczniemy działać codziennie. Lekcje kończą się w przyszłym tygodniu — odrzekł Dylan. Był jej głęboko wdzięczny za tyle zainteresowania osobą swojej bratanicy.

— Bardzo się z tego cieszę.

— Ja też.

Serce bilo mu coraz gwałtowniej. Mimo że od Jane dzieliło go kilka metrów, wprost fizycznie odczuwał jej aurę. Miała na sobie obcisłe dżinsy i luźny trykotowy top, pod którym wyraźnie rysowały się jej jędrne piersi. Jakże pragnął ją objąć, poczuć znów przy sobie!

Od iluż to lat nikt nie budził w nim takich uczuć! Umarły na długo przed śmiercią Amandy. Ich stosunki od dawna nie były dobre. Starał się je naprawić, lecz gdy wszystkie próby zawiodły, zamknął się w sobie i rzucił w wir pracy. Tak, o to było najłatwiej, pomyślał z lekką goryczą. Jeśli czegoś brakowało w Nowym Jorku, to na pewno nie przestępców ani świadków zagrożonych zemstą mafijnych rodzin.

Potem była strzelanina i długi pobyt w szpitalu. Kiedy stamtąd wyszedł, wciąż jeszcze był w stanie szoku. Niby żył nadal, tylko że nic nie czuł. Stał się imitacją człowieka. Odciał się od wszystkiego — rodziny, wspomnień i uczuć.

Uczucia czasami wracały, ale on się przed nimi bronił — były zbyt przytłaczające. W takich chwilach miał zwyczaj sięgać po papierosa. Teraz też tak zrobił.

— Czy to ci przeszkadza? — zapytał, widząc, że Jane przygląda mu się uważnie.

Pokręciła głową, że nie, niezbyt jednak przekonywająco.

— Widzę, że tak.

— Tylko dlatego, że tobie to szkodzi.

— Wiem. — Wypuścił długą smugę dymu i spojrzał na zdjęcie Isabel przypięte do drzwi lodówki. Jane pamiętała, że przedtem wisiało na ścianie. — Moja córka mówiła to samo.

— Tak? Co ci mówiła?

— Och, cytowała mi wszystko, czego uczono ją w szkole. Miała wtedy dziewięć lat. Pracowałem zwykle do późna, taki to był rok, a kiedy się wreszcie zjawiałem, zaczynało się...

— Urwał i na chwilę zamilkł. Pragnął powiedzieć Jane, że jego małżeństwo znajdowało się w stanie rozkładu, choć nie był złym mężem i kochał kobietę, która nie odwzajemniała jego uczuć, nie lubił się jednak rozczulać nad sobą, nie chciał też być nielojalny wobec zmarłej żony; postanowił więc o tym nie mówić. — Mniejsza o powód — podjął po pauzie — po prostu paliłem jak komin i kiedy latem przyjechaliśmy do Rhode Island, Isabel i Chloe zaczęły mnie naciskać, żebym przestał.

— Mądre dziewczynki!

Dylan uśmiechnął się niewyraźnie. Głupio byłoby mówić, że w pewnym momencie przestał się troszczyć nie tylko o zdrowie, lecz nawet o życie. Ze ratując ginący sad, sam czuł się jak zombie. Nie dbał o siebie, bo i kto by się przejął jego śmiercią? Jediną osobą, której na nim zależało, była Isabel.

— Mieszkaliście wtedy w tym domu? Pytam o te wakacje, gdy dziewczynki miały dziewięć lat — dodała Jane, widząc, że jej rozmówca nie bardzo wie, o co chodzi.

— Ach tak, to znaczy nie. Byliśmy wtedy w Newport, w domu rodziców Amandy.

— Twoja żona pochodziła z Newport?

— Bywała tam tylko w lecie. Wychowała się na Piątej Alei, ale jej rodzice mieli w Newport luksusowy dom.

— Jedną z tych słynnych rezydencji na Bellevue Avenue?

— Tak.

Wszyscy mieszkańcy Rhode Island znali Newport, większość jednak bywała tam tylko w charakterze turystów. Do Newport jeździło się po to, żeby przejść się spacerkiem po Cliff Walk, przyjrzeć się z okien wozu wspaniałym siedzibom bogaczy, pojeździć rowerem po Ocean Drive, a potem pójść na drinka do Candy Store czy Black Pearl lub przekąsić coś w gospodzie na Castle Hill, a kolację obowiązkowo zjeść w The Pier, wyobrażając sobie, jak by to było cudownie mieć własny jacht, mieszkać w jednym z tych białych pałaców, uczestniczyć w wielkich balach w Harbor Court...

— No i jak tam było? — spytała Jane.

— Pytasz o dom? Był marmurowy...

— Chodzi mi o to, jak się tam żyło. Na co dzień.

Dylanowi stały przed oczami uroczyste kolacje w smokingach, wycieczki jachtem ojca Amandy, bale dobroczynne wydawane przez jej matkę, wizyty w klubie Bailey's Beach, którego byli członkami...

— Dla mnie to było męczące. I strasznie nudne.

— Naprawdę?

— Możesz mi wierzyć na słowo. Bez przerwy gdzieś nas zapraszano. My, to znaczy Isabel i ja, chcieliśmy sobie po prostu popływać czy pograć w piłkę, cóż, kiedy było to niemożliwe. Zamiast iść na plażę, trzeba się było ubierać i jechać na jakieś przyjęcie.

— Rodzina twojej żony to ludzie z tak zwanego towarzystwa, prawda? Wyższe sfery.

— Można to tak ująć — mruknął Dylan, przypominając sobie własny komentarz na ten temat: „Po co im Biblia? Im wystarczy kodeks towarzyski”.

Kiedy znów spojrzął na Jane, wyczytał w jej oczach pytanie: Jak ci się udało dopasować do tego towarzystwa? Patrząc teraz na swoje odbicie w szybie — wysoką brodatą postać w wystrzępionej starej koszuli — sam nie mógł tego pojąć.

— Ci ludzie mają szczególną mentalność — stwierdził z lekką ironią. — Moi teściowie na przykład nie obnosili się ze swym bogactwem, można nawet powiedzieć, że na swój sposób byli dość oszczędni. Wiesz, jak mój teść uzasadniał to, że jeździ bentleyem, a nie rolls-royce'em? Bo rolls mają na masce strasznie krzykliwą ozdobę, a taka ostentacja jest rzeczą w bardzo złym guście. Pieniądzy mu nie brakowało, ale jego szofer musiał własnoręcznie myć tego bentleya, bo po co wydawać dziesięć dolarów na myjnię?

— Mam bardzo podobnych klientów! — zaśmiała się Jane. — Wysyłam swoją pomocnicę na Park Avenue z wielkim pracochłonnym tortem, a pani domu dziękuje jej grzecznie i wręcza dolara napiwku!

— I dlatego są bogaci, tak przynajmniej mi tłumaczono. Rodzice Amandy twierdzili ponadto, że napiwki uwłaczają ludzkiej godności i że gdyby pracodawcy odpowiednio wynagradzali swych ludzi, ten upokarzający zwyczaj utraciłby rację

bytu, a los nieszczęsnych pracowników przestałby wreszcie zależeć od widzimisię klientów.

— No tak! Działają w imię dobra społecznego! Będę to musiała powiedzieć swojej następnej pomocnicy!

— Uważają, że ich świętym obowiązkiem jest strzec swojego bogactwa, którą to misję powierzy! im chyba sam Pan Bóg. Ciągłe powtarzali Isabel, że ich zadaniem jest chronić jej spadek — dodał Dylan.

Wcale nie zamierzał psuć nastroju, tak się jednak stało, kiedy wspomniał o swojej córce. Co to za świat, myślał gorzko, w którym łatwiej uchronić spadek niż ukochane dziecko! Gwałtownie zgniótł papierosa.

Uśmiech Jane zniknął jak zdmuchnięty.

Kawa była gotowa. Napełnił kubki i podał Jane jeden, ale ona wzięła też drugi i postawiwszy je na kontuarze, spojrzała na niego z niemym pytaniem w oczach. Serce zabiło mu mocniej. Nigdy jeszcze przy żadnej kobiecie nie doznawał tak dziwnych uczuć: jakby nagle wstąpiło w niego życie i zarazem miał za chwilę umrzeć. Co się ze mną dzieje? pomyślał.

— Opowiedz mi o niej... o Isabel — poprosiła Jane.

— Cóż... Była niezwykła. Zdumiewająca.

Zdumiewająca. Jane przymknęła oczy. Wargi miała lekko rozchylone, jakby smakowała to słowo.

— I taka radosna... Uwielbiała się śmiać. Lubiała płatać mi figle. Ja jej też. Wiedziała, że jestem kimś w rodzaju detektywa, więc wymyślała dla mnie zagadki. Całe scenariusze. I jak rasowy autor podsuwała mi zawsze parę tropów...

— Miała twórczy umysł.

— Bardzo. Była też bardzo inteligentna. Ja również zadawałem jej zagadki, nieraz naprawdę skomplikowane, i wyobraż sobie, zawsze potrafiła je rozwiązać. — Zdjął fotografię z drzwi czek lodówki i podał ją Jane.

Jego córka miała okrągłe policzki i mnóstwo jasnobrązowych loczków, a jej uśmiech był taki bez troski... Chloe, kanciasta i czarnowłosa, wyglądała przy niej jak znajda. Uśmiechała się, lecz z oczu wyzierał jej smutek.

— Śliczne dziewczynki.

— Bardzo się różniły, ale kochały jak siostry.

— Wspominałeś, że ty i Chloe... — zaczęła Jan^

— Tak — wszedł jej w słowo — kiedy tu wróciłem po tej strzelaninie, Chloe przestała mówić. — Wyjął jej z ręki zdjęcie i zaczął mu się przyglądać. — Już ci mówiłem, że to niezwykle wrażliwa dziewczyna i że śmierć Isabel omal jej nie zdruzgotała. Potrafiła też zrozumieć jak nikt inny, co to znaczy dla mnie...

— Miała dopiero jedenaście lat...

— Tak, ale ona rozumie, co to znaczy stracić kogoś bliskiego. Nigdy nie mówiłem o tym memu bratu ani jego żonie, ale tobie powiem: Chloe w swoim krótkim życiu zaznała wiele bólu i żalu.

— Myślisz, że o tym nie wiedzą? Sami też pewnie cierpieli po stracie twej córki.

Dylan pokręcił głową. Znów spojrzał na zdjęcie, koncentrując tym razem wzrok na buzi Chloe.

— Dla Chloe największym powodem do żalu jest matka. Jej „prawdziwa matka”, jak o niej mówi.

Jane nagle zamarła. Dylan sięgnął po magnes, przyczepił zdjęcie do lodówki i starannie wygładził brzegi.

— Uważa się za porzuconą i myślę, że chyba nigdy się z tym nie pogodzi — dodał tonem wyjaśnienia.

W ciszę wdarł się nagle dzwonek telefonu. Jane nawet nie drgnęła, choć była to jej komórka. Telefon w końcu umilkł. Obserwując w tym czasie jej twarz, Dylan widział wyraźnie, że cierpi. Dlaczego? Czyżby los Chloe aż tak ją obchodził? Skąd u niej tyle współczucia? Widząc, że w oczach ma pełno łez, zrobił krok w jej stronę.

— Co ci jest, Jane?

— Dobrze, że Chloe ma cię przy sobie — powiedziała cicho. — Cieszę się z tego ze względu na nią.

— Cóż ja? Jestem tylko jej wujem i niewiele mogę dla niej zrobić. Wciąż zresztą to sobie wyrzucam.

— Niepotrzebnie. Przynajmniej ma z kim porozmawiać. Ty w dodatku tyle o niej wiesz! Znasz jej wrażliwość, a co najważniejsze, bierzesz to pod uwagę w codziennym postępowaniu. Ktoś inny mógłby to zlekceważyć

— Ja nie mam takiego zwyczaju. — Zbliżył się do niej i stanął obok. Jej łzy wruszyły go do głębi. Gdyby mu pozwo-

lila, wzięłyby ją w ramiona i do rana nie wypuszczał z objęć. — Taki już jestem: niczego nie lekceważę i niczego nie zapominam — powiedział, patrząc w jej niebieskie oczy. I nagle głos uwiązł mu w gardle. Nie był w stanie wypowiedzieć słowa. Odchrząknął z zakłopotaniem, ale jej tym nie zmylił.

— Dobrze się czujesz?

Skinął głową — głos nadal odmawiał mu posłuszeństwa.

— Widzę, że jednak nie. — Pieszczotliwie dotknęła jego policzka. — I nie ma się czemu dziwić, zważywszy na wszystko, czym cię los doświadczył.

— Minęło sporo czasu — udało mu się wreszcie wykrztusić. — Powinienem się z tego otrząsnąć.

— „Powinienem” to straszne słowo.

— Dzięki za zrozumienie.

Uśmiechnęła się z taką wdzięcznością, jakby ofiarował jej coś cennego. Pokochała ją za ten uśmiech. Patrząc na jej proste czarne włosy i jasną cerę z kilkoma piegami, pomyślał, że za to też. Na szyi miała skromniutki srebrny medalion, którego, jak zauważył, chyba nigdy nie zdejmowała.

Trochę zakłopotany własną reakcją — żeby aż stracić głos! — mimo woli przypomniał sobie, że już kiedyś zdarzyło mu się coś takiego. Było to w Newport na krótko przed strzelaniną. Wtedy jednak powód był inny. W jego małżeństwie nastąpił głęboki kryzys. Przytłaczała go świadomość, że to już koniec i że trzeba coś postanowić. Tylko co? Wyprowadzić się z domu? Co stanie się z Isabel? Amanda nie zażądała jeszcze separacji, wiedział jednak, że to tylko kwestia czasu.

— Wiesz, Jane, coś mi się przypomniało. Ty też przypominaś mi kogoś... Nie dlatego, że jesteś do niej podobna, lecz raczej prawem kontrastu.

— Kogo masz na myśli?

— Moją żonę. — Nie chciał źle mówić o zmarłej, ale od tak dawna był samotny, a z tej kobiety emanowało tyle ciepłych uczuć, że poczuł niemal fizyczną potrzebę zrzucenia z siebie ciężaru. — Incydent, o którym chcę ci opowiedzieć, był nawet dosyć zabawny. Uczestniczyliśmy w kolacji wydanej przez matkę Amandy i jej ojciec poprosił mnie o toast. Było tam mnóstwo ludzi, wszyscy pięknie opaleni, mężczyźni w smo-

kingach, kobiety w wieczorowych toaletach, obwieszone drogą biżuterią, słowem, kupa snobów. Ja byłem w okropnym nastroju, moja żona również. Miesiąc później poprosiła mnie o rozwód, ale wtedy... wciąż jeszcze żałowałem, że nasz związek nie jest taki, o jakim marzyłem.

— A tymczasem kazano ci wygłosić toast.

— Właśnie. Podniosłem kieliszek, otworzyłem usta i... kompletnie mnie zamurowało!

— Nic nie powiedziałeś?

— Nic. Mówkę miałem przygotowaną, cóż, kiedy słowa utknęły mi w gardle. Wyobrażasz sobie tę scenę? Stoję jak słup przed tłumem tych snobów, teściowie patrzą naimnie ze zgrozą, reszta ma takie miny, jakby chciała się zapaść pod ziemię, a Amanda! Och, tego się nie da opisać!

Ucieszył się, widząc, że rozbawił ją tą historyjką. Oczywiście wciąż jeszcze miała trochę smutne, dostrzegł w nich jednak figlarne iskierki — i mnóstwo czułości. Uświadomił sobie również, że zrelacjonował jej ten incydent niejako „od zewnątrz”, że więc stać go już na pewien dystans wobec siebie i swej przeszłości, i że zawdzięcza to Jane. Bardzo dawno w niczym towarzystwie nie czuł się tak swobodnie. Jej spojrzenie zdawało się mówić, że wie o nim tyle, jakby znała go od urodzenia.

Dziwne, że i ona wydawała mu się tak bliska, jakby wspólnie zjedli beczkę soli. Poczuł, że pragnie nigdy się z nią nie rozstawać...

Próbując to sobie wytłumaczyć, pomyślał, że w jego życiu długo nie było miejsca na miłość. Pochłaniały go studia, rozgrywki sportowe, potem praca w U. S. Marshals i sam Waszyngton. Tyle się tam działo. Dopiero Amanda zrobiła na nim wrażenie. Była piękna, pochodziła z Rhode Island, jej ojciec miał świetne koneksje polityczne. Była jego pierwszą poważną sympatią. Wydawała się wtedy idealną kandydatką na żonę, lecz patrząc teraz na Jane, uświadomił sobie, że zawsze brakowało mu czegoś w tym związku, że wciąż tęsknił za czymś, co nie chciało się spełnić.

Teraz też za czymś tęsknił. Pragnął podejść do niej i wziąć ją w ramiona, ale nie miał odwagi tego zrobić. Bał się, że mógłby coś zepsuć. A było mu z nią tak dobrze! Kochał ją za

sposób, w jaki odnosiła się do Chloe. I do Isabel. Widział, że nawet teraz nie przestaje zerkać na zdjęcie.

Przyszło mu nagle na myśl, że wprost idealnie pasuje do tej wielkiej kuchni. Czy mógłby wyobrazić tu sobie Amandę? Wykluczone. Z nią kojarzyły mu się tylko drinki na srebrnej tacy, marmurowy taras i Vivaldi. Muzyka klasyczna. W ich domu bez przerwy słychać było orkiestry.

On miał mniej wyrafinowane gusty. Lubił dźwięki skrzypiec i gitar. Steve'a Earle'a i zespół BoDeans. Emmylou. Lubił swoją ciężarówkę, którą nazywał „psotnicą”, a kopanie dziur w sadzie dawało mu poczucie prawdziwego związku z rzeczywistością. Grzebiąc w ziemi, zaczynał myśleć o życiu, co było zresztą całkiem zrozumiałe. Korzenie-błoto-życie-miłość, tak wyglądał ten łańcuch skojarzeń. I Jane, dodał teraz w myślach, parszkając zduszonym śmiechem.

— Co cię tak bawi? — spytała.

— Mój umysł wywinął dziwną woltę. To znaczy... mnie te skojarzenia nie dziwią, ale ty byś je pewnie wyśmiała.

— Tak? Przekonajmy się, czy masz rację.

— Korzenie, błoto i ty.

— Opuściłeś jabłka. — Stała na palcach i pocałowała go w usta.

Och, przeszedł go prąd — od czubka głowy aż do stóp. Gestem tonącego przyciągnął ją do siebie. Wydawało mu się, że umrze, jeśli kiedykolwiek będzie musiał wypuścić ją z objąć. Przeżyłem czterdzieści osiem lat, huczało mu w głowie, a nigdy czegoś takiego nie czułem!

— Jane — szepnął ochryple, gdy odsunęła się lekko.

— Przepraszam, nie mogłam się powstrzymać.

— Całe szczęście! Nie masz pojęcia, jak się z tego cieszę! Och, nie! — zaprotestował, gdy cofnęła się o pół kroku. — Nie rozumiesz, że nie jestem w stanie cię puścić?

Zaczęła się śmiać.

— To dobrze, bo nie wiem, co bym wtedy zrobiła.

Teraz on ją pocałował. Jej usta były tak podniecające, że zapomniał o całym świecie, pozostała mu tylko świadomość, że z tą kobietą łączy go coś więcej niż ten pocałunek, że uczucia, które w nim budzi, to nie chwilowa namiętność.

LUANNE RICE

I znów zadzwonił telefon, głucho, lecz natarczywie. Po chwili zamilkł, jednak po sekundzie zaczął dzwonić znowu. Jane zręcznym ruchem uwolniła się z jego objęć i ze śmiechem sięgnęła po torebkę.

— Słucham?

Dylan już układał sobie „przemówienie” na wypadek, gdyby go chciała opuścić. Uśmiechał się, myśląc, że zaprosi ją teraz na przechadzkę po sadzie, a potem na kolację, gdy jednak zobaczył wyraz jej twarzy, uśmiech mu zamarł na ustach.

— Co się stało?

— Dzwoniła moja siostra. Przedtem to też była ona. Nasza matka miała wypadek. Jest w szpitalu.

ROZDZIAŁ 18

Sylvia czekała na nią przy windzie.

— Mama upadła — powiedziała głucho.

Jane objęła ją i przytuliła.

— Mocno się potłukła?

— Ma złamane biodro. Właśnie ją operują.

To chyba nie wszystko, pomyślała Jane, przypatrując się swej młodszej siostrze. Opuszczone ramiona i wyraz jej oczu wskazywały wyraźnie, że musiało się zdarzyć coś jeszcze i że Sylvia nie chce o tym mówić.

— Jak to się stało?

— Próbowwała zejść ze schodów i straciła równowagę. Gdy ją znalazłam, zaczęła tłumaczyć, że chciała mi o czymś powiedzieć. Tylko że... och, Jane, wzięła mnie za ciebie! Nie było mnie wtedy w domu... — Jane teraz dopiero spostrzegła, że Sylvia ma na sobie niebieską suknię, niebieskie pantofle na wysokich obcasach, a włosy ułożone w loki. Jej siostra urwała na chwilę, po czym opuściwszy głowę, wyrzuciła z siebie jednym tchem: — Na prośbę Johna zgodziłam się pojechać do szkoły, żeby bliżej zapoznać jego uczniów z systemem dziesiętnym Deweya i pokazać im, w jaki sposób najłatwiej korzystać z księgozbioru. Chciałam cię poprosić, żebyś posiedziała z mamą, ale zanim zdążyłam to zrobić, ciebie już nie było!

— Musiałam zawieźć ciasto — odrzekła Jane, przypominając sobie z nagłym zakłopotaniem namiętny uścisk Dylana

i to, co powiedział o Chloe; o jej tęsknocie i żalu do prawdziwej matki.

Wciąż jeszcze czuła jego dotyk, pamiętała smak jego ust. Ze też matka akurat w takiej chwili musiała się znaleźć w szpitalu! Ależ się to wszystko pokomplikowało! Zaczynając tę zabawę w Matę Hari, miała na celu tylko jedno: zbliżyć się do Chloe. Dylan liczył się na tyle, na ile mógł jej pomóc w osiągnięciu celu. Czyż mogła przypuszczać, że się w nim zakocha? Stało się to tak niepostrzeżenie. Ujęła ją jego miłość do sadu, to że kochał Chloe, że rozumiał ją lepiej niż ktokolwiek inny. No i stało się, straciła dla niego głowę. A dziś poczuła, że i jego serce należy do niej. I co dalej? Cała ta uczuciowa gmatwanina doskwierała jej stokroć bardziej niż wrogie spojrzenie Sylvii, która nagle zaczęła się usprawiedliwiać.

— Chodziło tylko o jedną godzinę lekcyjną. Mama, gdy jej o tym powiedziałam, bardzo się ucieszyła. Uważała, że to świetny pomysł. Przynęła mi też solennie, że nie będzie próbowała wstawać. Nie miała zresztą powodu. Przed wyjściem zaprowadziłam ją do toalety, przyniosłam herbatę i coś do zjedzenia. Była w świetnym nastroju. Kiedy wychodziłam, czytała Chaucera.

Ta nasza matka! pomyślała Jane, uśmiechając się mimo woli. Pochłania średniowieczne poematy całkiem jak inni thrillery. Widząc, jak niecierpliwie przewraca strony, można by pomyśleć, że umiera z ciekawości, co będzie dalej! Wcale jej nie przeszkadza, że czytała to setki razy; dla niej to zawsze taka sama uczta duchowa.

— Ale potem wbiła sobie w głowę, że musi z tobą pomówić. Natychmiast. Wstała, zaczęła schodzić ze schodów i runęła na dół jak worek. — Sylvia zrobiła znów pauzę i z widocznym zakłopotaniem zerknęła na czubki swych butów. — Nie wiem, jak długo tak leżała, bo... no cóż, wróciłam trochę później, niż miałam w planie. Po lekcji poszliśmy z Johnem na kawę do klubu nauczycielskiego. Było tam mnóstwo znajomych, zagadaliśmy się trochę i... Och, gdy pomyślę, że ona w tym czasie leżała tam sama ze złamanym biodrem!

— Daj spokój, to nie twoja wina.

— Doprawdy? A mnie się wydaje, że obie jesteśmy winne.

— Zaraz! Niby dlaczego? Ja nie poczuwam się do winy — obruszyła się Jane.

— Mówiłaś, że nie masz na dziś żadnych planów. Mogłabym przysiąc, że tak powiedziałeś.

— Powiedziałam, że w tej chwili nie mam żadnych planów, co wcale nie oznaczało, że później nie będę ich miała. Coś zawsze może się zdarzyć.

— Nawet mi nie powiedziałaś, że wychodzisz!

Cóż, rzeczywiście tak było. Jane nie mogła temu zaprzeczyć. Specjalnie czekała, aż Sylvia pójdzie pod prysznic, aby chyłkiem wymknąć się z domu. Nie chciała wysłuchiwać znów uwag na temat swych stosunków z rodziną Chadwicków.

— W dodatku zabrałaś samochód! Musiałam zadzwonić do Johna, żeby po mnie przyjechał. Już i tego by wystarczyło, żeby mieć do ciebie pretensje! A ty jeszcze tak się zachowujesz, jakby wcale cię nie obchodziło, że matka Bóg wie jak długo leżała sama wijąc się z bólu! Trzeba ci było ją widzieć! Chwyła mnie za rękę, powtarzając w kółko jak szalona, że chciała ci coś powiedzieć...

— Strasznie mi przykro. — Jane zamknęła oczy. Woląла sobie nawet nie wyobrażać tej sceny.

— A wszystko dlatego, że żyjesz w permanentnym kłamstwie!

— Nieprawda.

— Jak to nie? Okłamujesz i mnie, i Chadwicków. Nie mówisz im przecież, dlaczego pieczesz te ciasta. Źle robisz, Jane.

Jane już otworzyła usta, by powiedzieć Sylvii, że nic nie rozumie, gdy nagle uświadomiła sobie z całą brutalną ostrością, że przecież jej siostra ma rację i że ona, Jane, okłamuje nawet samą siebie, wmawiając sobie, że jest inaczej. O Boże! Miała wrażenie, że bładoniebieskie szpitalne ściany zaczynają się nad nią zamykać. Teraz naprawdę poczuła się jak oszustka. Jak zdemaskowany kłamca. Ale Chloe... Miałaby nie widywać Chloe? Wciąż brzmiały jej w uszach słowa Dylana: „Ona uważa, że ją porzucono i nigdy się z tym nie pogodzi”.

I co ja mam teraz zrobić?

— Kto ją tutaj przywiózł? — spytała, by przerwać niezręczne milczenie. — Mówię o mamie.

— Pogotowie. Zadzwoiłam pod dziewięćset jedenaste. Przyjechali ci sami ludzie co przedtem. Nawet pamiętali mamę.

— Była przytomna?

Sylvia parsknęła niewesołym śmiechem.

— Owszem, na tyle, żeby zauważyć muchę, która przypadkiem wpadła do karetki. Spytała też sanitariuszkę, która jej mierzyła ciśnienie, jaki przedmiot najbardziej lubiła w szkole.

— Cała mama! No i co powiedziała ta kobieta?

— Ze jej ulubionym przedmiotem było wychowanie fizyczne.

— Fatalna odpowiedź! — stwierdziła Jane i obie z Sylvia zaczęły cicho chichotać. — Wychowanie fizyczne! Dla mamy to nie były lekcje, tylko strata czasu. Pamiętasz, jak wypisywała nam zwolnienia, żebyśmy mogły pójść do biblioteki?

— Pamiętam. „Proszę o zwolnienie mojej córki z gimnastyki; ma otarty duży palec u nogi.” Tak naprawdę miało to oznaczać: „Moja córka stworzona jest do wyższych celów. Ktoś tak inteligentny jak ona nie może tracić czasu na kopanie piłki”.

— Ani pieczenie ciasta — dodała Jane.

— Och, Jane, nie zaczynaj!

— Wiem, że sprawiłam jej zawód.

— Chciała dla ciebie jak najlepiej. Myślała, że wrócisz na studia, kiedy oddasz dziecko.

— Wiem, że tak myślała, ale ja po urodzeniu Chloe nie byłam już tą samą osobą co przedtem. Mama zdążyła zapomniać, jak to jest; rodzisz dziecko i wszystko się zmienia, już nieodwołalnie, niezależnie od tego, czy je wychowujesz czy nie.

— Byłaś taka młoda...

— Nie za młoda, żeby mieć dziecko.

— Nie kłóćmy się, dobrze? — poprosiła Sylvia. — Przynajmniej nie teraz, gdy nasza matka leży na stole operacyjnym.

— Przecież się nie kłócimy — zaprotestowała Jane, choć mięśnie miała napięte jak zawodnik przed ostatnią rundą. Ani

matka, ani siostra nigdy jej nie zrozumieją. Sylvia nie potrafi sobie wyobrazić, jak to jest mieć dwadzieścia lat i piersi pełne mleka, którym nie ma kogo nakarmić. Pewnie też nigdy by nie uwierzyła, że jeszcze teraz, po szesnastu latach, śni jej się poród. Odbyłoby się to w innym szpitalu, ale bardzo podobnym do tego, znajdującym się zresztą całkiem niedaleko.

W tej właśnie chwili z drzwi izby przyjęć wyłonił się lekarz w zielonym kitlu.

— Która z pań to Sylvia Porter? — zawołał, zerkając w trzymaną w rękę tabliczkę.

— To ja!

Wyglądał na jakieś trzydzieści pięć lat, był dobrze zbudowany, choć niezbyt wysoki, miał szczere brązowe oczy, a linia włosów nad czołem zaczynała mu się już cofać.

— Obie jesteśmy córkami Margaret Porter — uzupełniła Jane.

— Nazywam się Becker — poinformował je lekarz — i to ja operowałem waszą matkę. — Rozejrzawszy się po poczekalni, wskazał stojące w kącie dwa żółte plastikowe krzesła. Podeszli tam wszyscy troje, nikt jednak nie zdecydował się usiąść.

— W jakim jest stanie? — zapytała Jane.

— Gdyśmy ją tutaj przywieźli, strasznie cierpiała — dodała Sylvia.

— Próbujemy właśnie podjąć jakąś decyzję w sprawie dalszej opieki nad matką, skoro same nie jesteśmy w stanie... — zaczęła Jane, lecz widząc ostre spojrzenie Sylwii, zamilkła.

— Operacja przebiegła pomyślnie, są jednak pewne komplikacje.

Jane poczuła nagle, że krew zastyga jej w żyłach.

— Jakie?! — wykrzyknęły obie równocześnie.

— W obrębie miednicy wykryliśmy powiększone węzły chłonne.

— Och! — Jane przeraziły nie tyle słowa lekarza, ile jego ton.

— Mama od lat cierpi na cukrzycę — włączyła się Sylvia — i często ulega infekcjom. To może być powód, prawda? Pamiętasz, Jane, ile razy miałyśmy anginę czy zapalenie

gardła, zawsze powiększały nam się gruczoly, o tu... — przebiegła dłonią po szyi.

— Te węzły, o których mówię, wyglądają inaczej.

— Może to jakaś złośliwa infekcja?

— Usunęliśmy kilka tych guzów. Trzeba wykonać badanie histopatologiczne.

— Badanie histopatologiczne?! — Sylvia opadła na krzesło.

Jane stała jak sparaliżowana. Przez głośny szum w uszach docierały do niej zaledwie pojedyncze słowa: patolog... tkan-ki...diagnoza... zmiany nowotworowe. Wyniki za kilka dni...

Sylvia jęknęła głośno.

— Mówi pan, że nasza matka ma nowotwór?

— Ależ nie, wcale tego nie mówię. Powiedziałem tylko, że istnieje taka możliwość.

Jane opuściła oczy fa głowę siedzącej Sylvii. W ostrym szpitalnym świetle jej jasne włosy wyglądały olśniewająco, ale ona sama nagle jakby zmaląła. Objęta skrzyżowanymi ramionami przypominała człowieka, który przysiadł na mrozie i prawie już zamarł na śmierć. Jane usiadła obok i ująwszy ją za rękę, spróbowała się skupić na dalszych słowach lekarza. Stwierdził, że samo złamanie było dosyć proste; zespolenie kości wymagało tylko jednej śruby, ale w tym wieku każdy taki incydent jest groźny... Pani Porter przebywa teraz na oddziale intensywnej opieki; niedługo będą ją mogły zobaczyć. Odchodząc obiecał, że skontaktuje się z nimi, gdy tylko otrzyma wyniki badania tkanek.

— To niemożliwe, niemożliwe — powtarzała Sylvia.

— Nie martw się na zapas, przecież jeszcze nic nie wiadomo — zaczęła pocieszać ją Jane.

— Myślisz, że mogę mieć rację? Ze to tylko jakaś infekcja?

— Możliwe.

Obie zamilkły. Jane zamknęła oczy. Czy to jedna z tych chwil, pytała samą siebie, po których życie nigdy już nie jest takie jak dawniej? Czy na całą swą przeszłość i przyszłość będą odtąd patrzeć przez pryzmat tej chwili? Chwili, w której padło słowo „nowotwór“?

Oby nie! pomyślała z drżeniem. W jej życiu było już zbyt wiele takich chwil. Przychodziły, i nagle wszystko się zmieniało. Tak było, gdy rodzice wrócili ze szpitala, przywożąc ze sobą nowo narodzoną Sylvie, i potem kiedy odszedł ojciec.

Dwa takie momenty przeżyła ostatnio z Dylanem: taniec pod wieżą Carrie i dzisiejszy pocałunek w jego kuchni. Tak bardzo ją odmieniły! Wciąż wyobrażała sobie, że dotyka jego policzka, a gdy budziła się z tych snów na jawie, wydawało jej się, że czuje woń jabłek, choć w pobliżu wcale ich nie było. Nawet to jednak nie było tak ważne jak noc poczęcia Chloe i jej narodziny.

Z zadumy wyrwał ją odgłos otwieranych drzwi: z windy wysiadł John Dufour. Sylvia zerwała się z krzesła, wyciągając do niego ręce.

— Lekarz powiedział, że mama... że może to być nowotwór — załkała, gdy wziął ją w objęcia.

— Nie płacz, kochanie, jestem przy tobie — powiedział czule.

Jane prześliznęła się wzrokiem po jego postaci: koszula w biało-niebieską kratkę, do tego trykotowa kamizelka w kolorze wielbłądziej wełny, na czubku głowy łysina, z przodu pękaty brzuszek, wyraźnie przeszkadzający swemu właścicielowi tak objąć kochaną kobietę, jak pewnie by sobie życzył. John Dufour nie był Adonisem, Jane nie miała jednak wątpliwości, że ubóstwia on Sylvie i że ona również darzy go uczuciem. Na widok swej kruchej jasnowłosej siostry ufnie wtulonej w opiekuńcze ramiona kochanego mężczyzny poczuła się bardzo samotna.

Jesteś samotna, bo żyjesz w kłamstwie, powiedziała sobie po chwili. Zakochałaś się w mężczyźnie, który nie wie, kim jesteś, i nie ma pojęcia, z jakiego powodu pojawiłaś się w jego życiu. A jeśli się dowie? Co będzie, kiedy wyjdzie na jaw, że wszystko co robisz, robisz tylko po to, żeby być blisko pewnej dobrze mu znanej dziewczyny, ukochanej córki jego krewnych? Że jest ona ośrodkiem całej twojej egzystencji?

— Witaj, Jane — pozdrowił ją John, gdy Sylvia wyzwoliła się z jego objęć, aby poszukać chusteczki.

— Witaj, dzięki, że przyszedłeś.

— Posiedzę tu z wami, z Sylvia i z tobą — powiedział z uśmiechem.

Jane zrewanżowała mu się tym samym. Zachowuje się jak członek rodziny, pomyślała. To dobrze. Cieszyła się z tego ze względu na siostrę. Przypomniała sobie w tym momencie, że Dylan prosił ją o telefon, widząc jednak na ścianie tabliczkę z zakazem używania komórek, postanowiła zejść na dół i poszukać płatnego aparatu. Nic nie mówiąc Sylvii, wymknęła się z poczekalni.

Ciężki plecak dawał się Chloe we znaki. Do licha, po co było brać tyle książek! Wystarczyłoby przecież wziąć jedną, najlżejszą, na przykład „Zwierzęta u ujścia rzeki”, a matce powiedzieć, że będą się uczyć biologii. Ale nie! Musiała odegrać całą scenę pakowania plecaka i wsiadania na rower z takim kamieniem na karku, choć matkę i bez tego mogła łatwo wyprowadzić w pole.

Matka nie mogła widzieć, że zamiast skręcić w lewo do Mony, Chloe przejechała całe Crofton i przez stary granitowy most na rzece Williams, łączący Crofton z Twin Rivers, wydostała się z miasta.

Pierwsza przeszkoda wzięta, ileż jednak kosztowało ją to nerwów! Zjeżdżając z pagórka w stronę centrum handlowego w Twin Rivers, czuła, że żołądek zwija jej się w kłębek, a puls bije tak szybko, że trudno to wprost wytrzymać. Najgorsza ze wszystkiego była jednak niepewność, stan zawieszenia całkiem jak w dreszczowcu, tyle że jeszcze straszniejszy, gdyż odpowiedź na pytanie, jak się to wszystko skończy, Chloe nosiła w sobie.

Bała się, że może być w ciąży.

Nie powiedziała o tym nikomu, nie wyłączając Mony; nie chciała z początku przyznać się nawet przed sobą, że bierze to pod uwagę. Od nocnego spotkania w sadzie minął dopiero tydzień, nie było też żadnych objawów — opóźnienia miesiączki czy innych zaburzeń — prześladowało ją jednak okropne uczucie, że zagnieździło się w niej coś obcego, że krążą w niej cudze płyny. Podjęła tę wyprawę, aby się przekonać, czy jej obawy są słuszne.

Przyszło jej wprawdzie do głowy, że może być jeszcze za wcześnie, lecz przecież testy ciążowe nosiły nazwy sugerujące, że przeznaczone są do wykrywania samych początków ciąży — „Wczesne wykrywanie”, „Pierwsza myśl”, „Natychniast” — więc okres tygodnia powinien być wystarczający. Najprościej byłoby oczywiście poczekać jeszcze kilka dni — do terminu najbliższej miesiączki — lecz Chloe nie była w stanie znieść tak długiego czekania. Musiała mieć pewność już teraz, jak to naprawdę z nią jest.

Wiedziała, że w centrum handlowym znajduje się wielka drogeria, lecz z obawy, że może tam spotkać jakichś znajomych z Crofton, postanowiła poszukać czegoś mniej uczęszczanego w starym śródmieściu Twin Rivers. Kiedyś w tym mieście działały liczne zakłady włókiennicze, teraz od dawna zamknięte. Część starych fabrycznych zabudowań przekształcono w domy mieszkalne, większość jednak popadła w ruinę. Chloe liczyła, że znajdzie tam jakąś drogerię, niestety spotkała ją zawód. Śródmieście było małe; zobaczyła tu tylko jakiś sklepik papierniczy i lombard, oba stare i smutne, oraz biuro jakiegoś prawnika.

Do licha! Musi tu przecież być jakaś drogeria! Nie znalazła jednak nic takiego na dwóch kolejnych ulicach. Była za restauracja, na której widok zaburczało jej głośnie w żołądku. Wprawilo ją to w straszny popłoch — głód może być oznaką ciąży! Mówi się przecież o „jedzeniu za dwoje”. Och, nie! Czym prędzej pognęła dalej.

Za zakrętem na szczycie następnego wzniesienia zobaczyła wielki budynek z napisem: Szpital Ogólny w Twin Rivers i od razu przyszło jej na myśl, że rodzą się tutaj dzieci. Może nawet w tej chwili któremuś spieszy się na świat. Ona urodziła się w innym szpitalu. Rodzice opowiadali, jak to przyszli po nią na Oddział Matki i Dziecka, z kocykiem, paczką pieluszek i kompletem różowych ubranek.

Z nadzieją, że znalazła wreszcie aptekę — każdy szpital ją ma — i że nie spotka tu żadnych znajomych, postanowiła tam pojechać. Pagórek nie był wielki, ale stromy; już w połowie drogi okropnie rozboleły ją łydki. Na miejsce dotarła bez tchu — tyleż z wysiłku, co z rosnącej paniki.

Przypięła rower do stojaka i powoli skierowała się do wejścia. Stała tam grupka sanitariuszy, rozmawiając i paląc papierosy. Przypomniało jej to Dylana: on też marnuje zdrowie przez ten wstrętny nałóg, zaraz jednak pomyślała z niechęcią, że sama zrobiła coś jeszcze gorszego. Uprawiała seks. Nie dość że bez zabezpieczenia, to jeszcze z chłopakiem, który ją niecień oszukał, udając, że bardzo mu na niej zależy.

W jasno oświetlonym holu było pełno ludzi, głównie zbitych w ciasne grupki rodzin. Niektórzy byli chyba w szoku. No cóż, to szpital, miejsce gdzie ludzie chorują i umierają. Nie trzeba tu było przychodzić. Już prawie miała się wycofać, gdy wpadł jej w oko symbol apteki i strzałka. Nie bądź tchórzem, powiedziała sobie. Teraz albo nigdy!

W przedniej części apteki na półkach leżało mnóstwo kolorowych czasopism, książek i pluszowych zwierząt, z boku zaś cała kolekcja baloników i sztucznych kwiatów. Dział paramedyczny znajdował się dalej. Przechodząc obok półek z artykułami sanitarnymi, Chloe omal się nie rozplakała: nigdy nie wyglądały tak zachęcająco! Kiedy znów potrzebne jej będą podpaski? Oby już za tydzień!

Gdzie te testy? Nie miała doświadczeń w tych sprawach, nigdy nie kupowała nawet tamponów. Chyba tutaj powinny leżeć? Nie było ich jednak. Przeszukując kolejne półki, dotarła do końca sklepu, gdzie za ladą stała farmaceutka.

Cholera!

Tu były — za kontuarem, wśród kondomów i maści przeciwko drożdżycom. Chloe w zeszłym roku złapała taką infekcję i aby kupić ten środek, matka musiała powiedzieć farmaceutce, o co chodzi. O Boże, jakież to żenujące prosić o test ciążowy! A jeśli nie sprzedaje się ich osobom poniżej osiemnastu lat? Jeśli trzeba okazać dokument z datą urodzenia?

No cóż, miała taki, oczywiście fałszywy. Spreparowała go przy pomocy Mony, wybierając się do sądu rodzinnego, gdzie aby załatwić sprawę, musiała udać pełnoletnią. Jej rok urodzenia kończył się ósemką, którą dało się przerobić tylko na zero, zmieniły więc 1988 na 1980, tak że zgodnie z tym dokumentem Chloe miała teraz lat dwadzieścia cztery. Podcho-

dząc do lady, odchrząknęła, by nadać głosowi bardziej dojrzałe brzmienie.

— Czym mogę służyć? — spytała młoda farmaceutka.

— Poproszę o test ciążowy „Pierwsza myśl” — odrzekła Chloe, ściskając w dłoni swoje fałszywe ID. Na wszelki wypadek przygotowała też sobie dodatkowe kłamstwo: — To dla mojej siostry, czeka w samochodzie.

Ani jedno, ani drugie nie było jednak potrzebne. Farmaceutka po prostu zdjęła test z półki i położyła na ladzie.

— Piętnaście trzydzieści siedem — powiedziała.

Chloe wręczyła dziewczynie dwudziestkę, którą wypłacił jej Dylan. Ręce tak jej się pocily, że banknot musiał pewnie przesiąknąć wilgocią. Miała za te pieniądze kupić kotom karmę. Dziewczyna za ladą wydała jej resztę, a wstydlivy zakup umieściła w papierowej torbie.

— Życzę miłego... — zaczęła, ale Chloe była już w holu.

Gdzie toaleta? Biegając jak burza w stronę damskiego przybytku, minęła rząd telefonów, przeważnie zajętych, i omal nie wpadła na człowieka z wiadrem wody i mopem, który właśnie przypinał do drzwi łazienki żółtą tabliczkę z napisem: „Nieczynne na czas sprzątaniam”.

— Nie! — krzyknęła głośno. — Ja muszę tam wejść!

— Na piętrze jest druga łazienka.

— Ale mnie się spieszy!

Tak pilno jej było zrobić ten test, że niewiele myśląc, chwyciła za klamkę męskiej toalety. Wydawało jej się, że zostanie ataku serca, jeśli będzie musiała szukać innej.

— Tu nie wolno wchodzić! — obruszy! się sprzątac.

W środku są mężczyźni!

— Ale ja muszę! — jęknęła Chloe.

Narobiła tyle zamieszania, że wszyscy korzystający z płatnych telefonów zaczęli się na nią gapić. No tak, pomyślała z niesmakiem, całkiem jakbym wypisała sobie na czole: „Uwaga, jestem w ciąży!” Całe szczęście, że nikt mnie tu nie zna.

Okazało się, że jednak tak. Przy którymś z telefonów stała Jane.

Zamiast się tym zmartwić, Chloe rzuciła się ku niej pędem. Na widok swej senniej wybawicielki ogarnęła ją radość i ulga.

LUANNE RICE

— Chloe? Co się stało? — zawołała zaniepokojona Jane.

— Nie przeszkadzaj sobie, poczekam, aż skończysz.

— Nawet jeszcze nie zaczęłam. — Ująwszy Chloe za rękę, odciągnęła ją delikatnie poza zasięg uszu ciekawskich. — Co ty tu robisz?

— Coś mi się przytrafiło... — wyjąkała Chloe, czując, że zaraz wybuchnie płaczem. — Spotkałam się z Zekem w sadzie i on...

— Wyrządził ci krzywdę?

Teraz już łyż jak grad potoczyły jej się po policzkach. To prawda, strasznie ją skrzywdził... Chciała opowiedzieć o tym Jane, lecz udało jej się zaledwie wyszeptać:

— Myślę, że mogę być w ciąży.

ROZDZIAŁ 19

Jane miała pełną świadomość, że powinna wrócić do Sylvii, jednakże za nic w świecie nie mogłaby opuścić teraz Chloe. Wyprowadziła ją z holu na parking, do stojącej tam furgonetki, i czekała teraz w milczeniu, aż dziewczyna przestanie płakać.

— Już dobrze? — spytała po chwili, podając jej kolejną serwetkę z napisem „Dunkin' Donuts”.

Chloe głośno wysiakała nos.

— Tak, wszystko w porządku, ale muszę zrobić ten test. Może już skończyli sprzątać łazienkę.

— Poczekaj chwileczkę. — Jane chciała się upewnić, czy rzeczywiście wszystko jest w porządku. To, co usłyszała, było dość niepokojące. — Powiedz mi, Chloe, co miałaś na myśli, mówiąc, że coś ci się przytrafiło?

— Och, nic, naprawdę.

— Mam wrażenie, że to jednak nie takie znów nic. Wspomniałaś o spotkaniu z jakimś chłopcem. Kto to jest?

— Taki jeden... narwaniec i kłamca. Na imię ma Zeke.

— Czy to twój chłopak?

Chloe gniewnie pokręciła głową. Szczęki miała mocno zacisnięte. I nagle znów zaczęła szlochać, przyciskając do twarzy garść zmiętych serwetek. Widać było, że jest zdruzgotana. Jane ze ściśniętym sercem wzięła ją za rękę kompletnie mokrą od łez. Mój Boże, jak dobrze знаła ten ból! Sama płakała tak za Jeffreyem.

— Myślałam, że on... że mnie... — wyszlochała Chloe.

— Co on ci zrobił?

— On... nazwał... mnie... Zoe!

— Zamiast Chloe?

— A potem zaczął udawać, że powiedział tak specjalnie, bo jego imię zaczyna się na „z”, więc moje też powinno...

— Jest chyba zbyt pewny siebie. I zarozumiały.

— W dodatku to wcale nie była prawda! On się po prostu pomylił! Źle zapamiętał moje imię i chciał to przede mną ukryć!

— Postąpił bardzo nieładnie. — Jane czuła, że Chloe nie powiedziała jeszcze wszystkiego. Nadal płakała rozdzierająco. — Kochałaś go?

— Chyba tak. Tak myślałam.

Jane pogładziła ją po rękę.

— Rozumiem. Oddałaś mu całe swe serce. Chciałaś okazać mu swoje uczucia...

— Ale ja nie jestem taka! — załkała Chloe. — Ja nigdy nie robiłam takich rzeczy... Myślałam nawet, że coś jest ze mną nie tak, bo moje koleżanki... a ja... ja nigdy nie doszłam nawet do drugiej bazy. Wiesz, co chcę przez to powiedzieć?

— Tak, wiem.

— Jestem ostatnią dziewczyną w szkole, o której ktoś mógłby pomyśleć, że będzie siedzieć w samochodzie z ciężowym testem w torebce!

— To wcale nie znaczy, że stałaś się zła czy zepsuta. Jesteś nadal najwspanialszą dziewczyną, jaką znam.

— Mówisz tak, bo nie znasz wspaniałych dziewczyn, a mnie prawie wcale.

Jane z trudem przełknęła powietrze. Nie masz pojęcia, jak dobrze cię znam i jaka mi jesteś bliska, myślała, ściskając mokrą rękę Chloe.

— Ale mam dobre oko — powiedziała głośno — i zwykle dość trafnie oceniam ludzkie charaktery.

— Pewnie zmieniłabyś zdanie, gdybyś wiedziała, co zrobiłam.

— Możesz mi powiedzieć, jeśli masz ochotę.

Głośno pociągnawszy nosem, Chloe użyła kolejnej garści serwetek. Jane patrząc na to, bezwiednie dotknęła swego medalionu.

— No cóż — łzawo stwierdziła jej córka — uprawiałam seks.

— Uhm — mruknęła Jane, starając się, by zabrzmiało to obojętnie.

— Musiałas już zresztą się tego domyślić.

— Rzeczywiście. Mów dalej, Chloe.

— Zawsze byłam porządną dziewczyną.

— I jesteś nią nadal, mimo że jak mówisz, uprawiałas seks.

— Chodzi o to, że... — Chloe zawahała się lekko — że nie jestem pewna, czy tego chciałam.

Gwałt? Jane nagle poczuła, że serce obija jej się o żebra. Tylko z najwyższym wysiłkiem zdołała się opanować.

— Nie jesteś pewna, czy chciałas się z nim kochać?

— Właśnie — wyznała Chloe.

— Czy on... czy on cię do tego zmusił?

— Trudno powiedzieć.

— Ale ty tego nie chciałas? — Jane czuła, że tętno przyspiesza jej coraz bardziej.

— Opowiem ci, jak to było. Spotkaliśmy się w sadzie. Noc była przepiękna. To było wtedy, gdy ty umówilas się z Dylanem. Mówił mi o tym.

Jane przygryzła wargi. Wtedy gdy tańczyli pod wieżą Carrie...

— Wszędzie dookoła było tyle gwiazd! Wisiały na drzewach jak złote jabłka.

— Pamiętam...

— Wziął mnie za rękę... Powietrze tak pięknie pachniało zielenią... I ta cisza, w której tylko czasami odzywały się nocne ptaki... Wydawało się to takie romantyczne!

Jane pomyślała o swojej miłosnej nocy, tej sprzed lat szesnastu. Wtedy też pachniało wiosną.

— Przeszliśmy przez strumień... przez nasz sad płynie mały potok... Chciał wyprowadzić mnie poza nasz teren, zanim zrobi to, co zamierzał. Myślał pewnie, że tak będzie bardziej elegancko.

— A co zrobił? — spytała Jane najbardziej łagodnym tonem, na jaki było ją stać.

— Położył mnie na ziemi, no i się zaczęło — Chloe zamknęła oczy, zaciskając nerwowo powieki.

Jane zmusiła się do milczenia. Część personelu szpitala kończyła akurat dyżur. Z drzwi wylewali się ludzie w zielonych, granatowych i białych kitlach. Na parkingu zrobiło się gwarno. Chloe zdawała się tego nie słyszeć.

— Powiedziałaś „nie”? — spytała po chwili Jane.

— Nie pamiętam.

— Ale chciałaś tak powiedzieć?

— Tak.

— Och, dziecinko...

Chloe niespodziewanie otrząsnęła się z odrętwienia.

— Muszę zrobić ten test. Pójdiesz ze mną? — spytała, otwierając oczy.

Otworzyła je akurat w chwili, gdy obok samochodu pojawiła się jakaś blondynka, której widok musiał ją przerazić: głośno wciągnęła powietrze i czym prędzej pochyliła głowę. Za późno. Nieznajoma zauważyła ten ruch kątem oka i jej usta ułożyły się w duże „O”.

— Uciekajmy! — syknęła Chloe.

Jane zawahała się lekko, ale włączyła stacyjkę.

Blondynka energicznie zapukała w szybę.

— Chloe! — zawołała, wpatrując się w czubek pochylonej głowy. — Czy to ty? To ja, Rhianna, mama Mony! Spójrz na mnie! — Gdy nie odniosło to skutku, zaczęła gwałtownie gestykulować, by zwrócić na siebie uwagę Jane.

— Jedź, proszę cię, jedź! — rozpaczliwie szepnęła Chloe.

Jane z takim impetem ruszyła do tyłu, że omal nie najechała na stopę tej Rhianny.

— Jak myślisz, czy mnie poznała? — dopytywała się Chloe, próbując ostrożnie zerknąć w tylną szybę. Były już na szosie.

— Chyba tak. Zawołała cię po imieniu.

— Mogła się przecież pomylić! Może pomyśli, że to jakaś inna, podobna do mnie dziewczyna. Na przykład twoja córka.

Jane wbiła wzrok w białą linię biegnącą przez środek szosy.

— Mogła tak pomyśleć — mówiła dalej Chloe. — Nie zauważyłaś, jakie jesteśmy do siebie podobne? Obie mamy czarne włosy i tak samo romantyczne dusze. Gdybym powiedziała komuś innemu, że widzę gwiazdy na drzewach, pewnie by tego nie zrozumiał, ani tego, że tak bardzo kocham nasz sad. Moja matka na przykład wołałaby zrównać go z ziemią i w tym miejscu pobudować domy.

Jane ograniczyła się tylko do lekkiego skinienia głową, lecz słowa „moja matka” zapadły jej w pamięć.

— Rhianna wcale nie jest matką Mony — poinformowała ją Chloe. — Mówi tak o sobie, ale to nieprawda, jest jej macochą. Moja mama też nie jest moją prawdziwą matką.

— Tak? — bąknęła Jane, pozornie pochłonięta prowadzeniem wozu, lecz gdyby ktoś ją spytał, dlaczego jedzie na wschód, musiałaby powiedzieć, że nie wie. Pewnie dlatego, iż akurat w tę stronę skierowany był przód samochodu, gdy wyjeżdżała z parkingu.

— Jestem adoptowanym dzieckiem.

— Doprawdy?

— Ale w porównaniu z Moną i tak mam szczęście. Moja przybrana matka traktuje mnie o wiele lepiej niż Rhianna Monę.

— To znaczy?

— Moja matka naprawdę mnie kocha, a Rhianna tylko udaje. Wiesz co? — Chloe wyjęła z torebki test. — Jeśli wynik będzie pozytywny, urodzę to dziecko i będę je wychowywać.

Jane uciekła wzrokiem gdzieś w bok.

— W żadnym razie nie mogłabym postąpić jak moja prawdziwa matka.

Jane tak zaschło w ustach, że z trudem wydobyła z siebie głos.

— A co zrobiła twoja prawdziwa matka?

— Porzuciła mnie. Nadała mi imię... i pozbyła się kłopotu. Była studentką, chciała skończyć studia. To było dla niej ważniejsze niż dziecko.

Na chwilę zapadła cisza, w której słyhać było tylko szum opon ocierających się o asfalt. Jane czuła ból w całym ciele.

Wszystko w niej krzyczało: „Powiedz jej prawdę!”, w końcu jednak powiedziała tylko:

— Jestem pewna, że nie zrobiła tego z lekkim sercem.

Chloe, jakby tego nie słyszała, otworzyła pudełko z testem i zaczęła czytać ulotkę.

— Możesz się tu zatrzymać? — spytała po chwili.

— Tutaj? Przecież tu nic nie ma! — Po obu stronach drogi ciągnęło się istne pustkowie porośnięte kępami drzew i zarośli. — Za kilka mil będziemy w Lambton. Znajdziemy tam jakąś stację benzynową...

— Nie, wolę zrobić to tutaj, w krzakach. Lubię takie miejsca.

— Twój wuj mi mówił, że kochasz przyrodę. — Jane spróbowała się uśmiechnąć, choć drżał w niej dosłownie każdy nerw. Weź się w garść, powiedziała sobie surowo.

— To prawda — odrzekła Chloe i zaledwie Jane zdążyła wjechać w piaszczystą zatoczkę, wyskoczyła z wozu. Instrukcja została na siedzeniu. Jane sięgnęła po nią i zaczęła czytać.

Nic z tego, nie mogła się skupić. Ulotka drżała jej w ręku, a litery skakały przed oczami w tym samym tempie co myśli. Matka pewnie budzi się z narkozy... Sylvia dostaje białej gorączki: „Gdzie do licha podziewa się Jane?”... Rodzice Chloe zaczynają się martwić, co się z nią stało... Oby tylko ta kobieta, Rhianna, przypadkiem nie pomyślała, że Chloe została porwana...

Biedna Chloe... Musiała czuć się okropnie, gdy ten chłopak pomylił jej imię, a potem zaciągnął za strumień. Jane była pewna, że jej córka pragnęła powiedzieć „nie”. Jest jednak tak młoda... Wydawało jej się, że go kocha, co zresztą łatwo zrozumieć... Ponownie podniosła ulotkę do oczu, czując, że dłoń ma wilgotną od potu. Dzień był przyjemnie ciepły. Zza okna dochodził głośny śpiew wilgi.

Chloe wróciła już po minucie.

— Powinam była wziąć parę serwetek — powiedziała, sadowiac się na swoim miejscu z białym patyczkiem w rękę.

— Niestety nie mam chusteczek...

— Nie szkodzi — odrzekła Chloe, nie odrywając oczu od patyczka. — Wynik pozytywny to różowe kółko, negatywny białe.

Jane wzięła długi urywany oddech.

— Ile trzeba czekać? — Przeczytała w końcu tę instrukcję, chciała jednak zająć czymś Chloe.

— Trzy minuty.

Jane nie patrzyła na test. Nie mogła. Było tak, jakby znów siedziała w Klinice Świadomego Macierzyństwa w Providence, czekając na wynik analizy moczu. I zupełnie tak samo jak wtedy jej wbite w dłonie paznokcie zostawiały na skórze czerwone ślady.

Była jednak i pewna różnica, a dotyczyła ona wieku. Chloe ma dopiero piętnaście lat! myślała. Jest o pięć lat młodsza niż ja, gdy znalazłam się w podobnej sytuacji, ma swoje ambicje, marzenia i plany. Jej życie dopiero się zaczyna! Gdyby urodziła dziecko... och, nie! Jane mogła teraz pragnąć tylko jednego: zobaczyć białe kółko, odwieźć Chloe do domu i pozwolić jej żyć tak jak dotąd.

Przyszło jej nagle na myśl, że kto wie, czy cała ta sytuacja nie jest też testem dla niej, może nawet ważniejszym niż sama próba ciążowa. Może miał on jej uświadomić, że Chloe nie jest już dzieckiem, lecz dorastającą dziewczyną, która ma kochających rodziców, więc najlepiej byłoby zostawić ją w spokoju? Po prostu zniknąć jej z oczu?

— Niech się dzieje, co chce — odezwała się tymczasem Chloe, patrząc na biały patyczek — ty na pewno nie będziesz gwiazdą na strychu.

— Czym? — zdumiała się Jane.

— Gwiazdą na strychu. Umarłą gwiazdą. No wiesz, żywe są te na gałęziach, a taka, co spadła z nieba, jest martwa. Właśnie wczoraj mi się śniło, że to ja jestem taką gwiazdą. Znalazła mnie moja prawdziwa matka, ale zaraz zaniósła na strych, tam gdzie chowa się stare rupiecie.

— Dlaczego? — wyszeptwała Jane, wstrząśnięta słowami Chloe.

Jej córka oderwała wzrok od patyczka i popatrzyła w bok.

— Bo nie byłam dla niej nic warta.

— To nieprawda! — wyrwało się Jane. — Uważam, że nie masz racji — dodała spokojniej, widząc pełne zdziwienia spojrzenie Chloe.

— Mniejsza o to, to już stare dzieje.

Jane poczuła nagle, że bez względu na wszystko musi wyjaśnić Chloe prawdę o sobie i o niej. Wyjaśnić jej, jak to było, zapewnić, że nie jest i nigdy nie była zakurzoną gwiazdą na strychu, ale całą galaktyką, całym bezkresnym wszechświatem! Opanowała się w ostatniej chwili: dla Chloe najważniejszy jest teraz test. Trzeba poczekać. To jeszcze tylko jakieś półtorej minuty. A potem powiem jej prawdę!

Po rozmowie z Chloe będzie mogła opowiedzieć wszystko Dylanowi! Koniec sekretów! Atmosfera wreszcie się oczyści. Och, jak to dobrze, myślała z ulgą, obracając w palcach medalion, że nie trzeba będzie już kłamać! Oszukiwać ludzi, których się kocha, to coś okropnego.

Do niedawna kochała abstrakcyjny wizerunek swej córki, ale teraz pokochała ją samą — jej uczciwość i bezpośredniość, bystre niebieskie oczy, poczucie humoru i rozum. Jest tak lojalna wobec Mony, myślała ze wzruszeniem, i tak żarliwie kocha przyrodę, a jej poetyckie fantazje o gwiazdach są naprawdę piękne. Patrząc na dłonie swej córki, tak podobne do rąk matki, Sylvii i jej własnych, poczuła, że zalewa ją fala miłości — ktoś mógłby pomyśleć, że bezsensownej, lecz dla niej w tym uczuciu mieścił się cały sens życia.

— Och! — głośno westchnęła Chloe, podnosząc do oczu patyczek.

Jane wypuściła z ręki medalion.

— Co takiego?

— Jest, chociaż nie minęły jeszcze trzy minuty. — Z głosu Chloe zniknęło podniecenie; wydawała się teraz dziwnie przybita.

— I jaki jest wynik? — Jane ujęła ją za rękę z testem i łagodnie obróciła w stronę okna.

Kółko było białe.

ROZDZIAŁ 20

Skończył się rok szkolny, stoisko otwarte było teraz codziennie, tyle że bez flagi z delfinem. Chloe i Mona w kapeluszach i ciemnych okularach udawały gwiazdy filmowe przebrane za zwykłe dziewczyny. Mona przyniosła z domu całą kolekcję lakierów Rhianny i Chloe suszyła sobie właśnie paznokcie u lewej nogi w pięciu różnych kolorach — od brązowo-fioletowego po szkarłatny.

— Rhianna cię zabije — zachichotała.

— Nie, już ich nie używa. Odkąd ojciec zabrał ją do Los Angeles, uznaje tylko te najmodniejsze, z nalepką „Jessica Colours”.

— To jakaś firma?

— Szpanerski salon kosmetyczny, gdzie podobno bywają wszystkie gwiazdy filmowe. Rhianna twierdzi, że spotkała tam Nancy Reagan. „Spotkała”, uważasz? Jakby były najlepszymi przyjaciółkami! Ale dość już o tym. Czekam i czekam, a ty nic! Musisz mi wreszcie powiedzieć, czy to ciebie widziała przed szpitalem!

Chloe zmrużonymi oczyma zaczęła przyglądać się swoim paznokciom.

— Doprowadzasz mnie do szaleństwa! — krzyknęła Mona, obejmując ją z takim impetem, że przewróciła buteleczkę wściekłego rózu. — Powiedz mi, Chloe, co się z tobą dzieje! Jesteś śmiertelnie chora? Moja matka nie chciała mi powiedzieć, że umiera, i jeśli ty robisz teraz to samo, nigdy ci nie wybaczę!

— Och, Mone, przepraszam! — Chloe załapała nagle falę skruchy: jak mogła pozwolić, żeby Mona tak się martwiła? — Nie bój się, nie jestem chora — zapewniła przyjaciółkę, odwzajemniając jej uścisk.

— Ale to byłaś ty? — Mona zdjęła ciemne okulary, pod którymi miała swoje zwykle szkła, by dokładniej przyjrzeć się Chloe. Jej coraz to krótsze włosy wystrzyżone były teraz w różnej długości kosmyki. — Co ty robiłaś w szpitalu?

— Chcę ci o tym powiedzieć, ale to strasznie trudne — odrzekła Chloe wciąż pełna wyrzutów sumienia.

— Wiesz, że nikomu nie powiem.

— Wiem. Ufam ci całkowicie, tylko nie chcę, żebyś o mnie źle myślała. Chodzi o to, że Zeke...

— Już go nie lubimy, prawda?

— Tak. On... i ja... no wiesz... Myślałam, że jestem w ciąży.

— O rany, Chloe! — Na twarzy Mony odbił się szok, a zaraz potem uraza.

— Nie martw się, nie jestem — zapewniła ją Chloe. — Nic ci nie mówiłam, bo nikomu nie chciałam o tym mówić. Pojechałam nawet do Twin Rivers, żeby mnie nikt nie zobaczył, gdy będę kupować test.

— Więc z kim widziała cię Rhianna?

— Z Jane.

— Z ciasteczkową panią?

Chloe kiwnęła głową. Zabawne, że Mona wciąż ją tak nazywa. Dla niej samej Jane przestała być już tylko ciasteczkową panią. Polubiła tę kobietę od pierwszej chwili, ale teraz połączyło je coś więcej niż zwykła sympatia. Była pewna, że nigdy nie zapomni tego momentu, gdy siedziały razem w samochodzie, czekając na wynik testu.

— A cóż ona tam robiła?

— Odwiedzała kogoś w tym samym szpitalu, w którym ja kupowałam test, no i mnie zobaczyła.

— Pewnie! Twin Rivers nie leży na końcu świata — burknęła Mona. — Łatwo było przewidzieć, że się tam natkniesz na jakichś znajomych. Gdybyś mi powiedziała, pojechałabym z tobą do Providence.

— Wszystko się dobrze skończyło. Jane odwiozła mnie do domu. Jest naprawdę fajna.

— No owszem jest, ale nie bałaś się, że powie Dylanowi?

Nie. Chloe nie wiedziała, skąd ma tę pewność, ale dałaby głowę, że Jane nie powie nic Dylanowi bez względu na to, co ją z nim łączy.

— Rhianna chciała zadzwonić do twojej mamy. Kompletnie jej odbiło na punkcie „bycia matką”. Przed twoją zamierzała się pewnie uzalić, jakie to straszne wychowywać nastoletnią córkę! No ale wybiłam ją z uderzenia.

— Jak?

— Powiedziałam, że byłaś na dializie.

— Mona!

— A co miałam powiedzieć? Już chwytala za słuchawkę, a była w takim nastroju, że z rozkoszą narobiłaby ci kłopotów. Dermatolog coś jej schrząnił. No wiesz, ten botoks. Mówiłam ci, że bierze zastrzyki w czoło?...

— Och, i co się stało?

— Ten preparat wniknął jej do powiek. Wyglądała zupełnie jak Marlon Brando w „Ojcu chrzestnym”. Pamiętasz? Cały czas opadały mu powieki. Ale u niej to podobno chwilowe. Mniejsza o to! Nie mogę uwierzyć, że uprawiałaś seks, a mnie nie pisałaś o tym nawet słówkiem! No więc gdzie to się stało? A w ogóle jak było?

Chloe wzdrygnęła się cała.

— Nadal mi nie chcesz powiedzieć? Czy to znaczy, że już tylko ja pozostałam nietkniętą dziewicą?

Chloe próbowała się uśmiechnąć, ale bez powodzenia.

— Czy to bolało?

— O, tak!

— I dlatego z nim zerwałaś?

— Między innymi — odrzekła Chloe. Opowiedziała Monie o kręactwie Zekego w sprawie imienia, o tym, dlaczego wyprowadził ją z sadu, wreszcie o tym, że niezbyt chętnie uległa jego pragnieniom. Mona najpierw pisała z oburzenia, a potem na długo zamilkła.

— Gwałciciel! — warknęła wreszcie.

— Nie, to nie tak. Przecież bratam w tym udział. Wydawało mi się tylko, że nie jest to właściwy moment. No wiesz, byłam na to gotowa, ale nie do końca.

— Co ty mówisz! Ja bym wpakowała go do poprawczaka! — zawołała Mona, a Chloe natychmiast stanęło przed oczami ogromne gmaszysko z czerwonej cegły przy trasie 1-95 w Cranston, otoczone zwojami drutu kolczastego.

— Ja tego nie zrobię — powiedziała cicho, choć wciąż nie mogła zapomnieć tej jakże niemiłej chwili, gdy leżała na twardej ziemi, a kamyki i ostra trawa boleśnie wbijały jej się w plecy.

Mona zerwała się nagle ze stołka i zaczęła szperać po półkach, skąd po krótkich poszukiwaniach wydobyła błękitną flagę z delfinem. Chwyciwszy następnie buteleczkę fioletowego lakieru, zaczęła coś szybko malować.

— Co robisz? — zdziwiła się Chloe.

— Ten drań powiada, że delfin odstrasza rekiny, ale teraz wolę je od niego! Niech go zeżrą! — zawzięcie odrzekła Mona, domalowując wielką płetwę na grzbiecie delfina. Chloe momentalnie udzielił się jej nastrój.

— Masz rację! — wykrzyknęła.

Otworzywszy buteleczkę z jasnoczerwonym lakierem, zaczęła doprawiać delfinowi ostre zęby krwiożerczej bestii. Jednakowo kochała wszystkie zwierzęta, duże i małe; nigdy się nie krzywiła na widok takich stworzeń jak węże czy myszy, stonogi czy pająki, a meduzy zachwycały ją całkiem tak samo jak malutkie kolorowe rybki. Rekin to także dziecko natury, niech więc jej strzeże przed tym kłamcą i jego delfinami!

— Nadal uważam, że powinnaś mu dać nauczkę — sarknęła Mona. — Powinnaś mnie posłuchać, Chloe.

Chloe mruknęła coś niewyraźnie. Gdyby to zrobiła, wszyscy dowiedzieliby się o jej fatalnej randce — rodzice, Dylan, mnóstwo obcych osób. Najadłaby się tylko wstydu...

— A swoją drogą co ona tam robiła? — spytała Mona.

— Kto?

— Jane! Kogo odwiedzała w tym szpitalu?

Chloe zastygła z pędzelkiem w ręku, nie zważając na kapiący lakier. Jak mogła być tak samolubna, żeby nawet o to nie zapytać?

— Nie wiem — odrzekła, patrząc bezradnie na Monę — zapomniałam spytać.

Badanie histopatologiczne dało wynik negatywny.

Jane i Sylvia, dowiedziawszy się o tym, obstawiły matkę kwiatami z jej ukochanego ogrodu i siedziały teraz obok łóżka, świętując dobrą nowinę musującym, pozbawionym cukru jabłecznikiem. Okazało się, że w węzłach chłonnych nie wykryto żadnych groźnych zmian, a ich podejrzany wygląd był skutkiem infekcji na tle cukrzycowym.

— No to wróciłam z dalekiej podróży — stwierdziła Margaret.

— Dzięki Bogu! Jesteś niezniszczalna. — Jane napełniła jabłecznikiem eleganckie kieliszki do szampana.

— Niezniszczalna, ale dosyć krucha — uśmiechnęła się Sylvia.

— No to wypijmy. Za zdrowie mamy!

— Za zdrowie nas wszystkich — sprostowała Margaret.

— Mmm, całkiem dobry, szkoda tylko, że nieprawdziwy...

— Napiłabyś się prawdziwego szampana?

— Czemu nie? Z okazji waszych urodzin wasz ojciec za każdym razem przynosił mi butelkę piper-heidsiecka, choć oczywiście było to zabronione.

Jane wyraźnie zbladła.

— Co on sobie myślał? — rzuciła cierpko.

Matka zaczęła się śmiać. Wyglądała o wiele lepiej niż przed pobytem w szpitalu. Po szczegółowych badaniach dobrano jej właściwą dawkę insuliny, co łącznie z uzupełnieniem poziomu elektrolitów, podawaniem witamin oraz ćwiczeniami usprawniającymi bardzo poprawiło zarówno jej stan fizyczny, jak i samopoczucie. Zaczęła się znów zachowywać jak dyrektorka liceum. Młode pielęgniarki i sanitariuszki, które traktowała z tym samym zainteresowaniem co kiedyś swoje uczennice, lgnęły do niej jak muchy, okazując przy tym mnóstwo uwagi i względów swej ulubionej pacjentce.

— Chodzi ci o to, że złamał szpitalny regulamin? — spytała teraz z rozbawieniem w odpowiedzi na pytanie Jane.

— Nie. O to, że tak uroczycie świętował nasze narodziny, a potem uznał za stosowne zapaść się nagle pod ziemię. Ciekawe dlaczego.

— Jane! — rzuciła ostrzegawczo Sylvia.

Margaret przestała się uśmiechać.

— Och, kochanie, sama chciałabym to wiedzieć. Tysiąc razy zadawałam sobie to pytanie.

— Musiał być zadowolony z ojcostwa, skoro kupował szampana, więc co mu się nagle stało?

— Przecież wiesz, moja droga, że nie wszyscy ludzie są stworzeni do wychowywania dzieci. Niektórzy uważają, że moment jest niewłaściwy, czują się przytłoczeni odpowiedzialnością... po prostu nie wytrzymują tego psychicznie. Wasz ojciec...

Sylvia z niepokojem obserwowała swoją starszą siostrę. Wyraz twarzy Jane nie wróżył nic dobrego; oczy jej pociemniały, na czole zarysowała się zmarszczka. Było oczywiste, że matka, mówiąc o ojcu, miała na myśli i ją. Nagle jednak napięcie zniknęło z jej twarzy, jakby słowa matki przestały mieć dla niej znaczenie. Sylvia westchnęła w duchu: chwala Bogu i za to, ale po co było zaczynać rozmowę o ojcu? Każda taka rozmowa, a było ich co niemiara, prowadziła przecież donikąd.

Na szczęście w tej właśnie chwili do separatki wkroczył doktor Becker, prowadząc za sobą grupę stażystów. Uśmiechnęli się na widok rodzinnego zgromadzenia, po czym wywiązała się dyskusja o wpływie cukrzycy i złamania biodra na ogólną kondycję pacjentki.

Sylvia i Jane dyskretnie wyszły na korytarz. Sylvia miała o czym myśleć: ubiegły tydzień przyniósł tyle problemów... Odbyła już parę spotkań w sprawie wypisu matki ze szpitala, próbując zarazem ułożyć sobie jakiś plan działania. Na razie wysprzątała jej pokój od sufitu do podłogi, wywietrzyła pościel i dokładnie odkurzyła książki.

John bardzo jej pomógł, biorąc na siebie wszystkie cięższe prace. Odwrócił materac i starannie wyczyścił sprężyny, pomógł jej również pastować podłogę. W trakcie tych zajęć zaczął ją namawiać na wspólny urlop. Uwielbiał pływać kajakiem i mieszkać w namiocie. Tym razem wybierał się do Maine. Mówił, że zna tam niezwykle ciekawe miejsca. Można tam

zobaczyć okazy bardzo rzadkiej fauny, losie amerykańskie i jakieś ptaki o bardzo zabawnej nazwie: lomignaty białogłowe.

Miała już odmówić — musi przecież opiekować się matką — lecz w ostatniej chwili coś ją powstrzymało. „Zobaczmy” — powiedziała.

— Jak myślisz, Jane, co powinnyśmy zrobić? — spytała, gdy znalazły się na korytarzu.

Jane ucałowała ją w policzek.

— Cieszyć się, że mama wraca do zdrowia!

Sylvia uśmiechnęła się szeroko. Jane ostatnio stała się dziwnie pogodna, i to jakby na przekór wszystkiemu. Tego dnia, gdy doktor Becker przeraził je nowotworem, bez słowa wyjaśnienia zniknęła gdzieś na kilka godzin, a kiedy wreszcie wróciła, wydawała się wprost wniebowzięta. Teraz także na widok zbliżającej się ku nim Abby Goodheart, szefowej szpitalnego oddziału opieki społecznej, jej oczy zdawały się tańczyć. Abby, sympatyczna krzepka kobieta o okrągłej uśmiechniętej twarzy i siwiejących blond włosach splecionych w długi warkocz, powitała je bardzo jowialnie:

— Jak leci, dziewczyny?

— Całkiem nieźle — odrzekła Sylvia.

— Oblewacie dobre wieści, co?

— O tak! Nie masz pojęcia, jak nam ulżyło! Dziękujemy ci, Abby! — zawołała Jane.

— Nie ma za co. — Zerknąwszy na pager, który właśnie zaczął piszczeć, Abby oznajmiła: — Chciałabym chwilę z wami porozmawiać. Wasza matka niedługo wyjdzie ze szpitala.

— Niedługo? A jej biodro? Nie jest przecież w stanie zrobić kroku!

— Lekarze wciąż jeszcze starają się określić jej cukrzycę — dodała Sylvia, którą sama myśl o powrocie matki do domu wprawiła w wyraźny popłoch. Prawda była taka, że nareszcie poczuła się wolna, choć nie chciała się do tego przyznać. Już dawno nie spała tak spokojnie.

— Nie możemy zbyt długo trzymać jej w szpitalu — stwierdziła Abby. — Bardzo byśmy chcieli, mamy jednak związane

ręce. Przepisy! Wiem, że lekarze chcą zatrzymać waszą matkę jeszcze na kilka dni, aby mieć pełny obraz jej stanu umysłowego, ale gdy ukończą te badania, trzeba będzie coś postanowić.

Sylvia bała się spojrzeć na Jane, by nie zdradzić przed nią swych uczuć. Zawsze dotąd przeciwstawiała się wszelkim próbom zmiany status quo, zawsze też stawiała na swoim, bo to ona opiekowała się matką, podczas gdy Jane siedziała sobie w Nowym Jorku z dala od problemu; teraz jednak sytuacja wyglądała całkiem inaczej. Sylvia myślała teraz tylko o chłodnych gwiazdzistych nocach gdzieś w Maine, o ognisku płonącym przed namiotem i o Johnie.

— Wiem, jaka to trudna sprawa — mówiła dalej Abby. — Widziałam wiele rodzin borykających się z tym problemem... Skoro nie chcecie decydować od razu, spróbujcie czasowo umieścić matkę w jakimś domu opieki. Podleczą ją tam jeszcze trochę, a potem zależnie od tego, jak się będzie czuła, zdecydujecie, co dalej.

— Wątpię, żeby mama się na to zgodziła. Będzie się bała, że nigdy już stamtąd nie wyjdzie — powiedziała Sylvia słabym głosem.

— Przekonacie się, że nie jest tam wcale tak źle. Współpracuję z paroma takimi domami i ręczę za to, co mówię. Są kolorowe, czyste, nowoczesne, zatrudniają młody fachowy personel, który organizuje rezydentom mnóstwo ciekawych zajęć.

— Całkiem jak w szkole — mruknęła Jane.

— Rzeczywiście. Te ośrodki faktycznie trochę przypominają szkołę. Ale to dobrze. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby waszej matce się to spodobało. Jest osobą tak towarzyską i tak chętnie pomaga innym! Nie wiem, czy zwróciłyście na to uwagę, ale wszystkie pielęgniarki zatrzymują się przy jej łóżku, by pogadać sobie z panią Porter. Jest świetną słuchaczką, potrafi też każdemu uświadomić, co go gryzie i jak sobie z tym poradzić.

— Tak, to jej specjalność — przyznała Jane. Sylvia miała wrażenie, że słyszy w jej głosie leciutką nutę ironii, lecz gdy spojrzała na siostrę, przekonała się, że jest w błędzie. Jane

uśmiechała się tak szczerze, jakby wszystko co złe zostało zapomniane i wybaczone, przynajmniej na razie.

— Mogę wam polecić dwa domy — powiedziała Abby, pisząc coś szybko na kartce. — Jeden to Cherry Vale, a drugi Marsh Glen. Macie tu adresy.

— Nasza babcia była w Marsh Glen — wtrąciła Jane.

— I co? Nie była zadowolona?

— Z tego, co wiem, panował tam ostry rygor, ale było to wiele lat temu.

— Zobaczycie, że dużo się tam zmieniło. W miarę jak nasze pokolenie zbliża się do emerytury, wymagamy dla naszych rodziców coraz to lepszych warunków.

— Ale Marsh Glen jest tak daleko — westchnęła Sylvia. — Strasznie długo się tam jedzie.

Abby współczująco pokiwała głową.

— Nie musicie dziś jeszcze decydować. Zastanówcie się nad tym do poniedziałku. — Uściskawszy ręce obu siostrom, odeszła do swoich zajęć.

— Cherry Vale i Marsh Glen — powtórzyła Jane z lekkim przekąsem. — Czemu wszystkie te domy mają tak podobne, dźwięcznie brzmiące nazwy?* Można by pomyśleć, że jesteśmy w Cotswold. Brakuje jeszcze tylko długowłosych owiec.

Konstatując z ulgą, że był to tylko żart, Sylvia zaśmiała się głośno:

— Fakt, całkiem jak w starej wesołej Anglii!

Jane uśmiechnęła się także, lecz nagle dziwnie przygasła.

— Wiem, że musimy coś postanowić, ale to strasznie trudna decyzja! Mamy ją umieścić w tym samym domu, w którym umarła babcia? Zimno mi się robi, gdy o tym pomyślę.

— Wydawało mi się, że bardzo ci odpowiada takie rozwiązanie.

— Bardzo mi odpowiada? Daj spokój, Sylvie Rozsądek mi mówi, że tak byłoby dla mamy najlepiej, ale to wcale nie znaczy, że chcę tak postąpić. A gdyby tak kupić szpitalne łóżko i postawić w jej pokoju...

* „Cherry Vale” — „Wiśniowa dolina”, „Marsh Glen” („Dolina na pograniczu” — przyp. tłum.).

— Potrzebny byłby jeszcze wózek i mała przenośna toaleta. Tylko kto ją będzie dźwigał? To złamane biodro... Żeby podnieść ją teraz z łóżka, potrzebne są dwie osoby.

— My mogłybyśmy to robić. Nie jesteśmy znów takie słabe.

Czyżbyśmy zamieniły się rolami? pomyślała Sylvia. Znów wyobraziła sobie siebie i Johna na kempingu. Spaliby w jednym namiocie... całowałiby się całą noc... Czy jestem zbyt samolubna, bo nie chcę się tego wyrzec?

— No a co z twoją piekarnią? Nie zamierzasz wracać do Nowego Jorku?

— Nie, Syl. Ostatnio dużo o tym myślałam. Chcę tu zostać. Wiesz, jak strasznie tęskniłam za Rhode Island? Co byś powiedziała, gdybym otworzyła tu zakład? Może nie w Twin Rivers, ale w Providence?

— Mówisz serio?

Jane ujęła ją za ręce. Tak, Sylvia poznała po oczach, że to poważna decyzja. Kiedy dawniej była o tym mowa, Jane wydawała się pełna rezerwy i jakby nieobecna duchem, ale teraz było inaczej. Teraz nawet sam sposób, w jaki ścisnęła jej ręce, mówił o przywiązaniu do rodziny i domu.

— Chcę tu zostać — powtórzyła Jane. — Mam już dość ucieczek. No i nie muszę uciekać.

— Naprawdę uważasz, że możemy zająć się mamą?

Jane objęła siostrę i ucałowała jej gładki policzek.

— Nie, Syl. Na dłuższą metę byłoby to niemożliwe. Myślę jednak, że powinnyśmy być blisko. Obie. Musimy odwiedzać ją jak najczęściej, wozić do biblioteki, na spotkania nauczycielskie, po prostu zaspokajać wszystkie jej potrzeby. Żeby czuła, że ją kochamy.

Sylvie tak uszczęśliwiła decyzja Jane o pozostaniu w Twin Rivers, że dopiero po chwili dotarła do niej cała reszta. Oczywiście napełniły jej się łzami — radości i żalu.

— Będzie nieszczęśliwa — szepnęła.

— Skąd wiesz? Tak jak powiedziałam, tam jest jak w szkole.

— Musimy tam pojechać... zobaczyć, czy od czasów babci naprawdę coś się zmieniło.

— Oczywiście. Sprawdzimy wszystko.

Sylvia wytarła oczy. W końcu nie jest przecież tak źle. Rokowania matki są pomyślne, Jane wraca do domu, a ona ma przed sobą wspaniałą wycieczkę z Johnem. Gdybyż zmianom na dobre nie musiały towarzyszyć takie, które sprawiają ból! Gdyby matka odzyskała sprawność i mogła pozostać w domu, życie byłoby piękne...

Właścicielem obydwu domów opieki było towarzystwo Rainbow Healthcare, a ich projektantem ten sam architekt i pewnie dlatego wydawały się identyczne. Oba zbudowano w bardzo malowniczych miejscach, wypełniając otaczającą je przestrzeń mnóstwem drzew owocowych i starannie utrzymanych rabat. Pokoje miały wielkie okna, które można było otworzyć na tyle szeroko, żeby wpuścić do środka dosyć świeżego powietrza, nie na tyle jednak, żeby można było przez nie wypaść. W porównaniu z tym, jak było dawniej, wprowadzono faktycznie wiele zmian i udogodnień. W pomieszczeniach królowały wesołe kolory. Zajęcia były różnorodne, a planowano je z takim entuzjazmem, jakby ich uczestnikami mieli być pasażerowie luksusowego liniowca.

— Jak panie widzą, staramy się uwzględniać indywidualne zainteresowania naszych rezydentów — oświadczyła administratorka Cherry Vale, Rosalie Drake, pokazując Sylvii i Jane tygodniowy plan zajęć. — Mamy tu wszystko, od nauki języków obcych po tańce towarzyskie.

— Tańce? — zdziwiła się Jane, rozglądając się po sali gier i zabaw, w której większość obecnych siedziała na wózkach.

— Wózki to żaden problem — zaśmiała się kierowniczką. — Robimy wszystko, by zapewnić naszym gościom tyle ruchu, ile to tylko możliwe. Jeśli mogą tańczyć, to świetnie, jeśli nie, personel popycha ich wózki w rytm muzyki.

— Nasza matka nie jest entuzjastką tańców — odezwała się Sylvia. — Była dyrektorką liceum i zawsze odpowiadały jej cichsze zajęcia, takie jak lektura czy pisanie.

— Nie mamy zwyczaju niczego narzucać naszym rezydentom — uśmiechnęła się Rosalie Drake. — Pokażę paniom bibliotekę.

Ha, pomyślała Jane, ma wprawę w przekonywaniu klientów, że ten dom to istny raj. To samo zresztą robiła jej koleżanka z Marsh Glen. Cóż, rzeczywiście było tu przyjemnie. Podłogi błyszcząły jak lustro, za oknami kołysały się drzewa wiśniowe. W ich cieniu jakaś grupa ćwiczyła akurat jogę; tutaj także połowa uczestników siedziała na wózkach. Ciekawe, czy naprawdę odpowiada im to, co robią? Czy mają rodziny? Czy ktoś ich odwiedza?

Księgozbiór okazał się niezbyt wielki, był jednak starannie dobrany. Oprócz literatury pięknej, klasycznej i współczesnej, na półkach widać było sporo literatury faktu, wydawnictw informacyjnych i encyklopedycznych.

— O, proszę, mamy nawet takie dzieło, jak „Encyklopedia Britannica” — oznajmiła z dumą Rosalie.

— Mama uważa, że jeśli ktoś chce prowadzić poważne badania, żadne encyklopedie nie zastąpią mu źródeł ani dokumentów i jako bibliotekarka przyznaję jej rację — sucho stwierdziła Sylvia.

— Chętnie witamy wszelkie propozycje uzupełnień — zapewniła ją kierowniczka. — Czy mogłaby pani wymienić jakieś konkretne tytuły, które pani zdaniem powinniśmy nabyć?

Skrzyżowawszy ręce na piersi, Sylvia zamknęła oczy, jakby sporządzała w myślach taką listę.

— Sylvio — łagodnie upomniała ją Jane po minucie — jakie badania może teraz prowadzić nasza mama?

— Och, ja tylko... — Sylvia nagle urwała. — Po prostu się zamyśliłam. To miły dom, podobnie jak Cherry Vale...

— To jest Cherry Vale — przypomniała jej Jane.

— Miałam na myśli Marsh Glen, tam gdzie była babcia... Bardzo tu ładnie, ale chodzi o naszą matkę! To inteligentna osoba... i ogromnie przywiązana do własnego domu, którego nic jej nie zastąpi! — Sylvia wybuchnęła głośnym płaczem.

Jane otoczyła ją ramieniem i z lekkim ukłonem zwróciła się do kierowniczki:

— Musimy to jeszcze przemyśleć.

— Oczywiście — odrzekła tamta ze współczuciem, choć gwałtowna reakcja Sylvii nie zrobiła na niej większego wrażenia.

nia. — Wiem, jaka to bolesna sprawa. Każda rodzina przeżywa to bardzo podobnie.

W drodze do samochodu Sylvia łykała powietrze jak człowiek wypuszczony z lochu.

— Przepraszam — jęknęła, pociągając nosem — nie chciałam się tak rozkleić.

— Zrobiłaś to za nas obie.

— Ty też tak fatalnie się czujesz?

— A jak myślisz?

— No, nie wiem...Przyznaj się, Jane, czy jakaś twoja częstka nie pragnie decydować o jej losie tak jak ona kiedyś o twoim?

— Jak możesz tak mówić? To straszne! — zaprotestowała Jane.

Ale czy tak nie jest? zadała sobie pytanie. Przynajmniej w pewnym stopniu? Czyż nie jest tak, że teraz gdy poznała Chloe, pragnie spędzać z nią coraz więcej czasu, a konieczność zajmowania się matką mocno jej w tym przeszkadza? Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na budynek domu opieki, spostrzegła smutną kobietę w oknie na trzecim piętrze.

— Gwiazda na strychu — mruknęła półgłosem.

— Co takiego?

— Ktoś niepotrzebny; stary rupieć wpakowany do pudełka i wyniesiony na strych. — Czy ktoś ją tu czasem odwiedza, myślała, niezdolna oderwać oczu od tej żalostnej postaci, czy też wszyscy o niej zapomnieli? Jakże musi się czuć opuszczona! — Zadaję sobie pytanie, czy mama nie pomyśli tak o sobie, jeśli ją tu umieścimy.

Sylvia nie znalazła na to odpowiedzi. W milczeniu wsiadły do wozu. Miejsce za kierownicą zajęła Jane. Z dwóch obejrzanych ośrodków bardziej odpowiadał jej ten „wiśniowy”, wolała jednak nie mówić Sylvii dlaczego. W stosunku do ich domu położony był na drugim końcu Crofton, ale prowadząca tam droga biegła obok sadu Chadwicków... Kiedy teraz skręciła w tę drogę, Sylvia momentalnie zeszytniała.

— Gdzie ty jedziesz? — rzuciła ostro.

Jane pozostawiła to bez odpowiedzi. Jak tu pięknie, myślała. Droga spowita była głębokim ciemnozielonym cie-

niem, bo zwisające gałęzie starych klonów tworzyły nad nią żywy baldachim. Obok pasło się stado jeleni, nie zwracając najmniejszej uwagi na przejeżdżające z rzadka samochody. Wkrótce w polu widzenia pojawiły się łagodne wzgórza gęsto porośnięte jabłonią, a Jane poczuła, że serce zaczyna jej bić coraz mocniej. Kiedy podjechały bliżej, spostrzegła, że Chloe ustawiła na drodze kilka czerwonych znaków w kształcie jabłek. Rozstawione w odległości kilkunastu metrów od siebie, tworzyły napis:

Jedno jabłko
dziennie
i żegnaj lekarzu
chcesz być zdrów
i słodki
jedz szarlotki
Calamity Jane!

— Dobry Boże! — westchnęła Sylvia.

— No powiedz, czyż to nie fantastyczne?

— No wiesz, Jane! Mamy przed sobą decyzję, od której zależy los naszej matki, a ty nawet w takiej chwili musisz odgrzebywać przeszłość?

— Chloe nie jest przeszłością.

— Nie rób tego! — zawołała Sylvia, gdy jej siostra nacisnęła klakson. Na widok Chloe i Mony, które zeskoczyły ze stołków i zaczęły wywijać rękami, tak kurczowo uchwyciła się fotela, jakby miał on zaraz runąć w przepaść.

— Za późno! Już nas zobaczyły! — roześmiała się Jane.

Sylvia siedziała jak martwa, wpatrując się w Chloe nieruchomym wzrokiem.

— Ależ podobna do ciebie! — wyszeptwała w końcu, a Jane w tym momencie odniosła wrażenie, że jej siostra musiała już widywać Chloe.

— Chodź, musisz poznać swoją siostrzenicę.

Chloe i Mona, uśmiechnięte od ucha do ucha, wyglądały jak dwuosobowy komitet powitalny.

— Widziałas nowe znaki?—brzmiały pierwsze słowa Chloe.

— Są super — odrzekła Jane. — A ten rekin! Wprost go uwielbiam!

— Tylko ty jedna poza Moną wiesz, co on oznacza.

— Rekin w przebraniu delfina to ktoś taki jak Zeke — Mona swoim zwyczajem musiała postawić kropkę nad „i”.

— Chciałabym go dostać w swoje ręce — mruknęła Jane.

Sylvia nie brała udziału w rozmowie. Stojąc obok uśmiechniętej grupki, patrzyła tylko na Chloe. Jane, pełna radości i dumy, chwyciła ją nagle za rękę i siłą wciągnęła do kółka.

— Dziewczyny, to jest moja młodsza siostra. Sylvio, pozwól sobie przedstawić Chloe i Monę.

— Pani siostra piecze najlepsze w świecie szarlotki — zagała rozmowę Chloe.

Sylvia, która w tym momencie czuła się jak aktor niepewny swej roli, uśmiechnęła się blado, zerkając w popłochu na siostrę.

— Rzeczywiście.

— Jak tak dalej pójdzie, to do Święta Pracy* strasznie się roztyjemy — jęknęła Mona, wskazując leżącą na ladzie pustą foremkę po tarcie.

— W żaden sposób nie możemy się powstrzymać — dodała z komiczną rozpaczą Chloe. — Przejadamy cały nasz zarobek!

— Nic się nie martwcie. W następnej dostawie znajdzie się także coś dla was. A żeby nie było pomyłki, wypiszę na cieście wasze imiona.

— Ona naprawdę to umie — wtrąciła Sylvia.

— My to wiemy! — zapewniła ją Chloe. — A jakie piękne robi dekoracje! Dla każdego co innego. Parę tygodni temu, gdy byliśmy jeszcze przekonane, że niejaki Zeke to przyzwoty chłopak, wyczarowała nam delfina, bo on, to znaczy Zeke, lubi wśród nich surfować... Ale najczęściej ozdabia nasze szarlotki przepięknymi jabłkami i kwiatami jabłoni. A w zeszłym tygodniu były gwiazdy...

* Święto Pracy (Labor Day) obchodzone jest w Stanach w pierwszy poniedziałek września (przyp. ttum.).

— Mnie najbardziej podobała się ta z domem — powiedziała Mona. — W najwyższym oknie widać było gwiazdę.

— Gwiazda na strychu? — spytała Sylvia.

— Och! — Chloe głośno wciągnęła powietrze. — Skąd pani zna mój sen?

— Ja jej opowiedziałam — przyznała się Jane.

Przez chwilę patrzyły sobie w oczy. Jane z uczuciem, że to początek czegoś nowego w jej stosunkach z Chloe, Chloe z coraz głębszym przekonaniem, że Jane musi na niej zależeć, skoro opowiada o niej siostrze. Wyczuwając jej nastrój, Jane z wyjątkowym trudem hamowała własne emocje. Jakże pragnęła powiedzieć Chloe: „Sylvia to twoja ciotka, a ja... ja jestem twoją prawdziwą matką”.

— Ta gwiazda na strychu to piękna metafora — powiedziała Sylvia. — Masz wspaniałą wyobraźnię. Jestem pewna, że twoi nauczyciele lubią cię za to i cenią.

— Bardzo bym tego chciała, ale niestety tak nie jest. Nauczycielka biologii nie lubi mnie za to, że nie chciałam pokroić ząby, a profesor od angielskiego uważa, że mam źle w głowie, ponieważ w wypracowaniu o Dickensie przeprowadziłam analogię pomiędzy sierocińcami w wiktoriańskiej Anglii a schroniskami dla zwierząt we współczesnej Ameryce, kończąc ją wnioskiem, że oba te systemy są równie barbarzyńskie!

— Chloe walczy o prawa zwierząt — wyjaśniła Mona — a obie ze szczególnym zainteresowaniem czytamy książki o osieroconych dzieciach.

— Dlaczego?

— Ponieważ obie jesteśmy w takiej właśnie sytuacji. Moja matka nie żyje, a prawdziwa matka Chloe porzuciła ją w niemowlęctwie.

Jane miała wrażenie, że coś nagle uwięzło jej w gardle. Odchrząknęła, ale nie pomogło. Gdybyż wolno jej było powiedzieć Chloe, z jakimi uczuciami oddawała ją obcym ludziom! Ku jej zdumieniu zrobiła to Sylvia, która zacisnąwszy dłonie w pięści, powiedziała cicho, lecz dobitnie:

•— Znam pewną kobietę, która oddała dziecko do adopcji. Była to najstraszniejsza decyzja w jej życiu. Nie mogę oczy-

wiście mówić za nią, ale z całą pewnością wiem jedno: nigdy by nie porzuciła swego dziecka. Wykluczone. A oddała je nie dlatego, że tak jej było wygodniej. Przez wiele lat pracowałam w szkole jako bibliotekarka i wiecie, co uważam za jedną z najważniejszych rzeczy, których się tam nauczyłam? To, że nie wszystko jest takie, na jakie wygląda. I że literatura istnieje właśnie po to, by nam ukazać tę prawdę.

— Nie wszystko jest takie, na jakie wygląda... — powtórzyła Chloe. — Więc pani uważa...

— Uważam za bardzo możliwe, że twoja matka nie oddała cię dobrowolnie.

— Ze ktoś to na niej wymusił?

— Jak już powiedziałam, to bardzo możliwe. — Głos Sylvii brzmiał teraz jak głos wykładowcy.

Obie dziewczyny słuchały jej z wielką uwagą. Jane czuła lzy pod powiekami.

— Z każdą adopcją wiąże się tyle zagadek — westchnęła Mona. — Kim są prawdziwi rodzice, dlaczego zrobili to, co zrobili, co się z nimi teraz dzieje... Moja historia jest prostsza: mama zachorowała i umarła, a ojciec ożenił się z jędzą.

— Ja też wolę myśleć, że moja matka mnie nie porzuciła — wyznała Chloe, patrząc na Sylvie.

— Pójdź jeszcze o krok dalej — odrzekła Sylvia tym swoim „uczonym” tonem — i wyobraź sobie, że ona, to znaczy twoja matka, wolałaby raczej umrzeć, niż dowiedzieć się w pewnym momencie, że jej córka uważa siebie za jakąś tam gwiazdę na strychu. Niezależnie od tego gratuluję ci trafnej metafory. Tylko przestań myśleć, że odnosi się ona do ciebie. Strych to miejsce, gdzie ludzie odkładają niepotrzebne rzeczy, a ja po prostu nie wierzę, żeby twoja matka mogła cię uważać za coś takiego.

— Wiesz, Jane, twoja siostra jest super — oświadczyła Chloe. — Jak ona to dobrze rozumie!

Jane, która w tym momencie stała do nich plecami, aby ukryć wzruszenie, powoli obróciła się twarzą do grupki.

— O tak, to prawda — powiedziała cicho — ona wszystko rozumie.

ROZDZIAŁ 21

— Kiedy wolisz pójść na kolację, przed wizytą u matki czy później? — spyta! John w drodze do szpitala.

Sylvia, pochłonięta własnymi myślami, patrzyła niewidzącym wzrokiem w okno. Poruszyło ją spotkanie z Chloe; tętno wciąż jeszcze biło jej dwa razy szybciej. Właśnie poznała swoją siostrzenicę! Ciekawe, co byś powiedział, myślała, zerkając ukradkiem na Johna, gdybym ci zdradziła nasz rodzinny sekret?

— Nad czym tak dumasz? — spytał żartobliwie.

— Myślałam o Jane.

— Uważasz ją za czarną owcę, prawda?

— Nigdy jej tak nie nazwałam!

— Nie musiałaś; larwo się tego domyślić. Ty zrezygnowałaś z pracy, żeby zająć się matką, podczas gdy jej udział w sprawie ograniczał się do telefonów. Tak było, prawda? Miałaś jej za złe, że nie przyjeżdża do domu... A o jej życiu tam, w Nowym Jorku, zawsze mówiłaś w taki sposób, jakbyś uważała je za ryzykowne, krótko mówiąc, dosyć niebezpieczne.

— Naprawdę tak mówiłam?

— Tak. Czulem, że coś cię w niej drażni, a teraz gdy ją poznałem, widzę, o co ci chodzi.

— Cóż takiego w niej zobaczyłeś? — Sylvie zaciekały jego refleksje.

— No wiesz, ta jej skórzana kurtka i ta dosyć szczególna rezerwa, jakby miała coś do ukrycia. Spozregłem także po-

dejrzliwe spojrzenie, którym obrzuciła mą skromną osobę i które mówiło wyraźnie: Czego ty właściwie chcesz od mojej siostry?

— Ktoś kiedyś bardzo ją skrzywdził. Boję się, że chyba nigdy nie otrząśnie się z tego do końca. Bardzo mi przykro, że odniosłeś wrażenie, iż Jane ci nie ufa. Mój Boże, akurat tobie!

John czule uściskał jej rękę.

— Ależ kochanie, to dlatego że chce cię chronić, i za to ją polubiłem. Ja pragnę robić to samo.

— Nie martw się o mnie, jestem silną kobietą.

Wjechali właśnie na szpitalny parking. Sylvia poszukała wzrokiem okna matki — jej separatka mieściła się na czwartym piętrze — dokonując zarazem w myślach przeglądu tych chwil w swoim życiu, gdy musiała być szczególnie silna: znieść odejście ojca, pokonać rozczarowanie, gdy się okazało, że podczas studiów nie będzie przy niej Jane, wytrzymać krążące po kampusie plotki, nie wybuchnąć na widok Jeffreya Haydena i jego nowej dziewczyny, nie zadławić się smutkiem — najpierw wiecznym smutkiem swojej matki, a potem zrozpaczonej siostry.

Myślała o tych weekendach, gdy po przyjeździe do domu słyszała nocami rozpaczliwy krzyk Jane, o jej przeprowadzce do Nowego Jorku, która tak naprawdę była ucieczką przed nieznośnym bólem i strachem; strachem, że tu, w Rhode Island, może nagle natknąć się na córkę.

— Tak bym pragnęła, żeby Jane zaznała trochę szczęścia — szepnęła.

— Wiem. — John znów uściskał jej dłoń.

— Skąd?

— Kocham cię, Sylvio, a kochać kogoś to znaczy rozumieć, dzielić jego troski, wiedzieć, czym można go uszczęśliwić. Wiem, że w tej chwili musimy zająć się twoją matką. Mówię „my”, bo zamierzam ci w tym pomóc...

— Och, mój drogi!

— A potem zabiorę cię do Maine, nad najpiękniejsze jezioro w tym stanie. Będziemy tam pływać kajakiem, wieczorami palić ognisko, a ja wypiszę twoje imię gwiazdami na nocnym niebie.

— Żywymi gwiazdami? — uśmiechnęła się Sylvia, myśląc o Chloe i jej poetyckich fantazjach. — Bo są też zapomniane gwiazdy na strychu, ale one nie mają blasku. Są martwe.

— Tak żywymi, jak to tylko możliwe. A co do kolacji: rozumiem, że zjemy ją już po wizycie, chyba że wolisz pójść do bufetu? W szpitalu.

— Nie, wolę twoją propozycję.

— Dla mnie dobra jest każda, pod warunkiem że to ty siedzisz ze mną przy stole.

Objęli się mocno na długą chwilę. Sylvia myślała o tym, co ją czeka: wkrótce przyjedzie Jane. Pogadają z Abby Goodheart, a później pójdą do matki opowiedzieć jej o swej wizycie w Cherry Vale. Nie żeby wywierać na nią presję; nikt nie ma prawa decydować o czyimś życiu, Sylvia miała jednak nadzieję, że zdołają przekonać matkę, iż jest to najlepsze wyjście. Przynajmniej na jakiś czas

Bo przecież tak jest, czyż nie?

John mocniej otoczył ją ramieniem. Och, było jej to potrzebne! Wszystko się w niej trzęsło. Życie niosło teraz tyle zmian i działo się to tak szybko! Sylvia czasami pragnęła, żeby wszystko pozostało po staremu, po prostu dlatego że tamto życie było dobrze znane i swojskie. Gdy jednak John objął ją w pól i powoli poprowadził do szpitala, pomyślała, jak cudownie jest czuć go przy sobie, wiedzieć po prostu, że jest... Niektóre zmiany życiowe niosą z sobą tyle szczęścia, że zakrawa to na mały cud.

Wchodząc do holu, z całego serca życzyła Jane, by i ona znalazła kogoś takiego jak John.

— Chloe opowiadała mi o twojej siostrze — powiedział Dylan.

— Chciałam pokazać Sylvii stoisko.

— I co? Podobało jej się?

Jane milczała — odpowiedź nie była prosta — choć oczywiście mogła się spodziewać, że Dylan poruszy ten temat. Kiedy wpadła tu z kolejną dostawą ciasta, zaprosił ją do kuchni na szklaneczkę domowej lemoniady. Była akurat taka, jaką Jane lubiła, trochę cierpka i taka chłodna, że na szklance zebrały

się kropelki rosy. Ale jego pytanie było dość kłopotliwe... Dla Sylvii ta wymuszona wizyta musiała być denerwująca, i to z wielu różnych powodów, a jednak widać było, że natychmiast pokochała Chloe.

Powoli zapadał już zmierzch; błękitne niebo zaczynało nabierać odcienia lawendy. Przez otwarte okno napływał do wnętrza śpiew ptaków żegnających miniony dzień. Jak spokojny i piękny był ten wiejski wieczór w porównaniu z nowojorskim zgiełkiem — ludzką ciżbą na chodnikach, światłami neonów i strumieniem żółtych taksówek na jezdni.

No i był tu Dylan. Ten wysoki, brodaty mężczyzna o zielonych oczach z każdym dniem stawał jej się bliższy. Nazywając rzeczy po imieniu, czuła, że go kocha, i to coraz bardziej. Widząc jego szczere, otwarte spojrzenie — chyba jeszcze nikt nigdy tak na nią nie patrzył — poczuła, że nie jest w stanie dłużej go okłamywać. Musi powiedzieć mu prawdę, i to teraz, zaraz! Wprawdzie obiecała Sylvii, że spotka się z nią w szpitalu, ale to jest ważniejsze, Sylvia musi poczekać. Tylko od czego tu zacząć?

— Dylanie, muszę ci coś wyznać — powiedziała, biorąc głęboki oddech.

— Ja tobie też — oznajmił, pociągając łyk lemoniady. Trzymał w ręku papierosa, z którego biła w górę cienka smużka dymu. Stali tak daleko od siebie, że postanowiła do niego podejść. Natychmiast wziął ją w ramiona. Trwali tak przez moment, patrząc sobie w oczy. Wiem, jaki jesteś, myślała Jane. Patrząc na ciebie, widzę silnego, twardego mężczyznę, ale to tylko pancerz, który ma cię chronić przed zranieniem. Pod spodem jesteś całkiem inny. Przypominasz rzekę, pod której gładką powierzchnią woda rwie jak szalona, burząc się i kłębiąc.

Jego pocałunek miał smak cytryny, cierpki, lecz jakże podniecający! Czuła żar bijący z jego ramion — miał na sobie cienką trykotową koszulkę, a ona bardzo skąpy czarny top — i och, zapragnęła, by ta chwila trwała w nieskończoność.

Jak dobrze pasowały do siebie ich ciała. Dylan wprawdzie był bardzo wysoki, lecz gdy stanęła na palcach, prawie dorównywała mu wzrostem. Ujął ją nagle pod pachy i postawił sobie

jej bose stopy na butach. W pokoju obok cicho grało radio, lecz im dłużej trwali w pocałunku, tym głośniejsza wydawała się muzyka. Aż w końcu niezdolni się oprzeć jej miękkim falującym tonom, zaczęli tańczyć: on stawiał taneczne kroki, a ona kołysała się na jego butach.

— Świetna z ciebie tancerka — zażartował, przerywając długi pocałunek.

— Wcale nie. W taki sposób nie tańczyłam jeszcze nigdy.

— Ale świetnie ci idzie — oświadczył z humorem.

— Niech ci będzie.

Wtulona w jego objęcia nagle zrozumiała, że może się to skończyć tylko w jeden sposób: za chwilę zaczną się kochać. Czowała to przez skórę, całym swoim ciałem. Czowała też, że jej partner świadomie odwleka ten moment, lecz już samo oczekiwanie było tak cudowne! Pomyślała, że przedtem musi powiedzieć mu prawdę, i była gotowa to zrobić. Lekki powiew wiatru, który musnął jej nagie ramiona, przyprawił ją nagle o dreszcz. Och, wszystko będzie dobrze, powiedziała sobie.

I akurat w tej chwili ktoś załomotał do drzwi.

— Ju-huu! — dał się słyszeć głos Chloe.

— Wyglądacie przyzwoicie? — zawtórowała jej Mona.

Przez twarz Dylana przemknął wyraz zniecierpliwienia, zaraz jednak uśmiechnął się do Jane.

— Ależ znalazły sobie moment!

Dziewczyny tymczasem wpadły już do kuchni.

— Ktoś w tym domu nie lubi zapalać światła? — rzuciła sarkastycznie Mona.

— Przestań — Chloe szturchnęła ją łokciem pod żebro. — Tak jest bardziej romantycznie.

— Cześć, dziewczyny — powitała je Jane.

— Czemu zawdzięczamy tę miłą wizytę? — spyta! z lekką ironią Dylan.

— Chcemy pojechać na lody — oznajmiła Mona. — Albo smażone małże.

— Uzasadnione życzenie, są przecież wakacje — uśmiechnęła się Jane.

— Tak, ale moi rodzice nie chcą się ruszyć z domu — wyjaśniła Chloe. — Wypożyczyli sobie jakiś film, uprzygli

kukurydzę i próbują nas przekonać, że to równie dobre jak lody i smażone małże. Lody dla mnie, a małże dla Mony.

— Aha, więc chodzi o jedno i drugie. Całe szczęście, że nie macie zamiaru spożywać ich razem — odrzekł nieco zgryźliwie Dylan.

— Jest tylko jedno miejsce, które mamy ochotę odwiedzić — mówiła dalej Chloe wcale nie zrażona tą uwagą — i tylko dwie osoby mogą nas tam zawieźć.

— Newport — oznajmiła uroczyście Mona. — Musicie nas zabrać do Newport.

Chloe wymierzyła palec w Dylana.

— Tak naprawdę to jesteś porwany, więc nie masz wyjścia. A Jane zabieramy na przejażdżkę.

— Więc teraz grzecznie i spokojnie udacie się do samochodu — zakończyła jej przyjaciółka.

Zerknąwszy na Dylana, Jane dostrzegła w jego oczach mieszaninę rozbawienia i lekkiej frustracji. Widać było, że teraz akurat wolałby być tylko z nią i że jej pozostawia zadanie wydobycia ich z opresji. Błyskawicznie przemyślała sytuację. Podróż z Chloe do Newport! Rodzinna wycieczka! Tak, miała spotkać się z Sylvia w szpitalu, ale może przecież do niej zadzwonić. Och, nie na świecie nie byłoby w stanie odwieść jej od tej wyprawy!

— No i co ty na to? — spytał Dylan.

— Jestem za. Jedźmy na te lody.

Zadzwoniła do domu i nagrała wiadomość. Sylvia zrozumie.

Podróż do Newport była długa i bardzo przyjemna. Nikt nie żądał włączenia klimatyzacji, więc Dylan poopuszczał wszystkie szyby. Dziewczyny ściśnięte na tylnym siedzeniu jego ciężarówki śpiewały modne piosenki nadawane akurat przez radio. Jeśli nawet spostrzegły, że siedząca przed nimi para ukradkiem trzyma się za ręce, udawały, że tego nie widzą.

Jazda drogą 138 przypomniała Dylanowi dawne wyprawy do Newport. Przeszłość ożyła, a on chętnie pozwolił się w nią wciągnąć. Isabel. Czuł, że im towarzyszy, że wciśnięta między

dwie dziewczyny śmieje się i śpiewa razem z nimi. Tak wyraźnie wyczuwał jej obecność, że ukradkiem zerknął za siebie.

Samochód raz po raz wpadał w jakąś wyrwę.

— Mój ojciec nazywał tę drogę starą pralką — mruknęła Jane.

— Święta racja! — zawołała Chloe. — Uaa!

Aby się dostać do Newport położonego na przybrzeżnej wyspie Rhode Island, trzeba było przejechać przez kilka mostów przerzuconych nad zatoką Narragansett. Tworzyły one skomplikowaną sieć połączeń pomiędzy rozsianymi tu gęsto wysepkami oraz między nimi a lądem. Jamestown Bridge — pierwsza leżąca na ich trasie przeprawa przez zatokę — był potężną betonową konstrukcją, a jego południowe przesło niemal dotykało nieczynnego już mostu wzniesionego w latach czterdziestych. Z tym starym mostem kojarzył się Dylanowi pewien tragiczny wypadek. W mroźną wigilię Bożego Narodzenia wielka ciężarówka wpadła w poślizg na oblodzonej nawierzchni i razem ze swym kierowcą stoczyła się do zatoki. Dylan był wtedy chłopcem, a jednak do dziś pamiętał, jak strasznie było mu żal synów owego człowieka.

Minąwszy Conanicut Island, znaleźli się znów na moście — szerokim i pełnym wdzięku Newport Bridge. W dole widać było miasto: port, zakotwiczone tam jachty, wysokie wieże kościołów i ciasno stłoczone budynki śródmieścia. Z najwyższego punktu ujrzeni na horyzoncie podobną do wieloryba wyspę Block Island. To miejsce na Newport Bridge przypomniało Dylanowi inny incydent: ścigał wtedy pewnego przestępcę, który porzuciwszy samochód, próbował sfingować samobójstwo, udając, że skacze z mostu. Tyle było tych wspomnień, lecz przepływały mu przed oczami jak wyblakłe czarno-białe fotki. Tylko obraz Isabel tchnął życiem. I nigdy nie tracił barw.

W Newport o tej porze roku roilo się od turystów, udało mu się jednak znaleźć miejsce do parkowania na zatłoczonej Thames Street, po czym poprowadził trójkę pasażerek do swego ulubionego lokalu — „chatki” komandora Paula. Było tam tłoczno i duszno, a jednak kolejka chętnych sięgała daleko za drzwi. Nawet tu dochodziły tak smakowite wonie, że wszyscy

łykali ślinkę. Dylan, korzystając z tłoku, objął Jane w pół i pa-
trząc na jej nagie ramiona, zapragnął poczuć je znowu na szyi.

— Uwaga, już dochodzimy — przypomniała wszystkim
Chloe. — Pamiętajcie, co macie zamówić?

— Ja nie myślę o niczym innym, odkąd zjechaliśmy z mo-
stu — zaśmiała się Jane.

— Cztery razy małże w cieście, cztery porcje frytek i czte-
ry coca-cole — zadysponował Dylan. W okienku stał młody
człowiek, najwyraźniej student college'u.

— Nawet nas nie spytałeś, co chcemy zamówić — mruk-
nęła Mona.

— Każdy, kto zna lokal komandora Paula, wie, że nic
innego tutaj nie dostanie — odparł Dylan, wręczając sprze-
dawcy pieniądze.

Z talerzami w ręku wyszli na zewnątrz, gdzie zasiedli na
otaczającym wejście niskim murku i zabrali się do jedzenia.
Dylan całym sobą chłonał bliskość Jane; jej ramię muskało mu
rękę, biodro ocierało się o jego bok. Chloe oddała mu swoje
małże, poprzestając na cieście, w które były owinięte, i fryt-
kach.

— W zasadzie ja także jestem wegetarianką, ale małżom
Paula nie mogę się oprzeć — wyznała Jane.

— Nie wiedziałam, że jesteś wegetarianką! — radośnie
wykrzyknęła Chloe. — Więc ty także kochasz zwierzęta i nie
chcesz, żeby cierpiały! Na szczęście małże to tylko bezkrę-
gowce.

— Powinnaś mi była powiedzieć — łagodnie upomniał
Jane Dylan. — Poszlibyśmy gdzie indziej. Zafundowałbym ci
sałatkę czy inny jarski przysmak.

— Och nie, tu jest doskonale. Od lat tu nie byłam...

Dylan skosztował swojego krokietu. Wiedział z doświad-
czenia, że usmażony tak jak lubi, na złociście brązowy kolor,
będzie miał słonawy smak morza, ale dziś prawie tego nie
poczuł. Dziś całą jego uwagę skupiała na sobie siedząca obok
kobieta.

Skończywszy jeść, ruszyli w stronę nabrzeża, przecinając
po drodze America's Cup Boulevard. Sklepy były otwarte do
późna, dziewczyny pobiegly więc oglądać biżuterię i pamiąt-

kowe drobiazgi, a dwoje dorosłych poszło dalej spacerkiem, lawirując z trudem wśród ciżby. Jane z satysfakcją wciągnęła w płuca pachnące solą powietrze.

— Lato w Newport...

— Nasze pierwsze. Będę je pamiętał.

— Miły jesteś.

— Miły może być królik — ofuknął ją żartobliwie — a nie emerytowany agent U. S. Marshals. Myślisz, że komandor Paul byłby zadowolony, gdybyś nazwała go „miłym”?

— Często bywałam w tej knajpce, ale nigdy jakoś nie przyszło mi na myśl zapytać, kim właściwie był ten komandor.

— Bohaterem wojennym. Podczas wojny w Wietnamie był dowódcą okrętu „W. T. Crawford”, a poza tym namiętym rybakim i łowcą owoców morza. Często opowiadał swojej załodze, jak to po odbyciu służby otworzy budkę z małżami w Newport, gdzie przedtem szkolił rekrutów w którymś z wojskowych college'ów.

— Dokonał jakichś bohaterskich czynów?

— Uratował załogę okrętu, który poszedł na dno na Morzu Południowochińskim. Ludzie zdążyli opuścić statek na tratwie, lecz napadło ich stado rekinów. Kiedy nadpłynął komandor, rozpaczliwie tłukli te bestie wiosłami.

— Skąd to wszystko wiesz?

— Och, komandor Paul jest przecież legendą Newport. Poza tym dowodzony przez niego okręt nosił imię Williama Crawforda, który w latach dwudziestych był szefem U. S. Marshals, rozumiesz więc chyba, że dowódca takiego okrętu musi być bliski sercu każdego funkcjonariusza tej służby. Komandor Paul bywał zresztą... — Dylan urwał w pół zdania.

— Bywał w domu moich teściów — podjął po krótkiej pauzie — więc miałem okazję go poznać. Podczas drugiej wojny światowej ojciec Amandy służył w marynarce wojennej i pewnie dlatego miał do niej wielki sentyment. Wprawdzie jego największą pasją życiową był jachting, tak że pół życia spędzał w nowojorskim jachtklubie, ciągle jednak z ogromną tęsknotą wspominał te czasy, gdy Newport było przede wszystkim bazą marynarki.

— Interesujący człowiek.

— Owszem, jak na bezwzględного rozbójnika — odrzekł dość cierpko Dylan. Nie chciał dodawać, że ten „interesujący człowiek” wychował córkę na zepsutą samolubną snobkę. — Isabel kochała swych dziadków — powiedział pod wpływem tej myśli — lecz na szczęście nie nasiąkla ich stylem życia. Amanda wolałaby raczej umrzeć z głodu, niż pójść do takiego lokalu jak chatka komandora Paula, ale moja córka miała takie same upodobania jak ja. Tak więc gdy reszta rodziny brała udział w wytwornym pikniku w Bailey's Beach, my dwoje wcinaliśmy małże u Paula.

— Mądra dziewczynka.

— Polubiłaby cię.

— No pewnie! Każda dziewczyna, która ceni sobie smażone małże, lubi też ciasto z jabłkami! — zażartowała Jane.

— Nie dlatego by cię polubiła. — Objął ją ramieniem, nie zważając na to, że stoją w potoku turystów, niepowstrzymanie prących w stronę Bannister Wharf, gdzie przy brzegu cumowały eleganckie jachty budzące tęskny podziw przyjezdnych. Dylan nie zwracał na to uwagi. Uświadomił sobie nagle, że po wyjeździe z domu nie sięgnął po papierosa, a co dziwniejsze, wcale nie miał na to ochoty. Jakby ów stary nałóg ustąpił teraz miejsca innemu, silniejszemu pragnieniu. Była nim Jane. Pragnął jej aż do bólu. Myślał tylko o jednym: mieć ją przy sobie i nigdy nie pozwolić jej odejść. Już miał ją pocałować, gdy rozległ się okrzyk:

— Wujku Dylanie! — Przez tłum przepychała się Chloe.

— Potrzebne nam zaliczki! — zawołała Mona.

— Na poczet naszych zarobków — uzupełniła szeroko uśmiechnięta Chloe; najwyraźniej zauważyła zarówno jego zamiar, jak i wyraz zawodu, którego nie zdążył ukryć.

— Przecież w piątek wypłaciłem wam pensję!

— Tak, ale to za mało. Daj nam zaliczkę na następną tygodniówkę. Zobaczyłyśmy właśnie prześliczne drobiazdki, no i wiesz, chcemy je kupić.

— Na cześć Jane — wyjaśniła Mona.

— Na moją cześć? — Jane oblała się lekkim rumieńcem.

Chloe chwyciła w palce jej medalion i potrząsnęła nim jak dzwoneczkiem.

— Znalazłyśmy srebrne medalioniki zupełnie takie jak ten i koniecznie chcemy je mieć.

— Bo musisz wiedzieć, że jesteśmy twoimi fankami — weszła jej w słowo Mona.

— Bez ciebie i twoich ciast byłybyśmy bezrobotne! Nie byłoby co sprzedawać.

— Jak to? — obruszył się Dylan. — A miód? A cukier klonowy? A jabłka, które lada moment dojrzeją?

— Nie czarujmy się, wujku! Dobrze wiesz, że to ciasta Calamity Jane napędzają nam tłumy klientów. Ludzie przyjeżdżają z całego stanu. Dlatego musimy mieć te medaliony.

— Będziemy w nich nosić zdjęcia — zachichotała Mona.

— Zdjęcia Jane!

— Raczej jej szarlotek! — sprostowała Mona i obie dziewczyny wybuchnęły śmiechem.

— A właśnie: co ty masz w swoim? — zapytała Chloe z nagłą ciekawością. — Możemy zobaczyć?

Dylan zauważył w tym momencie, że Jane dziwnie ucichła. Było to zupełnie do niej niepodobne; zawsze bawiły ją żarciki dziewczyn i to ona zwykle śmiała się najgłośniej, a teraz uśmiechała się tylko niepewnie, ściskając w dłoni medalion, jakby go chciała bronić. Chyba nawet lekko pobladła. Patrzył na to ze ściśniętym sercem: ma tam pewnie zdjęcie mężczyzny, pomyślał. Musi to być ktoś, kogo kocha. Ktoś z Nowego Jorku.

— Mam tam zdjęcie pewnej małej dziewczynki, którą kiedyś znałam — powiedziała w odpowiedzi na pytanie Chloe.

— Pokaż nam!

— Och, to takie malutkie zdjęcie, że nie bardzo nadaje się do oglądania. Jest w dodatku źle przymocowane. Boję się, że wiatr mógłby mi je porwać.

— No tak, masz rację — przyznała Chloe — ale później nam pokażesz?

— Tak, ale nie dzisiaj.

Dylan nie po raz pierwszy podziwiał jej zyczliwość dla swej bratanicy. Teraz przyszło mu na myśl, że Jane nie zdaje sobie nawet sprawy, jak wielką przysługę wyświadczyła Chloe, piekąc dla niej swoje słynne ciasta. Ostatnio w domu jego brata nastąpiło znaczne odprężenie. Rodzice Chloe byli z niej bar-

dzo zadowoleni. Sharon zadzwoniła nawet z prośbą, żeby zapoznał ją z Jane. Powiedziała, że ona i Eli są bardzo wdzięczni tej pani za to, co robi dla Chloe. Z początku byli przeciwni pracy swojej córki przy stoisku, ale teraz patrzą na to inaczej. Chloe najwyraźniej podobają się takie wakacje. No i nie ma żadnych wybryków, takich jak ten w „SaveRite” czy wyprawa do sądu rodzinnego.

Dylan uśmiechnął się półgębkiem: wiedział, dlaczego bratowa zapragnęła nagle poznać Jane. Jest ciekawa, jaka to kobieta przełamała jego długą samotność. Wiedział też, że nie jest to pusta ciekawość. Sharon po prostu dobrze mu życzy. Zawsze łączyła ich serdeczna przyjaźń. Przypuszczał, że choć nigdy o tym nie mówiła, domyślała się od dawna, jak frustrujący był jego związek z Amandą i jak niewiele szczęścia dało mu to małżeństwo.

— O psiakrew! — wykrzyknęła nagle Mona. Sądząc po spojrzeniu i wyrazie twarzy, musiała zobaczyć kogoś znajomego. — Przepraszam za wyrażenie — dodała z udaną skruchą.

— Niech go diabli! — jęknęła Chloe, chowając się za Jane.

— Czy to on? — Niebieskie oczy Jane stały się zimne jak lód.

— Uhm...

Dylan zauważył, że jego bratanica jest bliska płaczu.

— Kto? — spytał ostro. Siedząc kierunek jej wzroku, bez trudu doszedł do wniosku, że chodzi o młodego człowieka przy stoisku z hot dogami. Miał on sztywne od soli, długie blond włosy, w których widniały prawie białe pasma. Miały sprawiać wrażenie wyblakłych od słońca, ale Dylan za dobrze znał takie sztuczki, aby się na to nabrać. Słońce z butelki! Całe ubranie chłopaka stanowiły szorty i koszulka z emblematem sklepu dla surferów, a na jego ramieniu widniał tatuaż przedstawiający delfina. Nietrudno go było skojarzyć z wykonanym przez Chloe proporcem.

— Co mu mam powiedzieć? — szepnęła bezradnie do Jane.

— Nic mu nie musisz mówić.

— Ale muszę przejść obok niego...

— Co on ci zrobił? — spytał Dylan.

— Lepiej, żebyś nie wiedział — mruknęła niewyraźnie.

— Powiedz wujkowi! — zaczęła zachęcać ją Mona. — Już on załatwi tego drania.

Nawet nie wiedząc, co zrobił „ten drań”, Dylan poczuł do niego antypatię. Zielone oczy chłopaka były tak pozbawione wszelkich uczuć, że sprawiały wrażenie martwych, a wodził nimi po tłumie jak rekin po ławicy potencjalnych ofiar. Dylan łatwo mógł go sobie wyobrazić w charakterze podejrzanego o handel narkotykami, kradzież dokumentów czy oszustwo, o wszystko, dzięki czemu mógłby zaspokoić swe prymitywne potrzeby. Dylan bez pudła potrafiłby je wymienić: seks, prochy i forsa.

Patrząc na Chloe, wykluczy! dwie ostatnie. Pozostawał seks. Wniosek był oczywisty: ten łajdak wykorzystał jego bratanicę! Wystarczyło zaobserwować, w jaki sposób Jane objęła Chloe i wyraźne zdenerwowanie ich obu, aby się o tym upewnić.

— On tu surfuje. Patrz, jaki opalony, jakie ma włosy!
— W głosie Chloe usłyszał mimowolny podziw.

Miał ogromną ochotę powiedzieć jej, że to farba, ale ugryzł się w język. Najchętniej podszedłby do tego typu i wepchnął mu w gardło całego hot doga, lecz i ten impuls zdołał jakoś stłumić.

— To ten, co jeździł motorem po sadzie i tak okropnie poszarpał korzenie — warknęła Mona, dotykając jego nadgarstka.

— Ach, więc to ten? — przeciągle powtórzył Dylan.

Jasnowłosy tymczasem musiał chyba wyczuć, że budzi w kimś złe emocje, bo nagle spojrział w ich stronę. Chloe nie zauważył, gdyż zasłaniała ją Jane, napotkał jednak spojrzenie Dylana. A było to spojrzenie, które Dylan Chadwick doprowadził do perfekcji przez lata policyjnej służby. O człowieku, który tak patrzy, mówi się, że ma śmierć w oczach. Skutek był natychmiastowy — winowajca gwałtownie drgnął. Chloe też to spostrzegła.

— Nic mu nie mów — powiedziała błagalnie.

— A właśnie że powinien go aresztować! — syknęła Mona.

— On naprawdę zrobił coś straszego.

— Mona! — ostrzegawczo rzuciła Jane. — Niech o tym, co zrobić, zdecyduje Chloe.

— Nienawidzę padalca za to, że tak podle postąpił z moją przyjaciółką! — wybuchnęła Mona.

— No to jak, Chloe? Mam sobie z nim pogadać? — włączył się Dylan.

Chloe pokręciła głową. Kiedy znów popatrzyli w stronę stoiska Black Pearl, jasnowłosey już stamtąd odszedł i zaczął się szybko oddalać. Dylan nie ruszył się z miejsca, lecz nie przestał ścigać go wzrokiem.

— Jak się nazywa ten typ?

— Zeke — odrzekła Mona. Chloe i Jane milczały.

Dylan z rozkoszą dałby mu nauczkę i za szkody wyrządzone w sadzie, i za krzywdę swojej bratanicy, widząc jednak jej pełne łez oczy i opiekuńczy gest Jane — obejmowała dziewczynę jak małe bezradne pisklątko — doszedł do wniosku, że taka interwencja pogorszyłaby tylko sprawę.

Kochał Chloe i pragnął ją chronić z takim samym poświęceniem, z jakim chroniłby własną córkę, ale teraz postanowił w inny sposób okazać jej swe uczucia.

Wziął Jane za rękę i poprowadził trójkę swoich kobiet do pobliskiego sklepu z biżuterią, gdzie poprosił sprzedawcę o dwa medaliony. „Takie jak ma ta pani” — wyjaśnił. Ucieszyła go radość obu dziewczyn, a jeszcze bardziej pełen uznania uśmiech, który posłała mu Jane. Tylko ten jej medalion... Czy naprawdę jest w nim zdjęcie jakiejś małej dziewczynki? A jeśli to fotografia kochanka, z którym nie może się rozstać?

Więc jej w tym pomogę, postanowił. Miał nadzieję osiągnąć to dzisiejszej nocy.

Gdy dziewczyny poprosiły, by należność za medaliony potrącił im z następnej tygodniówki, ze śmiechem pokręcił głową.

— Uznajcie to za prezent! — Wiedział, że Isabel na pewno by tego chciała.

ROZDZIAŁ 22

Pod koniec wycieczki Chloe zapragnęła rzucić jeszcze okiem na rezydencję dziadków Isabel, kupili więc lody w Newport Creamery i zaczęli zjeżdżać ze wzgórza. Minąwszy następnie żeglarskie kluby Idy Lewis oraz Harbor Court, skąd dobiegały wciąż jeszcze odgłosy cumowania łodzi, znaleźli się obok Hammersmith Farm.

— Popatrz, Mona, tutaj był letni Biały Dom za prezydentury Johna Kennedy'ego! — pisnęła z podnieceniem Chloe.

— Zgadza się — potwierdziła Jane. — Cała ta wielka posiadłość była letnią siedzibą państwa Bouvier, rodziców Jacqueline Kennedy. Gdy dostałam wreszcie prawo jazdy, często przyjeżdżałyśmy tu z Sylvia i za każdym razem wystawaliśmy przed bramą Hammersmith Farm, próbując zerknąć do środka. Miałyśmy nadzieję zobaczyć tam byłą pierwszą damę, wtedy już panią Kennedy Onassis. Ja lubiłam sobie wyobrażać, że spotkamy ją na tej drodze, gdy przyjedzie odwiedzić matkę.

— I co byś zrobiła, gdyby się tak stało?

— Zaproponowałabym jej podwiezienie.

— Moja matka była niesłychanie dumna, że pierwszy katolicki prezydent brał ślub właśnie tu, w Rhode Island — powiedział Dylan.

— Babcia jest niesamowita — prychnęła Chloe i wszyscy parsknęli śmiechem.

Dylan tymczasem wjechał w Ocean Drive. Mieli przed sobą długi odcinek przepięknej nadmorskiej drogi. Z prawej strony rozpościerał się Atlantyk, wcinając się między skały mnóstwem zatoczek i ukrytych jaskiń. Otoczyła ich wilgotna mgiełka przesycona zapachem wodorostów skalnych i soli. Można było pomyśleć, że znajdują się na pełnym morzu.

— Gdzieś tam jest Breton Tower — powiedział Dylan, wpatrując się w ciemność, rozjaśnianą białymi kaskadami piany.

— Breton Tower? A co to takiego? — zapytała Mona.

— Miejskowa ciekawostka turystyczna, gdyż jest to budowla w całkiem nieamerykańskim stylu, wzniesiona przez kogoś, kto pozostawał zapewne pod urokiem zamków nad Loarą — odrzekł Dylan. — A skoro mowa o ciekawostkach: wiesz, że do niedawna właśnie tutaj, w Newport, rozgrywano finały regat o Puchar Ameryki?

— O tak, „przeklęty Dennis” — uśmiechnęła się Jane. — Kiedy straciliśmy puchar, w całym stanie powtarzano to sobie jak motto.

— To niesprawiedliwe! — obruszyła się Chloe. — Przecież żaden żeglarz na świecie nie zdobył tylu pucharów co Dennis Conner. Wszyscy czcili go wtedy jak bóstwo. Jak można go było przeklinać, gdy raz mu się nie powiodło?

— Taka jest ludzka wdzięczność.

— Żeglarze! — rzuciła z przekąsem Mona. — Rhianna wciąż opowiada o jakichś Australijczykach, z którymi się włóczyła, to znaczy chodziła na randki. Podobno chlali szampana, wisząc na rejach. Dla mnie to głupota.

— I tak wołę ich od surferów — mruknęła Chloe.

Jane popatrzyła na nią uważnie. Chloe chyba wciąż jeszcze nie otrząsnęła się z szoku wywołanego widokiem tego chłopaka. Jak to dobrze, że byłam przy niej! Zaraz jednak przyszły jej na myśl wszystkie te zagrożenia, przed którymi nie mogła chronić swojej córki... Chloe na szczęście wyszła z nich obronną ręką. Przybrani rodzice dobrze się spisali. Musiała im to przyznać, co jednak ani trochę nie osłabiło jej pragnienia, by przygarnąć do siebie tę najdroższą istotę i osłonić przed wszystkimi niebezpieczeństwami teraz i na całą resztę życia.

— Wszystko w porządku? — spytała.

Chloe zajęta lizaniem lodów kiwnęła tylko głową w odpowiedzi, Jane jednak czuła, że więź, która je połączyła, gdy czekały na wynik testu, nie tylko nie została zerwana, lecz przerodziła się teraz w cudowne poczucie bliskości. Chloe właśnie zawiesiła na szyi swój nowy medalion, w którym jasno świecące gwiazdy zapalały raz po raz migotliwe błyski. Obserwując te drobne tańczące ogniki, Jane miała wrażenie, że siedzą w malutkiej łódeczce kołysanej łagodną falą oceanu.

— Patrzcie, Bailey's Beach! — zawołała Chloe.

— Klub snobów! — prychnęła Mona.

— Dziadkowie Isabel należeli do tego klubu. A wiesz, jak brzmi jego prawdziwa nazwa? Plażowe Stowarzyszenie Tryskającej Skały. Gdzieś tu podobno jest taka skała, a my z Isabel strasznie chciałyśmy ją znaleźć. Wyobrażałyśmy sobie, że wygląda jak mały wieloryb, który osiadł na plaży i wyrzuca z siebie ogromną fontannę wody.

— Rhianna sprzedałaby duszę, żeby ją przyjęto do takiego klubu. Ależ zadałaby sztyku!

Minęli Rough Point, wielki dom Doris Duke oraz jeszcze kilka świetnych rezydencji, nim Dylan zatrzymał samochód przed wysokim kamiennym murem otaczającym kolejną posiadłość. Zwisało z niego dzikie wino, dalej zaś rosły starannie przyszczyżone krzewy. Za półotwartą żelazną bramą widać było wielki, jasno oświetlony dziedziniec i wspaniałe chateau w wyraźnie francuskim stylu.

— To tutaj — szepnęła Chloe bez tchu. — Maison du Soleil.

— Dom słońca! — Mona wychyliła się z okna, aby lepiej zobaczyć.

— Myślisz, że nadal mieszkają tu latem i że są teraz w domu? — spytała Chloe Dylana.

— Masz na myśli rodziców Amandy? Tak.

— Odwiedzasz ich czasem?

— Nie.

— Przecież byłeś ich zięciem. — Jane miała wrażenie, że Chloe lekko zaakcentowała słowo „byłeś”, jakby chciała zaznaczyć, że to teraz już nieaktualne.

— Byłem — krótko skwitował sprawę Dylan.

Po tej stronie domu, osłoniętej od morza mnóstwem drzew i krzewów, nie czuło się tak wiatru jak po drugiej, gdzie zaraz za rezydencją biegł słynny Cliff Walk. Jako dziecko, a później nastolatka Jane często spacerowała tamtędy wraz z matką i Sylvia. Do tej chwili nie wiedziała, który ze stojących tam domów należał do teściów Dylana, teraz jednak gdy go zobaczyła, przypomniała sobie, że to właśnie tutaj zerknęła kiedyś przez szparę w żywopłocie i ujrzała na tarasie grupę eleganckich, biało ubranych kobiet. Czy któraś z nich była Amandą, przyszłą żoną Dylana?

— Możemy tam wejść? — zapytała Chloe.

— Och tak! — poparła ją Mona. — Mogłabym pochwalić się Rhiannie, że otarłam się o wielki świat!

W samochodzie zapadła cisza. Jane czuła, że Chloe i Dylan myślą o tym samym: o Isabel. Jej także stanęło przed oczami zdjęcie na jego lodówce i uśmiechnięte buzie ich córek.

— Chyba nie — padła wreszcie odpowiedź. — Po co przypominać im o tym, czego pewnie wolą nie pamiętać?

— O tym, co się stało z Isabel i jej mamą?

Dylan skinął głową ze wzrokiem utkwionym w bramę. Była otwarta, Jane czuła jednak, że dla niego zamknięta jest naглуcho. Wiedziała, jakich uczuć doznaje na widok tej bramy i tego pięknego domu; ona też tak się czuła przez cały nowojorski okres, gdy nie było przy niej tej młodej dziewczyny siedzącej teraz tuż za nią. W odruchu współczucia dotknęła lekko jego uda.

Jego ręka zacisnęła się na jej dłoni, a ona w tym momencie tak żywo poczuła obecność jego córki, jakby siedziała ona obok Chloe. Bo tak jest, pomyślała, Isabel duchem jest z nami. Ogarnęła ją czułość dla zmarłej dziewczyny. Coś kazało jej zerknąć do tyłu i ku swemu zdziwieniu odkryła, że to Chloe ściągnęła ją wzrokiem.

Uśmiechnęły się do siebie z uczuciem cudownego zrozumienia. Jane zapragnęła z całej duszy, by ta noc i ta chwila nigdy się skończyły. Tym mocniej zaciążyło jej kłamstwo kładące się czarnym cieniem między nią a Dylanem i Chloe. Gdy-

by nie było tu Mony, z miejsca powiedziałyby im prawdę. No cóż, pomyślała, muszę z tym jeszcze poczekać.

Mona miała nocować u Chloe, tak więc podwieźli obie pod dom Chadwicków. Zmęczone, ale szczęśliwe, chwyciły swoje rzeczy i pobiegły do wejścia, gdzie przystały na chwilę, by pomachać na pożegnanie. W otwartych drzwiach domu Jane spostrzegła jakąś kobietę, która także pomachała im ręką. Dylan odpowiedział tym samym, lekko naciskając klakson.

— To Sharon, moja bratowa.

— Zatem to jest... — zaczęła Jane i urwała. Słowo „matka” nie chciało jej przejść przez gardło. Kobieta wyglądała sympatycznie, choć trochę prowincjonalnie. Niby dlaczego? zirytowała się sama na siebie. Dlatego że nie nosi skąpych czarnych topów?

— Opowiedz mi o tym szczeniaku, którego spotkaliśmy w Newport — poprosił Dylan już w drodze do domu.

Jane próbowała wymyślić jakąś rozsądną odpowiedź, nie mogła się jednak skupić. Odkąd zobaczyła tę kobietę, przybraną matkę swej córki, drżał w niej każdy nerw. Dylan uznał jej milczenie za unik.

— Chcesz zachować dyskrecję? — rzucił po chwili. — Cóż, może to i dobrze. Niech Chloe sama nam powie, gdy już do tego dojrzeje.

Dojechali akurat do domu, więc zaparkował samochód przed wejściem do starej czerwonej stodoly.

— Pamiętasz — odezwała się Jane z gwałtownie bijącym sercem — co ci powiedziałam przed paroma godzinami? Że muszę ci coś wyznać?

— Owszem, a ja odrzekłem, że też chcę ci coś powiedzieć.

— Ale ja koniecznie muszę z tobą pomówić.

— Dobrze. — Wyskoczył z ciężarówki, przebiegł na drugą stronę i pomógł jej wysiąść. Zaraz też zamknął ją w ciasnym uścisku. Otaczający ich sad pełen był nocnych dźwięków. Głośno grały świerszcze, gdzieś z daleka niesło się hukanie sowy. — Czy uwierzysz mi, jeśli powiem — szepnął, przykładając czoło do jej czoła — że wysłucham cię z całą uwagą, ale przedtem muszę cię pocałować? Po prostu muszę, rozumiesz?

— Uwierzę — odrzekła z uśmiechem, choć serce jej było jak szalone — bo i ja czuję się tak samo.

Gdy ją pocałował, jej umysł przegrał walkę z ciałem, jeśli nawet nie całkowicie, to przynajmniej tę pierwszą rundę.

W domu od razu poszli na górę. Wydawało się to tak naturalne, że nie czuli żadnego skrępowania. Dążyli do tego przez cały wieczór, a może nawet znacznie dłużej. Chyba już od momentu, kiedy się poznali. Jane próbowała nie myśleć o swoich kłamstwach, lecz jej umysł, otrząsnąwszy się z pierwszej porażki, nie chciał dać za wygraną. Powiedz prawdę! Musisz powiedzieć mu prawdę! Czowała, że przez całe jej ciało przetaczają się fale gorąca na przemian z lodowatym dreszczem. Próbowała nie słuchać natrętnego głosu, lecz im bardziej starała się go stłumić, tym stawał się donośniejszy. Pojawiło się też pytanie: jak ci się zdaje, ile razy twój partner szedł po tych schodach z Amandą? ale może było ono jedynie sposobem na pozbycie się innej kłopotliwej myśli, że to strach nie pozwala jej powiedzieć prawdy.

Gdy znaleźli się w sypialni, ogarnęła wszystko jednym rzutem oka. Fotografie! Było ich mnóstwo, starszych i nowszych. Te stare, w kolorze sepii, wisiały na ścianach, kolorowe stały na biurku. Wszystkie nowsze przedstawiały Isabel i Chloe lub jej przybranych rodziców. Na żadnym nie było Amandy. Sam pokój urządzony był staroświecko — wygodnie i bardzo po męsku.

— Dylanie? — Spróbowała raz jeszcze wyznać mu prawdę.

— Tak?

— To, o czym ci wspominałam, jest... bardzo ważne.

Skinął głową i znów ją pocałował.

W pokoju stało wielkie mosiężne łóże, obok niego para ubłoconych butów, a na krześle piętrzył się stos koszul. Wykuszone okno wychodziło na sad. Gdy stanęło się przy nim, widać było wyraźnie, że dom zbudowano na małym wzniesieniu łagodnie opadającym ku płytkiej dolince. Całe zbocze tego pagórka porastały stare jabłonie. W dole szemrał strumyk; w jego ciemnej wodzie migotały gwiazdy.

Dylan stanął za nią i opasał ją ramionami. Były takie solidne i ciepłe, że z westchnieniem przyłgnęła mu do piersi. Stali tak chwilę, kołysząc się lekko, świadomi ogarniającego ich pożądania. Spróbowała wymknąć mu się z objęć, ale nie chciał jej puścić i oboje parsknęli śmiechem.

— Dylanie, posłuchaj...

— Nie myśl teraz o tym... — wymruczał. — Cokolwiek to jest, zapomnij...

Obróciwszy ją twarzą do siebie, zamknął jej usta długim pocałunkiem. Jego usta miały smak soli z leciutkim posmakiem tytoniu. Uchwyciła się jego ramion, bo gdy powolnym ruchem zaczął zsuwać cieniutkie ramiączka jej topu, poczuła, że miękną jej nogi. I tak oto, stojąc przy otwartym oknie, zaczęli pozbywać się ubrań.

Jego ręce pieszczotliwie przesuwaly się po jej ciele... Czuła ich zgrubienia i blizny. Pomyślała z nagłym wzruszeniem, że strasznie ciężko pracuje, ratując rodzinny sad, że wkłada w tę pracę całe swe zranione serce. Z nią było całkiem tak samo. Jej ręce były także pokryte bliznami po oparzeniach i nożu, bo i ona starała się pracą zagłuszyć tęsknotę za Chloe.

Westchnęła głośno, kiedy ucałował jej medalion; musiał wyczuć, że to, co w nim nosi, jest dla niej bezcenne. A potem zaczął całować jej piersi. Od iluż to lat nikt tego nie robił? Rozpięła mu dzinsy i zsunęła z bioder. Nie nosił bielizny. Uśmiechnęła się lekko, lecz pozostawiła to bez komentarza.

Wzięli się za ręce i poszli do łóżka. I znów wydawało się to tak naturalne, jakby była to codzienna rutyna. Tylko namiętność towarzysząca tym kilku krokom była tak wszechwładna, że napełniła Jane strachem.

— Od tak dawna tego nie robiłam... — szepnęła, gdy łagodnie położył ją na łóżku.

— Ja też.

Leżeli zwrócenii twarzami do siebie. Pragnęła widzieć jego twarz i oczy, odczytywać z nich każdą myśl. Przyciągnął ją do siebie i zaczął całować. Gęste włosy na jego piersi łaskotały ją w sutki, podniecając w niebywały sposób; jednocześnie chciało jej się śmiać.

— O rany!

— Właśnie miałem powiedzieć to samo! — Pogładziwszy krzywiznę jej biodra, zsunął dłoń na udo. Ona też dotknęła jego uda i zadrżała, napotkawszy bliźnę. Podparła się łokciem, aby ją obejrzeć, a potem łagodnie ucałowała to miejsce.

Było twarde i poszarpane jak kawałek zapętlonej liny. Po obu stronach aż do kolana biegły ślady po szwach i klamrach.

— Tu cię postrzelili... — Poczwała nagle zimny oddech śmierci.

— Tak.

— Dzięki Bogu, że żyjesz.

— Z dzisiejszego punktu widzenia tak — odrzekł, gładząc ją miękko po twarzy — ale wtedy... A zresztą w chwili gdy się to stało, byłem właściwie już martwy, bo ile jest życia w człowieku, gdy utraci on wiarę w miłość? Dopiero chyba tej wiosny zacząłem znowu w nią wierzyć.

Jane pocałowała go w szyję.

— A teraz? Czy teraz mocno w nią wierzysz?

— O, tak — powiedział żarliwie i zaczął dowodzić jej tego czynem, pieszcząc i całując każdy centymetr jej ciała.

Czując na sobie jego gorące usta, pomyślała, jakie to dziwne, że po tylu złych latach w Nowym Jorku jej ciało ożyło znów do miłości właśnie tutaj, wśród łąk i sadów dzieciństwa, i że sprawi! to taki mężczyzna jak Dylan. Pod jego dotykiem jej długo uspięte ciało wygięło się w drżący łuk, każdą komórką błagając o jeszcze.

Gdy zaczął pieścić jej intymne miejsce, otworzyła się przed nim, gorąca i pełna wilgoci jak wiosenny ogród po deszczu, a jej dłoń odszukała jego twardą męskość. Ich spojrzenia zwały się z sobą tak samo namiętnie jak ciała.

Gdy w nią wszedł, odczuła to tak, jakby nagle stali się jednością. Nierozłączną i niepodzielną. Czwała jego serce przy swoim i było to tak cudowne, że Izy stanęły jej w oczach. Drżącymi palcami musnęła jego policzek.

— Och, Jane — wyszeptał — nie miałem pojęcia, że może być tak... Nigdy nie czułem czegoś takiego.

— Ja też nie...

Oboje zamilkli, pozwalając swym ciałom ugasić płonący w nich ogień. Jane zamknęła oczy i uchwyciwszy się mosięż-

nych prętów, przywarła jeszcze mocniej do swego mężczyzny. I nagle nie była już w stanie powstrzymać wezbranej fali niosącej ją ku szczytowi. Czuła, że z nim także dzieje się to samo, że dla obojga gwiazdy tańczą na drzewach, a Ziemia wypada z orbity.

Opadła na poduszki wyczerpana i oszołomiona, lecz z górującym nad wszystkim uczuciem cudownej pełni. Dylan. Był tuż obok, czuła na szyi jego oddech. Wpatrzona w tańczące pod powiekami złociste drobinki światła, delikatnie dotknęła jego twarzy.

— Miałem ci coś powiedzieć, pamiętasz? — usłyszała jego szept. — Kocham cię, Jane. Właśnie to chciałem ci powiedzieć.

Wzięła go za rękę i ucałowała wszystkie pięć palców. To, co przeżyła, wprawiło ją w senny błogostan. Myśli stały się niespójne i zaczęły się z wolna rozplątywać. Jeszcze tylko myśl o tym, co powinna mu wyznać, nie pozwalała jej zasnąć, lecz i ona w końcu odpłynęła.

Pojawiły się sny. Najpierw był sad i gwiazdy tańczące na drzewach, potem otwarte okno na strychu, gdzie na półkach leżały martwe gwiazdy... Te gwiazdy nagle wróciły do życia, stały się dziewczynkami i zaczęły tańczyć... To były one... Isabel i Chloe... A potem siedziała przy stole z całą swoją rodziną: Dylanem i dwiema córkami.... Czuła na ustach jego pocałunki i dotyk jego ręki na swym obojczyku... W jego oczach pojawił się ten sam wyraz co przedtem w ciężarówce, gdy dziewczyny spytały, czyje zdjęcie nosi w medalionie. Och, wiedziała, co myśli: że to zdjęcie mężczyzny bliskiego jej sercu! Mylisz się, pragnęła krzyknąć, to nie żaden mężczyzna! To moja córka, o której ci chciałam powiedzieć... to...

— Chloe! — usłyszała jego głos.

Obudziła się nagle w jego łóżku. Pochylony nad nią, trzymał w ręku otwarty medalion, wpatrując się z osłupieniem w malutką fotografię Chloe.

ROZDZIAŁ 23

Jane pochwyciła otwarty medalion i zacisnęła go w dłoni.

— Dylanie!

— To Chloe! Skąd masz to zdjęcie! I po co ci ono? — spytał chrapliwie.

O Boże! Półprzytomna od snu i miłości, Jane z trudem zbierała myśli. Miała na sobie jego koszulkę, która zachowała zapach ich ciał. Czemu zwlekała z wyznaniem mu prawdy? Czemu go posłuchała, gdy powiedział, „teraz o tym nie myśl”? Usiadł na łóżku sztywno wyprostowany, miażdżąc ją wrogim spojrzeniem. Mimo ciemności widziała, jak gniewnie błyszczą mu oczy. Z sadu dobiegł nagle morderczy wrzask sowy ruszającej na polowanie.

Owinąwszy się prześcieradłem, usiadła, próbując wziąć go za rękę. Odsunął się od niej.

— Mam to samo zdjęcie albo bardzo podobne. — Wstał z łóżka i podszedł do biurka, skąd wrócił z fotografią parodniowej Chloe. Miała we włoskach kokardkę, malutką żółtą kokardkę, aby można ją było odróżnić od innych dzieci.

Jane ze zdławionym okrzykiem utkwiała wzrok w fotografii. Zdjęcie Dylana było znacznie większe od tego w jej medalionie, miało z osiemnaście centymetrów wysokości i dwanaście szerokości, widać więc było wszystkie szczegóły: malutkie, zwinięte w piąstki rączki, okrągłe policzki Chloe, jej gęste czarne włoski. Powieki miała mocno zaciśnięte, jakby chciała

zatrzymać jakiś piękny sen. A żółta kokardka wyglądała jak motyl. Tak samo jak na jej zdjęciu.

— Chloe — wyszeptała.

— Jane, ta fotka w twoim medalionie jest identyczna. Wszystko się zgadza, włosy, kokardka, wszystko! Odpowiedz, do diabła, skąd masz to zdjęcie?

— Chloe jest moją córką.

Nareszcie padły te słowa. Jane miała wrażenie, że wiatr, który w tym momencie wpadł do pokoju przez otwarte okno, porwał je i zaczął kręcić nimi młynka. Coraz głośniejsz dzwignęły jej w uszach. Dylan cofnął się jak oparzony, a jego twarz pokryła się ciemną czerwienią.

— Twoją córką ?

— Urodziłam ją, gdy miałam dwadzieścia lat. Kiedy byłam studentką... Dlatego rzuciłam studia... — przerwała z nadzieją, że może coś powie. Nic z tego.

Stał nieruchomo pośrodku pokoju ze wzrokiem utkwionym w jej twarz. Co widzi? Niebieskie oczy swojej bratanicy? Jej czarne włosy? Dołeczki w policzkach? Zmarszczkę między brwiami? Wysokie kości policzkowe? A może tylko cyniczną kobietę, która bez żadnych skrupułów nadużyła jego zaufania?

— Kochałam ją — powiedziała cicho. — Trzymałam w ramionach, kiedy robiono to zdjęcie. Tę wstążeczkę dała mi pielęgniarka... Poprosiłam, żeby zrobiła nam zdjęcie, mówiąc, że zawsze będę je nosić na piersi. Nigdy nie zdjęłam tego medalionu.

— Ale dlaczego... — zaczął mówić i urwał, jakby nie był w stanie zadać tego pytania. Jakby było dla niego zbyt trudne.

— Uległam perswazjom matki. Zaczęła mnie przekonywać, że tak będzie lepiej dla Chloe. Ze jestem za młoda. Ze muszę ukończyć studia. Że dziecko powinno mieć pełną rodzinę, matkę i ojca.

— Mego brata i Sharon...

— Moja matka zna twoją. Bardzo się przyjaźniły. Wiedziała, że twój brat i jego żona pragną dziecka. Wydawało jej się, że będzie to dla wszystkich dobre rozwiązanie.

— To prawda — rzucił szorstko.

— Ale ją pragnęłam zatrzymać! — szepnęła Jane. Ogarnęła ją rozpacz. Wszystko waliło się w gruzy, widziała to w oczach Dylana. Znienawidził ją za to, co zrobiła. Może nie tyle za wyrzeczenie się dziecka, ile za próbę odzyskania Chloe.

— Postąpiłaś słusznie — stwierdził chłodno. — Powierając ją dobrym ludziom, dałaś jej szansę na szczęśliwsze życie.

Och, nie! Jane patrzyła na to inaczej. Tym bardziej teraz, gdy stały się sobie tak bliskie. Teraz bardziej niż kiedykolwiek żałowała tych piętnastu lat, które przeżyły osobno — matka bez córki, córka bez matki.

— Lepiej już pójdę — powiedziała głośno. Mój Boże, jeszcze kilka minut temu była taka szczęśliwa w ramionach Dylana! Teraz czuła się naga i bezbronna. Narzuciwszy na siebie prześcieradło, wstała i zaczęła się ubierać.

On wciąż stał bez ruchu. W mroku rozjaśnionym jedynie lekką niebieską poświatą wyglądał jak posąg. Nie patrzy! na nią. Nie wykona! najmniejszego gestu, żeby ją zatrzymać. Dla niego nie byto jej już w tym pokoju. Próbowała znaleźć słowa, które mogłyby wszystko naprawić, zrozumiała jednak, że to niemożliwe. Przeszłości nie da się zmienić, jest, jaka jest. Żle postąpiła i musi za to zapłacić.

— Możesz mi odpowiedzieć na jedno pytanie?

— Tak, oczywiście. — Myślała już tylko o tym, jak go ma pożegnać.

— Chodzi mi o jej imię. Zażądałaś, by dziecko miało na imię „Chloe”. Taki by! warunek adopcji. Dlaczego tak ci na tym zależało?

Jane zamknęła oczy, przypominając sobie swe ostatnie chwile z małą córeczką. Tuląc Chloe do piersi, złożyła jej wtedy pewną obietnicę. Miał to być ich sekret, niezwykle intymny, chociaż bardzo prosty.

— Nie mogę ci tego powiedzieć.

Oczy mu stwardniały. Zrozumiała, że wykreślają ze swego życia.

— Wiem, że nie powinnam była tu przyjeżdżać. Masz mi za złe, że próbowałam zaistnieć w jej życiu, ale...

— Och, myślisz, że o to mi chodzi?

— Tak.

— Mylisz się, Jane. — Posąg zamienił się nagle w szalejącego olbrzymia. Widząc, jak wściekle krąży po pokoju, złąkla się, że za chwilę zacznie walić pięściami w ścianę. — Rozumiem, dlaczego musiałaś przyjechać — powiedział z gryzącą goryczą. — To akurat rozumiem doskonale! Chloe sama zresztą poprosiłaby cię o to, gdyby wiedziała, gdzie jesteś. Jest ciekawa swojej prawdziwej matki. Nie dziwię się temu, że chciałaś się do niej zbliżyć, chodzi o to, jak to zrobiłaś. Okłamałaś mnie, do cholery! Pozwoliłaś, żebym się w tobie zakochał!

— Dylanie! — Chciała do niego podejść, lecz spojrzenie, które jej rzucił, osadziło ją w miejscu.

— Pozwoliłaś, żebym ci zaufał, a ty? Ty ukryłaś przede mną coś takiego! Nie jakiś błahy sekrecik, ale coś, co mogło rozwalić moją rodzinę!

— Masz rację, przepraszam... — Kiedy powiedział, że ją rozumie, zaświtała jej nadzieja, że może jeszcze nie wszystko stracone, że zdoła wytłumaczyć swe postępowanie i uzyskać jego przebaczenie. Gdy mu opowie, jak ciężko jej było dźwigać przez całe swe dorosłe życie to straszne brzemię miłości do utraconego dziecka, powinien ją przecież zrozumieć.

— Nie! — powstrzyma! ją ruchem ręki.

— Och, mój drogi! — Pragnęła mu wyjaśnić, co taka bezgraniczna miłość, której w dodatku nie wolno nikomu wyjawiać, może zrobić z człowieka. Z niej zrobiła pustelnicę. Zamieniła ją w postać z bardzo smutnej bajki; w samotnego piekarza, który oprócz zwykłych ingrediencji, takich jak mąka i cukier, wrzuca do swej dzieży magiczne dodatki: tęsknotę, modlitwy, uściski, życzenia... Dla Chloe. Malutkiej, potem już dużej dziewczynki i tej dzisiejszej, ślicznej nastolatki...

— Wiesz co? — rzucił zimno. — Rzeczywiście lepiej już idź.

— Nie zdawałam sobie sprawy, czego się wyrzekłam i jak bardzo mi tego brakuje — powiedziała zdławionym głosem. — Zrozumiałam to dopiero teraz.

— No cóż, zatem już wiesz. Spędziłaś trochę czasu z córką.

— Mówiłam też o tobie. — Zabrzmiało to jak szloch.

— Zabawne. Pomyślałem akurat o tym samym.

Tuż za oknem zaskrzeczała znów sowa. Widać było, jak unosi się w górę, trzymając w szponach piszczącą rozpaczliwie zdobycz. Wielki skrzydlaty kształt na chwilę przesłonił gwiazdy. Nagła ciemność przejęła Jane dreszczem. Dylan ostentacyjnie zamilkł, dając jej do zrozumienia, że nie ma już o czym mówić.

Nie przestała go kochać, a on odrzucił jej miłość! Cóż mogła zrobić w takiej sytuacji? Wychodząc z jego domu, starała się już tylko zachować resztki godności. Cicho zamknęła za sobą drzwi. Gdy już wsiadła do samochodu, spojrzała w okno jego sypialni. Stał tam i patrzył na nią. Wydawał się wielki i groźny jak Nemezis, jak ktoś, kto właśnie położył kres jej marzeniom.

Ale to nie on, pomyślała.

Sama to zrobiłam.

Kiedy następnego ranka Chloe i Mona pojawiły się przy stoisku, słońce zaczynało już przygrzewać, lecz na wszystkim leżała jeszcze nocna rosa. Chloe wytarła ladę i półki, wyjęła z szafki proporce, swoje znaki drogowe i inne ozdoby i starannie rozmieściła je gdzie trzeba. Pracowała dzisiaj w milczeniu, choć w przeciwieństwie do Mony była rannym ptaszkiem i zwykle o tej porze kipiała energią.

Dziś jednak kiepsko się czuła — zbierało jej się na mdłości. Wprost marzyła o szklance zimnej wody. Najlepiej sodowej. To pewnie żołądek, myślała. A powód? Jej system trawienny nie znosi mięsa, a wczoraj zjadła ciasto, w które owinięte były małże. Mogło tam wnikać trochę wywaru z tych stworzeń... Mięso to mięso, czy pochodzi od wielkiej łaciatej krowy, czy małego mięczaka. Każde stworzenie chce żyć, więc może spotkała ją kara za popieranie handlu małżami?

Dylan dostarczył już dzisiejsze ciasto i też wygląda! nie-szczególnie. Koło ust biegły mu głębokie bruzdy, na czole rysowały się zmarszczki. Chloe przypomniał się okres zaraz po śmierci Isabel: wtedy wyglądał podobnie. Chciała go zapytać, co się stało, ale tak nędznie się czuła...

— Cóż to się dzieje z rodziną Chadwicków? — prychnęła Mona. — Ty się dąsasz, a Dylan się wścieka.

— Wcale się nie dąsam, tylko mnie mdli po tych małżach.

— Co?

— To kara za te biedactwa. Chcą mi dać do zrozumienia, że nie powinnam była jeść tego ciasta.

— Przestań! Były martwe. Usmażone. Małże w dodatku nie mają głosu. No i ty ich właściwie nie jadłaś. Jadłaś ciasto, które co najwyżej musnęło jakiegoś małża — zaprotestowała Mona.

Chloe zgromiła ją wzrokiem.

— Rób sobie, co chcesz, ale ja nie zamierzam tracić tak pięknego ranka na przejmowanie się losem smażonych mięczaków. Ani ich duchami — oświadczyła Mona. — Mnie jakoś żaden nie nawiedza. Ciekawe, co jego gryzie?

— Mówisz o Dylanie? Nie wiem. — Chloe odprowadziła wzrokiem traktor znikający akurat w głębi sadu. — Sama zadaję sobie to pytanie.

— Może Jane odstawiła go od piersi?

— Co z tobą, Mona? — zaśmiała się Chloe. — Skąd te niesmaczne aluzje?

— A cóż niesmacznego jest w seksie? Chyba że ma się do czynienia z takim gadem jak pewien Zeke. Hej, wiesz co? Mam pomysł. Zrobmy sobie tatuaże! Z rekinami! Mój będzie miał wstęgę z napisem: „Dziewica lekkich obyczajów”.

Chloe rozbawił ten pomysł.

— O tak! Już słyszę, co na to mówią moi rodzice!

— Mówię serio, Chloe. Przebijemy to jego dzieło sztuki. Utrzymemy draniowi nosa.

Chloe zaczęła się śmiać. Od dawna chciała mieć tatuaż, lecz myślała raczej o krowie lub owcy; dałaby w ten sposób wyraz przekonaniu, że te mordowane masowo zwierzęta mają prawo do życia i że trzeba ich bronić, ale rekin? Taka krwiożercza bestia sama potrafi o siebie zadbać.

— Przydałby ci się straszak na tego padalca — kusila ją Mona. — Jak zobaczy rekina, będzie umykał w podskokach.

— On się już tu nie pokaże. Oj! — Chloe chwyciła się nagle za brzuch.

— Też tak sędzę, chyba że... — Mona kpiarsko uniosła jedną brew — chyba że ta twoja dolegliwość to nie żadne zatrucie małżami, tylko poranne mdłości.

— Mona! — wykrzyknęła Chloe, kreśląc na piersi znak krzyża.

— Zastanów się nad tym.

— Nie... Nie chcę o tym nawet myśleć!

— Chloe!

Chloe zamknęła oczy i zaczęła coś liczyć na palcach. A jeśli za wcześnie zrobiła ten test? Kiedy właściwie powinna mieć okres? O rany! Sześć dni temu.

— O nie! — jęknęła.

Mona zamarła. Poczula się jak dowcipniś, który z czystej głupoty chciał nastraszyć słuchaczy bzdurną opowieścią o duchach i nagle widzi przed sobą wylaniającą się z mgły białą zjawę.

— Tylko mi nie mów, że ci się spóźnia!

— Sześć dni.

— Chloe, ja tylko żartowałam!

— A jeśli to naprawdę są poranne mdłości?

— Niemożliwe! Zrobiłaś to tylko raz. Właściwie nadal jesteś dziewicą. Prawie.

— Nie można być „prawie” dziewicą, ty głąbie!

— O Boże, przepraszam cię za to gadanie! Ta „dziewica lekkich obyczajów” to też był żart. Chciałam być dowcipna. Plotę czasami takie rzeczy, żeby pozbyć się swoich kompleksów.

— Nie musisz mi tego tłumaczyć — ciepło powiedziała Chloe, choć czuła, że zaczyna wpadać w panikę. — Jesteś ostatnią osobą, którą bym mogła uważać za panienkę lekkich obyczajów. Siebie zresztą też.

— I co teraz zamierzasz zrobić?

— Powtórzyć ten test, tylko że znowu mam ten sam problem co przedtem: jak to zrobić, żeby mnie nikt nie zobaczył, kiedy go będę kupować?

— Możesz przecież zadzwonić do Jane i poprosić, żeby ci kupiła albo pojechała z tobą do apteki.

Tak, była to dobra rada.

— Masz rację. Zadzwońię do Jane i zrobię test jeszcze raz.

Jadąc traktorem przez pole, Dylan tak kurczowo ścisnął kierownicę, jakby nie był pewien, czy nie puści jej w którejś chwili i nie stoczy się nagle pod koła. Czuł się zdradzony, wystrychnięty na dudka i wściekły. Musiało to być widoczne. Przed chwilą pochwycił pytające spojrzenie Chloe: Co ci się stało? Co się z tobą dzieje?

Dobre pytanie.

Jedno było pewne: nie upadłby tak nisko, gdyby nie pofrunął tak wysoko. Gdyby się nie dał tak ponieść nadziejom, żeby aż zrzucić swój pancierz. Powinien był wiedzieć, czym to grozi. Na pamięć znał cały ten psychologiczny bełkot, skąd bierze się taki pancierz i czemu służy. Tłumaczono mu na przykład, że każdy, kto popada w uzależnienie — za dużo pije czy pali, opycha się słodyczami czy od rana do wieczora gapi w telewizor — hoduje sobie skorupę, która ma go chronić przed bólem. Można to usłyszeć od każdego modnego psychologa. Aby postawić kropkę nad „i”, Dylan zapalił papierosa. Pierwszego od dwudziestu czterech godzin.

Owszem, wyhodował sobie pancierz, ciężki jak diabli, praktycznie nie do przebicia. Mógł iść w nim przez życie jak czołg. Jako agent mógł też nosić broń. Miał nawet kilka niezłych armat. Cały arsenał.

W razie konieczności strzelał bez pudła. Kiedyś jakiś zaćpany narkoman odtrącony przez eks-małżonkę, objętą programem ochrony świadków, rzucił się na niego z maczetą, aby się dobrać do żony, a on położył go jednym dobrze plasowanym strzałem. Nie próbował zranić przeciwnika — po prostu na zimno położył go trupem. Aby zabić w ten sposób człowieka, trzeba było mieć gruby pancierz; paradoks polegał na tym, że każdy taki akt wydatnie wzmacniał tę zbroję.

Inne rzeczy również działały w podobny sposób. To na przykład, że miało się piękną żonę, która zabawiała się z bogatym graczem w polo. Mężowi trudno byłoby w tych warunkach mieć serce na dłoni czy ujawniać jakkolwiek słabość. Nic dziwnego, że jego pancierz zaczął narastać w przyspieszonym

tempie. Zwłaszcza że wkrótce potem piękna żona zażądała separacji czy mówiąc ściślej, opuszczenia wspólnego mieszkania, tego mieszkania, w którym kilka lat wcześniej pojawiła się ich śliczna córeczka.

To, że na koniec trzeba było trzymać ją w ramionach, patrząc, jak umiera razem z tą samą, jedenastoletnią już wtedy córką, dokonało reszty. Pancierz zrosł się z ciałem. Stał się sarkofagiem pogrzebanych marzeń.

Dopóki nie pojawiła się Jane...

Wjechał pomiędzy rzędy jabłoni i zaczął rozrzucać sztuczny nawóz. Wcześniej już poddał badaniom próbki gleby, by ustalić wielkość dawek potasu, magnezu i wapnia. Jako że większość jego drzew znajdowała się jeszcze w fazie renowacji, nie stosował na razie azotu. Dziś jednak nie mógł się skupić nawet na tak prostej rzeczy jak sianie nawozu, zatrzymał więc traktor w cieniu półmartwej jabłoni i wyłączył silnik.

Zeskoczył z siodełka i usiadł pod drzewem oparty plecami o pień. Lubił czuć dotyk kory. Tylko drzewa były czymś pewnym, solidnym i przewidywalnym. Jeśli traktowało się je odpowiednio, zawsze reagowały w spodziewany sposób. Czy jakiegokolwiek drzewo tak dało się komuś we znaki, żeby musiał pogrubiać swój pancierz? Nigdy.

Przy Jane też nie musiał tego robić...

Spróbował się trochę odprężyć, słuchając dochodzących aż tu głosów dziewczyn. Rozmawiały z jakimś klientem. Słów nie był w stanie rozróżnić, lecz ich ton trochę go uspokoił.

Chloe o niczym nie wie. Eli i Sharon również. Tylko on zna ten cholerny sekret. Kobieta, której zaufał, której właśnie wyznał swą miłość, jest naturalną matką jego bratanicy! To jej pocałunki i uściski sprawiły, że się przed nią otworzył, odrzucił pancierz, wyjawiał jej swe uczucia, nie chcąc, by cokolwiek ich dzieliło! O tym, jak przeżył śmierć Isabel, powiedział jej więcej niż komukolwiek, niż tej terapeutce, do której skierowali go pracodawcy.

Taka była procedura. Zanim go wysłano na emeryturę, musiał obowiązkowo jeden dzień w tygodniu spędzać na kozetce. No dobra, ta pani doktor akurat nie miała kozetki, tylko

dwa krzesła. Gabinet zresztą był bardzo przytulny, z oknem wychodzącym na stojący naprzeciw kościół.

Siadał na tym krześle przez bite sześć tygodni i gapiąc się w kościół, starał się wymyślać takie odpowiedzi, które by świadczyły, że nic mu nie jest. Szło mu to całkiem dobrze. Gdy któregoś razu ogarnęła go taka wściekłość na Boga, że najchętniej wysadziłby ten kościół, poprosił tylko lekarkę o opuszczenie żaluzji, a ona pomyślała, że słońce razi go w oczy.

Kiedy się to skończyło — gdy jak mówiono, otrzymał wymaganą pomoc (na koszt państwa) — terapeutka uśmiechnęła się do niego z lekkim smutkiem. Była ładną i mądrą kobietą. Nawet ją polubił i gdyby był w stanie komukolwiek zwierzyć się z tego, co czuje, wybrałby właśnie ją.

— Czy pan wie — powiedziała — że tylko dwukrotnie wymienił pan jej imię?

— Co?

— Podczas wszystkich naszych sesji tylko dwa razy wypowiedział pan imię „Isabel”.

— Isabel — powtórzył głośno i wyraźnie.

— No dobrze, z tym będzie trzy. A dlaczego wypowiedział pan je teraz?

— Lubię dźwięk tego imienia — odrzekł, mrużąc oczy przed słońcem odbijającym się w rozetowym oknie kościoła, ale było to kłamstwo. Wypowiedział to imię, by dowieść same-mu sobie, że jest do tego zdolny.

Przy Jane nie musiał niczego sobie udowadniać.

Pragnął powiedzieć jej wszystko. Wysłuchałby i jej opowieści, jakakolwiek by ona była. Nie osądzałby Jane. Starałby się jej pomóc... Naprawdę? Ciekawe, w jaki sposób...

Tu niestety musiał przystopować, bo kto w takiej sytuacji potrafiłby znaleźć dobre rozwiązanie? Dobre rozwiązanie nie istniało. Cokolwiek by zrobił, byłoby złe. Zawsze ktoś by ucierpiał, albo Eli i Sharon, albo Jane. Zapatrzył się w pszczołę przelatującą z jednego polnego kwiatka na drugi. Brzęczała tak głośno, że dzwoniło mu od tego w uszach.

Tak czy inaczej Jane nie powinna była kłamać. Nie powinna była ukrywać prawdziwego celu swych wizyt, wkradać się

podstępem w łaski jego i Chloe ... Czy cokolwiek w jej słowach, w jej postępowaniu było prawdą?

Pszczoła kolistym lotem wzbija się nagle w górę. Patrzył, jak kreśli ósemki na tle błękitnego nieba. Jej skrzydełka poruszały się tak szybko, że w ogóle nie było ich widać. No cóż, wykonuje swoją pracę. Bez tego ten sad by umarł. Tak jak człowiek bez miłości. Czym było jego życie, zanim zjawiała się Jane? Czym w ogóle jest ludzkie życie? Niekończącą się próbą dokonania rzeczy niemożliwych.

Ten sad na przykład.

Przecież to jedna wielka niemożliwość, myślał, obserwując pszczołę. Wystarczy choćby wziąć pod uwagę, iż żadna jabloń nie jest w stanie sama się zapylić ani uczynić płodnym innego przedstawiciela swojego gatunku. Aby otrzymać owoce, zwłaszcza wysokiej klasy, konieczna jest mieszanka genów, trzeba więc sadzić obok siebie drzewa różnych odmian. Tylko że zaraz pojawia się kolejna trudność: żeby zapylały się nawzajem, musiałyby wszystkie kwitnąć równocześnie.

No właśnie: w jaki sposób człowiek — w dodatku emerytowany glina — miałby je do tego zmusić? A i to jeszcze nie koniec. Niektóre odmiany, takie jak jonagold, stayman, winesap czy mutsu, produkują jałowy pyłek; dopiero zapyłone pyłkiem innych odmian rodzą piękne jabłka. I kto by mógł tego dokonać, gdyby nie było pszczół? To one robią to co najważniejsze.

Znów zaczął myśleć o Jane i jej medalionie z zamkniętą w nim od lat piętnastu fotką Chloe, a potem o Chloe i jej oszukańczej próbie zyskania dostępu do swej adopcyjnej kartoteki.

O matce i córce owładniętych tą samą obsesją: odnaleźć się i połączyć. Cóż, obiektywnie rzecz biorąc, trudno im mieć to za złe, czemu więc cała ta sprawa budzi w nim tyle goryczy i złości?

ROZDZIAŁ 24

Po wyjściu od Dylana Jane zamiast jechać do domu, ruszyła w stronę szpitala. Zapragnęła nagle być z matką. Pragnienie to było tak silne, że nie sposób było mu się oprzeć. Wciąż jeszcze oszołomiona wydarzeniami tej nocy, zostawiła samochód przed wejściem i pojechała na górę.

Widok matki, która siedząc na łóżku, oglądała jakiś teleturniej, zaskoczył ją do tego stopnia, że zatrzymała się w drzwiach; trudno było uwierzyć, że jej inteligentną, wykształconą matkę mogło zainteresować coś takiego! W tym momencie akurat opalony na złoto, jasnowłosy gospodarz programu wręczał zwycięzcom kuchenki mikrofalowe.

— Dzień dobry, mamo.

— Och, to ty kochanie! — Margaret czym prędzej wyłączyła dźwięk. — No cóż, przyłapałaś mnie.

— Przyłapałam?

Na policzki matki wypłynął lekki rumieniec.

— Byłam tak śmiertelnie znudzona, że zaczęłam oglądać telewizję, choć przecież przysięgłam sobie nie otwierać za dnia tego pudła. Ale wiesz, te lekarstwa, którymi mnie tu faszerają, działają tak otępiająco, że zupełnie nie mogę czytać. Otwieram książkę i po kilku liniijkach już śpię.

Jane przystawiła krzeselko do łóżka.

— To rzeczywiście przykre. Wiem, jak lubisz czytać.

— Książki uratowały mi życie. Pozwoliły mi przetrwać najtrudniejsze chwile.

— Doskonale cię rozumiem — miękko powiedziała Jane.

Z nią było tak samo. Ją także książki podtrzymywały na duchu; pozwalały przynajmniej na chwilę oderwać się od szarej rzeczywistości i problemów codziennego życia, a ich autorzy i bohaterowie stawali się jej przyjaciółmi.

— Programy takie jak ten — powiedziała matka, wskazując ekran — to istna wata cukrowa. Słodkie i łatwe do przełknięcia, a im więcej ich łykasz, tym większą masz na nie ochotę. Tylko że potem czujesz się tak, jakby ci czegoś ubyło.

Jane słuchała tego, myśląc o Dylanie. O jego słowach i wyrazie oczu. Zrobiło jej się nagle tak zimno, że objęła się ramionami, aby opanować drżenie.

— Z literaturą jest inaczej — kontynuowała matka. — Każda książka, bez względu na to, jaka jest, wzbogaca nasz umysł, nawet jeśli to tylko romans czy sensacja. Książka to coś jakby pełny obiad dla duszy i serca... — Głos jej się nagle załamał. Chwyciła się za głowę i ukryła twarz w dłoniach.

— Co się stało, mamo?

— Tęsknię za moimi książkami! — zaszlochała matka.

— Już wkrótce będziesz je miała. Ta osoba z opieki, wiesz która, mówiła nam właśnie, że już niedługo stąd wyjdiesz.

— Do... do domu opieki! — jęknęła zdławionym głosem Margaret.

Jane czym prędzej ujęła ją za rękę. Przyszła tu myśląc, że spotkało ją coś strasznego i że kontakt z matką przyniesie jej ulgę, a tymczasem to matka wymaga pomocy i wsparcia. Ale w jaki sposób dowiedziała się o tym, że nie wraca do domu?

— Kto ci o tym mówił?

— Sylvia — Margaret pociągnęła nosem — wczoraj wieczorem.

Jane ogarnęło nagle głębokie poczucie winy. Nie przypuszczała, że Sylvia zamierza to zrobić... Ale może dopadła ją Abby i Sylvia uznała, że nie ma innego wyjścia. A ona w tym czasie była w Newport z Dylanem, Moną i Chloe. Gdybyż zamiast decydować się na tę wyprawę, pojechała do szpitala, tak jak obiecała siostrze! Wszystko potoczyłoby się inaczej.

Nie miałyby teraz wyrzutów sumienia, że zawiodła Sylwię w takiej chwili, a Dylan nie otworzyłby jej medalionu. Przeto-
czyła się przez nią fala gwałtownego żalu: gdyby można było
cofnąć czas!

— Uważasz, że dom opieki to dla mnie właściwe miejsce?
— spytała matka takim tonem, jakby rozmawiały o tym po raz
pierwszy.

— Wciąż ci się zdarzają te niebezpieczne upadki... — od-
rzekła Jane podobnym tonem, chociaż mówiła to już wiele
razy.

— I ciągle o czymś zapominam — Margaret zakryła oczy.
— Muszę ci powiedzieć, kochanie, że przed chwilą skłama-
łam. To nie lekarstwa powodują, że zapominam, co czytam.
To... po prostu dzieje się samo. Mój mózg przestaje funkcjo-
nować. Mój Boże! A byłam taka inteligentna!

— Och, mamo, nadal jesteś!

— Nie — matka z cichym łkaniem pokręciła głową.
— Z trudem nadążam już nawet za tym głupim teleturniejem.
Moje książki, moje kochane książki!

Jane mocniej uściśnęła szczupłą rękę matki. Czym są wię-
zy krwi? myślała. Czy łączy nas tylko to, że w naszych żyłach
płynie ta sama krew? Nie, to coś więcej, to dziedzictwo myśli
i uczuć. Czyż nie po tej kobiecie odziedziczyła miłość do lite-
ratury? To dzięki niej zrozumiała, jakie bogactwo symboli
i znaczeń kryje się w każdym słowie. I nie przypadek to spraw-
ił, że kocha ulubione książki swej matki, te o matkach
i córkach.

— Ach, Sylvio, ach Jane — westchnęła Margaret, jakby
znów zapomniała, która z nich jest przy niej. Podniosła do ust
ich złączone ręce, ucałowała dłoń Jane, a potem otarła nią
oczy. — Strasznie smutna dziś jesteś, kochanie. Przepraszam,
że zamęczam cię swoimi kłopotami.

Jane nie udało się uśmiechnąć. Tak strasznie było jej żal
matki! Cóż za okrucieństwo losu, że odbiera tej kobiecie
właśnie to, co najbardziej kocha — możliwość obcowania
z książką — tak jak mnie zabrał Chloe.

— Co ci jest, córeczko? Co cię tak gnębi? — Matka spoj-
rzała jej w oczy.

— Tęsknię za moją córką. Chcę być przy niej — wyszeptowała Jane.

Margaret zamilkła. Nie wypuszczając ręki Jane z uścisku, patrzyła na nią z wyrazem ogromnej czułości na swej gładkiej, wciąż jeszcze urodziwej twarzy. Prawie nie miała zmarszczek, co też w dużej mierze zawdzięczała swojej miłości do książek. Przez całe życie wolała czytać, niż przesiadywać na słońcu.

Jane nie potrafiła jaśniej wytłumaczyć, co się z nią teraz dzieje. Ta sama fizyczna konieczność, która ją tu przygnała — neodparte pragnienie, aby być z matką — pchała ją też w drugą stronę, w stronę Chloe. Nie miało to nic wspólnego z rozumem ani logiką; ten nakaz wypływał z serca.

Margaret nadal milczała, Jane zobaczyła jednak w jej oczach coś, co ją zdumiało: zrozumienie. Mój Boże, czy to możliwe, aby Margaret Porter, arbitralna dyrektorka szkoły, zawsze tak przekonana o własnej nieomyślności, nareszcie zrozumiała swój błąd? Czyżby teraz gdy zaczęły zawodzić jakieś połączenia nerwowe w jej mózgu, ich funkcję przejęło serce?

— Chciałam dla ciebie jak najlepiej — powiedziała w końcu — tylko nie rozumiałam, co jest dla ciebie najlepsze. Zgorzkniałam, gdy odszedł od nas wasz ojciec, zostawiając mnie samą z dwiema wrażliwymi, ogromnie inteligentnymi dziewczynkami. Gdy ten chłopak... Jeffrey... zrobił to, co zrobił...

— Sprawił, że zaszłam w ciążę — dopowiedziała Jane.

Jej matka wzdrygnęła się lekko, ale kiwnęła głową.

— Po prostu go znenawidziłam. Za to, że odebrał ci życiową szansę. Pozwoliłam, by na moim postępowaniu zaciążyło moje własne rozczarowanie i uraza do waszego ojca. Tak było, Jane. Twoja ciąża wydawała mi się krzywdą wyrządzoną mojej ukochanej córce. Zupełnie zapomniałam przy tym, że w całej tej sprawie liczy się ktoś jeszcze i że los tej istoty też mnie powinien obchodzić.

Jane z nagłym skurczem serca gwałtownie zamknęła oczy, zaraz jednak otworzyła je szeroko.

— Chloe — powiedziała matka.

Niemożliwe! Jane nie mogła uwierzyć własnym uszom. Matka nigdy dotąd nie wymieniła imienia jej córki. Tak upar-

cie broniła się nawet przed faktem samego istnienia swej wnuczki, że uczyniła z Chloe bezimienny abstrakt. Jane nie mieściło się w głowie, że nagle zmieniła zdanie.

— Wyrządziłam krzywdę tobie i jej — wyszeptała Margaret.

— Naprawdę tak uważasz?

— Tak. Nie mogę sobie darować, że liczyło się dla mnie tylko jedno: twoje wykształcenie. Pragnęłam, żebyś zrobiła karierę, została profesorem, byłaś przecież tak świetną anglistką, a dziecko... uważałam je za przeszkodę. Wiedziałam z doświadczenia, jak trudno samotnej matce wychować dziecko, ale wiesz, co ci powiem? Za nic w świecie bym się tego nie wyrzekła. Teraz to wiem.

Jane spontanicznie objęła matkę.

— Ale wtedy było inaczej — mówiła dalej Margaret. — Pamiętałam, ile trudu kosztowało mnie magisterium, jak ciężko mi było rywalizować z młodszymi studentkami, które nie miały żadnych obowiązków poza nauką, podczas gdy ja musiałam opiekować się wami i zarabiać na utrzymanie. A ty w dodatku byłaś taka młoda i zdolna! Mogłaś zawojować świat! I miałabyś wszystko to stracić? Uznałam, że nie mogę do tego dopuścić, że to moja matczyna powinność. No i zaczęłam działać. Z takim skutkiem, że pozbawiłam cię tego, co najbardziej liczy się w życiu.

— Och nie, mamo, nie rób sobie wyrzutów. Prawda, że cię o to oskarżałam, ale sama nie jestem bez winy. Dziś wiem, że w głębi duszy bałam się macierzyństwa. Może byłoby inaczej, gdybym wtedy zdawała sobie sprawę, co się ze mną stanie, jeśli nie zatrzymam Chloe.

— A co się stało? — Margaret ukryła twarz na jej ramieniu, jakby bała się tego, co może usłyszeć.

— Ta decyzja zmieniła mnie tak gruntownie, jakby mnie ktoś przenicował — cicho powiedziała Jane. Do dziś pamiętała tę chwilę, gdy wyjęto jej dziecko z ramion. I rozdzierający serce płacz malutkiej Chloe.

Zamilkły obie na długą chwilę. Abby Goodheart wetknęła głowę do pokoju, wycofała się jednak dyskretnie. Jane długo czekała na słowa, które padły dzisiaj z ust matki. Byłaby

szczęśliwa, gdyby nie to, co zaszło między nią a Dylanem... Prześladował ją wyraz jego oczu.

— Wiem, że ją widzisz — odezwała się matka. — Domyśliłam się, dokąd tak ciągle jeździsz.

— Jest taka cudowna.

— No pewnie. Czy twoja córka mogłaby być inna?

— Szkoda tylko...

Matka spojrzała na nią pytająco.

Jane popatrzyła w otwarte okno: powietrze dostrzegalnie drgało. Ze stojących na parkingu samochodów żar bił aż tutaj. Trudno jej było mówić o tym, co stało się w nocy...

— Jej wuj wie, kim jestem — powiedziała wreszcie. — Dowiedział się tego dzisiejszej nocy. Wszystko się skończyło.

— Co się skończyło?

— Nie będę już mogła widywać Chloe. Straciłam szansę uczestniczenia w jej życiu.

— Dlaczego tak myślisz?

— Bo mnie przyłapał na kłamstwie. Odkrył, że udawałam kogoś innego. Uważa mnie za podstępną, nic niewartą egoistkę i postara się przekonać o tym Chloe — gorzko odrzekła Jane.

Ku jej zdumieniu matka uśmiechnęła się na to.

— Czemu się uśmiechasz?

— Bo myślę, moja droga, że moja piramidalna głupota powinna cię czegoś nauczyć.

— Na przykład czego?

— Tego, że rodzice czy inni członkowie rodziny mimo najlepszych chęci zupełnie nas nie rozumieją i właśnie dlatego swoimi radami trafiają zwykle jak kulą w płot.

— Ale ona go lubi i wie, że wujek Dylan chce dla niej jak najlepiej.

— Tak jak ja dla ciebie...

Jane znów zobaczyła Dylana wpatrzonego w otwarty medalion, a potem wciskającego jej w rękę własną fotografię Chloe. Powiedział, że mnie kocha, więc czemu nie umie wybaćczyć? pomyślała z żalem.

— Tak bardzo ją kocham — szepnęła.

— Więc tym się powinnaś kierować.

— Ale on też ją kocha.

— Miłość to nie towar, na który można nałożyć embargo. Ona rządzi się własnymi prawami. Pamiętaj, co ci powiedziałam: idź za jej głosem.

— Zawsze mnie prowadziła — odrzekła Jane wstając, gdyż w tym momencie odezwała się jej komórka — tylko nie bardzo wiedziałam dokąd. — Sprawdziwszy numer abonenta, stwierdziła, że go nie zna, więc schowała telefon do kieszeni. Niech ten ktoś nagra wiadomość.

— A teraz już wiesz? — zapytała matka.

— Tak — odrzekła Jane, nachylając się nad łóżkiem.

Margaret pocałowała ją w czoło i w tej właśnie chwili w drzwiach ukazała się Sylvia. Już stamtąd posłała siostrze pełne wyrzutu spojrzenie.

— Miałaś być tutaj wczoraj wieczorem.

— Wiem, Sylvio, i bardzo przepraszam. Chyba zapomniałam, że miałaś spotkać się z Abby.

— Nie planowałam tego spotkania. Abby po prostu miała wolną chwilę, więc gdy zobaczyła nas w pokoju, mówię „nas”, bo był ze mną John, skorzystała z okazji... — Sylvia urwała, zerkając na matkę, która podparta poduszkami, siedziała cicho, zamknąwszy oczy. Widząc lekki uśmiezek błakający się wokół jej ust, Jane w pierwszej chwili pomyślała, że pewnie rozpamiętuje to wszystko, co powiedziały sobie pod koniec rozmowy, potem jednak spostrzegła, że jest w błędzie. Matka zasnęła. Może była to tylko krótka drzemka — teraz często jej się to zdarzało — ale głowa tak jej opadła, że podbródkiem dotykała piersi.

— Jak się dziś czuje? — spytała Sylvia.

— Smutno jej bez książek.

— Nie wygląda na smutną. Dawno już nie miała takich rumieńców.

— Rozmawialiśmy o Chloe — oznajmiła Jane.

Sylvia zrobiła wielkie oczy.

— Tak, wyobrazasz sobie? Wypowiedziała jej imię! Pierwszy raz w życiu!

— Mylisz się — stwierdziła Sylvia. — Przy mnie wymieniała je wiele razy. Bardzo często rozmawialiśmy o Chloe.

Mama nie próbowała udawać, że jej wnuczka nie istnieje, nie chciała tylko sprawiać ci bólu. Wydawało jej się, że jeśli nie będziemy o niej mówić, to może nie będziesz tak strasznie tęsknić.

— Jakim cudem? Przecież to niemożliwe.

— Wiem.

Przyglądając się Sylvii, Jane doszła do wniosku, że jej siostra ostatnio jest bardziej pogodna i jakby... pełniejsza wewnętrznie. To miłość tak ją zmieniła... nasyciła ciepłem i poczuciem pełni. Jane też zaczynała tak się czuć przy Dylanie. Och, lepiej o nim nie myśleć. Trzeba się skupić na Chloe. Wszystko jej wyjaśnić...

— Dobrze, że chociaż ty poznałaś Chloe.

— Oj, Janey — Sylvia uściśniła ją serdecznie — myślisz, że dotąd jej nie widywałam? Oczywiście, że tak, i to wiele razy. Mama zresztą też. Co roku bywała w jej szkole pod takim czy innym pretekstem. Była przecież dyrektorką liceum, która zawsze mogła znaleźć powód do „przyjacielskiej wizyty”. I po jednej czy dwóch takich „wizytacjach” zawsze już brała mnie z sobą.

— I co mówiła o Chloe?

— To samo co ja: że jest śliczna i że ma w sobie twojego ducha.

— Dziękuję, że mi to mówisz.

— Dziś w nocy... byłaś z nią i Dylanem?

Jane zapatrzyła się we własne ręce — takie same jak ręce Chloe — myśląc o wycieczce do Newport, o słonym wietrze wpadającym do kabiny ciężarówki i o pełnym urazy spojrzeniu Dylana. Ukradkiem zerknęła na Sylvie, lecz zaraz uciekła wzrokiem. Przed urodzeniem Chloe były sobie tak bliskie, ale potem się to zmieniło. Kiedy została matką.

Raczej widmem matki. Tak pełnym miłości jak każda prawdziwa matka na tym świecie, tyle że bez dziecka, któremu by ją mogła ofiarować. To ją zmieniło. Nic już nie było takie jak przedtem. Gdy więc teraz poczuła, że pragnie zwierzyć się Sylvii z tego, co stało się dzisiejszej nocy, ogarnęło ją wzruszenie; z trudem zdołała powstrzymać łzy.

— Co ci jest, Jane? — zaniepokoiła się Sylvia.

Jak dziwnie działa na nas miłość, myślała Jane. Dzięki niej i dla niej ludziom chce się żyć, lecz potrafi też łamać serca, kłamać i zdradzać. Łączyć rodziny lub je rozbijać, czasami za jednym zamachem. Teraz jej bezwzględny nakaz brzmiał: musisz najpierw pomówić z Chloe, powiedziec jej, kim jesteś. Wszystko inne musi poczekać.

— Czy możemy porozmawiać później? — spytała błagalnie. — Powiem ci wszystko, ale nie teraz.

— Dobrze — zgodziła się Sylvia, widać było jednak, że coś ją martwi.

Matka tymczasem ocknęła się z drzemki.

— Witajcie, dziewczyny — powiedziała, tłumiąc ziewanie. — A cóż to się z wami dzieje? Cały dzień jestem sama! Nie mogłam się was doczekać!

— Ależ mam, przecież jestem z tobą od godziny! — zawołała Jane ogarnięta nagłą paniką: czyżby matka zapomniała o ich rozmowie? O tyle rzeczy pragnęła ją jeszcze zapytać. Zwłaszcza o te wizyty w szkole Chloe. — Pamiętasz? Rozmawialiśmy o Chloe.

— Sza! — Matka przyłożyła palec do ust. — Nie wymawiaj jej imienia. Jane mogłaby usłyszeć i byłoby jej smutno...

— Pomówimy później — szepnęła Sylvia.

Objęły się i ucałowały.

Jane z ulgą przyjęła słowa siostry. Powinna być teraz sama i dobrze się zastanowić, co powiedziec córce.

Na okazję nie trzeba było długo czekać. W poczcie głosowej znalazła wiadomość od Chloe: „Jane, zadzwoń do mnie na komórkę Mony”.

Zaledwie wyszła za bramę szpitala, natychmiast wybrała numer.

— Mona? Mówi Jane.

— Och, cześć! Chloe zaraz podejdzie.

Czekając, aż Chloe zakończy transakcję, Jane wstrzymała oddech.

— Jane? — usłyszała po krótkiej chwili.

— Tak, Chloe, to ja — odrzekła w miarę spokojnie. Może Dylan jeszcze nic jej nie powiedział?

ZATAŃCZ ZE MNĄ

— Jane, możesz tu przyjechać? Potrzebna mi jest hm... druga „Pierwsza myśl”.

— Nie wygłupiaj się, Chloe! — dał się słyszeć głos Mony.
— Jesteśmy tu same, a ja przecież wiem o wszystkim!

— Już jadę — odrzekła Jane.

Postała jeszcze chwilę przed szpitalem, starając się stłumić lawinę emocji wywołanych zarówno tym, co usłyszała, jak i faktem, że to właśnie do niej Chloe zwróciła się z prośbą o pomoc.

ROZDZIAŁ 25

Zbliżało się południe. Dzień był tak upalny, że z chodnika buchała para. Stojąca przy drodze Chloe tęsknie zerknęła w stronę strumienia: jak dobrze byłoby zanurzyć się w wodzie! Być znowu dzieckiem, które może zapomnieć o swoich malutkich troskach i po prostu cieszyć się latem!

— O której Jane ma przyjechać? — spytała zza lady Mona. Obiecała trwać na stanowisku tak długo, jak będzie trzeba.

— Teraz już w każdej chwili — odrzekła Chloe, zwracając znów oczy na drogę. W brzuchu wciąż czuła przykre sensacje.

— Myśl pozytywnie. Mów swemu ciału, że nie może być w ciąży. Zobaczysz, że cię posłucha.

— Seks to zła rzecz — rzuciła Chloe przez zęby.

— Tak myślisz?

— Tak. — Czuła się okropnie. Ciekawe, czy też tak wygląda? Nad górną wargą zebrały jej się drobniutkie kropelki potu. Pamiętała pewną rodzinną wycieczkę promem na Błock Island, podczas której rozpętał się sztorm; prom stał się piekielną huśtawką, a ona strasznie cierpiała z powodu choroby morskiej. Prawie tak samo czuła się w tej chwili.

— Zobaczysz, wszystko będzie dobrze — powtórzyła Mona.

— Mam nadzieję.

Mona nagle zaczęła chichotać, zakrywając usta takim gestem, jakby chciała stłumić wybuch śmiechu.

— O co chodzi?

— O rany! Ależ dramatyczna scena! Całkiem jak w filmie. Słyszysz, mamy nawet podkład muzyczny: ćwir, ćwir, ćwir, bzum, bzum bzum!

Chloe mimo mdłości również zaczęła się śmiać.

— Ptaszki i pszczołki robią za orkiestrę!

Na drzewach roiło się wprost od ptaków — kardynałów, sójek, wróbli i zięb. Nad stodołą krążyły chmary jaskółek, niezmordowanie polując na muchy. Znad łąki i sadu niesło się niskie brzęczenie pszczół.

— Ja chyba mam chory umysł — zachnęła się Mona. — Kto to widział dowcipkować w takiej chwili? Ale nie mogłam się powstrzymać.

— Nie przejmuj się. Czasami tak jest — wielkodusznie stwierdziła Chloe. Sama też wołała śmiać się, niż płakać.

— Najgorsze, że tak naprawdę to nie był żaden dowcip, tylko zwyczajna złośliwość. I wiesz, teraz znowu nachodzi mnie coś takiego. Widząc cię przy tej drodze, mam wciąż przed oczami ten haftowany obrazek, który wisi u was w przedpokoju.

Chloe bez trudu odtworzyła go sobie w pamięci. Obrazek był dziełem matki, która wyhaftowała go zaraz po ślubie. Był tam biały domek i kawałek płotu, dalej sad, a na pagórku stara czerwona stodoła. Nad tym wszystkim widniał haftowany napis.

— „Pozwól, bym żyjąc w tym domu przy drodze, była zawsze życzliwa ludziom” — zacytowała Mona.

— To ja — zażartowała Chloe — osoba życzliwa ludziom.

— Nie o tym myślałam.

— A ja tak — mruknęła Chloe, krzywiąc się lekko; nawiedziła ją kolejna fala mdłości.

— Tak ładnie komponujesz się z tą drogą, że warto by namówić twoją mamę, żeby tam dodała coś jeszcze: ciebie.

Rzeczywiście. Chloe wyobraziła sobie matkę pracującą nad tym obrazkiem. Była wtedy młodą kobietą. Pomagała ojcu opiekować się dziadkiem i tak bardzo pragnęła dziecka! Czy marzyła o własnym maleństwie, gdy kołysząc się na bujaku, przeciągała przez kanwę kolorowe nitki? Cięża to przecież

najnormalniejsza rzecz w świecie; w tej chwili na przykład miliony kobiet oczekują narodzin dziecka, czemu więc nie udało się to Sharon? Zrobiło jej się nagle strasznie żal swej przybranej matki.

— Dlaczego tam stoisz? — usłyszała głos Dylana. Właśnie wyjechał z sadu.

— Czekam na kogoś! — zawołała, przekrzykując warkot silnika.

— Chcę z tobą pogadać.

Chloe nerwowo przestąpiła z nogi na nogę. Co robić? Zawsze bardzo lubiła z nim rozmawiać, ale teraz mogła myśleć tylko o jednym: żeby mieć już z głowy ten test. Jeśli jednak odmówi, Dylan zacznie podejrzewać, że coś jest nie tak.

— Możesz porozmawiać ze mną — rzuciła kokieteryjnie Mona.

Chloe miała ochotę ją za to uściskać. Dylan nawet się nie uśmiechnął. Naprawdę zamienił się znowu w ponurego kulawego starca, którym był przed Jane.

— Coś się stało? — spytała Mona. — Wydajesz się zdenerwowany.

— Nic się nie stało i nic mi nie jest. Przejdź się ze mną Chloe, mam ci coś do powiedzenia. Mona dopilnuje tu wszystkiego.

W tym momencie nadjechała Jane. Chloe zerknęła na wuja, pewna, że na widok ciasteczkowej pani zmięknie niczym masło na patelni, tymczasem ku jej zdziwieniu stało się odwrotnie. Wyglądał już teraz jak chmura gradowa.

— Dokąd to się wybieracie? — zawołał, gdy Chloe otworzyła drzwi.

— Niedaleko. To nie potrwa długo — odrzekła Jane wymijająco. Chloe była jej za to wdzięczna.

— Wsiądź, Chloe — rzucił ostro z rękami na drzwiach.

Jane nic nie powiedziała; patrzyła tylko na niego, a jej czarne rzęsy podnosiły się i opadały powolnym, łagodnym ruchem. Chloe pokochała ją za to. W kocim języku gestów takie mruganie było sygnałem przyjaźni. Mówiło o braku agresji i jak najlepszych zamiarach. Jeśli jednak Dylan zrozumiał ten

sygnał, to najwidoczniej nie chciał przyjąć go do wiadomości. Jego zielone oczy dosłownie ciskały gromy.

— Zatrzymaj się! — krzyknął, kiedy Jane bez słowa ruszyła z miejsca.

Chloe chciała spytać, o co tu chodzi, zrezygnowała jednak, widząc na twarzy Jane ten sam chmurny wyraz co u Dylana i pełne łez oczy. Tak więc to Jane spytała:

— Dobrze się czujesz, Chloe?

Chciała powiedzieć, że tak, ale byłoby to kłamstwo.

— Nie, strasznie mnie mdli.

— Boisz się, że to poranne mdłości?

— Tak. Może to zła karma, ale...

— Co z okresem?

— Spóźnia się — pośępnie odrzekła Chloe. Zapomniała już o Dylanie. Mogła teraz myśleć wyłącznie o swoich kłopotach. — Cały tydzień. Myślisz, że za wcześnie zrobiłam ten test?

— To możliwe — odrzekła Jane, ale chmury zniknęły z jej twarzy i uśmiechnęła się ciepło.

Chloe nękał jednak coraz to gorszy niepokój. Położywszy ukradkiem rękę na brzuchu, zadała sobie pytanie, co robi, jeśli rzeczywiście rośnie tam dziecko. Na samą myśl o tym doznała ataku paniki. Droga do szpitala w Twin Rivers — piętnaście minut jazdy! — wydała jej się nagle przeraźliwie długa. Czuła, że tego nie znieśie.

— Jedźmy do Crofton — poprosiła. — Jeśli ty kupisz test, nikt nie będzie nic podejrzewał.

— Dobrze — zgodziła się Jane, wyczuwając, co się z nią dzieje.

Gdy po paru minutach dotarły do centrum handlowego w Crofton, zaparkowała samochód przy wejściu do działu artykułów spożywczych i razem weszły do środka. Apteka znajdowała się w głównym pasażu, zaraz za magazynem strojów ślubnych. Jane zostawiła tam Chloe, a sama poszła po test.

Na korytarzu panował ruch jak na deptaku. Wszyscy tak się spieszyli, jakby chcieli czym prędzej załatwić sprawunki i natychmiast pobiec na plażę.

— Chloe? — rozległ się nagle okrzyk. Obróciwszy się dookoła, zobaczyła matkę z torbą od Langtry'ego, swojego ulubionego sklepu.

— Mama!

— Cóż to, kochanie, nie jesteś w pracy?

Chloe poczuła, że się czerwieni; zrobiło jej się gorąco. O Boże, będzie musiała skłamać, nie ma innego wyjścia.

— Jestem z przyjaciółką... — bąknęła niepewnie. — Ma tu coś do załatwienia.

Matka w tym momencie zorientowała się nagle, że po drugiej stronie korytarza znajduje się sklep zoologiczny, i twarz jej pobladła jak płótno.

— Chloe... Czy ty planujesz znów jakąś akcję?

— Akcję?

— No przecież widzę, gdzie stoisz. Nie urodziłam się wczoraj, moja panno. Przeciwno czemu dziś protestujesz?

— Nie, mamo, to nie żaden protest, przysięgam! — Zerknąwszy na wystawę sklepu, Chloe zobaczyła tam piękną arę przypiętą łańcuszkiem do drążka i kilka rozkosznych szczeniąt w wysłanych gazetami kojcach. Na ich widok zachciało jej się płakać. Ależ z niej samolub! Jak mogła tak zająć się sobą, żeby nawet nie dostrzec tych zwierząt?

— No więc o co chodzi tym razem? — powtórzyła matka. — O odłączanie szczeniaków od matek czy o kradzież papug z Amazonii?

— To nie jest jakaś tam papuga, tylko ara — uściśliła Chloe.

— Dla mnie może to być nawet łomignat białogłowy! — Matka chwyciła ją za rękę i błagalnie spojrzała w oczy. Było w tym tyle miłości i troski, że Chloe poczuła się podwójnie winna. — Posłuchaj, córeczko, twój ojciec musiał długo przekonywać Ace'a Fontaine'a, żeby nie składał na ciebie skargi, ale wiesz, co się stanie, jeśli znowu popełnisz jakieś wykroczenie: możesz zostać aresztowana! Wiem, że kochasz zwierzęta, i podziwiam twoje wielkie serce, ale błagam cię, Chloe, nie rób tego!

Musiała przerwać, bo Chloe rzuciła jej się na szyję i zaczęła ścisnąć z całej siły. Biedna mama! Myśli, że to jakaś

akcja w obronie zwierząt. O, gdyby wiedziała, o co naprawdę chodzi!

— Nie będę, mamó, obiecuję! — Czuła, że za chwilę się załamie i opowie matce o wszystkim. Jej wtosy tak ślicznie pachniały lawendą. Chloe kochała ten zapach, kojarzył jej się z dzieciństwem, kochała miękki dotyk ciała matki. Matka na szczęście nie starała się wyglądać jak Rhianna, która wiecznie była na diecie i pół życia spędzała w siłowni.

Sharon Chadwick lubiła ruch, ale innego rodzaju. Uwielbiała spacerować, a w domu, gdy myślała, że nikt jej nie widzi, włączała stare taśmy wideo i zaczynała tańczyć. Chloe pewnego razu przyłapała ją na tym. Z taśmy leciała muzyka „Into the Groove”, a ona tańczyła jak sama Madonna! Chloe poszła za jej przykładem i zaczęły razem hasać po pokoju. Mama nie była próżna, nie narzucała więc sobie żadnych morderczych ćwiczeń i choć tak świetnie tańczyła, nie robiła tego z jednym okiem w lustrze. Po prostu lubiła ruch.

— No, skoro obiecujesz, to ci wierzę — powiedziała, uwalniając się z objęć. — Gdzie Mona?

— Przy stoisku.

— Więc z kim tutaj jesteś?

W tym momencie z apteki wyłoniła się Jane z białą torbą w uniesionej ręce, lecz na widok Sharon ręka jej nagle opadła. Chloe żołądek podszedł do gardła — złękła się, że za chwilę zabrudzi tę lśniąca posadzkę.

Jane ukłoniła się Sharon.

— Dzień dobry.

Sharon uśmiechnęła się uprzejmie, wydawała się jednak trochę zbita z tropu.

— Dzień dobry pani.

— Mamó, to jest Jane, która piecze nam ciasta. Jane, to moja mama.

— Bardzo mi przyjemnie — powiedziała matka, ściskając dłoń Jane. — Tyle o pani słyszałam! A pani szarlotki są rewelacyjne!

— Dziękuję. — Jane stała bez ruchu, ściskając w rękę białą torbę. Oczy miała szeroko otwarte jak człowiek, który doznał szoku. Chloe mimo woli pomyślała, że ogromnie różni

się od matki, właściwie od wszystkich tutejszych matek — już choćby tylko ubraniem. Miała na sobie krótki czarny top ze srebrnymi napisami — z przodu „Om”, z tyłu „Shanti Yoga, Perry Street” — i do tego „wojskowe” biodrówki, spod których wystawał brzeg szortów z etykietką Calvina Kleina, a nieco wyżej na jej nagim biodrze widniała wytatuowana literka „C”. Chloe z pewnym zdziwieniem odnotowała fakt, że tak samo ubrana była w Newport, miała nawet te same czarne buty z mnóstwem metalowych okuć. Wyglądała w tym wszystkim bardzo młodzieżowo; modnie obcięte włosy opadały jej ukośnie na prawe oko.

Matka dla odmiany miała na sobie żółtą powiewną suknię w wielkie słoneczniki — był to model wybrany z jej ulubionego katalogu — na głowie słomkowy kapelusz, a na nogach wygodne sandaalki. Z uszu zwisały jej długie kolczyki z symbolami Słońca wplecionymi pomiędzy drobne perełki. Pod jej krótko obciętymi paznokciami rysowały się cieniutkie czarne obwódki — od ciągłego grzebania w ziemi. Emanowało z niej ciepło i jakieś dobre wibracje — jakby powiedzieli wyznawcy New Age'u — które u każdego, kto się z nią zetknął, natychmiast wywoływały uczucie ufności.

— Potrzebna mi była pomoc, pozwoliłam więc sobie wyciągnąć Chloe na zakupy — wyjaśniła Jane, chociaż matka **O** nic nie pytała.

— Moja dziewczynka! — uśmiechnęła się Sharon, otaczając Chloe ramieniem. — Lubi pomagać ludziom.

Chloe skurczyła się w sobie. Zawsze fatalnie się czuła, gdy musiała okłamać matkę, ale jeszcze nigdy tak jak teraz. To dzisiejsze kłamstwo było tak wielkiego kalibru, zwłaszcza że kryło się pod nim jeszcze kilka innych — to, że parę tygodni temu wymknęła się chyłkiem na randkę, że uprawiała seks, że być może jest teraz w ciąży. W tej chwili bardzo siebie nie lubiła.

Zerknąwszy spod oka na Jane, poczuła, że jej także nie darzy zbyt dużą sympatią. Tak gładko okłamała matkę! Wiedziała oczywiście, dlaczego Jane to zrobiła, nie zmieniło to jednak jej przekonania, iż kłamstwo zawsze pozostaje kłamstwem i zawsze jest złe — nawet gdy wynika z najlepszych intencji.

— Muszę już wracać — oznajmiła matce.

— Chcesz jechać ze mną? Wpadłam tu tylko po trochę słodkich drożdżków i właśnie szłam do samochodu.

Słowa „słodkie drożdżki” podziałały na Chloe jak cios nożem w serce. Miały w sobie ciepłą atmosferę domu i letnich wakacji, a teraz już zawsze będą jej się kojarzyć z nieuczciwością i kłamstwem. Ogarnął ją wstyd. Widząc, że Jane otwiera usta, może po to, żeby znowu skłamać, powiedziała szybko:

— Dziękuję, mamó, pojedę z Jane. Musimy wyładować ciasta...

— Tak, oczywiście — uśmiechnęła się matka. — Miło mi było panią poznać. Oboje z mężem bardzo byśmy chcieli zaprosić na kolację panią i Dylana. Jeśli pani pozwoli, zadzwonię i uzgodnimy termin.

— Dziękuję — odrzekła Jane z tak wątlym uśmiechem, jakby ta propozycja była jej zupełnie obojętna.

Patrząc za oddalającą się matką, Chloe miała ochotę biec za nią. Jane reprezentowała sobą świat dorosłych, wielkie miasto i niezależność, matka natomiast uosabiała to wszystko, co Chloe wiązała z dzieciństwem — dom, poczucie bezpieczeństwa, znane i kochane otoczenie. Uświadamiając to sobie, poczuła gwałtowny skurcz w gardle. Jane spojrzała na nią z niepokojem.

— Poszukamy łazienki? — spytała.

Chloe skinęła głową, nim jednak zdążyła ruszyć się z miejsca, żołądek wywinął jej koźła i nagle zwymiotowała — wprost na buty swoje i Jane.

Jane czym prędzej zaciągnęła do samochodu płaczącą ze wstydu Chloe. Doskonale zdawała sobie sprawę, co się z nią teraz dzieje i jak strasznie trudno jej było okłamać przybraną matkę. Dla niej samej był to okropny moment. Gdybyż można go było odwołać! Wyprostować jakoś to wszystko! Ha, ale jak? Czuła, że Chloe przeżywa kryzys psychiczny, a znając te stany z autopsji, wiedziała, jak bardzo cierpi. Wkrótce i Sharon przeżyje wstrząs... Kiedy tam, w centrum, patrzyły sobie w oczy, Jane bała się, że lada chwila tamta zobaczy prawdę.

Dziwne, że wciąż jeszcze nie dostrzegła podobieństwa, nie mówiąc już o tym, że przecież ona, Jane Porter, ma wypisaną na twarzy miłość do tej dziewczyny, którą obie uważają za córkę.

Powoli wyjechała z parkingu. Chloe poprosiła, żeby zawieźć ją w to samo miejsce, gdzie poprzednio robiła test, jechały więc znów na wschód, mijając po drodze najpierw Cherry Vale, a potem tablicę z napisem „Providence 16 kilometrów”.

Początek i koniec, myślała Jane. W Providence poczęta została jej córka, w Cherry Vale jej matka miała dożyć kresu swych dni. Poczuli się nagle jak podróżnik w czasie... Po chwili przed oczami mignął jej Dylan usiłujący nakłonić Chloe, żeby wysiadła z wozu. Kiedy w centrum handlowym zobaczyła Sharon, pomyślała nawet, że to on wysłał za nimi bratową.

Chloe także wydawała się pochłonięta własnymi myślami. Obie po raz pierwszy źle się czuły w swoim towarzystwie. Jane prześladowało niemiłe poczucie nieuczciwości i fałszu. Zaczęło się to w chwili, gdy musiała okłamać Sharon, mówiąc, że to ona wyciągnęła Chloe na zakupy. Chloe dostrzegalnie drgnęła w tym momencie. No tak, przekonała się nagle, z jaką łatwością przychodzi jej kłamać.

Nie tylko zresztą słowami. Wkrótce wyjdzie na jaw, że i całe jej postępowanie było jednym wielkim kłamstwem...

— Och, Chloe — westchnęła głośno.

Chloe zerknęła na nią z ukosa. Jakże inaczej było podczas ich pierwszej wyprawy. Chloe uważała ją wtedy za anioła, który sfrunął z nieba, by jej pomóc. Teraz obie czuły się fatalnie. Wszystko przez te kłamstwa.

Poczuli, że dłużej nie wolno jej zwlekać. Dylan zna prawdę i wkrótce wyjawí ją Chloe. Z sercem w gardle zjechała na pobocze i wyłączyła stacyjkę.

— Dlaczego się zatrzymałaś? — zdziwiła się Chloe.

— Spójrz na mnie — wykrztusiła Jane.

— O co chodzi?

— Nie widzisz?

— Czego?

— Naprawdę nie widzisz, kim jestem?

— Kim? No przecież... Masz na imię Jane... Jesteś naszą ciasteczkową panią... — Chloe spróbowała się roześmiać, czuła jednak, że Jane nie żartuje i że chodzi o coś ważnego.

Jane przez krótki moment starała się jeszcze powstrzymać. Tak mocno zacisnęła ręce, że paznokcie wbiły jej się w ciało, ale i to nie pomogło. Prawda zbyt mocno domagała się ujścia.

— Nie jestem tylko ciasteczkową panią — powiedziała bardzo łagodnie. — Przyjrzyj mi się i pomyśl.

W kabinie zapadła cisza. Jane miała wrażenie, że robi się coraz goręcej. Przez otwarte okna wdierał się do wnętrza przenikliwy sygnał samochodu rozwożącego lody. Wydawało się, że czas zwolnił tempo. Chloe wciąż siedziała w tej samej pozycji, ale jej spojrzenie nabrało teraz ostrości, a między ciemnymi brwiami zarysowała się głęboka zmarszczka. Jane wprost widziała, jak jej umysł łączy w całość rozproszone elementy układanki.

— Ty jesteś... — zaczęła mówić i urwała, gwałtownym ruchem zasłaniając usta.

— Twoją matką — dokończyła Jane.

— Moją...

— Jestem twoją prawdziwą matką.

Na twarzy Chloe odbił się najpierw taki wyraz, jakby nie rozumiała, co się do niej mówi, a potem oczy zrobiły jej się ogromne. Widać było, jak do jej świadomości przenikają kolejne odkrycia — że obie mają ten sam kolor oczu i rysunek ust, takie same kości policzkowe, takie same proste czarne włosy.

— Tak długo o tobie marzyłam... — wyszeptęła.

— Och, Chloe, a ja o tobie.

— Więc dlaczego...? Dlaczego mnie opuściłaś?

— Byłam młoda... Miałam wtedy niewiele więcej lat niż ty teraz.

— No to co? Ja bym nigdy nie oddała swego dziecka, a ty... Ty mnie porzuciłaś! Jak mogłaś?

— Zrobiłam to dla twego dobra. Uległam ludziom, którzy mi wmawiali, że tak trzeba, ale ja... ja nigdy nie przestałam

myśleć, że byt to straszliwy błąd. Że nie powinnam cię była oddawać.

— Moi rodzice mnie kochają...

— Wiem.

— A ty wyniosłaś mnie na strych. Nie byłam ci potrzebna, więc... usunęłaś mnie z oczu... — wyjąkała Chloe. Położyła głowę na kolanach, objęła ją ramionami i zaczęła rozpaczliwie szlochać.

Jane setki razy przeżyła w myślach tę chwilę. Czasami była to chwila cudownego zrozumienia i wybaczenia, której szczególnie tonęły w złocistej mgielce. Kiedy indziej pojednanie następowało po długiej żarliwej rozmowie, podczas której zdumione i zachwycone łączącym je podobieństwem, starały się ułożyć jakiś model swych dalszych stosunków, nigdy jednak nie wyobrażała sobie takiej sceny. Nie była przygotowana ani na te zwierzęce dźwięki wrywające się z ust jej córki, ani na to, że sama będzie odczuwać jej ból w taki sposób, jakby nadal połączone były pępownią.

— Chloe? — szepnęła z płaczem.

Ale Chloe była ślepa i głucha. Kłamstwo, prawda, strach przed kolejnym testem — za dużo tego było jak na jeden dzień. Skulona w pozycji płodu, szlochała wciąż tak rozdzierająco, jakby chciała wypłakać serce.

Co robić? Jane uznała, że może zrobić tylko jedno: odwieźć Chloe do domu, do ludzi, którzy ją kochają, ludzi, których ona nazywa rodzicami, i słusznie, bo to oni przez całe jej życie darzyli ją prawdziwą miłością i troską. Zawróciwszy samochód, ruszyła w drogę powrotną. Minęła Cherry Vale, potem centrum handlowe i po paru minutach znalazły się na skraju sadu.

Wyglądał z daleka jak baśniowa oaza zieleni. Na jego gałęziach widać już było zielone jabłuszka. Te wystawione na słońce lśniły jak klejnoty, jakby je wypełniało miękkie zielone światło. Mona na widok samochodu pomachała ręką; Jane odpowiedziała tym samym, minęła jednak stoisko i pojechała dalej. Chloe zdawała się nic nie widzieć.

Skręciwszy w podjazd prowadzący na posesję numer 114 przy Barn Swallow Way, zatrzymała samochód za furgonetką

Chadwicków. Przy pykającym tuż obok traktorze stał Dylan, a na podjeździe Sharon, która właśnie wróciła do domu — u jej stóp leżały rozsypane zakupy. Oboje wpatrywali się w samochód. Dylan twardo i oskarżycielsko, w oczach Sharon malował się szok i uraza.

Intencje Dylana nietrudno było odczytać: jak najszybciej wyciągnąć Chloe z samochodu. Ubrany był w dzinsy i niebieską koszulę, która jeszcze uwydatniała jego ciemną opaleniznę. Jane prześliznęła się wzrokiem po jego brązowych dłoniach z pięknymi długimi palcami, których dotyk wciąż jeszcze czuła na ciele, zabroniła sobie jednak o tym myśleć. Dla niego i jego bliskich stała się teraz wrogiem. Cóż, może mają rację... Stojąca tuż za nim Sharon usta miała twardo zaciśnięte.

Chloe nadal nie widziała nic i nikogo. Nie zwróciła uwagi nawet na okrzyk Dylana, gdy ten zawołał ją po imieniu. Dopiero po paru minutach, jakby budząc się z transu, podniosła oczy na Jane. Ileż było w nich bólu! Jane zrozumiała w owej chwili, że poczucie krzywdy, które jej córka nosiła w sobie latami, doszło teraz do głosu z tak ogromną siłą, że zagłuszyło w niej inne uczucia.

— Och, Chloe, nie chciałam sprawiać ci bólu — szepnęła bezradnie, bo cóż jeszcze mogła powiedzieć?

— Moje imię... — ochryple wyjąkała Chloe.

— Tak?

Widząc gniewne twarze przyciśnięte do szyby — Dylan sięgnął właśnie po klamkę — Jane zablokowała drzwi.

— Moi rodzice... chcieli dać mi na imię Emily... ale ty nie pozwoliłaś...

— No cóż, przepraszam. Wolałabyś być Emily?

Chloe pokręciła głową przecząco i Izy na nowo załały jej twarz, spływając strumieniem do ust.

— Nie... Jestem Chloe. To moje imię... — Mówiąc to, odblokowała zamek, co widząc Dylan szarpnął za klamkę, chwycił ją za rękę i czym prędzej wyciągnął z wozu. Zrobił to takim gestem, jakby ją wyrwał z rąk kidnapera. Sharon natychmiast chwyciła Chloe w objęcia, a ta z całej siły przytuliła się do swojej przybranej matki. Teraz płakały już obie.

LUANNE RICE

Gdy Jane na moment napotkała spojrzenie Dylana, zobaczyła w jego oczach wyraz, który mówił, że nie jest warta tych łez. Zobaczyła w nich pogardę pomieszaną ze straszną goryczą i żalem, ale wszystko to było niczym w porównaniu z udręką Chloe. Ta udręka dławiała jej gardło, odbierała mowę. Nie była w stanie tego znieść. Włączyła silnik i wycofała samochód z podjazdu.

Dopiero przy końcu starego płotu zauważyła dwie rzeczy: białą torbę z testem ciężowym pozostawioną przez Chloe i plamkę krwi na siedzeniu.

A więc sprawa wyjaśniła się sama, Chloe nie jest w ciąży, pomyślała z cieniem uśmiechu, który jednak zaraz się rozplynął.

Część trzecia

ŚWIATŁO SREBRNEGO KSIĘŻYCA

ROZDZIAŁ 26

Jakże ten czas tu się wlecze, dumiała Margaret. Czy w tym Cherry Vale potrzebne są w ogóle zegary? Kiedy dziś po raz pierwszy zerknęła na tarczę, była punkt dziewiąta, a za drugim razem zaledwie dziewiąta dziesięć, chociaż mogłaby przysiąc, że minęło co najmniej pół godziny. Z drugiej strony dni umykały nie wiadomo kiedy. Poniedziałek mieszał się z wtorkiem, wtorek ze środą i ani się człowiek obejrzał, był już następny tydzień. Tak nadszedł i minął najdłuższy dzień roku, a zaraz potem czwarty lipca — z posiłkami na świeżym powietrzu i śpiewaniem piosenek.

Na ścianie wisiał kalendarz, wielka prostokątna płachta, na której skreślano daty, a obok tablica informacyjna. Codziennie pojawiała się na niej nowa kartka, która miała przypominać mieszkańcom, że czas jednak nie stoi w miejscu. Ta dzisiejsza głosiła:

„Dzień dobry! Dziś jest
niedziela, 30. dzień lipca.

Pogoda: SŁONECZNA

(tu widniał rysunek uśmiechniętego słoneczka).

Temperatura: 32 stopnie.

Najbliższe święto państwowe: Dzień Pracy".

Siedząc na wózku obok dyżurki, Margaret z braku lepszego zajęcia gapiła się w ten rysunek. Była jedną z ośmiorga

rezydentów czekających na pielęgniarki, które miały ich zawieźć na lunch. Łysy mężczyzna po jej lewej stronie chrapał głośno, z półotwartych ust ciekła mu na ramię mało apetyczna strużka śliny. Na nosie miał okulary w złotej oprawie, a na kolanach otwarty egzemplarz „Wall Street Journal”.

Dżentelmen po drugiej stronie zdrapywał sobie z dłoni łuszczącą się skórę, a robił to tak zawzięcie, że Margaret nie mogła na to patrzeć: zaraz podrapie się do krwi! Już chciała mu zwrócić uwagę, lecz w porę ugryzła się w język. Przecież to nie jeden z jej uczniów, których setki razy zatrzymywała na korytarzu, by przekonać ich jak najłagodniej, że nie należy rozdrapywać bąbli po komarach czy trującym bluszczu. To były dzieci, a ten tutaj białowłosy mężczyzna w grubych rogowych okularach jest już na tyle dorosły, że sam powinien to wiedzieć.

Poruszyła się z trudem, by choć trochę zmienić pozycję, i do oczu nabiegły jej łzy. Czemu tak bołą ją stopy, mimo że w butach nosi magnesy? Dobrze, że chociaż biodro goi się jako tako, ale tyle godzin zmuszona jest spędzać na ćwiczeniach usprawniających, że nie ma już czasu ani na inne zajęcia, ani zawieranie znajomości. Znajomości! Zapach uryny bijący od niektórych mieszkańców jej piętra nie zachęcał do bliższych kontaktów.

Wątek myśli przerwały jej pielęgniarki. Co chwila któraś przebiegała obok z okrzykiem: „Halo, Jack”, „Witaj, Dorothy”, „Jak się masz, Sam?” — a krzyczały tak głośno, jakby wszyscy tu byli głusi.

Jej jednej nie pozdrawiano. Żadna z siostr nie zwracała się też do niej po imieniu. Była tu dopiero drugi miesiąc. Pielęgniarki pracujące w zwykłe dni zdążyły ją już poznać, ale dziś była niedziela, w dodatku trwały urlopy, więc dyżury pełniły różne obce osoby. Margaret wiedziała, co to znaczy pracować w dużej instytucji, i to jeszcze z chorymi ludźmi, próbowała więc sama nawiązywać kontakty z personelem, ale te niedzielne siostry... Owszem, uśmiechały się grzecznie czy nawet kłaniały, ale żadna nie mówiła „Witaj, Margaret!”

Pociągnąwszy nosem, wydobyła z rękawa chusteczkę i dyskretnie osuszyła oczy. Głowa do góry, Margaret. Nie

wolno mieć miny zbitego psa. Często powtarzała swym córkom i uczniom, że przez życie trzeba iść z uśmiechem. Wygląda się wtedy ładniej, a co ważniejsze, taka postawa zawsze w końcu przynosi sukces. Więc trzymaj się tej zasady, powiedziała sobie, zwłaszcza że nic innego ci nie pozostaje.

Rzuciwszy okiem na uśmiechnięte słoneczko, spróbowała też się uśmiechnąć, ale tylko z rezygnacją pokręciła głową. Musiało jej się przy tym wyrwać głośne westchnienie, bo drapiący rękę jegomość mruknął:

— Traktują nas tutaj jak dwunastolatków.

— Proszę? — zdziwiła się Margaret.

— Mówię o personelu i o tym rysunku. Co oni sobie myślą? Żeśmy zostawili rozum w przechowalni?

Margaret mimo woli parsknęła śmiechem.

— Ma pan rację, z drobną poprawką. Przez czterdzieści pięć lat uczyłam w szkole, więc wiem, co mówię. Taki rysunek byłby odpowiedni dla pierwszaków. Dwunastolatki są na to za mądre.

— Rzeczywiście, ale to jeszcze gorzej. Wcale nie mam ochoty w moim wieku stać się pięciolatkiem! Więc pani jest nauczycielką?

— Byłą dyrektorką liceum.

— Miło mi panią poznać. Ja byłem sędzią. Orzekałem w sprawach spadkowych. Zauważyła pani, jak się tu przedstawiamy? Każdy mówi o tym, co robił. Żeby nikt, broń Boże, sobie nie pomyślał, że jesteśmy kupą starych ramoli, którzy potrafią tylko przez cały dzień chrapać. Niech wiedzą, że kiedyś każdy z nas był kimś. Nazywam się Ralph Bingham.

— A ja Margaret Porter. Bardzo mi przyjemnie.

— Cała przyjemność po mojej stronie. Zauważyłem cię już wcześniej, ale przez ostatnie dwa tygodnie zmuszony byłem leżeć plackiem w łóżku. Mam problem z oczami... zaćma... Często bywasz w tym lokalu?

Margaret uśmiechnęła się z żartu, lecz jednocześnie zalała ją fala smutku.

— Niestety.

— Och, nie jest tu aż tak źle. Czyż zresztą może być źle w miejscu o takiej nazwie? „Cherry Vale"! Wszak to sama radość!

— Córki mi je wybrały — powiedziała Margaret ze łzami w głosie. — Mam dwie śliczne córki.

— A ja trzy. I syna.

— Miło mieć taką gromadkę.

— To zależy — burknął były sędzia. — Jeśli dziś się zjawią, tak jak obiecali, i zabiorą mnie na kolację, będzie miło, jeśli nie... Wciąż jeszcze mogę zmienić testament. A jak jest z tobą? Spodziewasz się dzisiaj córek?

— Ta młodsza, Sylvia, przyjedzie na pewno... Moja druga córka, Jane, wróciła do Nowego Jorku — dodała Margaret po krótkiej pauzie.

— Naprawdę?

— Tak. Była tu przez parę ostatnich tygodni, ale w Nowym Jorku prowadzi interes... bardzo znaną p i e t r u s z k ę...

— Co?

— Bardzo znaną... p i e c z ą t k ę — poprawiła się Margaret, i znów źle. Wiedziała, że to niewłaściwe słowo, ale to właściwe gdzieś jej umknęło. Z ogromną determinacją próbowała je sobie przypomnieć i och! wreszcie się udało. — Ojej, to znaczy piekarnię. Jane jest właścicielką bardzo znanej piekarni.

— Aha — mruknął Ralph.

— Jane... — zaczęła Margaret i zamilkła. Przypomniała sobie, że gdy widziały się ostatnim razem, Jane strasznie płakała... Przyjechała do Cherry Vale, żeby się pożegnać. Margaret podziękowała jej za wszystko i starała się ją przekonać, że powinna zobaczyć się z Chloe, Jane powiedziała jednak, że nie jest to dobry moment i że wraca do Nowego Jorku. Nie było sposobu, żeby ją zatrzymać.

— Nowy Jork nie leży znów tak daleko — powiedział Ralph, wyraźnie chcąc ją pocieszyć. — Będzie cię odwiedzać.

— Mam nadzieję — odrzekła Margaret. Czyż miała mu mówić, że mocno w to wątpi? Że dla Jane Rhode Island stało się znowu zakazaną strefą?

Ralph nie przestawał się drapać. Margaret stwierdziła, że brakuje mu kilku zębów, na szczęście tych mniej widocznych, i że w paru miejscach na policzku skóra też mu się łuszczy. Jego białej czuprynie przydałoby się mycie, no i trzeba by zrobić coś z łupieżem — na ciemnej kraciatej koszuli osiadło mnóstwo białych płatków — ale w sumie prezentował się nie najgorzej. Pomyślała, że kiedyś był z niego przystojny mężczyzna. Jako sędzia musiał budzić respekt, lecz zarazem i zaufanie. W jego inteligentnych, przesłoniętych zaćmą oczach malowała się dobroć. Gdy się do niej uśmiechnął, zobaczyła w nich współczucie; czyżby się domyślił, jak bardzo jej smutno z powodu Jane?

— Pozwól, że ci przedstawię mego przyjaciela. — Wyciągnąwszy rękę nad jej klatką piersiową, zaczął szarpać za ramię chrapiącego jegomościa. — Bill, hej, Bill, otwórz oczy! Mogłabyś obudzić go, Maggie?

„Maggie“? Zdziwiła się, słysząc to zdrobnienie, lecz jeszcze dziwniejsze było to, że bardzo jej się spodobało. Poszukała wzrokiem niezasłoniętego miejsca na ramieniu śpiącego dżentelmena i ostrożnie trąciła je palcem.

— Bardzo przepraszam — powiedziała grzecznie. — Bill, tak masz na imię, prawda? Ralph prosi, żebyś się obudził.

— Chrumpf? — spytał Bill, otwierając jedno oko. — Czy to dzwon na zamknięcie?

— Nie, Billy, to nie giełda, to Cherry Vale — odrzekł Ralph. — Obudź się i poznaj Maggie.

— Margaret — poprawiła go grzecznie.

— Och, brzmi to zbyt oficjalnie — zaprotestował Ralph.

— No cóż, jestem osobą dość konserwatywną.

— Była dyrektorką liceum — wtrącił Ralph, pochylając się w stronę Bilia.

— Hę?

— Margaret była dyrektorką liceum! — huknął Ralph.

— Wydawało mi się, że powiedziałaś „Maggie“! — odwrzasnął jego przyjaciel.

— Wszystko jedno — włączyła się Margaret, usiłując zachować godność w tej dość niekonwencjonalnej sytuacji: głowy starszych panów niemal stykały się nad jej piersią.

— Bill był maklerem giełdowym — poinformował ją Ralph.

— Miałem stanowisko na parkiecie giełdy nowojorskiej — rzucił z dumą Bill.

— Och! — westchnęła Margaret, starając się włożyć w to słówko stosowną dozę zachwyty.

— Masz jakieś akcje albo obligacje? — spytał przeraźliwie głośno były makler.

— Niewiele. Chyba wiesz, jakie niskie są pensje w oświacie.

— A mąż? Inwestuje? — zagrział jeszcze głośniej.

— Na litość boską, człowieku! — zirytował się Ralph. — Może każesz jej jeszcze pokazać książeczkę bankową! Meg, nie zwracaj na niego uwagi.

— „Meg”? — bąknęła Margaret.

— Meg albo Peggy, jeśli wolisz. Peggy to ładne imię dla dziewczyny.

Kpi sobie czy co, zachnęła się w duchu Margaret. Przecież to dialog jak z którejś ze sztuk Ionesco!

— Mam na imię Margaret — powiedziała lodowato.

Bill uspokajająco dotknął jej ręki.

— On jest jak kolec w tyłku. Nie da człowiekowi spokoju, póki nie wymyśli mu zdrobnienia. Dla niego ja jestem „Billy”, uważasz? Do licha, nikt mnie tak nie nazywał, odkąd moja matka odeszła z tego padolu.

— A on jakie ma zdrobnienie?

— Żadnego — odrzekł Ralph — i na tym polega mój problem. Co można zrobić z „Ralpha”? Zawsze pragnąłem nazywać się „Chip”, „Skip” albo „Terry” i nawet próbowałem, ale chyba nic z tego do mnie nie pasuje, bo jakoś nie chciało się przyjąć. O, gdybym miał takie imię, jak „Margaret” czy „Bill”...

Margaret obrzuciła go szybkim spojrzeniem i zamiast siwowłosego sędziego zobaczyła nagle uczniaka z piątej klasy — małego mola książkowego może nawet ze skłonnością do nadwagi. Te rogowe okulary dodające mu teraz dystynkcji musiały być prawdziwą klęską dla małego chłopca. Wyobrażając to sobie, posłała mu krzepiący uśmiech. W tym samym

momencie z Billem zaczęto działać się coś złego: zamiast słów z gardła wydobył mu się jakiś dziwny bełkot, a on, najwidoczniej zdając sobie sprawę, że zawodzi go zdolność wyrażania myśli, wybuchnął płaczem. Margaret czym prędzej wyciągnęła z rękawa chusteczkę i tym samym gestem, którym setki razy robiła to dzieciom, otarła mu oczy.

— No, no, już dobrze.

Znów wydał z siebie kilka nieartykułowanych dźwięków.

— Nie ma za co — odrzekła łagodnie. W ciągu swej wieoletniej praktyki pedagogicznej często pomagała dzieciom imigrantów zintegrować się z obcym dla nich otoczeniem. W swoim okręgu szkolnym wprowadziła też specjalny program nauczania dla dzieci z upośledzeniem słuchu. Nawet nie znając czyjzegoś języka, potrafiła zrozumieć go sercem. Niedomoga Billa przypomniała jej o własnych problemach. Na myśl o tym, że i ona utraciła tak wiele ze swych zdolności, ogarnął ją ogromny smutek, zaraz jednak powiedziała sobie, że powinna być wdzięczna losowi za to, co jej pozostało. Przede wszystkim za swoje dwie córki.

— Dobra z ciebie dziewczyna, Maggie — ciepło rzucił Ralph.

— Dziękuję — szepnęła, myśląc, jak szybko ucieka życie i jak trzeba sobie cenić każdą jego chwilę.

— Nie masz nam za co dziękować. Widzę, że się dobrze rozumiemy, więc trzymajmy się razem, co, Billy? Maggie to fantastyczny dodatek do naszego duetu, prawda?

Billy pokiwał głową, a że właśnie wróciła mu mowa, stwierdził z przekonaniem:

— O tak, na pewno. Jest jak róża pomiędzy dwoma cierńmi.

Zaraz potem nadeszły pielęgniarki, żeby ich zawieźć na lunch.

ROZDZIAŁ 27

Na kempingu było cudownie.

John miał wspaniały pomarańczowy namiot z granatową klapą, wykonany z tak doskonałego materiału, że mogliby obozować nawet na pustyni lub w Maine podczas mrozów i nie cierpieć z powodu gorąca czy zimna. Pogoda im zresztą sprzyjała. Podczas gdy Rhode Island nawiedziła w sierpniu fala upałów, w Maine panował rześki jesienny chłód; po jasnych, słonecznych dniach przychodziły zimne gwiazdzone noce.

Owinięci jednym śpiworem Sylvia i John siedzieli obok ogniska, tak jednak, by nie dokuczał im żar, i słuchając trzasku pękających polan, patrzyli w sierpniowe niebo, przez które co chwila przemykały spadające gwiazdy.

Planowali ten wyjazd na lipiec, zmienili jednak termin ze względu na matkę: postanowili poczekać, dopóki Margaret nie oswoi się z nową sytuacją. To John zdecydował, że trzeba przełożyć wyjazd i Sylvia była mu za to niewymownie wdzięczna. Musiał wyczuć, że nie byłaby w stanie cieszyć się wycieczką, gdyby nie miała pewności, że z matką wszystko w porządku. O matkę była już spokojna: ma dobrą opiekę w Cherry Vale, ale Jane...

Na myśl o siostrze Sylvie ogarnął smutek. Teraz gdy sama czuła się szczęśliwa, tym bardziej pragnęła, żeby i dla niej los okazał się trochę łaskawszy. Nie wiedziała dokładnie, co właściwie zaszło między Jane a Dylanem Chadwickiem, wiedziała tylko, że się rozstali i że jego stosunek do Jane uległ niestety

diametralnej zmianie. Co gorsza, podobnie było z Chloe. W poczcie głosowej Jane znalazła od niej wiadomość: Nie chcę cię więcej widzieć.

Zaraz potem Sylvia odwiozła siostrę na dworzec. Widok Jane wsiadającej do nowojorskiego pociągu ugodził ją w samo serce — wyglądała jak martwa z tym utkwionym w przestrzeń, nieruchomym wzrokiem i zaciśniętymi kurczowo szczękami.

Tak głęboko zatonęła w myślach, że drgnęła, słysząc głos Johna.

— Dobrze, że zmieniliśmy termin — powiedział z ustami tuż przy jej uchu.

— Termin?

— Tak, termin naszego wyjazdu. Pomyśl o wszystkim, cośmy oglądali w tym tygodniu, a co w lipcu mogło nas ominąć.

Zeszłej nocy widzieli zorzę polarną, a dzisiaj odbyli wspaniałą wycieczkę na Mount Kathadin, gdzie spotkali niedźwiedzicę z młodym. Teraz przytuleni do siebie podziwiali wyjątkowe widowisko: sierpniowy deszcz meteorów.

— Dziękuję, że tak to widzisz — powiedziała miękko.

— A czyż mógłbym inaczej?

Sylvia uściśnęła oplatające ją ramię. Była wdzięczna losowi, że na jej drodze życiowej postawił takiego mężczyznę jak John, mężczyznę, który tyle troski okazał jej matce i który w żadnej sytuacji, dobrej czy złej, nie traci spokoju ducha.

— Tu jest tak pięknie — westchnęła, spoglądając w niebo.
— Nawet sobie nie wyobrażałam...

— Czego? — John pocałował ją w kark.

— Że świat może być taki piękny. Och, często czytałam, jak cudownie jest spać pod gwiazdami czy wędrować po górskich szlakach, ale teraz dopiero widzę, że wszelkie słowa bledną w porównaniu z rzeczywistością.

— Ja przez całe życie odbywałam takie wycieczki, ale wszystkie one bledną w porównaniu z obecną. Bo ty jesteś ze mną.

Sylvia zaśmiała się cicho: I kto by pomyślał, że Sylvia Porter nagle pokocha naturę! Zawsze wolała siedzieć pod dachem. Nigdy nie uprawiała żadnych sportów, a urlopy spędzała tylko w jeden sposób: czytając. Teraz dzięki Johnowi

zaczynała rozumieć, dlaczego tak było: matka. Tak dotkliwie zraniło ją odejście męża — musiała go bardzo kochać! — że uciekła od życia w świat książek, zabierając ze sobą córki. Sylvia nie miała o to do niej żalu, przeciwnie, bardzo ceniła matkę za to, że obu swym córkom wszczepiła miłość do wiedzy i do literatury, teraz jednak poczuła, że równie cenna jest bliskość Johna, wspólny śpiwór, dotyk chłodnego powietrza na policzku, jęklivy krzyk nurów dobiegający znad ciemnej tafli jeziora. Warto było tego doświadczyć.

Do pełni szczęścia brakowało jej tylko jednego: zobaczyć radosną twarz Jane.

Bo czy można cieszyć się szczęściem, gdy ktoś bliski tak bardzo cierpi? Mimo swych ponad trzydziestu lat Sylvia dopiero teraz zakochała się po raz pierwszy. Do tej pory broniła się przed miłością — z obawy, że jeśli pozwoli przemówić sercu, mężczyzna, którego pokocha, opuści ją tak samo jak ojciec matkę. W jej życiu zresztą nie było miejsca na miłość. Jako licealistka każdą chwilę poświęcała nauce, żeby tylko dostać się na studia, a gdy wreszcie to osiągnęła, robiła znów wszystko, by się utrzymać w ścisłej czołówce najlepszych. Nie spotykała się z nikim również dlatego, że cały czas miała przed oczami tragiczny przykład swojej siostry. Był dla niej klasyczną ilustracją tego, czym grozi kobiecie miłość.

Tak więc nie pozwalała sercu dojść do głosu. Po studiach zamieszkała z matką, zaczęła pracować w bibliotece, czerpiąc z tego zresztą mnóstwo satysfakcji, i tak mijały lata.

Aż wreszcie pojawił się John. Dopiero on sprawił, że serce zaczęło jej bić innym rytmem, że w końcu zrozumiała, co to znaczy kochać. Gdyby nie on, nadal pewnie patrzyłaby na Jane z tym samym poczuciem wyższości co dawniej. W głębi duszy uważała wtedy, że jej starsza siostra sama jest sobie winna. Jak mogła dopuścić, by stało się to, co się stało? Później znów miała jej za złe, że nie potrafi się z tego otrząsnąć — przynajmniej na tyle, żeby regularnie przyjeżdżać do domu. Tak strasznie za nią tęskniła! Zapragnęła nagle zwierzyć się z tego Johnowi.

— Mogę ci coś powiedzieć?

— Oczywiście, kochanie.

— Chodzi o moją siostrę. Byłam dla niej niesprawiedliwa.
 — Pod jakim względem?
 — Przez wszystkie te lata, gdy mieszkała w Nowym Jorku, ja... byłam na nią wściekła. Uważałam, że w idiotyczny sposób zrujnowała sobie życie. Jak mogła tak się zapomnieć! Jak mogła pozwolić, żeby jeden moment słabości, no wiesz, z tym kolegą z uniwersytetu, przekreślił całą jej przyszłość? Ja oczywiście uważałam się za mądrzejszą — zakończyła zdławionym głosem.

— A teraz już tak nie myślisz?
 — Nie. — Sylvia stłumiła szloch.
 — Co kazało ci zmienić zdanie?
 — Ty. Dopóki cię nie poznałam, nie miałam pojęcia, co to jest miłość i jak na nas działa. Nie wyobrażałam sobie, że może być tak... wszechwładna.

— Dla mnie też jest taka. Dzięki tobie.
 Znad jeziora dobiegł ich znów krzyk nura — dziki, namiętny, niepowstrzymany jak krzyk rozpacz. Och, całkiem tak samo krzyczała Jane po rozstaniu z malutką Chloe. Sylvia nie potrafiła jej pomóc i czuła się wtedy tak strasznie bezsilna...

— Chciałabym choć teraz pomóc mojej siostrze — szepnęła pod wpływem tej myśli — ale znów nie wiem jak.

— Po prostu ją kochaj, nic więcej nie możesz zrobić — odrzekł John.

— Skąd tyle wiesz o miłości? — spytała z lekkim uśmiechem, bo widząc nad sobą jego wysokie czoło i brązowe, szeroko rozstawione oczy, poczuła koło serca miłe ciepło.

— Najpierw od rodziców, a później od ciebie.

— Żałuję, że nie znałam twoich rodziców. — Wiedziała od Johna, że oboje zmarli przed pięcioma laty; odeszli jedno po drugim w ciągu sześciu zaledwie miesięcy.

— Pokochaliby cię.

— Dzięki, mój drogi. Moja matka też cię kocha. Co do mego ojca...

— Twój ojciec nie zasługuje nawet na to, żeby nazywać go ojcem — John jeszcze mocniej oplótł ją ramieniem. — Naprawdę nie rozumiem, jak mógł was opuścić.

— Ja też nie.

— Dzieci muszą wiedzieć, że rodzice ich kochają bez względu na wszystko i że nic tego nigdy nie zmieni.

Tak, John ma rację, pomyślała Sylvia. Obie z Jane są żywym przykładem tego, co dzieje się z dziećmi opuszczonymi przez ojca, ojca, który ich nie kochał. Czy aby na pewno? przyszło jej nagle na myśl. Chloe całe swe życie spędziła bez matki, a jednak czy ktokolwiek w świecie bardziej kocha swe dziecko niż Jane?

— Znów myślisz o siostrze, prawda?

Sylvia skinęła głową.

— Spójrz w gwiazdy — uśmiechnął się John — i poprosz którąś, żeby spełniła twoje życzenie.

— Którąś z tych spadających?

— Właśnie. A teraz uważaj. Gdy zobaczymy następną, wypowiedz życzenie dla Jane. Żeby los jej pozwolił połączyć się z córką.

— Dobrze.

Minęła bardzo długa chwila. Sylvia z napięciem patrzyła w górę. Dziwne! Przez cały wieczór co minutę spadały dwie lub trzy gwiazdy, a teraz nagle ruch na niebie ustał. W kosmicznej pustce płonęły tylko gwiazdy Mlecznej Drogi, te jednak mocno tkwiły w firmamencie.

Sylvia czekała, myśląc o Jane. Przypominała ją sobie w różnych fazach życia: jako małą poważną dziewczynkę z czarnymi warkoczami, jako nastolatkę podróżującą autostopem do Hartford, aby szukać ojca, a potem młodą kobietę krzyczącą z rozpacz i żalu za utraconym dzieckiem. Na koniec ujrzała ją taką, jaka była minionej wiosny — rozkwitającą jak kwiat, gdy nareszcie poznała swą córkę i w jej życiu pojawił się Dylan.

— Kocham cię, Jane — powiedziała bezgłośnie.

I nagle po niebie przemknął meteor. Wyglądał jak płonący srebrny dysk, jak medalion noszony przez Jane na szyi, tyle że ten pozostawiał za sobą smugę ognia. Sylvia zerwała się na równe nogi, by lepiej widzieć jego lot. Mogłaby przysiąc, że ów rozżarzony kosmiczny okruch zmierza prosto ku tafli jeziora.

Wszystko jest możliwe, myślała. Cuda się zdarzają...

— Więc nie trać nadziei — wyszeptwała żarliwie, kierując te słowa nie tylko do swojej nieszczęśliwej siostry, ale i do siebie. Uwierz w miłość. Ona jest jak meteor. Przychodzi znikąd, gdy najmniej się tego spodziewamy, i zmienia cały nasz świat.

Meteor zniknął. Na niebie pozostała po nim tylko białoniebieskawa smuga, która nagle zszarzała i zgasła, tak że po chwili Sylvia nie była już pewna, czy naprawdę to wszystko widziała. Gdy jednak John wziął ją w ramiona, jego pocałunek rozjaśnił znów noc jak meteor.

— Widziałaś? — spytał Eli Chadwick na ganku swego domu w Rhode Island.

— Tak. Piękny meteor — odrzekła Sharon siedząca obok na schodkach.

— Chloe! — zawołał Eli. — Chodź tu i zobacz! Spadające gwiazdy!

Odpowiedzi nie było.

Sharon spojrzała w górę. Okno u Chloe było otwarte, w pokoju paliło się światło. Na parapecie siedziało kilka dzikich kotów, które swoim zwyczajem wdrapały się tam po rynnie. Jeden z nich miauknął donośnie, jakby chciał powiedzieć, że cieszy go ten piękny letni wieczór.

— Co ona tam robi? — sarknął Eli.

— Nie mam pojęcia.

— Poprosiła mnie o stare tygodniki. Kiedy potem zajrzałem do jej pokoju, coś z nich wycinała.

— Robi kolaż — domyśliła się Sharon. — Kiedyś pasjonowały się tym obie z Moną, myślałam jednak, że już im przeszło. — Wiedząc już teraz, o co chodzi, zaczęła nadśledziwać i rzeczywiście: z pokoju Chloe dobiegał miarowy szczełk nożyc.

— Trudno się wyznać w tym wszystkim — mruknął Eli. — Najpierw błagała, żebym jej pozwolił pracować przy tym stoisku, a teraz odkąd Dylan kupuje ciasta w hurtowni, praca zupełnie przestała ją interesować. Ach te nastolatki! Chyba jestem już na to za stary!

— Dobrze wiesz, że nie chodzi o ciasta.

— Jasne! Wszystko przez tę kobietę! — warknął Eli.
— Należałoby ją aresztować!

Zerknąwszy znów w okno Chloe, Sharon pokręciła głową.

— Nic dobrego by z tego nie wynikło.

— Nie miała prawa się tu zjawiać! Perfidna baba! Zamała im w głowach! Chloe i Dylanowi.

— Dylan jest dorosły. Sam potrafi o siebie zadbać. A zresztą... Nie zauważyłeś, jaki był szczęśliwy? Ja nie widziałam go takim od śmierci Isabel.

— Tylko mi nie mów, że nie masz do niej pretensji!

Sharon zamyśliła się nad tym pytaniem. Nawiedziła ją fala wspomnień sięgających wydarzeń bardziej bolesnych niż to, co stało się tego lata. Kiedy zginęła Isabel, Chloe przestała mówić. Sharon pamiętała własną bezsilność; choć robiła, co mogła, aby wyrwać ją z tego stanu, nic nie pomagało. Tylko Dylan potrafił się przebić przez ten ślepy mur jej rozpacz. Sharon podświadomie wiedziała, że łączy ich wspólne cierpienie. Że dobrze się rozumieją, bo Chloe zna ból i rozpacz po stracie kogoś bliskiego. Swojej prawdziwej matki.

Westchnęła, przypominając sobie własną wieloletnią tęsknotę za dzieckiem, a potem uczucia, które ją ogarnęły, gdy dokonali adopcji. Czego tam nie było! Niedowierzenie, zachwyty, ból, że to jednak nie własne, i w końcu szalona radość... Gdy Chloe weszła w ich życie, zmieniła jałową pustynię w ogród. Była darem niebios. Odpowiedzią na ich modlitwy. Dzięki niej poznali radości i frustracje rodzicielstwa. Kiedy wszystko układało się dobrze, gratulowali sobie podjętej decyzji, kiedy pojawiały się trudności, zaczynali się zastanawiać — Sharon myślała o tym ze wstydem! — jak by to było z ich własnym dzieckiem. Czy też by mieli takie kłopoty? Czy cechy Chloe, jej uczuciowość, upór, żarliwość w dążeniu do celu, są jej genetycznym dziedzictwem?

Robili wszystko, co mogli, aby ją ukształtować na swój obraz i podobieństwo, lecz na ile było to skuteczne? Chloe nosiła w sobie kod genetyczny swych biologicznych rodziców, i to on decydował o jej zachowaniach. Jej reakcje były w wielu wypadkach nieporównanie silniejsze niż odczucia przybranych rodziców. W dodatku przyniosła z sobą na świat zapisaną

w komórkach miłość do kobiety, która ją urodziła. A ta kobieta... Czyż można ją było potępiać za podobną miłość do córki?

— Żałuję swojej reakcji — powiedziała z żalem i skruchą.
— Bardzo źle się stało.

— O czym ty mówisz?

— O tej chwili, gdy Dylan wyjawiał mi prawdę o Jane, a ona akurat podjechała pod dom razem z Chloe.

— A jak miałaś zareagować? — obruszył się Eli. — Ta kobieta porwała nam córkę.

— Nie, to nieprawda. — Sharon znowu popadła w zadumę. Choć nie dane jej było zostać prawdziwą matką, wiedziała, co to znaczy kochać dziecko, kochać je całym sercem, każdą swą komórką. Tak właśnie kochała Chloe, rozumiała więc dobrze, co musiała odczuwać Jane Porter przez te wszystkie lata przeżyte bez córki. Chloe również tęskniła za swoją prawdziwą matką... Sama myśl o tym sprawiała jej ból, ale tak było. Tylko ślepy by tego nie dostrzegł.

— Nie mów takich rzeczy! — burknął Eli.

— Pamiętasz, jak Chloe w moich pantoflach i z fałszywą obrączką na palcu pojechała do sądu rodzinnego, żeby wycygnąć metrykę urodzenia?

— Nie przypominaj mi o tym!

— Żeby to zrobić, trzeba było mieć sporo determinacji.

— Daj spokój, Sharon — Eli wziął ją za rękę — to było wyjątkowo głupie. Napytała sobie tylko kłopotów. No a teraz? Spójrz, co się stało, gdy poznała tę swoją biologiczną matkę. Była szczęśliwa? Nie! Pamiętasz, jak płakała? A to, że znów zaniemówiła na całe trzy dni? Teraz dopiero zaczyna z tego wychodzić.

— Po prostu przeżyła szok. Trudno się temu dziwić.

— Chcesz powiedzieć, że po prostu była zaskoczona? O nie! To był wstrząs wywołany kłamstwami jej matki.

— A co twoim zdaniem ta kobieta miała zrobić? Zjawić się u nas tanecznym krokiem i beztrąsko oznajmić, kim jest? Już widzę, jak byśmy ją powitali!

— Powinna była trzymać się od nas z daleka, zamiast wkraść się tu jak złodziej! Powinna była kierować się dobrem Chloe, a nie swoimi egoistycznymi kapryсами. Nagle zachcia-

ło jej się być matką! Ładna mi matka! Gdyby kochała dziecko, toby się go nie wyrzekła! A kto, jak nie ona, szesnaście lat temu podpisał zrzeczenie się praw rodzicielskich?

Sharon widziała, że Eli robi się coraz czerwieńszy, i kochała go za to. Jest wściekły, myślała z czułością, bo po prostu się boi, że ktoś mógłby odebrać mu córkę. Och, gotów jest zębami i pazurami bronić swojej rodziny. Ciekawe, czy jeszcze pamięta, że nie zgadzał się na adopcję? Uważał, że jeśli Pan Bóg uznał za stosowne odmówić im radości rodzicielstwa — nie należy się sprzeciwiać Jego woli.

Widocznie już o tym zapomniał, no i nic dziwnego. Oboje nie byli w stanie wyobrazić sobie już teraz życia bez Chloe. Stała się treścią całej ich egzystencji. Była częścią wszystkiego, co ich otaczało, jak choćby te koty płaczące się pod nogami, miauczące na płocie, wyskakujące znienacka z krzaków. Wszystkie one żyły dzięki Chloe. Nawet Eli już je zaakceptował, choć dawniej by nie zniósł ich towarzystwa. Był chłopakiem wychowanym na farmie, który nie miał sentymentu do bezpańskich zwierząt.

Chloe nadawała sens ich dniom i nocom. Z nią wiązali wszystkie swoje plany i marzenia. Cokolwiek robili, robili dla niej. Stała się ich ukochaną córką, chociaż urodziła ją Jane Porter. Sharon była jej za to bezgranicznie wdzięczna.

Dlatego właśnie było jej teraz tak przykro, kiedy zaczynała myśleć o swym zachowaniu, w chwili gdy Jane odwiozła Chloe do domu. Wpadła wtedy w furję, i to taką jak chyba nigdy w życiu. To widok Dylana doprowadził ją do tego stanu. Wciąż jeszcze nie mogła zapomnieć jego zrozpaczonych oczu i łamiącego się głosu, gdy zaczął mówić, czego dowiedział się właśnie o Jane.

Patrząc na to wstecz, Sharon zrozumiała, dlaczego był taki wzburzony. W przeciwieństwie do swego brata nie miał Jane za złe tego, że chciała poznać swoje dziecko. Chodziło o to, że poczuł się strasznie dotknięty — zdradzony i oszukany — bo oto po latach nieszczęśliwego małżeństwa z kobietą, która go nie kochała, po stracie ukochanej córki Dylan Chadwick wreszcie się zakochał, głęboko i prawdziwie, a jego wybranka, jak sądził, po prostu go wykorzystała.

Och, Sharon dobrze wiedziała, co znaczy prawdziwie kochać. Ona taką miłością darzyła swojego męża. Był jej kochankiem, najlepszym przyjacielem i partnerem. Był towarzyszem jej życia.

Prawdziwą miłością darzyła też Chloe — biologia nie miała żadnego znaczenia. Wiedziała, że będzie ją kochać do końca swych dni, że w razie potrzeby z radością oddałaby za nią swe życie, i że w imię tej miłości musi zacząć działać. Na szczęście jest jeszcze czas, można jeszcze ponaprawiać błędy.

Pragnęła to zrobić również dlatego, że kochała swojego szwagra. Był jej równie bliski jak Eli i Chloe. Potrzebował pomocy, chociaż nie chciał się do tego przyznać. Stał się znów tak samotnym, ponurym milczkiem, jakim był przez ostatnie lata, a ona nie mogła na to patrzeć. Nie zwracając już uwagi na sierpniowy deszcz meteorów, zdecydowanie wstała ze schodków.

— Pójdiesz ze mną na spacer? — spytała, otrzepując z pyłu spódnice.

— A dokąd to się wybierasz?

— Przejdę się trochę po sadzie.

— O nie! — odparł Eli. — Przecież wiesz, co myślę o tym diabelnym sadzie. Kiedy ten Dylan nareszcie oprzytomnieje? Do licha, siedzimy na żyłach złota, ale jego to nie interesuje! Zamiast puścić tam buldożery i pobudować eleganckie domki dla młodych małżeństw, on woli się bawić w obcinanie gałązek! I co z tego za pożytek?

— W porządku, kochanie — Sharon pocałowała go w czubek głowy — posiedź tu sobie, za chwilę wrócę.

— Jak zobaczysz mojego upartego brata, spróbuj mu przemówić do rozumu.

— To właśnie zamierzam zrobić — odrzekła Sharon.

ROZDZIAŁ 28

Dylan siedział w kuchni, trzymając w jednym ręku nóż, a w drugim jabłko — pierwsze w tym roku rumiane empire. Ukroił sobie kawałek, aby sprawdzić, jaki ma smak, a potem czubkiem noża wydłubał ze środka pięć ziaren i ułożył je na stole w kręgu światła wiszącej lampy.

Myślał o Johnie Chapmanie, bożym dziwaku, który wędrował po kraju w łachmanach, dźwigając na plecach skórzany worek wypełniony ziarnami jabłek. Mówiono o nim „Johnny Appleseed”.^{*} Jabłkosiej sypiał pod drzewami w towarzystwie dzikich oposów, a zamiast kapelusza nosił na głowie blaszany rondel. Ludzie uważali go za wariata, ale kochali za to, co im po sobie zostawiał.

Dylan w zamyśleniu przesunął ziarna po stole. Jesteśmy tym, co zostawiamy po sobie. Tak właśnie traktował swoje dziedzictwo. Sad był dla niego nie tylko cenną pamiątką po ojcu, lecz i żywym pomnikiem jego rodziny. Kiedy on i Eli mieli po kilka lat, inne dzieci wciąż im dokuczały. Nazwiska „Chadwick” i „Chapman” brzmiały dość podobnie, wołano więc za nimi, „patrzcie, to Dylan Jabłkosiej” albo „hej, Eli durny Jabłkosieju, ile zjadłeś dziś zgniłych jabłek?” Dylan nie przejmował się tym tak jak Eli. A potem przez wszystkie te lata w Waszyngtonie i Nowym Jorku wciąż myślał o tym, żeby tu wrócić, poczuć pod stopami ten kawałek ziemi, który zostawił im ojciec.

^{*} Appleseed — dosłownie: ziarnko jabłka (przyp. tłum.).

Zaciągnąwszy się papierosem, zerknął na zdjęcie swej córki. Wydawała się tak żywa, tak podekscytowana, jakby za chwilę miała wyskoczyć ze zdjęcia i rzucić mu się na szyję. Za życia bywała tu niezbyt często, a teraz bez przerwy czuł jej obecność.

Gdy znowu spojrzął na stół, przyszło mu na myśl, że w tych czarnych malutkich ziarenkach zawarte są wszystkie sekrety i całe dzieje gatunku — jego przeszłość i przyszłość. Wydawały się martwe, a przecież wystarczyłoby je zasadzić, by wyrosły z nich drzewa i zaczęły rodzić owoce.

Życie musi trwać. Ma na to swoje sposoby — tajemnicze i romantyczne — czy będzie to życie jabłoni czy ludzi. Z ziarenek wyrastają drzewa, ludzie wychowują dzieci — i tak przedłużają łańcuch życia. Ci, którzy nie mają dzieci albo je stracili, przerywają ów łańcuch, ale czy dla świata ma to jakieś znaczenie?

Słyszac odgłos czyichś kroków na ścieżce, Dylan podniósł głowę. Zaraz potem ktoś wszedł na schodki. Któż to może być, u licha? Nie miał ochoty z nikim rozmawiać; specjalnie nie zostawił światła na werandzie.

— Dylanie? — usłyszał głos Sharon.

Stała za drzwiami oszklonymi matową szybą, osłaniając oczy stulonymi dłońmi. Miał ochotę powiedzieć, żeby sobie poszła, ale przecież nie mógł tego zrobić.

— Wejdz.

Do twarzy jej było z tą letnią opalenizną. Miała na sobie długą czarną suknię, która natychmiast skojarzyła mu się z Jane — najczęściej widywał ją w czerni.

— Co cię tu sprowadza? — spytał niezbyt zachęcająco.

— Ty — odrzekła krótko, wcale niezrażona jego tonem.

Ubyło mu trochę pewności siebie, ale nadal patrzy! na nią twardo. Uwielbiał swoją bratową, w tej chwili jednak nie miał ochoty jej słuchać, obojętne, co by to było. Zmrużywszy oczy, rzucił przez zęby:

— Przestań.

— Nie mów mi „przestań"! Co ty sobie myślisz? To ty wpakowałeś nas w tę kabałę, więc teraz nas z niej wyciągnij.

— W jaką kabałę?

— Dobrze wiesz. To ty dałeś Chloe pracę przy stoisku.

— No i ma ją nadal, a że trochę jej się znudziło? To naturalne, przecież to jeszcze dzieciak.

— Nie cierpi tych ciast, które teraz sprzedajesz.

Dylan znów spojrzął na nią w taki sposób, jakby miał przed sobą niepoprawnego przestępcę.

— Tym ciastom nic nie brakuje.

— Czyżby! — zakpiła Sharon. — Tyle że smakują jak tekstura.

Widząc, że z furią zaciągnął się dymem, chwyciła go za rękę.

— Co znowu? — warknął.

— Daj mi tego peta.

Umknął przed nią, odchylając się do tyłu. W dawnych czasach, gdy nie był jeszcze żonaty, wymykali się z Sharon za stodołę na dymka, tak by nie widział tego Eli. Uczyła się puszczać kółka, a jemu kazała opowiadać o dzieciństwie swojego męża. A niech tam! Machnął ręką i oddał jej papierosa.

Teraz ona zaciągnęła się dymem i wypuściwszy trzy koncentryczne, idealnie okrągłe kółeczka, uśmiechnęła się z satysfakcją.

— No i popatrz: wciąż jeszcze to umiem!

— Rzeczywiście... hej, co ty robisz? — krzyknął, gdy gwałtownym ruchem zdusiła papierosa w popielniczce.

— Dość tego!

— Czego?

— Izolacji, nieszczęścia, niszczenia samego siebie. A to? Ładny przykład dajesz bratanicy, paląc jak komin!

— Nigdzie tu nie widzę swojej bratanicy.

— Więc pomyśl o Isabel, o tym, co by ona powiedziała.

— Idź do diabła! — warknął gniewnie, zanim zdążył pomyśleć, co mówi. Był urażony i wściekły, zaraz jednak zrobiło mu się wstyd. Kochał Sharon i nie chciał jej sprawiać przykrości. — Wybacz mi — mruknął ze skrucą, ściskając jej rękę.

Nie wydawała się wcale dotknięta.

— Jakoś to zniosę — powiedziała miękko.

— Ja nie mogę.

— Wiem, Dylanie.

Pomyślał, że to wątpliwe. Czy ona zdaje sobie sprawę, jak działa na niego ta kuchnia? Gdziekolwiek spojrzal, widział coś, co przypominało mu przeszłość — zdjęcie Isabel i Chloe, matczyne foremki do pieczenia, ojcowską laskę i te fabryczne ciasta, które prawem kontrastu kazały mu myśleć o Jane.

— Wciąż myślisz o tym, co się stało, prawda? — cicho rzuciła Sharon.

Nie odpowiedział, wpatrzony nieruchomym wzrokiem w leżące na stole ziarenka.

— Wiem, jak się czujesz. Mnie też było ciężko. Jeszcze teraz czasami diabelnie mi to doskwiera, ale w sumie jestem zadowolona, że stało się, jak się stało.

— Zadowolona?

— Tak.

— Jak możesz tak mówić? Widziałas przecież, co działo się z Chloe. Od śmierci Isabel nie była tak zdenerwowana.

— Czy to aż takie nieszczęście?

— Dla mnie tak — bąknął zdumiony Dylan. — Ciebie to nie martwi?

— Nie, bo świadczy to tylko o skali jej uczuć. Wszystko przeżywa bardzo głęboko. Przekonaliśmy się o tym już wiele razy. A ta sprawa bardzo jej leży na sercu. Pamiętasz jej wyprawę do sądu rodzinnego? Gdyby poprosiła nas o pozwolenie, nigdy byśmy się nie zgodzili, ani ja, ani Eli. Powiedzielibyśmy, że jest za młoda...

— Bo jest. Widziałas jej reakcję, gdy stanęła twarzą w twarz...

— Ze swoją matką. Tak trudno ci wydobyć z siebie te słowa? Raz już je wypowiedziałas tam, na podjeździe. I wiesz co? Kocham cię za to. Wiem, jak bardzo starasz się nas chronić. Tak więc, mój drogi...

Na moment urwała i Dylan zobaczył w jej oczach łzy, a jednak to ona patrzyła teraz na niego twardym wzrokiem policjanta.

— Tak więc — podjęła po chwili — czas najwyższy zamienić się rolami. Teraz moja kolej cię bronić. I to głównie przed

tobą samym. — Chwyciwszy leżącą na stole paczkę papierosów, z rozmachem wrzuciła ją do śmieci.

— Jak tylko wyjdiesz, zaraz je wyjmę.

— I ty się uważasz za dojrzałego człowieka?

— Tak. I dlatego kupię sobie jeszcze kilka kartonów.

— Gratuluję, że masz tyle forsy, ale co z twoim sercem, Dylanie? Czy zostały ci bodaj jakieś resztki?

— Przestań, Sharon.

— Odpowiedz. Jesteś mi to winien.

— Winien?

— Tak, winien mi jesteś rewanż. Troszczyłeś się o nas przez wiele lat, więc pozwól mi teraz zrobić to samo dla ciebie. Spytałam cię, czy masz serce. Co ty na to?

Dylan milczał, bo cóż miał powiedzieć? Czuł przyspieszone bicie tętna, a gdy natrafił wzrokiem na „tekturowe” ciasta, coś zakłuło go pod żebrami.

— Dobrze, odpowiem za ciebie. Masz wielkie serce. Czyż nie dlatego podjąłeś się takiej niebezpiecznej pracy? Gdybyś nie miał serca, nie chroniłbyś ludzi, których nawet w ogóle nie znałeś, prawda? Czy mógłbyś być takim wspaniałym mężem...

Widząc, że gwałtownie pokręcił głową, Sharon chwyciła go za rękę:

— Tak, byłeś wspaniałym mężem! Nie twoja wina, że to, co ofiarowałeś, zostało odrzucone. Byłeś najlepszym z ojców. Przestań kręcić głową! Nawet Amanda nie mogła temu zaprzeczyć. Wystarczyło spojrzeć na ciebie i małą, żeby się o tym przekonać.

— Sharon!

— Jesteś najlepszym bratem na świecie — mówiła dalej, nie zwracając uwagi na jego okrzyk — a dla Chloe najcudowniejszym wujkiem. Jak widzisz, wiem o tobie wszystko, nie musisz nawet nic mówić. Musisz mnie tylko posłuchać. Koniecznie. I potraktuj to jako moją zapłatę za wszystko, co dla nas zrobiłeś. Zamiast siedzieć tu jak pustelnik, zrób, co ci powiem: jedź do Nowego Jorku.

— Co?

— To, co słyszałeś: jedź do Nowego Jorku.

— Co ty gadasz?

— Byłeś taki szczęśliwy... — wyszeptwała Sharon.

Dylan zamknął oczy, wsłuchując się w okrzyki nocnych ptaków. Pomyślał, że w pachnącym jabłkami powietrzu można już wyczuć zapowiedź nadciągającej jesieni, gdy nagle z oddali dobiegło go wycie silników. Sharon nie zwróciła na to uwagi.

— Tej wiosny byłeś innym człowiekiem — mówiła dalej.
— Dzięki niej.

— Dzięki komu?

— Nie udawaj, dobrze wiesz, o kim mówię.

Oczywiście. Przed Sharon nie mógł grać komedii, znała go na wylot.

— Musisz się z nią zobaczyć.

— Jak możesz udzielać mi takich rad? Po tych cholernych kłopotach, których ci narobiła? Po tych kłamstwach, na które wszyscy daliśmy się nabrać?

— Wszyscy kłamiemy, Dylanie, mniej lub bardziej. Czyż nie było to kłamstwo, gdy wymykając się z tobą na dymka, mówiłam twojemu bratu, że muszę odetchnąć świeżym powietrzem?

— Och, to zupełnie co innego!

— Oczywiście. Istnieją różne kłamstwa i chyba żadnego nie można uznać za dobre, niektóre wynikają jednak z mniej niegodziwych przyczyn niż inne. Kłamstwa Amandy na przykład płynęły z egoizmu, z chęci zaspokojenia próżności...

— Dosyć!

— Masz rację, dość tego! Amanda nie żyje! Nie wolno ci mierzyć wszystkich jej miarą! Jane jest inna. Ona skłamała z miłości.

— I ty to mówisz? Przyjechała tu po to, żeby odebrać ci córkę, a ty jej bronisz?

— Nie, ona wcale nie próbowała odebrać nam Chloe, chciała tylko poznać swoje dziecko. Dlaczego? To oczywiste. Bo kocha je całym sercem. Ty najlepiej powinienesz to wiedzieć. Znasz to uczucie. A Jane... Myślę, że jest taką kobietą, jakiej ci potrzeba.

— Jeśli nawet, co z tego? Teraz już po wszystkim.

— „Po wszystkim” to taki zwrot, który nie zawsze znaczy to, co znaczy.

— O co ci chodzi, Sharon? Myślałem, że nie chcesz mieć z nią nic wspólnego, a ty, właśnie ty, uderzasz nagle w takie tony!

— Tak, bo właśnie ja potrafię ją zrozumieć. Też jestem matką.

Dylan zamilkł. Krew szaleńczo tętniła mu w uszach. Przed oczami stanęła mu chwila, gdy Jane odwiozła Chloe do domu. Wtedy widział ją po raz ostatni. Przypomnił sobie wyraz jej oczu i poczuł bolesny skurcz serca. Tak było zawsze, kiedy wspominał tę scenę, tyle że teraz uświadomił sobie, jak bardzo zranił tę kobietę. Po raz pierwszy przyszło mu na myśl, że to on ją zdradził. Najwyraźniej tak to odczuła i dlatego wróciła do Nowego Jorku. Kilka tygodni temu otrzymał od niej pocztówkę z widokiem Greenwich Village i tylko trzema słowami: „Strasznie mi przykro”.

Warkot motocykli narastał. No tak, na werandzie nie pali się światło, więc ci smarkacze są pewni, że wszyscy w tym domu śpią. Ogarnęła go wściekłość. Jeszcze i to, jakby nie dość miał innych zmartwień! Sharon niestety się myli, nic już się nie da naprawić, ale tym szczeniakom można dać nauczkę. Podeszedł do szafki przy tylnych drzwiach i wyjął z niej winchestera.

— Co chcesz zrobić? — Sharon chwyciła go za ramię.

— Przepędzić tych drani — odrzekł zimno. Było to znacznie łatwiejsze niż dyskusja o jego uczuciach. W głębi duszy był zadowolony, że zjawili się ci intruzi. W samą porę.

— Tylko nie palnij jakiegoś głupstwa!

— Dobrze — odrzekł posłusznie, choć ogarnęło go nagle przytłaczające uczucie bezsensu. Co za różnica? Cokolwiek zrobi, nie ma to już teraz większego znaczenia.

Chloe pracowała nad kolażem.

Z całej sterty starych tygodników zdążyła już powycinać mnóstwo zdjęć, słów i liter, z których układała teraz na planszy kolejne fragmenty wielkiego obrazu. Był on dla niej aktem swoistej samoobrony.

Wiedziała, że w chwilach, gdy przeżywa coś bardzo głęboko, słowa umykają jej z pamięci, a ona nie jest w stanie pozbyć

się nadmiaru dławiących ją uczuć. Zaczynała się wtedy lękać, że ją to zabije, że będzie najmłodszą na świecie ofiarą zawału serca, i to bez żadnych zrozumiałych przyczyn.

W pokoju panowała cisza. Mącił ją tylko szelest papierów poruszanych wiatrem wpadającym do środka przez otwarte okno i pomiauukiwaniem kotów, które korzystając z tej samej drogi, postanowiły złożyć jej wizytę. Pozajmowały też wszelkie możliwe miejsca, nie zważając na to, że utrudniają jej pracę. Część okupowała stertę tygodników, inne bawiły się krążkami taśmy, jeszcze inne ocierały się o nogi. Zazwyczaj podczas takich wizyt Chloe rzucała wszystko, padała na kolana i sama stawiała się kotem, tym razem jednak wszystkie jej myśli pochłaniał kolaż.

Zadzwoił telefon — i nie chciał zamilknąć.

— Hej — krzyknęła głośno — niech go ktoś odbierze!

Gdy nie odniosło to żadnego skutku, doszła do wniosku, że widocznie rodzice wciąż jeszcze siedzą na schodkach, sięgnęła więc po słuchawkę. No tak, Mona! Któż by inny!

— O, Matko Boska, jestem akurat w połowie roboty, a ty dzwonicz, jakby się paliło!

— No to ciesz się, że masz co robić. Ja niestety nudzę się jak mops. Ojciec i Rhianna poszli na kolację, a wiesz po co? Żeby zaplanować swoje wielkie wyjście.

— W związku z rocznicą ślubu?

— Aha, w Czarną Sobotę. W niedzielę wydają huczne przyjęcie, ale to za mało. W przeddzień muszą spędzić romantyczny wieczór we dwoje, żeby ojciec mógł jej podarować te drogie błyskotki, które kupił dla swojej żoneczki.

— No jasne. Przecież musi w nich zabłysnąć na przyjęciu.

— Ohydny snobizm! — prychnęła Mona. — Powiedziałaś, że jesteś w połowie roboty. Cóż to takiego?

Dla Chloe było to pytanie dosyć kłopotliwe. Jej trudności z mówieniem wciąż jeszcze się nie skończyły. Czowała, że nawet Monie nie potrafi jasno wytłumaczyć, dlaczego robi ten kolaż i co on właściwie wyraża. To, co widniało na planszy, mogła we właściwy sposób zrozumieć tylko ona sama, no i może jeszcze jedna osoba. Była tam jabłoń, szarlotka, matka z niemowlęciem, reklama testów ciążowych „Pierwsza myśl”, uśmiech-

nięty delfin, paszcza wielkiego rekina, a pomiędzy tym wszystkim słowo „Calamity”.

— To nic takiego — powiedziała wreszcie.

— Wykręcasz się, moja droga.

— Znów pływam — oznajmiła Chloe, aby zmienić temat.

— Ha, więc podwójnie nie jesteś w ciąży.

— To już drugi okres od czasu tej okropnej paniki.

— Dobrze wiedzieć, że wyszłaś na postą.

— Nie da się opisać, jak mnie wtedy mdliło — westchnęła Chloe i w tej właśnie chwili usłyszała znajomy odgłos: ryk silników motocyklowych.

— Może powinnaś zawiadomić Jane, że wszystko w porządku.

— Nie.

— No wiesz, sama grzeczność tego wymaga.

Chloe zapatrzyła się w kolaż, czując, że znowu zalewa ją lawina myśli, których nie jest w stanie wyrazić. Hałas za oknem narastał, wytknęła więc głowę na zewnątrz. Rodzice nie siedzieli już na schodkach. Uświadomiła sobie nagle, co musi zrobić: rozliczyć się z Zekem — czuła, że to on.

— Słyszysz? — zapytała Monę, zbliżywszy słuchawkę do okna.

— Zło istnieje, a świat jest go pełen — stwierdziła sentencjonalnie Mona.

— Ci dranie znów są w naszym sadzie.

— Zawołaj Dylana, niech ich przepędzi.

— Nie, to moja sprawa. Sama ją muszę zakończyć — oświadczyła Chloe, wtykając nożyce za pasek niebieskich szortów.

— Tylko uważaj!

— Taki mam zamiar. — Położyła słuchawkę i jeszcze przez chwilę patrzyła w okno. Dlaczego postanowiła stanąć oko w oko z Zekem? Po raz pierwszy przestała mówić, gdy się dowiedziała, że Isabel zginęła w jakiejś strzelaninie. Wtedy jakoś samo jej to przeszło i do tego lata był spokój. Teraz problemy z mówieniem nie były tak wielkie jak poprzednio — ktoś obcy mógłby nawet nie zauważyć — Chloe miała jednak uczucie, że nie jest sobą, że coś tam wewnątrz pęta jej język.

Czuta intuicyjnie, że chodzi o Jane i Zekego, że to, co im ma do powiedzenia, tkwi w niej jak w pułapce gdzieś koto serca, i że wszystkie te niewypowiedziane słowa zjadają ją od środka jak małe drapieżne zwierzątka. I będzie tak nadal, dopóki w jakiś sposób nie uwolni ich z tej pułapki. Właśnie dlatego zaczęła robić ten kolaż i po to też musi rozprawić się z Zekem.

Pożegnawszy miauczące koty gestem mówiącym, że niedługo wróci, weszła przez okno na dach, skąd zrećcznie zsunęła się na dół po rynnie. Niebo wciąż jeszcze przecinały ogniste smugi meteorów, lecz Chloe nie miała czasu ich podziwiać. Przeskoczyła przez płot i nie przejmując się tym, że jest boso, wbiegła pomiędzy drzewa.

Wiedziała, gdzie szukać Zekego; wystarczyło kierować się wyciem silników, pamiętała zresztą jego poprzednią trasę. Zgięta we dwoje, aby się nie nadziać na nisko wiszące gałęzie, ruszyła pędem przed siebie.

Kiedy zobaczyła światła — tańczyły wśród liści jak srebrne księżycy — z sercem w gardle przykucnęła w krzakach. Musieli być już blisko — wyraźnie słyszała trzask drobnych gałązek pękających pod kołami. Przypominając sobie, z jak radosnym podnieceniem czekała tu dwa miesiące temu na tego samego chłopaka, omal się nie rozplakała: mój Boże, gdzie się podziała tamta niewinna dziewczyna?

Gdy dwaj intruzi zaczęli zjeżdżać z pagórka, wyszarpnęła zza paska nożyczki, wyskoczyła z krzaków i stanęła pośrodku ścieżki w ostrym strumieniu światła.

— A to co, do jasnej cholery? — wrzasnął pierwszy jeździec, gwałtownie skręcając w bok. Manewr ten zniósł go na wąski splechetek trawy pomiędzy rzędami jabłoni. Mało brakowało, by wylądował na drzewie.

Zeke zatrzymał się tuż przed Chloe. Oczy miał bez wyrazu, zdobył się jednak na uśmiech.

— Hej!

— No proszę — zakpiła Chloe — kogóż my tu mamy? Roześmiał się hałaśliwie.

— Hej, stary — zawołał jego towarzysz — ruszajmy! Chloe ani drgnęła.

— Nigdzie nie pojedziecie — oświadczyła zimno. W rękę trzymała nożyczki skierowane ostrym końcem naprzód.

— Muszę cię zmartwić, Chloe — szyderczo wycedził Zeke — ale nic nam nie zrobisz. Pojedziemy, gdzie nam się spodoba.

— Możesz sobie tak myśleć.

— Czy to ta? — zachichotał ten drugi.

— Uhm, to Chloe — potwierdził Zeke. Jego kumpel podtoczył się bliżej razem ze swoim motorem i zaczął jej się przyglądać.

— Milutka — zarechotał — chętnie bym ją schrupał.

Chloe wcale się nie złąkla tych dwóch młodych zbirów. Na tego drugiego nawet nie spojrzała, a jego słowa przeleciały jej koło ucha.

— Gardzę tobą, draniu — rzuciła Zekemu w twarz.

— W czerwcu było inaczej — odrzekł hardo.

— Wmawiaj sobie, co chcesz.

— Nic sobie nie muszę wmawiać! — Wyraźnie zaczynał się denerwować. — Wiem, co widziałem. Leciałaś na mnie.

— Jesteś żalosny, skoro w to wierzysz.

— Wierzę w to, co widzę.

— A ja widziałam cię w Newport koło budki z hot dogami. Umykałeś, aż się kurzyło.

— A co? Może miałem uciąć sobie pogawędkę z twoimi starymi? Nie jestem przyzwyczajony. Dziewczyny, z którymi się spotykam, nie mają zwyczaju spędzać weekendów z mamą i tatą.

Z mamą? Chloe doznała dziwnego uczucia, kiedy Zeke nazwał Jane jej mamą, nie pozwoliła jednak wybić się z rytmu.

— A ja cię uważam za tchórza — oświadczyła twardo.

— Wiesz co? Ona ma na ciebie chrapkę, widać to po niej — zarechotał kumpel Zekego.

Chloe pogardliwie spojrzała mu w oczy, podnosząc do góry nożyczki. Zanim z całej siły wbiła je w oponę, przed oczami przemknęły jej zdjęcia z kolażu — matki, niemowlęta, jabłonie... Słyszac uchodzące z sykiem powietrze, pomyślała o Jane, o sobie, o wszystkich dziewczynach skrzywdzonych przez takich łajdaków jak ci.

— Och, ty pieprzona suko! — wrzasnął właściciel motoru.

— No to kupiłaś sobie oponę — stwierdził z gryzącą ironią Zeke.

— Dwie — oświadczyła Chloe, błyskawicznie dziurawiąc jego przednie koło. — A ciebie nadal uważam za tchórza.

— Głupia cipa! — ryknął Zeke. Jednym susem zeskoczył z siodelka i rzucił się ku niej jak wariat.

Chloe wystawiła przed siebie nożyczki, lecz natychmiast zrozumiała, że nie będzie w stanie ich użyć. Mogła przebić oponę, ale zranić człowieka? Zeke to jednak człowiek, choć tak podła z niego kreatura.

Rzuciła się do ucieczki. Była dobrą biegaczką, a ten sad знаła jak własną kieszeń. Niech ją spróbują dogonić!

Już dając nurka w zarośla, usłyszała za sobą ich kroki. Wkrótce zaczęli nadrabiać dystans, lecz Chloe była teraz za bardzo zajęta czym innym, by się poważnie tym martwić. Przepędzała ją duma i radość. To, że w końcu powiedziała Zekemu, co o nim myśli, oczyściło sad ze złych wspomnień. A kolaz, gdy go ukończy, będzie jej pieśnią zwycięstwa! Uskrzydłona własną odwagą, pędziła jak sarna, zwinnie lawirując w gąszczu. Tak dobiegła do łąki. Przy drugim jej końcu stała czerwona stodoła.

Wystarczy tam dobiec — i będzie bezpieczna. Zarygluje wrota, wdrapie się do kopuły i wezwie na pomoc Dylana. Jego dom jest tak blisko, że na pewno usłyszy jej krzyki. Wpatrzona w ciemną kopułę, przypomniała sobie swoje dziecięce fantazje o tym, że mieszkają tam anioły, stare mądre sowy i życzliwe duchy opiekuńcze. Ze patrzy na nią stamtąd jej prawdziwa matka...

Szybciej, szybciej! Wbiegła już na łąkę porośniętą tak wysoką trawą, że sięgała jej aż do pasa. Biegło się tu ciężiej, więc aby utrzymać tempo, zaczęła wywijać rękami jak wiatrak. Jeszcze dwadzieścia metrów, jeszcze tylko piętnaście... Miała ochotę zerknąć za siebie, lecz nagle ogarnął ją strach.

Do tej chwili wierzyła, że zdoła im uciec, że jest ktoś, kto ją widzi i nad nią czuwa. Dowiedziała się przecież tego lata, że nie wszystko na świecie jest takie, na jakie wygląda i że pod tym, co wydaje nam się oczywiste, kryją się czasami tajemnice,

które trudno sobie nawet wyobrazić. Czemuż więc nie wierzyć w siły dobra, w ich pomoc w krytycznej chwili? Zwłaszcza dziś łatwo było tak myśleć, widząc, co się dzieje na niebie, rozjaśnianym raz po raz blaskiem spadających gwiazd.

— Ratunku! — krzyknęła.

Jej prześladowcy byli tuż-tuż, któryś nawet chwycił ją za bluzkę, zdołała mu się jednak wyrwać.

— Pomocy! — krzyknęła ponownie. Coraz bardziej brakowało jej tchu.

Zaczynała tracić nadzieję, że uda jej się dotrzeć do stodoły. A jeśli nawet, ale wrota będą zamknięte — co wtedy? Czy potrafi wspiąć się po murze do okienka na strychu? Umiała wleźć po rynnie do pokoju, ale wtedy nikt jej nie ścigał...

Stodoła tonęła w mroku, lecz oto znienacka wyłoniła się z cienia. Chloe dopadła zardzewiałej klamki — i z piersi wyrwał jej się jęk zawodu: zamknięte!

— Myślałaś, że nam uciekniesz? — huknął Zeke.

— Suka! — warknął jego kumpel.

Była w pułapce, ale nie zamierzała się przed nimi płaszczyć. Oparta plecami o ścianę, patrzyła na nich bez lęku. Ten Zeke! Jego długie włosy były takie brudne! Jak mogła myśleć, że jest piękny? Przecież to twarz okrutnika! A ten jego kumpel! Ogolony na лыso, miał na szyi wstrętny tatuaż — coś jakby obręcz z kolczastego drutu. Od jego wzroku robiło się zimno, ale nie! Za nic w świecie nie okaże im strachu.

Zeke brutalnie chwycił ją za włosy, owiewając kwaśnym zapachem piwa.

— Teraz już nam nie uciekniesz! — oświadczył z triumfem. — Nie masz szans. Od początku ich zresztą nie miałaś!

Zaniechał dalszych przechwałek, słysząc szcęk odbezpieczanej strzelby.

— Chloe nie musi uciekać, jest u siebie — powiedział Dylan, mierząc mu prosto w głowę.

— Cholera — mruknął лыsy, próbując wycofać się chylkiem.

— Mam ochotę cię zastrzelić — syknął Dylan — więc stój, gdzie stoisz, a ty — rozkazał Zekemu — puść ją natychmiast!

Usłucha! bez słowa. Uwolniona Chloe stanęła u boku Dylana.

— No i co, miło ci teraz, pętaku? — spytał przez zęby jej wuj.

— Nie — zapiał Zeke.

— Nikt nie lubi być upokarzany — ciągnął Dylan sztucznie rozsądnym tonem. Jego winchester wycelowany był nadal w głowę Zekego. Chloe przeraził wyraz jego oczu.

— Wujku... — szepnęła nerwowo.

— Możemy już iść? — zapytał błagalnie łysy. — Niech pan nas puści!

Nie wywołało to żadnej reakcji. Dylan wciąż trzymał broń w taki sposób, jakby miał za chwilę pociągnąć za spust. Było to przerażające. Chloe wiedziała, co go doprowadziło do takiego stanu, i to właśnie było najstraszniejsze: oto do czego może popchnąć człowieka nieszczęśliwa miłość.

Z nią było całkiem podobnie. Zachowała się jak wariatka, próbując rozprawić się z dwójką zbirów uzbrojona w zwyczajne nożyczki. A Dylan miał więcej powodów, by popaść w takie szaleństwo: zdrada Amandy, śmierć Isabel i teraz ta sprawa z Jane...

— Wujku Dylanie...

— Wymijcie portfele — nakazał swym jeńcom — tylko powoli.

— Zamierza nas pan zastrzelić?

— Macie tam jakieś dokumenty?

— Mam dowód — odrzekł drżącym głosem Zeke.

— A ty?

— Tak — bąknął łysy — prawo jazdy.

— Połóżcie portfele na ziemi. Nigdy więcej wasza noga tutaj nie postanie. Żaden z was już nigdy nie zaczepi mojej bratanicy.

— Mówiła mi o panu... O tym, że był pan agentem — wyjąkał przerażony Zeke. — Żałuję, że nie wziąłem sobie tego do serca!

— A on teraz przez ciebie zastrzeli nas obu! — wybelkotał łysy.

Chloe złękła się nagle, że może mieć rację.

— Proszę cię, wujku! — zaczęła szarpać go za rękaw.
— Pomyśl o Isabel...

W oczach coś mu błysnęło, zaraz jednak zgasło.

— Przepróście Chloe! — rozkazał chłopakom.

— Przepraszamy! — zawołali chórem.

— A teraz precz! Zejdźcie mi z oczu! — krzyknął, strzelając w powietrze.

Tak szybko wzięli nogi za pas, że prawie natychmiast zniknęli w zaroślach. Dylan podniósł portfele i zaczął przeglądać zawartość. Spróbowała się do niego uśmiechnąć, ale nie odniosło to żadnego skutku. Jego twarz wyglądała... jak rozbite lustro.

— Trzeba dać tym draniom nauczkę, dlatego zabrałem im dokumenty. Jak tylko wrócimy do domu, zadzwonię na policję. Jak się czujesz?

Chloe pokiwała głową, co miało oznaczać, że nic jej nie jest.

— A ty?

Odpowiedział jej tym samym gestem. W porywie wdzięczności rzuciła mu się w objęcia.

— Dziękuję ci, wujku!

— Och, Chloe, oni chcieli cię skrzywdzić — powiedział, nie wypuszczając jej z objęć. — Nie wyobrażam sobie, co bym zrobił, gdyby do tego doszło! Gdy pomyślę, że mógłbym stracić jeszcze i siebie...

— Wiem.

— Ale chyba nie wiedziałaś, co robisz, biegając nocą po sadzie! Co ty sobie myślałaś?

— Musiałam bronić swojej godności — rzuciła wyzywająco. — Sam mi mówiłeś, że trzeba strzec tego, co ważne.

— Tylko że nie zawsze nam się to udaje — odrzekł szorstko. — Broniąc swej żony i córki, troszczyłem się o to, co ważne, no i widzisz, czym się to skończyło?

— Ale próbowałeś. Byłeś przy nich. Trzymałeś Isabel za rękę, kiedy umierała. Pomyśl, jak by się czuła, gdyby cię przy niej nie było... Zrobiłeś, co mogłeś, i to jest ważne.

— I co z tego? — zapytał gorzko. W oczach zalśniły mu łzy. — Zło i tak się stało.

Chloe czuła, że mówiąc te słowa, miał na myśli nie tylko śmierć Isabel, lecz i swoje rozstanie z Jane. Zamknęła oczy, przywołując na pamięć jej czarne włosy, piękne niebieskie oczy, cudowny uśmiech i to, że zawsze umiała znaleźć właściwe słowa. To ona sprawiła, że smutny, zrozpaczony Dylan zaczął się znów uśmiechać. Przypomniała sobie swe pierwsze spotkanie z młodą kobietą w czarnej kurtce, jej fantastyczne szarlotki, a potem to wspólne oczekiwanie na wynik testu... Jane nie robiła żadnych uwag, nie chciała jej osądzać... po prostu była przy niej.

Zaczynała sobie uświadamiać, jak trudno było Jane trzymać się od niej z daleka przez te minione lata. Ta kobieta musiała ją kochać, skoro nadała jej imię i w końcu zdecydowała się tu przyjechać. Czy gdyby nie kochała swej córki, nosiłaby na szyi medalion z jej zdjęciem?

Zrozumiała, że choć dzieliło je wiele kilometrów, Jane zawsze była przy niej. Eli, Sharon i Dylan dali jej więcej miłości niż inni rodzice swym rodzonym dzieciom, ale Jane też ją kochała... Spojrzała na Dylana.

— Powiedziałeś mi kiedyś, że ci, których kochamy, nigdy nie odchodzą. Jak to rozumiesz?

— Ze zawsze są z nami.

— Tak jak ty z Isabel? Byłeś przy niej, gdy się urodziła i kiedy umarła, i teraz też jesteś z nią, czy tak?

— Tak, to znaczy... myślę, że ona jest przy mnie.

— Wszystko jedno. Więc gdy wciąż o kimś myślisz i za nim tęsknisz, to tak jakbyś był z tą osobą.

— Czasami to nie wystarcza.

— A ja myślę, że tak. Czasem to wystarcza. Popatrz na Jane...

— Chodźmy już — zniecierpliwził się Dylan. — Dość tej dyskusji. Odprowadzę cię do domu.

Chloe nie ruszyła się z miejsca.

— Chcę się z nią zobaczyć.

Miała nadzieję, że tą decyzją nie sprawi przykrości rodzicom. Ostatnio nabrała nawet przekonania, że matka by tego chciała. Dwa dni temu przy śniadaniu znalazła na stole egzemplarz „New York Timesa”- matka prenumerowała tę

gazetę ze względu na publikowane w środy i czwartki materiały na temat żywienia, prowadzenia domu i ogrodnictwa — otwarty na stronie z krótkim artykułikiem zatytułowanym „Calamity Jane wraca do miasta”.

Było tam zdjęcie Jane w białym piekarskim czepku, stojącej przed drzwiami niewielkiej piekarni, w jakiejś wąskiej, ocienionej drzewami uliczce.

Chloe długą chwilę przyglądała się zdjęciu. Jane sprawiała takie wrażenie, jakby się chciała uśmiechnąć i nie mogła. Autor notatki napisał, że natychmiast po powrocie otrzymała mnóstwo zamówień, zwłaszcza na szarlotki; jesień to przecież pora jabłek.

Dla Chloe było oczywiste, z jakiego powodu matka została jej ten artykuł, Dylan jednak...

— Nie zobaczysz się z nią — oświadczył.

— A właśnie że tak.

— Daj spokój, Chloe, to nie jest dobry pomysł.

— Mówisz tak, bo to nie twoja matka.

— Mam tę świadomość. A do jakiego stopnia jest twoją? Kto cię wychował? Eli i Sharon. To oni są twoimi rodzicami. Dobrze wiesz, jak cię kochają.

Jak on może tak nic nie rozumieć? myślała Chloe, rozglądając się dookoła, jakby chciała tam znaleźć argument, którym mogłaby go przekonać. Łąka tętniła życiem. Grały świerszcze, w wysokiej trawie migały kity rudych lisów, na jej skraju pasło się stadko jeleni. W oknie kopuły siedziała sowa, pożywając się złowioną myszą. Wschodzący księżyc oblewał srebrnym blaskiem gałęzie jabłoni i tańczące wśród drzew dzikie koty. Chloe parsknęła cichym śmiechem — wiedziała już, co ma zrobić.

— Co cię tak bawi? — spytał Dylan.

— Nic. Tak sobie patrzę.

— Nie rozumiem, o co ci chodzi.

— Pamiętasz ten bal w stodole? Z okazji rocznicy ślubu taty i mamy?

— Pamiętam. No i co?

— Musimy urządzić znów taki bal, i to szybko. Zanim zdążysz zupełnie już zwiędnąć i umrzeć.

— Nie zamierzam umierać. Zamierzam odprowadzić cię do domu i zadzwonić na policję.

Chloe chwyciła go za rękę.

— Poczekaj. Powiedziałaś, że mama i tata mnie kochają.

— Tak, bo to prawda.

— Myślisz, że tego nie wiem? Powiem ci więcej: dali mi tyle miłości, że mogę nią obdzielić wiele osób...

— Chloe!

— Ciebie, Isabel, Monę, moje koty i... moją prawdziwą matkę.

— Ty ją kochasz? — spytał po chwili milczenia.

— A ty? Nie udawaj, ty też ją kochasz — Chloe spojrzała mu w oczy. W świetle księżyca wydawały się ciemniejsze niż zwykle, nie na tyle jednak, by nie widać było, o kim myśli.

— Brakuje mi jej szarlotek — spróbował wykręcić się żartem.

— Pewnie. Te, które teraz sprzedajemy, to śmieci.

— Masz rację.

— Otworzyła znów tę piekarnię. Widziałam artykuł w gazecie, i to mama mi ją podsunęła. I wiesz, co teraz zrobię? Pojadę do Nowego Jorku.

Spostrzegła, że Dylan próbuje ją przygwoździć tym swoim „policyjnym” wzrokiem, ale jakoś mu to nie wychodzi. No i odechciało mu się kpiniek, a to, co zobaczyła wokół jego ust, można było nawet wziąć za uśmiech. Mimo to nie dał jeszcze za wygraną.

— Nigdzie nie pojedziesz.

— Ciekawe, jak chcesz mnie zatrzymać? Wiesz, że to niemożliwe.

— Cóż, wobec tego będę cię musiał tam zawieźć — teraz już uśmiechnął się naprawdę — bo samej cię przecież nie puszcę. Więc dobrze, pojadę z tobą do Nowego Jorku, pod warunkiem że Eli i Sharon się zgodzą.

— Na pewno się zgodzą!

— O tak! Znając cię, moja panno, jestem pewien, że będą musieli.

Chloe ujęła go za rękę i ruszyli wolno w stronę domu.

LUANNE RICE

— Powiemy Jane, że przyjeżdżamy po ciasta, i wręczymy jej zaproszenie.

— Na co?

— No jakże! Na bal w stodole! Nic się nie martw, Mona mi pomoże. Zajmiemy się wszystkim.

— Tego się właśnie obawiam.

Chloe spojrzała na księżyc. Wyglądał jak srebrny dysk o lekko zamglonych konturach, tak jak to czasem się zdarza pod koniec upalnego lata. W tym momencie wydawało jej się, że możliwe jest wszystko, nawet to, że jeśli go o to poprosi, ten przepiękny sierpniowy księżyc spłynie jej do ręki jak srebrne jabłko i że będzie go mogła ofiarować Jane.

— Mam nadzieję, że zdołamy namówić tego pana, żeby uświetnił nasz bal — powiedziała, wyciągając rękę w stronę lśniącej tarczy. — Potrzebny nam jest właśnie taki srebrny księżyc.

Dylan zaśmiał się głośno. Nic nie powiedział, ale to, że się wreszcie roześmiał, znaczyło więcej niż słowa.

Kiedy dotarli do domu, rodzice stali na podjeździe. Słyszając huk wystrzału, sami zadzwonili na policję i teraz czekali na przyjazd patrolu. Na widok córki i szwagra Sharon wydała okrzyk ulgi, a Chloe rzuciła się prosto w jej szeroko otwarte ramiona.

ROZDZIAŁ 29

Jane pracowicie mieszała ciasto na wielki weselny tort. Po serii rytmicznych obrotów ogromną drewnianą łyżką robiła przerwę, by dokładnie odmierzyć i wrzucić do miski tyle i takich składników, jakich wymagał przepis — i znów zaczynała mieszać.

Zazwyczaj nie przestrzegała tak ściśle receptur, ale dziś... dziś było jakoś inaczej. Coś się w niej zmieniło. Ostatnimi czasy czuła się nie jak twórca, lecz jak solidny rzemieślnik. Robiła wszystko, by ciasto spełniało wszelkie wymagania pod względem wyglądu i smaku, brakowało w tym jednak uczucia. Przystępując dawniej do pracy, starała się zawsze odczuć ducha uroczystości — wesela, urodzin, Święta Dziękczynienia, jakiejś premiery czy micwy — a co najważniejsze, wzbogacić zamówione ciasto pewnym szczególnym dodatkiem nie figurującym w żadnej recepturze.

Przywoływała wtedy całą swoją miłość — zazwyczaj myśląc o Chloe, o tym, gdzie teraz jest i co robi — by w sobie tylko wiadomy sposób przekazać tę miłość ciastu. Choć żadna książka kucharska nie podaje takich zaleceń, Jane święcie wierzyła, że to właśnie stanowi jej tajną broń i że z tego powodu ludzie tak bardzo cenią jej wypieki. Jak napisał autor notatki w „New Yorkerze”: „Obok umiejętności wspaniałego cukiernika w ciastach Calamity Jane wyczuwamy coś jeszcze: matczyne serce”.

Teraz jednak było inaczej. Przez cały miniony tydzień ani razu nie użyła swojej tajnej broni. Klienci być może tego nie

wyczują — taką miała nadzieję — ale jej cały czas doskwierała świadomość, że robiąc wszystko z laboratoryjną precyzją — dokładnie według przepisu — po prostu ich oszukuje. Cóż, kiedy nagle zaczęła się lękać, że dodając czegoś za dużo lub za mało, może wszystko zepsuć.

Tak działo się właśnie w innych dziedzinach jej życia: zawsze było w nim czegoś za dużo lub dla odmiany za mało, i nigdy nie wychodziło jej to na dobre.

Przelała ciasto do trzech tortownic, zupełnie zapominając, że trzeba je przecież wysmarować masłem i posypać mąką. Do licha! Wlała wszystko z powrotem do miski, aby naprawić ten błąd.

Dopiero po wstawieniu ciasta do pieca mogła przez chwilę odetchnąć. Odgarnąwszy z czoła luźny kosmyk włosów, który jakimś sposobem zdołał się wymknąć spod włożonej daszkiem do tyłu baseballowej czapeczki, nalała sobie szklankę soku i usiadła przy kuchennym stole. Z pieca buchał żar, jej to jednak nie przeszkadzało, przeciwnie — mimo panującego w kuchni gorąca jej było zimno.

Asystentka pojechała do miasta — rozwieźć zamówione torty. Była to nowa osoba przyjęta przez Jane na próbę; wśród kilku chętnych, które odpowiedziały na jej ofertę w „Village Voice”, ta wydawała się najsolidniejsza, i jak dotąd sprawiała się dobrze. Poprzednia znalazła sobie inną pracę. Jane bardzo lubiła tamtą dziewczynę, ale cóż, musiała się z tym pogodzić. Taka była cena jej przydługiego urlopu w Rhode Island.

Spędziła tam całą wiosnę.

Spojrzawszy na wielki kalendarz ze zdjęciami Newport i Providence, Jane zdjęła go ze ściany, położyła na stole i zrobiła coś całkiem głupiego: zaczęła liczyć dni swego pobytu w Twin Rivers.

Szesnaście dni w marcu, trzydzieści w kwietniu, trzydzieści jeden w maju, czternaście w czerwcu, razem dziewięćdziesiąt jeden.

Dziewięćdziesiąt jeden dni z Chloe...

Położyła dłoń na kalendarzu, jakby można było w ten sposób wchłonąć w siebie te bezcenne dni i zatrzymać je na zawsze. Wiedziała oczywiście, że to czysty absurd. Czas nie

poddaje się naszym życzeniom, a jedyne, na co możemy mieć wpływ, to dzień dzisiejszy. Tylko to, co robimy tu i teraz, nadaje sens życiu. Teraz był sierpień. Od tamtych cudownych dni w sadzie upłynęło już kilka tygodni...

Próbowała żyć dalej, wymuszając na sobie każdy oddech, bo każdy z nich coraz bardziej oddalał ją od czasu spędzonego z Chloe. Z początku bolało to prawie tak samo jak wtedy, po oddaniu dziecka w obce ręce. Wciąż nie mogła zapomnieć bólu w oczach Chloe. Bólu i szoku, kiedy wyszło na jaw, że zamiast zaufanej przyjaciółki ma przed sobą rodzoną matkę, tę matkę, która ją porzuciła. I do tego jeszcze obawa przed ciążą... Dla tak młodej dziewczyny jak Chloe było tego wszystkiego za dużo...

Jane wyrzucała sobie teraz, że wybrała fatalny moment. Chyba najgorszy z możliwych. Może powinna była już podczas pierwszego spotkania od razu powiedzieć Chloe: „Witaj, wiem, że to, co powiem, mocno cię zaskoczy, ale jestem twoją matką”. Mogła też wyjawić prawdę Dylanowi: „Pan mnie nie zna, ale bardzo proszę mnie wysłuchać. Jestem matką pańskiej bratanicy i potrzebna mi jest pana pomoc...”

Och, Dylanie...

Wciąż jeszcze nie mogła myśleć o nim bez bólu; gdy widzieli się ostatnim razem, patrzył na nią tak lodowato, jakby była najgorszym przestępcą... Śnił jej się niemal każdej nocy, odkąd zostali kochankami, odkąd w jego ramionach stała się całością. „Całość”... Wciąż powracało do niej to słowo. I myśl, że to z nim, z Dylanem, przestała się czuć półkobietą.

Dzięki niemu zrozumiała, że tym, co czyni człowieka całością, jest miłość i że nie każdy jej rodzaj daje nam to poczucie. Nie miała takiej mocy ani beznadziejna tęsknota za ukochaną istotą, której doświadczała przez większą część swego dorosłego życia, ani pełna żalu i bolesnego zdziwienia miłość do ojca — „gdzie tatuś? Kiedy wróci do domu?” — ani nawet uczucie do ojca Chloe.

Po powrocie do Nowego Jorku zrobiła coś, czego nie robiła już od paru lat: weszła na stronę internetową Uniwersytetu Browna, by poszukać informacji o Jeffreyu Haydenie.

Z tą właśnie uczelnią związane były początki jego kariery. Zaczęło się od stanowiska asystenta na Wydziale Anglistyki, ale bardzo szybko uzyskał uprawnienia wykładowcy. W tych czasach nie było jeszcze Internetu, informacje o Jeffreyu czerpała więc głównie z miesięcznika absolwentów Browna — i za każdym razem na widok jego nazwiska oblewały ją zimne poty.

Później już dzięki Internetowi mogła systematycznie śledzić jego losy. Przeniósł się do Harvardu, gdzie uzyskał tytuł profesora. W przyspieszonym tempie pokonywał kolejne szczeble kariery akademickiej, publikując swoje liczne prace w „Harper's”, „New Yorkerze” i „Atlantico”. Napisał kilka książek, w tym jedną, która — co rzadko się zdarza pracom tego typu — stała się prawdziwym bestsellerem i trafiła do wszystkich księgarń. Jej tytuł brzmiał: „Literatura serca”. Według jednego z recenzentów była to postmodernistyczno-romantyczna analiza wybranych utworów pod pewnym szczególnym kątem: do jakiego stopnia na charakter i wartość utworu wpływa autorska umiejętność czerpania doświadczeń z własnych sercowych dramatów.

Jane nie czytała tej książki. Nie mogła. Po kilku latach przestała też odwiedzać stronę Jeffreya w Internecie. Zdecydowała się to zrobić dopiero teraz.

Było to w końcu lipca. W Nowym Jorku panował taki upał, że przeciążony system klimatyzacyjny zaczynał zawodzić. Jane próbowała się ratować domowym sposobem — nacierając się kostkami lodu.

Z informacji zawartych na stronie Jeffreya wynikało, że nadal wykłada na Harvardzie; znalazła też jego domowy adres: Trapelo Road, Belmont. Choć było już dość późno, zadzwoniła na uczelnię, gdzie oczywiście już go nie zastała. Wysłuchiwała tylko jego nagrania, które przyprawiło ją o bicie serca. Jak dobrze znała ten akcent, to subtelne poczucie humoru! Teraz już była gotowa usłyszeć go na żywo, lecz gdy zadzwoniła do domu, odezwało się jakieś dziecko.

— Czy mogę prosić tatusia?

— Tato! — zawołało dziecko. — Do ciebie!

— Halo? — usłyszała po chwili głos Jeffreya. Była na to przygotowana, a jednak kostka lodu wyśliznęła jej się z ręki.

— Jeffrey? Dobry wieczór, mówi Jane.

Nie podała nazwiska, mimo to od razu ją rozpoznał.

— Jane... — Czy to, co usłyszała podczas króciutkiej przerwy, było westchnieniem? Potem dopiero padły słowa: — Co u ciebie?

— Widziałam ją — powiedziała bez żadnych wstępów. — Poznałyśmy się i spędziłam z nią trochę czasu.

— Gdzie? — zapytał po długiej chwili ciszy.

— W Rhode Island. Mieszka w Crofton. Jest piękna. Inteligentna, zabawna... po prostu niezwykła... cudownie ekscentryczna i równie urocza... ma w sobie tyle żaru, tyle blasku...

— Jane! — przerwał jej w pół słowa.

No tak. I po co było dzwonić? Powinna była wiedzieć, że to nie ma sensu. Zaczęła zlizywać lzy kapiące jej prosto do ust. Chyba zwariowała, licząc na coś więcej. Ale przecież ten człowiek jest ojcem Chloe. Wspólnie powołali ją do życia.

— Jestem żonaty i mam troje dzieci — powiedział chłodno.

Spróbowała się opanować.

— Wiem. Czytałam o tym w miesięczniku absolwentów.

— Pewnych spraw nie należy odgrzebywać.

Ach tak, spuścić na nie ołowiane wieko i niech nigdy już nie ujrzą słońca. Czowała, że słuchawka trzęsie jej się w rękę. I ten upał! Dosłownie ociekała potem, chociaż miała na sobie tylko figi. Jakby tylko w tym stanie mogła z nim rozmawiać: naga i szalona z miłości — och, nie do niego, do ich pięknej córki!

— Ty nigdy o niej nie myślisz? — wyszeptała.

— Staram się nie myśleć.

— Ani o niej nie śnisz?

Nastąpiła znów długa pauza.

— Często widuję ją w snach — powiedział głuchym szeptem. — Ciebie też. Dlatego napisałem tę książkę.

Dobiegło ją jakieś pytanie zadane czymś młodym głosem, a potem zapadła cisza. Bez słowa odłożył słuchawkę.

Jeszcze tego samego wieczoru pojechała do księgarni u zbiegu Szóstej Alei i Dwudziestej Drugiej, aby kupić tę książ-

kę. W domu zaczęła przerzucać stronicę, szukając na nich śladów Chloe — przecież to ona zainspirowała to dzieło. Na tylnej stronie okładki zamieszczono zdjęcie Jeffreya. Och, w żadnym razie nie byłby w stanie wyprzeć się swej córki — mieli taki sam rysunek brwi, ten sam trochę krzywy uśmiech...

Chloe była jego częścią w tym samym stopniu co jej. Już w chwili gdy poczuła, że jest w ciąży, Jane zaczęła myśleć o nich trojgu jako o rodzinie, której żadna siła nie będzie w stanie rozłączyć.

Teraz z książką w rękę zaczęła odtwarzać w pamięci ów dzień, gdy postanowiła przekazać mu wielką nowinę. Mieli spotkać się na Penn Station. Kiedy wysiadła z pociągu, czekał już na nią pod wielką tablicą z rozkładem jazdy. Zaczęła biec; upuściwszy swój niewielki bagaż, rzuciła mu się na szyję.

— Jesteś! — wykrzyknął. —• Jak to dobrze, że udało ci się przyjechać! Pociąg na Long Island odchodzi dopiero za czterdzieści minut, mamy więc trochę czasu... Moi rodzice ogromnie się cieszą, że będą mogli cię poznać. Z tej okazji wydają dzisiaj kolację, ale jutro w Jones Beach jest koncert, więc...

— Och, mój kochany...

Z twarzą wtuloną w jego pierś próbowała przymierzyć się w duchu do tego, co ma mu powiedzieć. Ale jak? „Jestem w ciąży”? Nawet dla niej brzmiało to dziwnie... i wręcz niestosownie. Takich rzeczy nie mówią inteligentne studentki trzeciego roku anglistyki ani dziewczyny z dobrych katolickich rodzin Rhode Island, a przynajmniej nie powinny tak z miejsca informować o tym swoich chłopców. Czowała, że zaczyna się czerwienić. Serce biło jej coraz szybciej, kolana miała jak z waty, powiedziała sobie jednak, że przecież Jeffrey ją kocha. W pierwszej chwili będzie zszokowany, lecz gdy już oswoi się z nowiną, wspólnie stawia czoło sytuacji.

Musiał wyczuć jej zdenerwowanie.

— Czy coś się stało?

Jane rzadko brakowało słów — oboje byli przecież studentami anglistyki, którym wyrażanie myśli nie sprawiało większych trudności, uwielbiali zresztą dyskutować, a nawet się

kłócić, w dodatku nie widzieli się od trzech tygodni — a jednak ta wiadomość nie chciała jej przejść przez gardło.

— Ja... — zaczęła i urwała — ...to znaczy my...

— Co „my”?

— Będziemy mieli dziecko.

Spodziewała się różnych reakcji — zaskoczenia, gwałtownego szoku — ale nie tego, że zacznie się śmiać.

— Dobry kawał, Jay!

— Mówię serio. — Odsunęła się od niego, aby mógł się przekonać, że nie żartuje.

Spojrzał jej w oczy, lecz nadal wydawał się rozbawiony. Dlaczego? Nie byli przecież parą żartownisiów; bardzo rzadko zdarzało im się przekomarzać. Dopiero chyba po minucie jego oczy nabrały innego wyrazu.

— Jane... — Wymówił to imię w taki sposób, jakby sam jego dźwięk działał na niego kojąco. — Jesteś pewna?

— Tak. Byłam w Klinice Świadomego Macierzyństwa.

Wziął ją w ramiona, przytulił do siebie i zaczął leciutko kołysać, muskając wargami jej usta. Zalała ją fala ulgi: wszystko będzie dobrze! Jeffrey jest przy niej. Przejdą przez to razem. Wszyscy troje.

— Wydaje mi się... że to dziewczynka — powiedziała cicho. — Pewnie pomyślisz, że mam źle w głowie, bo niby skąd mogę wiedzieć, ale ja to czuję.

— Nie rób tego — poprosił, nie przestając jej kołysać.

— Czego mam nie robić?

— Chłopiec, dziewczynka... Nie mów tak, kochanie. Nie ma sensu się przywiązywać.

Jane roześmiała się głośno.

— Ależ to coś więcej niż przywiązanie! Ja jestem jej domem! Ona... lub on... jest we mnie, w moim ciele!

— Przestań, Jane. — Spojrzenie miał twarde, twardsze niż głos.

— Każesz mi przestać...?

— Musimy się zastanowić, co z tym zrobić.

— Jak to?

— Jane! Wiesz, o czym mówię! Posłuchaj. Zadzwonię do rodziców i powiem, że przyjedziemy później. Powiem... że twój

pociąg był opóźniony i nie udało nam się złapać połączenia. Tak będzie lepiej. Nie wyobrażam sobie, że moglibyśmy siedzieć przy stole i konwersować o głupstwach, teraz gdy...

...gdy musimy zaplanować przyszłość, pomyślała Jane.

— ...teraz kiedy mamy taki problem. Musimy poszukać jakiegoś rozsądnego wyjścia z tej kabały. Na moim piętrze mieszka kolega, którego dziewczyna zaszła w ciążę...

Jane szeroko otworzyła oczy.

— Mówiłaś o Klinice Świadomego Macierzyństwa... Oni też tam byli. To znaczy ona. On z nią nie poszedł, ale ja nie puszcze cię samej.

— Po co bym miała tam chodzić?

— Usunąć ciążę.

Jane zamrugała oczami. Owszem, uważała, że każda kobieta ma do tego prawo, ale to dziecko... Już się z nim związała, a ono z nią. Usunąć? Niemożliwe.

— Nie, to nie wchodzi w rachubę. Nie zgadzam się na aborcję.

— Jane!

— Co?

— Mamy przed sobą dwa lata studiów, prace magisterskie, dyplomy!

— Wiem.

— Chyba mi nie powiesz, że chcesz je urodzić?

— Tego właśnie chcę.

— Kocham cię, Jane, i kiedyś się z tobą ożenię, ale tego nie możemy zrobić.

— My nie możemy czy ty nie możesz?

— Nie mów tak.

— Nie usunę ciąży. Ja... pragnę wychować to dziecko. Albo oddać je do adopcji, pod warunkiem że znajdę odpowiednią rodzinę. Jak widzisz, jestem realistką! Wiem, że jestem może trochę za młoda, że to nie najlepsza pora, że kieruję się emocjami! — Prawie wykrzyczała te słowa, nie zważając na to, że ściąga na siebie spojrzenia. — Ja to wszystko rozumiem, ale ty też zrozum! Poczuliśmy ją w tak cudownej chwili! Pamiętasz ten bal pod gwiazdami? Jest owocem naszej miłości, częścią nas obojga!

— Ciszej, Jane!

— Tak, przepraszam. Nic strasznego się przecież nie stanie, najwyżej stracę jeden semestr. Będę uczyć się w domu! Możemy wynająć mieszkanie gdzieś poza kampusem.

Pokręcił głową i zacisnął wargi. Wtedy zrozumiała, że to koniec. Ze nie zamierza nawet zastanowić się nad jej sugestią. Zrozumiała, że Jeffrey pragnie czego innego niż ona i w tym momencie umarł w niej kawałek serca.

— To by mnie rozpraszało — oświadczył. — A poza tym Uniwersytet Browna to przecież Ivy League. Nie możemy paradować tam z dzieckiem...

— Ja mogę.

— Tak ci się tylko wydaje. Jeśli urodzisz dziecko, stracisz cały rok.

— No to co?

— Jak to co? Stawką jest nasza edukacja.

— A mnie się zdaje, że nasze życie.

„Nasze życie.” Jane miała wrażenie, że słowa te jakby zawisły w powietrzu i że z chwili na chwilę ogromnieją, wypełniając sobą całą przestrzeń wielkiego dworca. Pomyślała, że wszyscy ci ludzie — mężczyźni i kobiety, rodzice z małutkimi dziećmi, studenci i uczniowie, osoby oczekujące czyjś przyjazdu, konduktorzy i bagażowi — że wszyscy oni otrzymali kiedyś szansę na życie i że każde z nich jest inne, jedyne i niepowtarzalne. A ona by miała odebrać tę szansę swej nie narodzonej córce?

Jeffrey spochmurniał, w oczach błysnęły mu łzy, ale nie z żalu — ze złości. Jane zobaczyła w nim nagle małego chłopczyka. Tak musiał wyglądać w dzieciństwie, gdy czegoś mu odmawiano. Teraz była już pewna, że słowa „nasze życie” oznaczają dla niego inną rzeczywistość niż dla niej.

— Jane, nie wolno ci tak postąpić. Jesteś na to zbyt mądra, zbyt inteligentna.

Jane spróbowała się uśmiechnąć.

— Widocznie w pewnym momencie opuściła mnie ta moja inteligencja, skoro stało się to, co się stało.

— Och, mówię o czym innym! O skutkach twojej decyzji. O tym, w jaki sposób odbije się ona na tobie.

„Na tobie”, nie „na nas”.

— A jak się odbije?

— Daj spokój, nie jesteś dziewczyną ze wsi!

Dziewczyna ze wsi? Czyżby jego zdaniem był to jakiś gorszy gatunek? Wiedziała oczywiście, że Jeffrey pochodzi z zamożnej rodziny, że rodzina ta mieszka w ładnej podmiejskiej dzielnicy, że ojciec jest znanym radiologiem, a matka pracuje w szpitalu jako wolontariuszka, lecz choć zdawała sobie sprawę, że dzielą ich pewne różnice społeczne, nie miała na tym tle kompleksów. Cieszyła się na spotkanie z jego bliskimi, jakkolwiek nie bez lekkiej tremy. Teraz jednak zrobiło jej się nieprzyjemnie.

— Zrozum — mówił dalej — ta sytuacja to nie film z happy endem.

— Nie żartuj.

— Zachowujesz się jak bohaterka taniego romansu. Zaczynaj myśleć kategoriami prawdziwej literatury.

Jak on może tak mówić! zachnęła się Jane. Jej matka, też przecież anglistka, nauczyła swe córki kochać wszystkie książki. Tak mocno dotknęła ją ta uwaga, a zwłaszcza ton głosu Jeffreya, że zaczęło jej się kręcić w głowie. Tani romans! To nie żaden film ani powieść, tylko ich własna prawdziwa historia. To Jeffrey myśli tymi kategoriami, które jej wytyka. Bo to on traktuje ich miłość jak powieściowy banał.

— Nie pozwolę, aby coś takiego zrujnowało nam życie — oświadczył.

— Nie jesteś tym, za kogo cię uważałam — powiedziała Jane wolno i dobitnie.

— Jane! — zrobił krok w jej stronę, jednak jej nie dotknął.

— Żal mi cię — szepnęła z oczyma pełnymi łez. — Jesteś uczuciowym kaleką. Gdybyś choć przez chwilę poczuł to co ja do tej malutkiej istoty, gdybyś myślał o niej jak o darze miłości, nie byłbyś w stanie tak mówić.

— Nie wolno mi pragnąć takiej przyszłości, jaką sobie wymarzyłem? Myślę nie tylko o sobie, ale i o tobie!

— Nasza przyszłość to także to dziecko — powiedziała przez łzy płynące już teraz strumieniem. — I czy będzie z nami,

czy nie, nasza córka przyjdzie na świat. Jesteśmy jej to winni. To my powołałiśmy ją do życia.

— Nie, Jane, ja się na to nie piszę — oświadczył, podnosząc ręce do góry. — Nie mogę uwierzyć, że potrafisz mówić takie rzeczy! Powtarzam ci jasno i wyraźnie: nie zamierzam brać w tym udziału. Nie chcę tego dziecka.

— Więc ja nie chcę ciebie.

Zamilkli oboje, tylko jeszcze przez chwilę mierzyli się gniewnymi spojrzeniami. Jane czuła, jak całe jej ciało zamienia się w soplek lodu. Znienawidziła Jeffreya: jak on mógł wyrzec się dziecka, i c h dziecka?

Łzy już jej obeschły. Wciąż patrząc na niego, zrobiła krok w tył. Potem drugi. I następny. A on, Jeffrey, stawał się coraz mniejszy. Nawet go nie pożegnała.

Każde z nich dokonało własnego wyboru. Jane wsiadła do pociągu i jeszcze tej nocy wróciła do domu. Większą część drogi przespała. Odkąd zaszła w ciążę, stale dokuczalo jej zmęczenie.

Chciało jej się płakać. Jeffrey okazał się taki jak ojciec. Kochała go z całego serca, a on tak strasznie ją zawiódł! Chwilami zaczynała łudzić się myślą, że może przecież jeszcze zmienić zdanie, ale tak naprawdę już w to nie wierzyła. Zresztą w miarę upływu godzin przestawało to mieć znaczenie. Mam dziecko, powiedziała sobie, i to jest najważniejsze.

Od samego początku czuła, że to dziewczynka, a tej nocy nabrała pewności. Kiedy pociąg ukołysał ją do snu, zobaczyła we śnie swoją Chloe i odbyły poufną rozmowę. Jak matka z córką. Chloe towarzyszyła jej przez całą podróż, nie czuła się więc samotna. A Jeffrey... Niech sobie idzie swoją własną ścieżką.

Próbując znienawidzić go na dobre, przypomniała sobie jego ton i ten bardzo szczególny akcent położony na słowie „edukacja”. Jej matka też przecież ogromnie ceniła wykształcenie, ale z innych powodów niż Jeffrey. Dla niego było ono tym, co pozwoli mu zrobić karierę, dla Margaret Porter źródłem wiedzy o sobie i ludziach.

Tym, co pozwala nam zrozumieć świat. Tym, co nas uczy miłości.

Jeffrey tak mało wie o miłości, pomyślała gorzko, a tego, co powinien wiedzieć, nie nauczą go żadne studia.

Jego książkę wetknęła na najwyższą półkę — niech sobie leży.

Minęła połowa sierpnia. Upał trochę zelżał, aby po paru dniach wrócić. Jane wciąż łąpała się na tym, że siedzi przy komputerze, a jej palce jakby same z siebie wystukują jakieś nazwiska z poleceniem „szukaj”.

Na przykład: „Thomas J. Porter”.

Nosiło je tylu ludzi, że spędziła kiedyś całą noc, usiłując ustalić, czy któryś z nich nie jest jej ojcem. Ostatnim znanym jej miejscem jego pobytu było Glastonbury w stanie Connecticut, ale dawno już stamtąd wyjechał. Mógł być teraz gdziekolwiek. „Ramblin' Man”*... Kiedyś obie z Sylvia uwielbiały śpiewać tę piosenkę razem z Allman Brothers. Śpiewały ją z gniewnym szyderstwem, bo jak inaczej można było myśleć o człowieku, który je splodził, a potem porzucił bez żadnych skrpułów?

Tym, co chyba najbardziej doskwierało jej tego upalnego lata, była świadomość, że Chloe myśli o niej tak samo jak ona o swoim ojcu. Szok i żywiolowa wprost niechęć, które dostrzegła w jej oczach, mówiły wyraźnie: Więc taka jesteś! Co z ciebie za człowiek!

Trudno to było znieść. Jedynym ratunkiem przed skrajną desperacją była praca — okolicznościowe ciasta wypiekane dla obcych ludzi, by osłodzić im rodzinne fety. Czasami, gdy jej asystentka wyruszała w trasę po mieście, aby rozwieźć zamówione torty, Jane sama dostarczała niektóre swoje wypieki. Mogła wtedy poczuć choć przez chwilę atmosferę rodzinnego ciepła.

Na weselach zawsze płakała. Prawdę mówiąc, płakała na wszelkich uroczystościach rodzinnych. Towarzyszyło im tyle nadziei, tyle serdecznych życzeń! Widać było, do jakich poświęceń skłania ludzi pragnienie znalezienia się w kręgu najbliższych. Niektórzy przyjeżdżali aż z Europy i Azji. Kogóż

* „Rambling Man” — dosłownie: „wędrujący człowiek” (przyp. tłum.).

tam nie było! Ciotki i wujowie, dziadkowie i babcie, bratanice, siostrzeńcy, bliżsi i dalsi kuzyni, nie mówiąc już o matkach, ojcach i rodzeństwie. Wszyscy pozowali do zdjęć, opowiadali sobie stare rodzinne historie, tworzyli nowe wspomnienia, delektowali się ciastem Calamity Jane...

Śmiali się, widząc jej Izy, ale zawsze w dobrotliwy sposób.

— O Boże, pani płacze? Przecież pani nawet nas nie zna. Wie pani przynajmniej, co to za okazja? Świątujemy właśnie dyplom mojej córki.

— Życzę jej wszystkiego najlepszego. A płaczę... Bo to takie szczęście być razem.

— Och tak, to prawda. Dziękujemy pani.

Na szczęście czas mijał szybko. Jeśli Jane nauczyła się czegoś przez lata spędzone z dala od Chloe, to chyba tego, że czas potrafi leczyć wszelkie rany. Jeśli nawet niezupełnie, to przynajmniej do pewnego stopnia. Bez tego życie nie mogłoby toczyć się dalej.

Jane wiedziała i to, że sam czas wszystkiego nie robi, jeśli więc chce mu pomóc, powinna unikać pewnych rzeczy, na przykład jabłek. Żadnego wystawiania przy stoiskach z owocami, wybierania najczerwieńszych okazów empire czy najdrodniejszych delicjuszy. Cały zapas cynamonu trzeba usunąć z kuchni. Koniec z dekoracjami w kształcie stodoł, jabłek i wszelkich drzew owocowych. Zdawała sobie sprawę, że trudno jej będzie przeżyć wrzesień bez ciast z jabłkami, było to jednak konieczne.

No i koniec z Internetem, z ciągłym wystukiwaniem imion Chloe i Dylana, tak jak to było tej nocy.

Większość tego, co na hasła „Dylan” i „Chadwick” podała wyszukiwarka, dotyczyło Dylana Thomasa i kompozytora Rufusa Chadwicka, znalazło się też jednak trochę informacji o jej Dylanie, jak myślała o nim w momentach słabości, czyli mówiąc ściślej, prawie stale.

W kilku artykułach o jego służbie w agencji bardzo go chwalono za odwagę i poświęcenie. Doprowadził do upadku kilku narkotykowych bossów i właścicieli wielkich imperiów hazardu. Strzegł bezpieczeństwa sędziów przysięgłych podczas ich zamkniętych obrad w Brooklynie i na Manhattanie.

To on ścigał pewnego kidnapera dosłownie po całym kraju, by dopaść go wreszcie aż w Wyoming. Większa część jego dokonań objęta była oczywiście klauzulą najwyższej tajności; takich informacji nie zamieszcza się w sieci, uznano jednak za stosowne odnotować tragiczną śmierć jego bliskich.

Artykuł w „New Yorkerze”, w którym opisano ten incydent, nosił tytuł: „Matka i córka giną w strzelaninie”. Poniżej podano, że gdy nie rzucający się w oczy samochód zatrzymał się na Siódmej Alei, przed wejściem na dworzec Penn Station, rozpętała się nagle strzelanina, i to akurat w chwili, gdy z wozu wysiadł Dylan Chadwick wraz z żoną i córką, które odwoził na pociąg. *Amanda Chadwick lat 33 oraz Isabel Chadwick lat 11 zmarły po przewiezieniu do szpitala St. Vincent. Dylan Chadwick znajduje się w stanie krytycznym.*

Dalej napisano, że Dylan Chadwick, funkcjonariusz agencji U. S. Marshals w południowym dystrykcie Nowego Jorku, rozpracowywał właśnie wielką aferę narkotykową, z którą na dodatek wiązała się próba przekupstwa sędziów oraz brutalne morderstwo popełnione w sposób typowy dla egzekucji mafijnych. Zdając sobie sprawę, że ma do czynienia z nie przebierającą w środkach organizacją przestępczą, agent Chadwick w obawie o swoją rodzinę, próbował wywieźć ją z miasta.

Pod wpływem lektury tego artykułu Jane znów zatoneła w myślach o Dylanie. Jego dom pamiętała tak wyraźnie, jakby wciąż tam była. Słyszała szelest jabłoni za oknem, widziała przypięte do drzwiczek lodówki zdjęcie dwóch uśmiechniętych kuzynek, dostrzegала nawet takie szczegóły jak to, że rogi fotografii zdążyły się już pozwijać od długiego kontaktu z wilgocią. Jednakże zdjęcie to wciąż istnieje, podczas gdy Isabel... Jakie to smutne, myślała, że martwe przedmioty mogą przetrwać o tyle dłużej niż człowiek. Dylan też tak kiedyś powiedział...

Zamknęła oczy, aby lepiej go sobie wyobrazić. Całą kuchnię wypełniał słodki aromat weselnego tortu, który właśnie znajdował się w piecu. Być może ten zapach przytępił jej zmysły, bo dźwięk dzwonka u drzwi wydał jej się tak słaby, jakby nacisnął go ktoś bezcielesny. Pewnie jakiś klient.

Idź sobie, pomyślała.

Nie chciała już piec żadnych ciast, ani dziś, ani nigdy. Kolejna uroczystość? Czują, że jej serce tego nie wytrzyma. Jeśli będzie siedzieć cicho, może ów ktoś pomyśli, że nikogo nie ma? Och, ale ten zapach! Ktokolwiek tam stoi, wie doskonale, że ciasto samo się nie piecze...

Tak bardzo pragnęła jeszcze bodaj przez chwilę zachować złudzenie, że jest tam, w kuchni Dylana, a on stoi pośrodku w tym swoim roboczym ubraniu i ciężkich zakurzonych butach... Pragnęła widzieć jego silne, stwardniałe od pracy dłonie i piękne zielone oczy. Mogłaby w nie patrzeć bez końca...

Dzwonek znów brzęknął.

Teraz sobie pójdzie, pomyślała.

I nagle coś kazało jej zerwać się z miejsca. Jakieś szalone przecucie tak gwałtownie pognało ją ku drzwiom, że biegnąc na oślep, zawadziła nogą o krzesło. Ból przebiegł jej po nerwach aż do kolana, ale prawie nie zwróciła na to uwagi. Jak na skrzydłach wpadła do swego malutkiego biura — mieściła się tam tylko lada i dwa krzesła — nikogo tam jednak nie było.

Spojrzała w okno częściowo przesłonięte dużym napisem „Piekarnia Calamity”, lecz i w spokojnej, wysadzonej gruszkami uliczce, pokrytymi teraz grubą warstwą sierpniowego kurzu, nie działo się nic szczególnego. Po obu jej stronach stały jak zwykle rzędy samochodów. A wśród nich czerwona ciężarówka.

Na widok tej ciężarówki Jane mocniej zabiło serce. Była tak podobna do wozu Dylana! Nawet na skrzyni leżało coś zielonego, jakby ktoś przewoził drzewka. Przyłożywszy czoło do szyby, poszukiwała wzrokiem rejestracji.

Rhode Island! Na białym tle widać było płynący pod wiatr żaglowiec i granatowe litery układające się w napis „Ocean State”. Z tak wielkim napięciem wpatrywała się w tę tablicę, że w pierwszej chwili nawet nie zauważyła stojących przed drzwiami osób.

Potem dopiero spostrzegła dwie pary stóp — białe klapki i ciężkie buty — dwie pary niebieskich dżinsów i wreszcie dwie znane twarze.

Uśmiechnięte trochę nerwowo, jakby ich właściciele nie byli pewni, jakie ich czeka przyjęcie. Przez chwilę wszyscy

LUANNE RICE

troje stali bez ruchu, patrząc na siebie przez szybę. Gdy Jane nareszcie otworzyła drzwi, wzruszenie i fala gorąca, która runęła na nią z ulicy, omal nie zbiły jej z nóg. Nie była w stanie wypowiedzieć słowa. Wyręczyła ją Chloe, mówiąc po prostu:

— Stęskniłam się za tobą.

Jane zawisła wzrokiem na jej twarzy. Stojący nieco dalej Dylan lekko skinął głową, jakby pozwalał jej na to, o czym marzyła latami i co teraz koniecznie musiała zrobić! Wciąż milcząc — bo nadal nie mogła mówić, ale czy słowa były tu potrzebne? — wyciągnęła ręce i przytuliła do serca swoją wytęsknioną córkę.

EPILOG

— To jest Księżyc Dożynkowy.

— Nie, dożynkowy będzie w październiku. No dalej, wymyśl, jak nazwać wrześnieową pełnię.

— Księżyc Szkolny? Wracamy do szkoły.

— Wypluj te słowa. — Chloe wykonała palcami znak odstraszący wampiry. — Już i tak we wrześnieu mamy to przeklęte Święto Pracy! Akurat na koniec wakacji! Kto to wymyślił?

— Prawdziwa dziś z ciebie poetka, wiesz? — kpiąco rzuciła Mona. — Może byś zaczęła pisać przepowiednie do ciasteczek z wróżbą?

— Co powiesz na Księżyc-Ciasteczkowej-Wrózby? — zapytała Chloe, patrząc w okno kopuły, za którym wisiał ogromny różowopomarańczowy księżyc. Oblane jego blaskiem wierzchołki drzew w sadzie wyglądały zupełnie jak lukrowana dekoracja na szarlotkach Calamity Jane.

— Może być — zgodziła się Mona. — Powiedz mi zatem, o Mądra Kobieto, co mówią nasze przepowiednie?

Chloe popadła w zadumę. Czego jeszcze można sobie życzyć? Już i ta chwila jest przecież spełnieniem najśmielszych marzeń. Siedzą sobie z Moną w kopule stodoły Dylana, obserwując napływających wciąż gości, a wśród nich... Zerknęła w dół, by popatrzeć na Jane i Dylana zajętych rozmową z rodzicami. Przed chwilą widziała też Sylvie w towarzystwie przyszłego męża. Zaproszono nawet ich matkę. Kierowniczką

domu opieki obiecała, że ją tu przywiozą. Będzie cała rodzina! Czyż to nie czary, że rodzice nie tylko wyrazili zgodę, ale nawet uznali to za świetny pomysł!

— No i co z tą wróżbą? — odezwała się Mona, którą zniecierpliwilo zbyt długie oczekiwanie. — Pewnie będzie to coś takiego: „Strzeż się rekinów w skórze delfina”. Zgadza się?

Chloe parsknęła śmiechem, myśląc, że przynajmniej dwa z tych rekinów są chwilowo unieszkodliwione. Dylan dotrzymał obietnicy: Zeke i jego kumpel zostali aresztowani.

— Ciekawe, czy w więzieniu zrobi sobie nowy tatuaż, bo wątpię, czy ten delfin zdoła go obronić — rzuciła zawzięcie Mona.

Chloe pokiwała głową. Poczula ciarki na grzbiecie, wyobrażając sobie, co by się stało, gdyby Dylan nie zjawił się w porę. Ale właśnie zagrała orkiestra — gitara, skrzypce i bas — postanowiła więc o tym nie myśleć. Nie ma sensu psuć sobie pięknego wieczoru.

— Wiesz, kiedyś myślałam, że w tej kopule mieszkają anio-

— Niezły tekst — zachichotała Mona. — Gdyby trochę go przeredagować, mogłaby być z niego ciasteczkowa wróżba.

Chloe pomyślała nagle, że w pewnym sensie naprawdę była to wróżba. Bo czyż nie strzegły jej anioły? Isabel, koty, jelenie, prawdziwa matka... I zawsze była kochana...

— Może tak — powiedziała głośno — „Masz anioły w kopule”.

— To dla ciebie, a dla mnie?

— „Dobrzy przyjaciele są lepsi od brylantów.”

— Wolałabym coś bardziej wzniosłego — oznajmiła Mona.

Chloe skarciła ją długim spojrzeniem, które miało oznaczać, że to zbyt wygórowane wymagania, lecz tak naprawdę kochała Monę jak siostrę i najchętniej by ją uściskała. Dziś zresztą miała ochotę ścisnąć dosłownie wszystkich.

— Posłuchaj tego: „Ten, kto nie ma siostry albo matki, niechaj ich szuka, aż znajdzie. Jeśli nie masz rodziny, ja będę twoją rodziną”.

— To moja wróżba?

— Tak.

Muzyka zabrzmiała głośniejsz.

— Podoba mi się — oznajmiła Mona, po czym obdarzyła swą najlepszą przyjaciółkę, siostrę i rodzinę w jednej osobie tak zamaszystym uściskiem, na jaki pozwalała niewielka przestrzeń kopuły.

Na dole zaczęły się tańce. Gdy tylko zabrzmiała muzyka — pierwszym utworem był „Kentucky Waltz” — John poprosił Sylvie do tańca. Ubrała się na tę okazję w turkusową spódnicę skrojoną z pełnego koła i białą haftowaną bluzkę, którą wygrzebała z kufra na strychu, jako że po raz ostatni miała ją na sobie podczas jakiejś licealnej potańcówki. No tak, ale matka cmoknie pewnie z niezadowolaniem, pomyślała trochę niespokojnie; zawsze mówiła, że materiał tej bluzki jest zbyt przezroczysty. Tylko czy ona tu dotrze? Może trzeba było po nią jechać...?

John objął ją mocniej — musiał chyba wyczuć jej niepokój.

— Coś nie tak? — zapytał.

— To nerwy. Boję się, że lada chwila stanie się coś okropnego.

— Na przykład co?

— Na przykład, że matka Chloe, to znaczy Sharon, wścieknie się na Jane.

— Zaraz... Przecież to właśnie Sharon zaprosiła tu twoją siostrę. Sama mi to mówiłaś, prawda?

— Tak, ale powiedz, nie wydaje ci się to dziwne? Przecież to niebywała wielkoduszność... Trudno w nią uwierzyć.

— Myślę, że to z jej strony wspaniały i szczery gest. Wiadac, że dobro Chloe naprawdę leży jej na sercu.

Sylvia na chwilę zamilkła. Z doświadczeń własnych i matki — obie długie lata pracowały w szkole — wiedziała niestety, że rodzice nie zawsze kierują się dobrem dziecka. Częściej jest wręcz przeciwnie. Czyżby rodzina Chadwicków była szlachetnym wyjątkiem?

— Według mnie to zbyt piękne, żeby było prawdziwe — powiedziała ze zmarszczką na czole. John natychmiast pocałował ją w to miejsce. — Co to ma znaczyć?

— Że cię kocham i jako twój narzeczony uważam za swój obowiązek przekonać cię, że powinnaś trochę bardziej zaufać ludziom.

Zmarszczka na czole Sylvii pogłębiła się o parę milimetrów.

— Uważasz, że im nie ufam? — Zamiast odpowiedzi usłyszała ciche chrząknięcie. — No powiedz!

— Zaraz ci powiem, kochanie, do jakiego stopnia ufasz ludziom — odrzekł, muskając policzkiem jej włosy. — W tej chwili myślisz na przykład, że powinniśmy byli pojechać po twoją matkę, ponieważ dom opieki nie wywiąże się z obietnicy. Mam rację?

Sylvia uśmiechnęła się krzywo.

— Sylvio? — John mocniej opasał jej talię i zatoczył dwa szybkie koła. — Nie myślę się, prawda?

— Nno... nie.

Zaśmiał się głośno i zaczęli wirować po obwodzie tanecznego kręgu. Sylvia kątem oka dostrzegła Jane stojącą obok Dylana, jego brata i bratowej. Wydawała się taka bezbronna... i zarazem tak ufna. Sylvii ścisnęło się serce, jak zwykle gdy myślała o swej starszej siostrze. Ale najważniejsze, że znów jest w domu...

— Zanim się pobierzemy — mówił dalej John — dopilnuję, żebyś wreszcie przestała się tak zamartwiać. Musisz uwierzyć, że nic ci nie grozi. Już ja się o to postaram. Przyrzekam ci to uroczyście.

— Jesteś kochany — wyszeptala, spoglądając na piękny pierścionek z brylantem, który jej wsunął na palec w ową noc spadających gwiazd — ale to niemożliwe.

— Mylisz się — odrzekł stanowczo i pocałował ją w usta. — Zobaczysz, że będzie, jak mówię. Nigdy nie łamię obietnic.

Oddała mu pocałunek, ale z jednym okiem na drzwiach. Czy ten wóz z Cherry Vale wreszcie tu przyjedzie?

Sharon trzymała męża za rękę. Zgłosił tyle zastrzeżeń do tej imprezy, że zrobiła wszystko, co mogła, aby nie miał czasu o nich myśleć. Zaprosiła między innymi wszystkich członków lokalnego klubu rotariańskiego. Już samo witanie każdego z osobna wymagało sporo zachodu.

Właśnie podszedł do nich Achilles Fontaine w towarzystwie swojej małżonki.

— Wspaniałe przyjęcie, Eli!

— Dzięki, Ace.

— Nie wiedziałem, że jesteś właścicielem sadu.

— To sad mego brata — Eli ruchem głowy wskazał stojącego obok Dylana. — Po śmierci ojca to on zajmuje się wszystkim.

— Niech go pan nie słucha — włączył się Dylan. — To jego sad w tym samym stopniu co mój. Zawsze był i będzie własnością całej rodziny Chadwicków.

— Powiedzmy, że tak — Eli wyszczerzył zęby do brata, zerkając zarazem z ukosa na Jane. Sharon na wszelki wypadek ścisnęła go mocniej za rękę.

— Fantastyczne jabłka — skonstatował Ace Fontaine, obrzucając pełnym uznania spojrzeniem długi stół artystycznie zastawiony przez Chloe i Monę koszami jabłek, paterami winogron i serów i pięknie ozdobionymi wypiekami Jane. — Chętnie bym zamówił trochę tych jabłek do naszego działu miejscowych produktów.

— Proszę bardzo — odparł Dylan. — O szczegółach niech pan pogada z moim bratem.

— Doskonale! — podchwycił Eli. — Na pewno się dogadamy, co, Ace?

— Jasne! — Mężczyźni uścisnęli sobie ręce. — Chodź, Dubonnet — pan Fontaine ujął żonę pod ramię — zatańczymy?

Jane i Chadwickowie znów zostali sami. Dwaj bracia milczeli, patrząc na siebie jak przeciwnicy w zawodach, kto pierwszy mrugnie. Duzi chłopcy, pomyślała Sharon.

— Bardzo się cieszę, że tu jesteś — powiedziała z uśmiechem do Jane.

— A ja bardzo dziękuję, że mnie zaprosiłaś. To znaczy nas — odrzekła Jane. Wyglądała ślicznie, ale widać było, że strasznie się denerwuje. Sharon zauważyła również, że Dylan nie poprosił jej dotąd do tańca i że odnoszą się do siebie wciąż jeszcze z pewną rezerwą.

— Mam nadzieję, że twojej matce uda się przyjechać.

— Kierowniczka obiecała, że ją tu przywiozą. Spodziewam się jej lada chwila.

— Jest w Cherry Vale? — spytał Eli, włączając się do rozmowy. Sharon miała ochotę ucałować go za to.

— Tak i jak dotąd dobrze się tam czuje. Strasznie bałyśmy się z siostrą, że będzie tam nieszczęśliwa, więc ogromnie nam ulżyło, gdy się okazało, że nie była to zła decyzja.

— Ale bardzo trudna — podjęła Sharon. — Wiem, jak to jest. My też byliśmy zmuszeni umieścić moją matkę w Marsh Glen.

— I jak to zniosła? Udało jej się przystosować?

— Trudno powiedzieć, miała alzheimera. Oddaliśmy ją tam zresztą na krótko przed śmiercią.

— U mojej matki też stwierdzono początki tej choroby. Jest wciąż jeszcze na tyle przytomna, że zdaje sobie z tego sprawę, co chyba jest nawet gorsze od całkowitej demencji.

Sharon uśmiechnęła się współczująco. Dobrze, że rozmowa zesłała na te tory. Łatwiej było mówić o starszych członkach rodziny niż o tych najmłodszych. Dylan jednak postanowił zmienić temat.

— Chloe świetnie się spisała, prawda, Eli? — powiedział, wskazując ruchem ręki salę.

— Chloe to dobry dzieciak.

— O tak! — żarliwie potwierdziła Sharon. — Jest tak inteligentna, tak czuła...

— Ma swój rozum, no i charakter — dorzucił jej mąż.

— To prawda — miękko powiedziała Jane. — Wychowaliście ją wspaniale. Ja... — urwała nagle i zamilkła.

Sharon czuła, że chciała im podziękować, i była zadowolona, że Jane jednak tego nie zrobiła. Bo za co tu dziękować? Za to, że wychowali ukochaną córkę? Dla nich był to przywilej, a nie obowiązek; Sharon uważała nawet, że równie wielki i święty jak wydanie dziecka na świat.

— Widzę w niej wiele twoich cech.

— Dziękuję ci za te słowa — powiedziała Jane ze wzruszeniem.

— To fakt! — burknął Eli. — Chloe ma twoje oczy. Bo na pewno nie po mnie ani nie po Sharon odziedziczyła ten ich

niemowlęcy błękit. Nie chodzi zresztą tylko o kolor. W jej oczach jest coś takiego, co chwyta człowieka za serce.

— Niektórzy w tej rodzinie też mają takie — uśmiechnęła się Sharon, spoglądając figlarnie na Dylana.

— Nie przypominaj mu o tym — parsknął Eli — bo je zaraz wypróbuje na tobie.

W kontekście całej tej rozmowy był to tak absurdalny żarcik, że wszyscy czworo wybuchnęli śmiechem. Sharon była dumna ze swojego męża: trzeba mieć klasę, żeby wznieść się ponad własne uprzedzenia. Jeszcze milej uśmiechnęła się do Jane.

— Chloe zawsze pragnęła cię poznać.

— Dziecięca ciekawość — rzucił Eli, starając się tym razem trochę zbagatelizować wypowiedź swej żony.

— Przepraszam za swoje zachowanie — powiedziała Jane. — Nie powinnam była postępować w taki sposób...

— Sytuacja rzeczywiście nie była łatwa — przyznała Sharon. — Nikt z nas nie wiedział, co robić.

— Ani jak ją rozwiązać — dodał Eli.

— A jednak wam się udało — wtrącił Dylan — tylko spojrzcie: jesteście tu dziś wszyscy troje. Bo wszyscy kochacie Chloe.

— Pytanie tylko, dokąd nas to doprowadzi.

Dylan pokiwał głową. Obaj bracia spochmurnieli, rozważając widocznie tę kwestię, Sharon jednak uśmiechnęła się do Jane, która zrobiła to samo. Nad czym się tu zastanawiać? — mówiły ich uśmiechy. Na pytanie, co dalej, nikt nie jest w stanie teraz odpowiedzieć. Pożyjemy, zobaczymy.

Sharon, która latami modliła się o dziecko, pomyślała w tym momencie, że całe życie to nic innego jak jedno wielkie pytanie. Jeśli nawet czasami padnie jakaś odpowiedź, wystarcza zazwyczaj jedynie na krótką metę. Kobiety wiedzą to lepiej od mężczyzn. Może ma to coś wspólnego z wpływem księżycy na kobiece ciało... Może właśnie dlatego kobietom łatwiej zrozumieć, że życie jest tajemnicą i że kierują nim siły potężniejsze niż człowiek. Jane pewnie myślała tak samo — w każdym razie obie uśmiechały się coraz szerzej.

— No cóż, zobaczymy — powiedziała głośno.

— Zobaczymy — powtórzyła Jane.

Orkiestra zagrała „Newport Blues”; słysząc to, Sharon chwyciła męża za rękę. Po tylu wspólnych latach słowa nie były potrzebne — wystarczyło, że uniosła brwi, by zrozumiał, **O** co jej chodzi.

— Mam nadzieję, że twoja matka zjawi się lada chwila — powiedziała, kierując się na parkiet.

— A pani Virginia? Przyjedzie?

— Nie. Doszliśmy z mężem do wniosku, że gdyby jego matka zobaczyła nas razem, byłby to dla niej zbyt duży szok. Jest bardzo krucha psychicznie. Ludzie z jej pokolenia uważają, że pewne sprawy powinny pozostać tajemnicą.

— To prawda. Moja matka myśli podobnie.

Sharon, która wiedziała, że tym dwom starszym paniom zawdzięcza adopcję Chloe, pomyślała z lekkim niepokojem, że to, co jej dało szczęście, dla Jane stało się nieszczęściem... Ale dzisiejszy wieczór to przecież czas pojednania. Nikt tu nie zamierza nikogo obwiniać ani knuć żadnych intryg. Spojrzała na Jane i widząc jej uśmiech, poczuła ogromną ulgę.

— Bardzo chętnie poznam twoją matkę.

— A ona ciebie i... — Jane znów urwała.

— I Chloe — dopowiedział Eli, a Sharon po raz kolejny uświadomiła sobie, za co tak bardzo go kocha. — Pewnie już się nie może doczekać spotkania ze swoją wnuczką.

— O tak — potwierdziła Jane — bardzo tego pragnie.

Sharon pełna wdzięczności dla losu, że obdarzył ją tyloma łaskami, a teraz jeszcze ofiarował im wszystkim ten niezwykle wieczór, objęła męża i pociągnęła na parkiet.

Jane została z Dylanem. Miał dziś na sobie czarną koszulę i wąski pleciony krawat, a ona białą sukienkę ze srebrną kłammerką przy pasku. Od czasu nowojorskiego spotkania rozmawiali parę razy o tym, co im leżało na sercu, mimo to wciąż jeszcze trochę ją onieśmiał. Wybaczył jej kłamstwo, a przynajmniej podjął taką decyzję. Podczas którejś z tych rozmów wyznał jej w końcu — chociaż wiele go to kosztowało — jak trudno mu było znieść myśl, że został oszukany i zdradzony, i to właśnie w chwili, gdy zaufał jej bez zastrzeżeń, gdy stała mu się tak bliska... Jane zresztą zdawała sobie z tego sprawę.

Próbowała mu wytłumaczyć, że pragnienie zobaczenia Chloe było czymś tak żywiołowym i bezwzględny, że nie była w stanie mu się oprzeć. Powiedzieli sobie to wszystko, lecz łączące ich przedtem poczucie bliskości wciąż jeszcze nie powróciło.

Gdy więc teraz wziął ją za rękę, i to tak, że ich palce splotły się ze sobą, ze wzruszenia poczuła słabość w całym ciele.

— Chodź ze mną — powiedział.

— Dokąd?

— Zobaczysz.

Orkiestra grała powolny, bardzo sentymentalny utwór, Dylan jednak przeprowadził ją przez tłum tańczących aż do miejsca, gdzie do ściany przytwierdzona była drabina sięgająca otworu w suficie, i gestem zachęcił do wejścia na górę. Mieścił się tam strych na siano. Kolejnym gestem poprosił ją, żeby usiadła, a gdy zawahała się lekko, łagodnie pociągnął ją na miękką ściółkę.

— Musimy porozmawiać — oświadczył, kładąc się przy niej.

— Dobrze — odrzekła, trochę zdziwiona, że chce rozmawiać w takiej pozycji. Ich twarze dzieliło od siebie zaledwie dwadzieścia centymetrów. — Co ci mam powiedzieć?

— Właściwie powiedziałaś mi już wszystko...

— Najlepiej jak umiałam — odrzekła, patrząc w jego zielone oczy. Jakże za nimi tęskniła!

— Mam już dość wyjaśnień.

— Ja też.

— Jane...

— Co, Dylanie...?

Delikatnie dotknął jej policzka, a jej palce musnęły jego zarost. Mimo woli pomyślała o tym artykule znalezionym niedawno w Internecie, co oczywiście natychmiast przypomniało jej o Isabel, a wszystko to razem uświadomiło jej nagle, że tym, co legło u podstaw jej związku z Dylanem, był żal. Połączyło ich cierpienie, ale czy to dobrze? Czy tak musi być nadal?

— Chciałabym...

— Czego?

— Zacząć wszystko od początku. Uważasz, że to możliwe? Żałuję, że nie umiałam mądrzej rozegrać całej tej sprawy...

— Rozegrałaś ją dobrze, to ja byłem w błędzie i dlatego źle się zachowałem.

— Nieprawda.

— Prawda. Ty chciałaś tylko poznać Chloe i nie ma się czemu dziwić. Ją warto poznać, jest wspaniała! Dzięki niej my troje, Eli, Sharon i ja, staramy się być lepsi. I wiesz co?

— Co?

— Ja chyba byłem zazdrosny. I w pewnym stopniu wciąż jestem.

— Ale o co?

— O to, że masz córkę i że możesz ją poznać, a ja...

Mój Boże! W oczach Dylana zabłyśły łzy. Mogła je tylko scałować. Ich smak przypominał przesycone solą powietrze nad zatoką Narragansett, przywodząc jej na myśl wielkie fale Atlantyku rozbijające się o skały nieopodal Maison du Soleil.

— Przecież ty znasz swoją córkę — wyszeptiała.

Dylan milczał.

— Ja znałam Chloe, jeszcze nim ją zobaczyłam tej wiosny. Zawsze była częścią mnie, tak jak Isabel jest częścią ciebie. Wiem, że jest przy tobie i że pozostanie z tobą na zawsze.

Objął ją mocno i przytulił do swojej twardej piersi, jakby chciał ją także uczynić częścią samego siebie. Zaczęli się całować, powoli i czule. Trwało to tak długo, że Jane zatraciła poczucie, gdzie się kończy jej ciało, a zaczyna jego. Wróciła dawna cudowna bliskość.

— Wypowiedziałaś słowa, które bardzo lubię.

— Jakież?

— „Na zawsze.”

— Tak, to dobre słowa, ja też je lubię.

Z dołu niosły się ku nim słodkie dźwięki muzyki. Dylan otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale uśmiechnął się tylko i znowu ją pocałował. Na dole ludzie tańczyli, księżyc wznosił się coraz wyżej w swej odwiecznej wędrówce po niebie, a oni leżeli wciąż w czułym uścisku wsłuchani w gwałtowne bicie swych serc. I nagle coś głucho huknęło — raz, potem drugi.

— Ktoś nas bombarduje jabłkami! — roześmiał się Dylan. Jane popatrzyła w górę.

— I nawet wiem kto — odrzekła z szerokim uśmiechem.

W otworze kopuły widniały psotnie uśmiechnięte buzie Chloe i Mony.

Margaret w swym najlepszym jesiennym płaszczu siedziała w holu, czekając na wyjazd. Płaszcz był z miękkiego brązowego kaszmiru, a kupiła go sobie na krótko przed emeryturą. Kosztował sporo, ale co tam! Kto wie, czy później stać by ją było na taki wydatek. Inwestycja okazała się niezwykle trafna: po dziesięciu latach płaszcz wciąż był tak piękny jak w dniu, gdy go kupiła.

Mikrobus wreszcie zajechał i ruszyli ciemną wiejską drogą. Margaret poprosiła kierowcę, żeby trochę uchylił okno. Zapachniało jesienią — mocnym aromatem zwiędłych liści. Pod wpływem tej pięknej jesiennej woni przesycającej powietrze jej ukochanego Rhode Island Margaret wbrew swej kondycji fizycznej poczuła się nagle młoda i wolna.

— Jadę na tańce! — zawołała do kierowcy.

— Bardzo słusznie! — odkrzyknął.

— Będą tam moje córki.

— Wiem. To wspaniale.

— Poznam moją wnuczkę.

— Pewnie bardzo się cieszysz.

— O tak! Na imię ma Clove.

— Clove to dosyć niezwykle imię.

— Och, co ja mówię! Nie Clove, tylko Rosie.

— Bardzo ładnie.

— Nie* zaraz... Nie Rosie, tylko... jakoś inaczej.

Margaret zamilkła, przymykając oczy. Mikrobus podskakiwał na wybojach, ale jej towarzysze podróży od razu zasnęli jak susty. Ludzie w Cherry Vale są wciąż tak zmęczeni... Może to wina życia, które już przeżyli... Wszyscy tu mają za sobą bardzo długi żywot, po którym pozostały im tylko wspomnienia. Wspomnienia pełne radości i smutku... Nie do wszystkich człowiek chce wracać. Ona sama, myśląc teraz o swoim minionym życiu, zaczęła inaczej patrzeć na wiele rzeczy...

Zrozumiała na przykład, że ważniejsze od matematyki, historii, a nawet, tak! angielskiego, jest to, czego uczy serce. Chwilami trudno jej było uwierzyć, że ona, Margaret Porter, wieloletnia dyrektorka liceum, może mieć takie heretyckie myśli. A jednak je miała. Bo z tego, co przeżyła na tej ziemi, wynikało teraz dla niej jasno, że w ostatecznym rozrachunku liczy się tylko miłość. Przyjaciele, rodzina, narzeczeni, mężowie. Ich miłość, przyjaźń i dobroć.

Gdyby dawniej miała tę wiedzę, przekazałaby ją swoim ukochanym córkom, a tak... Była chyba zbyt zasadnicza, za bardzo powściągliwa w okazywaniu im uczuć. To przez ten uraz wywołany odejściem ich ojca. Dlatego całymi latami kładła im do głowy, że mężczyznom nie wolno ufać...

A teraz się okazuje, że nie miała racji.

Lekko dotknęła ramienia mężczyzny śpiącego po jej prawej stronie, a potem chwyciła za rękaw tego drugiego — po lewej.

— Ralph! Billy! Zbudźcie się! Jesteśmy prawie na miejscu! Ralph zbudził się z głośnym chrapnięciem.

— Dojechaliśmy?

— Niezupełnie, ale jesteśmy już blisko.

— Obudziłaś Billy'ego?

— Próbuję, ale na razie bez skutku. Ależ on śpi!

— Smutna sprawa. Dwóch dorosłych mężczyzn eskoi tuje swą damę na bal i nie może wytrzymać bez drzemki nawet marnych dwudziestu kilometrów!

— Jestem twoją damą? — uśmiechnęła się Margaret.

— Oczywiście — Ralph czule uściśnął jej rękę — ale nie mów o tym Billy'emu. I koniecznie go obudź. Musimy przecież poskładać go jakoś do kupy, zanim wejdziemy na salę. „Wejdziemy” powiedziałem tak trochę na wyrost. Sama wiesz, milady, jak to jest u nas z chodzeniem.

Margaret nie mogła powstrzymać uśmiechu: zabawny ten Ralph. Pochyliwszy się w lewo, szarpnęła Billy'ego za ramię.

— Mój drogi, jesteśmy już prawie na miejscu! — powiedziała bardzo donośnie.

Billy wydał z siebie kilka bełkotliwych dźwięków; na elegancką granatową marynarkę kapnęła mu strużka śliny, ale

Margaret miała już chusteczkę w pogotowiu. Gdy po serii niezrozumiałych wyrazów rozplakał się rzewnie, wytarła mu oczy, mówiąc uspokajająco:

— Wiem, Billy, wiem.

— No dalej, chłopie! — zakomenderował Ralph. — Pamiętaj, że czeka nas pojedynek o to, kto pierwszy poprosi Margaret do tańca, a ja życzę sobie uczciwej walki, więc weź się w garść.

— Dobrze — odrzekł Bill. — Bardzo dobrze. Jesteśmy prawie na miejscu?

— Właśnie dojeżdżamy — poinformowała go Margaret.

Już w chwili gdy samochód znalazł się przy płocie, za którym zaczynał się sad Chadwicków, wewnątrz kabiny wypełniła słodkogorzka woń dojrzałych jabłek. Taki zapach musi pewnie panować w Raju, pomyślała Margaret.

— Rezerwuję sobie pierwszy taniec — oznajmił Ralph, całując ją w lewy policzek.

— Nieprawda! To mój taniec! — Bill pocałował ją w prawy.

Margaret zamknęła oczy, przypominając sobie dawne lata. Jakże uwielbiała tańczyć z Thomasem! Był tak fantastycznym tancerzem! Dał jej tyle szczęścia, nie tylko zresztą na parkiecie. Dał jej dwie prześliczne córki.

Córki... Dzisiaj oficjalnie poznam córkę Jane, pomyślała.

Kierowca zatrzymał mikrobus; do wnętrza wlały się dźwięki muzyki. Margaret założyła Billy'emu aparat słuchowy, z rozkoszą wciągając w nozdrza czarodziejski aromat jabłek. Ralph w podzięcie za troskę o przyjaciela mocno uścisnął jej ramię. Kierowca tymczasem rozsunął drzwi wozu. Był to miły młody człowiek imieniem Ernest.

— No jak tam, Margaret? Jesteś gotowa? — zapytał.

— Tak. — I nagle sobie przypomniała. — Już wiem! — zawołała z triumfem. — Moja wnuczka ma na imię Chloe!

Chloe, Mona, Dylan i Jane widzieli z okien kopuły nadjeżdżający mikrobus. Tak niespiesznie a płynnie pisał się na pagórek, jakby miał na pokładzie wielkich dostojników. Chloe na ten widok ogarnęło nerwowe podniecenie.

- A jeśli mnie nie polubi?
- Od razu cię pokocha — zapewniła ją Jane.
- Może być na mnie zła.
- Dlaczego?
- Przecież prawie zniszczyłam ci życie.

Jane nagle zaschło w gardle. Stali we czwórkę w ciasnej kopule, ale ona widziała tylko Chloe, jej utkwione w siebie niebieskie oczy, czyste jak wody górskiego strumienia. Oczy pełne tajemnic, ale też odpowiedzi na wszystkie pytania, które ona, Jane, stawiała sobie przez lata.

- Och nie, to nieprawda!
- A ja myślę, że tak. Ja to wiem — odrzekła Chloe.

Jane spojrzała na nią pytająco.

— Chyba rozumiesz, skąd to wiem — mówiła dalej Chloe — bo przecież byłaś wtedy ze mną. Nie trwało to długo... nie dziewięć miesięcy... jednak wtedy, w czerwcu, myślałam...

Dylan głośno wciągnął powietrze. Czy on o tym wiedział? pomyślała Jane. Chyba nie. Tak czy inaczej wyznanie to dobrze świadczy o Chloe. Ma odwagę.

- Myślałam, że jestem w ciąży.
- Ale nie byłaś!

— Jednak czułam się tak, jakbym była. Tak jak kiedyś ty... Wtedy jeszcze nie przyszło mi to na myśl, ale później zrozumiałam, co musiałaś przeżywać. Pamiętam, jaki ogarnął mnie strach, kiedy sobie wyobraziłam, co powiedzą rodzice... jak zmieni się całe moje życie. Będę musiała rzucić szkołę, wszyscy zobaczą, że robię się coraz grubsza...

— Och, dziecinko... — Jane mimo woli dotknęła brzucha. Jak dobrze znała to wszystko!

— Wciąż tylko myślałam o tym, że zmarnowałam sobie życie... tak samo jak ty.

— Nie, to nieprawda! Ja nie zmarnowałam sobie życia. Miałam ciebie...

— No i musiałaś mnie oddać. Ja też zastanawiałam się wtedy, co zrobić z dzieckiem, i najtrudniej mi było wyobrazić sobie, że będę musiała je oddać. No bo jak? Znieść wszystko, co najgorsze, upokorzenie, świadomość, że zaprzepaściło się

swoje szanse, i po co? Żeby pozbyć się tego, co najlepsze? Swego dziecka?

— To prawda, byłaś dla mnie tym, co najlepsze — wyszeptwała Jane, pełna podziwu dla wrażliwości swej córki, dla jej głębokiej empatii.

— Mimo to musiałaś mnie oddać — powtórzyła Chloe.

— Tak, miałam jednak chwilę szczęścia, gdy cię tuliłam w ramionach. Bardzo krótką, ale... musiała wystarczyć. I tak było. Przynajmniej do pewnego stopnia.

— Jak to możliwe? — zawołała Chloe, chwytając ją za rękę. — Mnie by to nie wystarczyło!

— Teraz twoja matka jest przy tobie — zmytygował ją Dylan, wysuwając się zza pleców Jane.

— Najważniejsze, żeście w końcu się odnalazły — dodała Mona.

— Każda z nas miała w głowie mały radar — uśmiechnęła się Chloe. — Tak musiało być.

— Rzeczywiście — przytaknęła Jane.

— Mogę cię o coś spytać, zanim zejdziemy na dół?

— Żeby poznać groźną babcię — dorzuciła Mona.

— Oczywiście. Pytaj, o co chcesz.

— Dlaczego nadałaś mi takie imię? — Chloe zbladła, zadając to pytanie, nawet jej usta straciły kolor. Gwałtownym ruchem chwyciła Monę za rękę, jakby szukała oparcia.

Mona, wyczuwając jej napięcie, spróbowała rozładować atmosferę:

— Teraz powinny odezwać się werble!

Dylan parsknął śmiechem, widać było jednak, że nawet on niecierpliwie wyczekuje odpowiedzi.

Jane zarumieniła się lekko. Nigdy jeszcze o tym nie mówiła. Historia imienia Chloe była dla niej czymś bardzo intymnym, ale teraz, stojąc przed swoją nastoletnią córką, zaczęła się śmiać.

— Czemu się śmiejesz? — zdziwiła się Chloe.

— Bo to zabawne. Pytasz, dlaczego nadałam ci takie imię? Mogłabym cię spytać o to samo! To był twój pomysł.

— Mój?

Jane pokiwała głową. Na chwilę przeniosła się w czasie. Znów była w pociągu, który wioził ją do domu po spotkaniu z Jeffreyem tam, na Pennsylvania Station.

— Jechałam pociągiem — zaczęła opowiadać. — Byłam bardzo zmęczona, więc w pewnym momencie zasnęłam. — Postanowiła na razie nie mówić nic o Jeffreyu. Trzeba będzie się zastanowić, co powiedzieć Chloe o ojcu... — Pociąg cały czas jechał wzdłuż wybrzeża, przez Connecticut, Long Island Sound... nic, tylko porty, plaże i woda.

— Dobrze, dobrze! — Chloe kpiąco uniosła jedną brew. — Nie nawijaj. Kto był z tobą?

— Tylko ty. Trudno to teraz wyjaśnić, ale tak się wtedy czułam. Wydawało mi się, że jesteś ze mną. Właśnie się dowiedziałam o twoim istnieniu. Nie miałam pojęcia, czy jesteś chłopcem czy dziewczynką, ale wydawało mi się, właściwie byłam przekonana...

— Ze jestem dziewczynką?

— Właśnie. No i wtedy mi się przyśniłaś. — Wciąż tak dokładnie pamiętała wszystko, jakby to działo się wczoraj. — Byłaś prześliczna. Miałaś trzy, może cztery latka, czarne włosy i niebieskie oczy. I choć byłaś taka malutka, mówiłaś pełnymi zdaniami, całkiem jak dorosła.

— Tak właśnie było — wtrącił Dylan.

Jane przyjęła to bez zdziwienia.

— „Co będziemy robić?” zapytałam, a ty powiedziałaś: „Chcę iść na plażę”. „A co będzie, jeśli mi znikniesz z oczu?” ja na to. „Po prostu mnie zawołasz i przyjdę”, odrzekłaś. „Jak mam cię zawołać? Jak masz na imię?”

— A ja powiedziałam, „Chloe”, czy tak?

— Tak, kochanie.

Długą chwilę patrzyły na siebie w milczeniu. Jane pomyślała ze wzruszeniem, że był to proroczy sen, który właśnie teraz się spełnił. Muzycy, jakby wyczuwając jej nastrój, zagrali rzewną melodię. Po solowym pasażu gitary motyw podjęły skrzypce i poniosły go hen, aż do gwiazd.

— Oto historia twojego imienia — uroczyście powiedziała Mona, po czym cichutko westchnęła.

— I to nawet lepsza, niż sobie wyobrażałam.

Tym lepsza, że mogłam ci ją opowiedzieć, pomyślała Jane.

Muzyka zmieniła się nagle — i rozległ się gromki aplauz.

— To na cześć seniorów — wyjaśniła Chloe.

— Doprawdy?

— To taka tutejsza tradycja — uzupełnił Dylan. — Zawsze witamy starszych oklaskami.

— Wyrażamy im uznanie za ich wiedzę i mądrość — dodała Chloe.

Dylan i Jane wymienili z lekka sceptyczne spojrzenia. Dziewczyny tymczasem zebrały w spódnice pozostałe jabłka i zaczęły zlizić z drabiny. Patrząc na lśniące włosy swej córki, Jane poczuła, jak spływa z niej wszystko co złe.

— Popatrz! — Dylan dotknął jej ręki, zachęcając gestem, żeby spojrzała przez okno.

W srebrnym blasku księżycy widać było pasące się stado jeleni, zdrowych i szczęśliwych, sądząc po ich lśniącej brązowej sierści. Młode, które jeszcze nie straciły cętek, trudno było dostrzec w wysokiej wykłoszonej trawie. Za zwierzętami wznosiła się ciemnozielona ściana sadu upstrzona czerwienią dojrzałych jabłek. Nad drzewami samotnie krążył sowi łowca. Jane, patrząc na to, westchnęła z zachwytem.

— Co za widok! W życiu nie widziałam nic piękniejszego.

— To prawda — powiedział Dylan.

Orkiestra zagrała walca. Zejść na dół? myślała Jane. Matka pewnie już czeka; za chwilę Sylvia i John albo Sharon i Eli, a może wszyscy czworo przedstawią jej wnuczkę. Chloe ma teraz dużą rodzinę! Pragnęła być świadkiem tego spotkania, ale noga Dylana... Trudno mu będzie zejść z drabiny, a poza tym... Owego upalnego dnia w Nowym Jorku zrozumiała, że żyć trzeba chwilą, łapać każdy moment szczęścia.

— Dylanie...

Wyciągnęła do niego ręce gestem, który mówił: Zatańcz ze mną!

Zrozumiał i wziął ją w ramiona. Wsluchani w płynące z dołu dźwięki skrzypiec, zaczęli tańczyć, pozwalając muzyce, aby niosła ich, dokąd zechce.